

Dzika gwiazda

Coulter Catherine

Książka III z Gwiazda



calibre 0.9.43

CATHERINE COULTER

DZIKA GWIAZDA

PROLOG

Plantacja Wakehurst niedaleko Natchez, Missisipi, 1843

- Drew pojechał przed chwilą z wizytą do Rad-cliffów. Oczywiście namawiałam go do tego. Zabrał swoje farby i nieprędko wróci. Odesłałam również niewolników. Jesteśmy sami.

Brent wpatrywał się w swoją piękną macochę. Jej ciche słowa brzęczały mu w uszach. Był hardym osiemnastolatkiem, a ona, tylko cztery lata starsza, wydawała mu się taka pociągająca. Miała pełny, sterczącym biust, talię osy i jedwabiste, płomienne włosy, które teraz swobodnie spływały na plecy. Patrzył, jak delikatnie przesuwa językiem po dolnej wardze. Tak bardzo różniła się od dziewcząt, w których się kochał od czasu, gdy skończył czternaście lat. Wielokrotnie wyobrażał sobie, że się z nią kocha, że w nią wchodzi głęboko.

Poczuł ucisk w gardle i cofnął się o krok. - Mój ojciec jest twoim mężem - powiedział. Krew zaczęła mu szybciej krążyć w żyłach i uświadomił sobie, że boleśnie nabrzmiewa w obcisłych bryczesach.

- Tak - odparła Laurel. - Ale on jest stary, Brent. Jestem taka samotna, a on nie może mnie kochać.

Nie tak, jak ty byś mógł i nie tak, jak ja bym chciała. -Wzruszyła białymi ramionami i jedwabny peniuar rozchylił się lekko.

Brent zmusił się, żeby odwrócić wzrok od jej piersi i spojrzał przerażony na drzwi sypialni. Nie powinien był tu przychodzić. Boże, co ma teraz zrobić?

- Nikogo nie skrzywdzimy, Brent. Po prostu damy sobie odrobinę przyjemności, tylko o to proszę. Obydwoje jesteśmy młodzi. Pragnę cię, od kiedy tu przyjechałam. Jesteś pięknym i pociągającym mężczyzną. Widziałam, jak całowałeś Marisę Radcliffe. Wiedziałeś o tym? Chcę, żebyś mnie też pocałował.

Zadrżał, gdy z gracją podeszła do niego, a zapach magnolii wypełnił mu nozdrza i obezwładnił ciało.

Przycisnął pięści do ud. Wiedział, że powinien podejść do drzwi, otworzyć je, uciec od niej i od swojego przerażającego pożądanego. Wystarczyło jednak, że położyła mu dłoń na ramieniu, by zeszywniał.

Stała na palcach, patrząc na jego usta. - Mogę cię nauczyć, Brent. Mogę ci pokazać, jak kochać się z kobietą. Mogę dać ci tyle przyjemności. Nikogo nie skrzywdzimy. Nikogo, przysięgam.

Dotknęła ustami jego warg, ale nie poruszył się.

- Mój ojciec - wyszeptał, ale dotknęła językiem jego języka i był zgubiony.

Rzadko umiał zapanować nad pożądanym, a teraz było to tym bardziej niemożliwe. Przycisnęła biust do jego torsu i poczuł, że ociera się o niego brzuchem i udami. - Mój ojciec - znowu powtórzył bezsilnie.

Jej mała dłoń odnalazła jego męskość, zaczęła go pieścić. Jęczał, wiedząc że eksploduje, jeśli

ona nie przestanie. - Laurel - wyszeptał - proszę. Nie panuję nad sobą.

- Chodź - powiedziała. Zaprowadziła go do swojej sypialni. Nie spuszczać wzroku z jego twarzy, zrzuciła z siebie jedwabny penmar i koszulę. Pozwoliła mu nasycić się swoim widokiem, a potem zaczęła zdejmować z niego ubranie. Boże, jest piękny, pomyślała i ogarnęły ją niepohamowane żądze. Taki wysoki, cudownie zbudowany i silny. Taki miody. Stał przed nią nagi, z zamkniętymi oczami i milczał, a jej dłonie wędrowały po jego ciele. Zaciśnął zęby, gdy zaczęła pieścić go palcami, a potem cudownie miękkimi ustami, aż z jego krtani wyrwał się głęboki jęk. Wiedziała, choć on nie do końca zdawał sobie z tego sprawę, że jeśli nie przestanie, to on eksploduje nasieniem. Jednak gdy przerwała, był zawiedziony. Objęła go i pociągnęła za sobą do łóżka. Upadł na nią z dzikim okrzykiem. Nie przestawało go dręczyć poczucie winy zmieszane ze wstydem. - Mój ojciec - wyszeptał jeszcze raz drżącym z rozpaczy i pożądania głosem. Odsunął się, a wtedy jego wzrok padł na trójkąt ciem-norudych włosów i dostrzegł jej wilgotną i nabrzmiałą kobiecość. - Nie, nie mogę - powiedział, ale ona usiadła na nim okrakiem, opierając dłonie o jego tors.

- Tak, Brent - wyszeptała. - On nigdy się nie dowie. I tak by go to nie obchodziło.

Wsunęła język w jego usta i poczuła, że oddaje jej pocałunek, usłyszała jego pełne żądzę jęki. Wsunął dłonie w jej włosy i poczuł, że go pochłonęła, że nim zawładnęła. Nic innego się nie liczyło, nic nie istniało.

Laurel delikatnie się uniosła i wprowadziła go w siebie. Drżał cały i, kiedy wchodził w nią głębiej, wiedziała, że tym razem nie będzie jej dane zaznać rozkoszy. Ale nie miało to znaczenia. Jest taki młody, pełen energii i tak nieprawdopodobnie męski. Mają dużo czasu. Całe popołudnie, cały jutrzejszy dzień. Jeszcze da jej tyle rozkoszy, ile tylko będzie chciała. Poczuła, że sztywnieje i zobaczyła, jak napinają się mięśnie jego szyi, gdy osiągnął orgazm. Jego błyszczące niebieskie oczy, głębokie i tajemnicze jak wzburzone morze, zwęziły się jakby z bólu. - Tak, Brent - wyszeptała i zaczęła z pasją go ujeżdżać, aż wystrzelił w niej nasieniem.

Pocałowała go namiętnie, przytulając się do niego mocno. Ku jej wielkiemu zadowoleniu nadal był twardy. Był daleki od nasycenia, a tym bardziej od wyczerpania. W ciągu następnej godziny nauczyła go dawać jej rozkosz. Ciepło jego ust, jego język sprawiały, że była bliska obłędu.

- Tak dobrze - wymruczała, mocniej przyciskając do siebie jego głowę. - Delikatnie, kochany, delikatnie.

Brent czuł całkowitą władzę i triumfował, gdy jej ciałem wstrząsnął orgazm. Odwrócił ją tyłem i wcisnął się pomiędzy jej uda. Wszedł w nią z impetem, zapominając o bożym świecie i poddając się narastającej rozkoszy.

- O Boże!

Upłynęła chwila, zanim dotarł do niego głos ojca. Cała przyjemność znikła, jakby nigdy nie istniała. Wskoczył z niej, przeturlał się po zmiętej pościeli i stanął roztrzęsiony obok łóżka. Wpatrywał się w ojca.

- Jezu, mój rodzony syn! Ty plugawy draniu! - Twarz ojca była czerwona z wściekłości. Brent zdał sobie sprawę, że ojciec opuścił wzrok i wpatruje się w jego wilgotną męskość.

- Dziwka, kurwa! - Avery Hammond wrzasnął na swoją żonę. - Boże, będziesz się smażyć w piekle! - Wypadł z sypialni żony i Brent słyszał, jak pędzi długim korytarzem.

Laurel zerwała się z łóżka, owijając się prześcieradłem. - Miał wrócić dopiero jutro - powiedziała oszołomiona.

- Ale tu jest - odparł Brent. Wciągając na siebie w pośpiechu rozrzucone ubrania, miał wrażenie,

że jego mózg przestał pracować.

Wkładał buty, gdy w drzwiach ponownie pojawił się ojciec, trzymając w dłoniach szpicrutę.

- Obedrę cię ze skóry, ty dziwko! - wrzasnął do Laurel.

Brent szybko stanął naprzeciwko ojca. - Ojczy, przestań! Proszę, to nie była jej wina. - Brent wyprostował się dumnie. - Uwiodłem ją, ojczy. Ja... ją zmusiłem. To nie była jej wina. Nie chciała mnie.

Avery Hammond zatrzymał się w pół kroku, trzęsąc się z furii, gdy dotarły do niego słowa syna. Jego syn, jego piękny syn, krew z jego krwi, jego duma. O Boże! Usłyszał ciche, jakby z oddali, łkanie żony. Brent, jego syn. Niewątpliwie nieokiełznany, ale młody. Nieokiełznany jak on sam, gdy był w jego wieku. Przecież ona jest moją żoną, krzyczał w myślach. - Ty łotrze bez honoru! - wrzasnął. W uszach czuł, jak krew mu pulsuje. Uniósł szpicrutę i ciał nią twarz syna.

Brent poczuł piekący ból, ale nie poruszył się. Krew spływała mu po policzku i brodzie wprost na dywan. Nieoczekiwanie przyłapał się na myśli, czy plama krwi spierze się z cennego tureckiego dywanu matki.

- Nigdy więcej nie chcę cię widzieć - powiedział Avery Hammond, opuszczając szpicrutę. Ręka mu się trzęsła. Boże, oszpecił własnego syna. Brent ani na moment nie przestał patrzeć mu w oczy. Avery poczuł, że coś w nim umiera. Potem przypomniał sobie, jak silne ciało jego syna wdzierało się między uda jego żony. - Nie jesteś wart tego, by być moim spadkobiercą. Wyrzekam się ciebie. Żyj z piętnem tej hańby przez resztę swojego żalosego życia. Masz się wynieść przed zmrokiem albo cię zabiję.

Brent nie mógł się poruszyć.

- Idź do diabła!

Brent przeszedł wolno obok ojca i opuścił sypialnię. Słyszał za sobą cichy szloch Laurel i ciężki oddech ojca.

Nie bolał go rozcięty policzek. Nie czuł nic poza pustką.

ROZDZIAŁ 1

*San Diego, Kalifornia,
marzec 1853*

Lunch zaczął się nie najgorzej. Alice DeWitt naląła sobie potrawki i podała naczynie Byrony, która z kolei obsłużyła swojego brata i ojca. Puszystej i pogodnej Marii nie było już od trzech miesięcy. Nie mogli już sobie pozwolić na płacenie jej i tak śmiesznie niskiej pensji.

Panowało milczenie, za które Byrony była wdzięczna. Każda rozmowa przy stole kończyła się nieprzyjemnie. Zerknęła na ojca, Madisona DeWitta, i pomyślała, że dostrzega pewne oznaki. Kruszył w palcach miękki kawałek chleba, a jego mięsiste policzki zaczęły drżeć.

Atak nastąpił szybko.

- Leniwa suko! - wrzasnął na żonę. - Mężczyzna potrzebuje porządnego jedzenia, a ty mnie raczysz tym świństwem!

Gruba gliniana miska, wypełniona smaczną potrawką z wołowiny, przeleciała przez jadalnię i rozbiła się o białą ścianę. Kawałki wołowiny i warzyw wylądowały na mahoniowym kredensie. Mebel był dumą jej matki.

- Czy masz mnie za świnię, że dajesz mi takie pomyje?

To nie było pytanie, ale Alice DeWitt odpowiedziała mężowi cichym, zranionym głosem: - Jest tam pełno kawałków dobrej wołowiny, Madison. Pomyślałam, że będzie ci smakowało.

- Cisza! Od kiedy to udajesz, że myślisz, ty beznadziejna kretynko?

Madison DeWitt odepchnął krzesło i zaczął wyciągać ze szlufek skórzany pas.

Na jego grubo ciosanej twarzy malowała się furia, a tętnica szyjna pulsowała ponad luźno zawiązaną chustką. Byrony nie mogła się powstrzymać. Wstała z krzesła i przeszła na drugą stronę stołu, by stanąć przy matce.

- Daj jej spokój, ojciec - powiedziała drżącym głosem, chociaż bardzo starała się zachować spokój. - Twój gniew nie ma nic wspólnego z potrawką i dobrze o tym wiesz. Jesteś wściekły, ponieważ Don Pedroro-na sprzedał swoje bydło w lepszej cenie!

- Siadaj i zamknij gębę - powiedział Charles, z nikłym zainteresowaniem patrząc na pas ojca. Ojciec nie uderzył go, od kiedy skończył trzynaście lat. Rozparł się na krześle i skrzyżował ramiona na piersiach. - Don Pedroro-na jest cholernym kłamcą i złodziejem. Wszyscy Kalifornijczycy to szumowiny. Któregoś dnia...

Byrony zaatakowała brata. - To nieprawda i dobrze o tym wiesz. Jesteś po prostu zazdrosny. Ty i ojciec. Gdyby któryś z was miał choć za grosz...

Nie dokończyła. Madison DeWitt zdzielił córkę pasem po plecach. Z bólu zgięła się w pół. Alice DeWitt załkała cicho i zamachała bezradnie rękoma. Nawet się nie poruszyła, by temu przeszkodzić. To tylko pogorszyłoby sytuację. Czuła ból córki, swojej ukochanej córki, którą przez całe życie usiłowała chronić.

- Jesteś tak samo głupia, jak twoja matka - warknął Madison i tym razem pas wylądował na jej

ramionach. - Obie jesteście bezwartościowymi dziwkami! Niech mnie Bóg broni od głupoty kobiet!

- Nie Bóg! - wrzasnęła na niego Byrony. - Ale diabeł!

Poczuła, że tani materiał jej sukni rozrywa się pod kolejnym uderzeniem pasa. Upadła na kolana, usiłując zasłonić ramionami głowę i twarz.

- Ojciec - powiedział Charles, spokojnie popijając wino - nie oszpeć jej. Czyż nie mówiłeś mi, że możesz za nią dostać niezłą cenę? Wiesz przecież, że mężowi nie będą się podobały pręgi ani blizny.

Madison DeWitt uderzył jeszcze raz, zanim dotarły do niego słowa syna. Odsunął się, dysząc ciężko.

- Cholerny mąż nie zobaczy jej pleców do czasu, aż będzie za późno - powiedział, ale już jej nie uderzył.

- Wstawaj, mała wywłoko - odezwał się do córki. Jego wzrok padł na skuloną postać żony. - Daj mi coś do jedzenia, kobieto, i żadnych więcej odpadków. - Wsunął pas w szlufki spodni i ponownie usiadł, już bez złości, żeby wypić z synem szklaneczkę whisky.

Byrony powoli się podniosła i usiadła na piętach. Czowała się skrzywdzona i obolała, zarówno na ciele, jak i na duszy. Jej oczy wypełniły się łzami nienawiści. Dlaczego po prostu się nie zamknęłam, pomyślała z wściekłością, ale wiedziała, że nie mogła tego zrobić. Musiała chronić matkę. W końcu matka chroniła ją przez cały czas, aż do chwili, kiedy przed sześcioma miesiącami po śmierci ciotki Idy wróciła z Bostonu do San Diego. Ciotka Ida, starsza siostra matki, zawsze odpowiadała na pytania dziewczyny w ten sam sposób: „Twój ojciec jest trudnym człowiekiem, kochanie. Lepiej będzie, jak tu zostaniesz. Wiesz, że tego właśnie chce twoja mama”.

Trudny! Dobry Boże, to maniak! Wybuchy gniewu zdarzały mu się teraz częściej, ponieważ brakowało pieniędzy. Pobił ją trzy razy od jej powrotu. Byrony zagryzła dolną wargę, żeby nie rozplakać się z bólu i bezsilnego gniewu. Znowu ściągnęłaby na siebie uwagę ojca. Najciszej jak mogła wstała i wymknęła się z jadalni. Słyszała, jak ojciec śmieje się z czegoś, co powiedział Charlie.

Prawie godzinę później Alice DeWitt weszła do małej sypialni córki. Bez słowa zmoczyła miękką szmatkę w ciepłej wodzie i zaczęła przemywać pręgi.

- Nienawidzę go - mruknęła Byrony przez zaciśnięte zęby. - A Charlie stał się prawie takim samym zwierzęciem jak twój mąż.

- Twój ojciec przeżył wiele rozczarowań - powiedziała Alice. To była niekończąca się litania, jakby niepowodzenia życiowe mogły wytłumaczyć jego barbarzyńskie napady.

- Przeżył te rozczarowania z własnej winy! Dlaczego od niego nie odejdziesz? Mamo, mogłybyśmy odejść razem, wyjechać z San Diego. Mogłybyśmy wrócić do Bostonu. Ciotka Ida miała tylu przyjaciół...

- Nie powinnaś była się wtrącać - odezwała się Alice. - Tyle razy ci mówiłam, żebyś tego nie robiła.

Musi wyjść za mąż, pomyślała Alice. Jak najszybciej, wtedy będzie bezpieczna.

*

Gorący i suchy wiatr wiał ponad wzniesieniem, wyginając i pochylając całe połacie krzewów. Kilka myszołowów przyleciało z wyżyn na równinę w poszukiwaniu zdobyczy i szybowało wolno i równomiernie.

Byrony usiadła w cieniu samotnej sosny, wyciągając długie nogi przed siebie i zsuwając z czoła pilśniowy kapelusz. Jej klacz Thorny stała uwiązana trochę dalej, gdzie mogła skubać źdźbła niskiej

dzikiej trawy.

Było to opuszczone, zaciszne miejsce, gdzie nie przychodził nikt poza Byrony. Jeśli dzień był pogodny, tak jak dzisiaj, mogła w oddali dostrzec ocean i niektóre budynki San Diego. Podniosła się i poczuła ból wzdłuż pleców. Znowu poczęła się zastanawiać, czy wszyscy mężczyźni są tacy jak jej ojciec i Charlie. Okrutni, źli, niezdolni do zaakceptowania własnych błędów i porażek. W przeciwieństwie do matki nie umiała usprawiedliwić ojca. Przez własne zaniedbanie stracił kilka sztuk bydła, które napiło się wody z zatrutego źródła. Usiłował sprzedać te, które przeżyły, ale dostał za nie niewysoką cenę. A Charlie hulał w salonach San Diego i grał w karty z takim samym niepowodzeniem jak ojciec.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy wiele razy myślała o ucieczce. Miała dziewiętnaście lat, była silna i zdrowa. Wiedziała, że może sama zarobić na swoje utrzymanie. Poczula dreszcze na wspomnienie słów brata, gdy mówił, że można za nią uzyskać dobrą cenę. Mąż. Zadrzała, wyobraziwszy sobie siebie na miejscu matki, załamanej, podupadającej nazdrowiu, przedwcześnie postarzałej. Ta myśl napawała ją strachem. Nie miała zamiaru znosić przemocy męża, tak jak jej matka. Prędzej by go zabiła.

Zaczynam myśleć o przemocy, jak o sposobie życia, pomyślała. Tak jakby przemoc była czymś normalnym. Nie jestem od nich lepsza. Ciotka Ida wiedziała, ale nigdy mi nie powiedziała. Byrony pamiętała swoją początkową samotność, swoje dziecinne pytania o brata. - Ale ciociu Ido, jeśli ojciec jest taki trudny, to dlaczego nie ma z nami Charlesa? - A Ida odpowiadała powoli i stanowczo: - Twój brat, kochanie, jest silny i może zadbać o siebie sam. On jest bezpieczny.

Pomyślała o niezliczonych listach, które pisała do matki w czasie tych długich lat, i o listach matki, pełnych miłości, troski i... kłamstw. Ale powtarzała sobie, że matka usiłowała ją chronić. Jak wyglądałoby jej dzieciństwo, gdyby mieszkała z Madisonem De-Wittem?

Thorny zarżała nagle i Byrony oderwała się od ponurych myśli. Wstała i przysłoniła oczy dłonią, by lepiej widzieć zbliżającego się jeźdźca. Był nim Gabriel de Nerve, syn don Joaquina de Nerve, bogatego ziemianina i zniechęconego Kalifornijczyka. Uśmiechnęła się do niego, gdy ściągnął cugle pięknego, gniadego rumaka i z gracją zeskoczył na ziemię. Gabriel miał dwadzieścia jeden lat i był niewiele wyższy od Byrony. Oczy i włosy miał tak czarne, jak bezksiężycowa noc. Równe zęby połyskiwały bielą w opalonej twarzy.

Tak jak inni Kalifornijczycy, Gabriel ubierał się niesłychanie elegancko. Jego czarne spodnie przewiązane były w pasie czerwoną jedwabną szarfą, a czarna kamizelka zapięta na złote guziki. Czarne buty uszyto z najlepszej skóry, a białą koszulę ozdobił haft złotą nitką.

- *Como esta?* - zapytał od niechcienia, uśmiechając się do niej. Dostrzegł cień bólu w jej pięknych zielonych oczach, ale go nie zrozumiał. Cień zniknął, zanim zdążył o to zapytać.

- Dobrze, Gabrielu - odpowiedziała. - Nie widziałam cię od tygodnia. Co porabiałeś?

Gabriel zgiął obolałe ramię. - Ujeżdżałem nowe konie - powiedział. - Twarde bestie. A ty, Byrony, co porabiałaś?

Ojciec Gabriela nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego syn mówi poprawną angielszczyzną, co niewątpliwie by go rozzłościło. Nie wiedział również, że jego syn spotykał się z *gringą*, córką człowieka, którego uważał za głupca i pyszałka. Jednak Gabriel nie mógł trzymać się od niej z daleka. Była świeża, słodka i tak urocza, że na samą myśl o niej odczuwał ból. Był tak w nią zapatrzonej i pochłonięty myślą, jakie jest w dotyku jej ciało, że ledwie usłyszał odpowiedź.

Byrony rzuciła coś bezmyślnie i wzruszyła ramionami. Kilka miesięcy temu Gabriel wysledził jej

kryjówkę, a teraz wydawało się, że zawsze wiedział, kiedy tu przyjedzie. Nie przeszkadzało jej to, ponieważ go lubiła. Wydawał się miły, uwielbiał żartować i śmiać się. Był wytchnieniem od ciężkiej atmosfery, panującej w domu.

- Jesteś dziś bardzo cicha, *niña* - powiedział, zawiązując uzdę wokół łęku siodła.

Zrobił krok w jej stronę i przeraził się, gdy odskoczyła do tyłu. - O co chodzi, Byrony? Zachowujesz się, jakbym był bykiem, który chce cię zaatakować.

Porównanie było tak celne, że niemal się roześmiała. - Wybacz mi, Gabrielu. Chyba jestem dziś trochę zdenerwowana.

Skrzywił się, zastanawiając się, co jej chodzi po głowie. Gdy się odwróciła, żeby popatrzeć na opustoszały krajobraz, spojrzał na jej bryczesy. Co powiedziałaaby matka na widok tak odzianej dziewczyny? Pod podmuchami wiatru jej luźna biała koszula natychmiast przylgnęła do piersi. Z trudem przełknął ślinę. Po ostatnim spotkaniu z Byrony czuł tak silne pożądanie, że musiał odwiedzić burdel w San Diego. Ale to nie było to samo.

Domyśli się, że coś jest nie w porządku, jeśli nie powiem czegoś normalnego, pomyślała Byrony. - Opowiedz mi o nowych koniach, Gabrielu ~ powiedziała.

I opowiedział.

Popołudnie upłynęło na miłej rozmowie. Gabriel mówił o swojej rodzinie, a Byrony uświadomiła sobie, że chce usłyszeć, jakie życie może być przyjemne. Czy naprawdę minęło dopiero sześć miesięcy od czasu, gdy wyjechała z domu ciotki Idy, kochanej, zrędlivej ciotki, która dała jej dom i miłość? I trzymała ją z dala od mężczyzn w każdym wieku. Przez chwilę zastanawiała się, czy ciotka Ida, stara panna, wierzy, że wszyscy mężczyźni są tacy, jak mąż jej siostry. Nigdy wprawdzie nie powiedziała niczego złego na temat Madisona DeWitta ani innego mężczyzny, nie powiedziała jednak też niczego dobrego. Byrony znowu skupiła uwagę na Gabrielu, który opowiadał o swojej matce. Dona Carlota, matka Gabriela, była roześmianą, radosną kobietą, pulchną i kochającą, która uwielbiała robić ojcu Gabriela psikusy. Jego bracia byli zabawni i ciężko pracowali na ranchu Los Piños, a jego najmłodsza siostra Blanca była niemądra, rozpieszczona i śliczna.

Gabriel właśnie opowiadał jej o zeszłorocznych świętach Bożego Narodzenia, gdy nagle Byrony zerwała się na równe nogi. - O mój Boże! Za chwilę będzie ciemno. Mój ojciec... Muszę iść, Gabrielu! - Trzęsa się.

- Odprowadzę cię do domu, Byrony - powiedział, pomagając jej wsiąść na konia.

- Nie!

Była mokra ze strachu i czuła, że krople potu spływają jej po plecach.

- Ależ oczywiście, że cię odprowadzę - odparł spokojnie i ustawił swojego ogiera przy jej klaczy.

Zostawię go, zanim dojedziemy do domu, pomyślała. W jej głowie kłębiły się kłamstwa, które miała powiedzieć, gdyby zobaczył ją ojciec. Zobaczyła światła w oddali i uderzyła piętami w boki Thorny. - Do widzenia, Gabrielu! - zawołała, odwracając się, by mu pomachać.

- Uważaj!

Nie dotarło do niej ostrzeżenie, bo właśnie gruby konar uderzył ją w ramię i zwałił z siodła. Upadła na plecy i aż zaparło jej dech w piersiach. Gabriel zeskoczył z konia i ukląkł obok niej.

- Nic mi nie jest - wysapała. - To głupstwo.

- Na pewno? - zapytał. Objął ją ramieniem, gdy usiłowała wstać.

- Tak, tak - powiedziała, odsuwając się od niego. - Muszę jechać do domu.

- *Querida*, pomogę ci.

Nawet nie usłyszała czułości. W tej samej chwili dostrzegła brata i ojca, stojących na progu domu i palących cygara. - Proszę, idź sobie - powiedziała do Gabriela, łapiąc za łęk.

- W porządku - powiedział. - Wkrótce się zobaczymy, Byrony.

Zawrócił konia i odjechał. Byrony wzięła głęboki oddech i skierowała Thorny do małej stajni. Zeskoczyła z konia, choć jej ciało się buntowało i zaczęła uspokajające czyszczenie klaczy. Prawie skończyła, gdy zobaczyła w drzwiach stajni ojca.

- Więc - powiedział bardzo powoli, bardzo wyraźnie - w końcu zdecydowałaś się opuścić swojego kochanka, dziewczyno?

Patrzyła na niego, nie rozumiejąc, co mówi.

- Mały, bogaty meksykaniec, Gabriel de Neve - powiedział i splunął na stertę starej słomy.

- On jest tylko przyjacielem - odparła, a serce zaczęło jej szybciej bić ze strachu. - Tylko przyjacielem. Spotkałam go trzy miesiące temu w San Diego.

- I ten przyjacielski, mały meksykaniec rozrywa ci koszulę, córko? Lubisz leżeć na plecach?

Spojrzała w dół, na rozdarcie na ramieniu. - Upadłam - powiedziała. - To wszystko. Wpadłam na konar drzewa i upadłam.

- Pewnie, że tak! Mała, brudna dziwko! Pożałujesz, że kiedykolwiek...

- Żałuję, że jesteś moim ojcem! - wrzasnęła. - Boże, nienawidzę cię! Masz plugawy umysł...

Ruszył w jej stronę, ale zza drzwi dotarł głos Char-iego: - Nie, ojcze. Poczekaj, zostaw ją w spokoju i posłuchaj mnie.

Byrony zamrugowała. Pomoc ze strony brata? Świat niewątpliwie stanął na głowie. Ku jej zaskoczeniu ojciec, obrzuciwszy ją nienawistnym spojrzeniem, odwrócił się do syna.

- Wyjdź na chwilę na zewnątrz, ojcze - powiedział Charlie. - Przysięgam, że to ważne. A ty - splunął w stronę Byrony - idź do domu i obmyj z siebie soki swego kochanka! Policzę się z tobą później!

*

Don Joaquin de Neve został poinformowany przez Luisa, jednego ze swoich pomocników, że señor DeWitt chce się z nim widzieć. Don Joaquin zmarszczył brwi i zamknął rejestr, leżący na biurku. Czegóż chce ten żaloszny człowiek? - zastanawiał się. Nie przyszło mu do głowy, by odesłać go z kwitkiem, chociaż go nie znosił. Wstał z krzesła, wysoki, szeroki w barach i dumny. Przyglądał się Madisonowi De-Wittowi, gdy ten wpadł do jego gabinetu jak rozwścieczony byk.

- Señor DeWitt - powiedział z wyszukaną grzecznością. - Co mogę dla pana zrobić?

Dumni, arystokratyczni Kalifornijczycy zawsze zbijali Madisona DeWitta z tropu. Nienawidził ich, bo przy nich czuł się kimś nic nieznaczącym, nieważnym, kogo się zaledwie toleruje. - Chciałbym z panem porozmawiać o pańskim synu - powiedział, zatrzymując się.

- O którym synu? - zapytał Don Joaquin.

Wulgarne, pełne gniewu słowa ugrzęzły Madisonowi De Witt w gardle. Rozejrzał się po urządzonym z przepychem gabinecie Don Joaquina. Opanowała go zawiść tak silna, że z trudem udało mu się opanować głos. - O pańskim synu Gabrielu - powiedział. - Chłopak zepsuł mi córkę. Zgwałcił ją. Żądam odszkodowania, *señor*.

Don Joaquin nie okazał żadnych uczuć. - Czyżby?

- odezwał się, a cienka czarna brew uniosła się na znak zainteresowania.

- Tak, wziął ją wczoraj. Widziałem go z moją córką, miała podarte ubranie. Okrył hańbą ją i całą

naszą rodzinę.

Ach, Gabrielu, pomyślał Don Joaquin zasmucony. Nie mogę do tego dopuścić, mój synu. Nie wyjawiał DeWittowi, że syn szczerze mu opowiedział, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru. Wiedział, że musi chronić rodzinę i jej nieskazitelne imię. Nie zamierzał udowadniać tej kreaturze niewinności syna. I tak by to niczego nie dało.

- Żądam, żeby się z nią ożenił, *señor!*

Don Joaquin zastanawiał się przez moment, czy wszystkie złe rzeczy, które słyszał o tym grubo ciosanym człowieku, są prawdą. No cóż, nic nie mógł zrobić dla tej biednej dziewczyny. Spokojnie powiedział:

- Małżeństwo nie wchodzi w rachubę, señor DeWitt. Mój syn wyjechał dziś rano odwiedzić krewnych w Hiszpanii. - Zamilkł na chwilę, uświadamiając sobie, że być może jest w stanie zaoszczędzić nieszczęsnej dziewczynie trochę furii ojca. - Jednakże jestem gotów dać panu odszkodowanie. - Wysunął szufladę biurka, otworzył kasetkę i odliczył pięćset dolarów. Podał pieniądze DeWittowi. Zesztywniał, gdy ten zaczął je przeliczać.

- To za mało - powiedział Madison DeWitt. -Chodzi o honor mojej córki. On ją zhańbił. Kto teraz będzie chciał się z nią ożenić?

- To wszystko, co pan dostanie. A teraz proszę wyjść. Pana obecność jest dla mnie... uciążliwa.

Madison DeWitt klął, groził, ale Don Joaquin nie uległ i w milczeniu patrzył na niego znudzonym wzrokiem. Kiedy w końcu nieproszony gość wyszedł, Don Joaquin odetchnął głęboko. Najwyższy czas, pomyślał, żeby Gabriel popłynął do Hiszpanii. Jego dziadkowie nie pożyją już długo i powinien spotkać się z kuzynami. O tak, najwyższy czas, żeby zobaczył kawałek świata.

ROZDZIAŁ 2

Brent Hammond wyszedł z mrocznego salonu Colorado House na zewnątrz, gdzie świeciło popołudniowe słońce. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Właśnie wygrał z żółtodziobem dwieście dolarów w pokera. Większość wygrał oszukując i to tylko w ciągu czterech godzin. Rozciągnął obolałe mięśnie i odwrócił się, by popatrzeć na wzgórze Presidio. Wyobrażał sobie, że tam mógłby pozbyć się z nozdrzy smrodu śmieci, które zalegały wokół w brudnych, wąskich uliczkach i zatrwały resztki świeżego, słonego powietrza.

Obserwował kilka puszczonej luzem krow, snujących się wśród odrapanych, ceglanych budynków, gdy usłyszał wystrzały. Obrócił się na pięcie, zrobił dwa kroki naprzód i poczuł, że wpada na niego jakaś dziewczyna. Zachwiał się i spróbował złapać równowagę, ale ona runęła na siedzenie tuż przy jego nogach.

Byrony krzyknęła i upuściła swoje dwa pakunki. Jeden z nich otworzył się i wokół zrobiło się białe od mąki.

- O matko - powiedziała Byrony. Bolał ją tyłek, ale zaczęła się śmiać i nie mogła przestać. Z wysiłkiem uklękła.

- Przepraszam - powiedział Brent, padając na kolana. - Pani pozwoli, że pomogę.

Spojrzała na mężczyznę, na którego właśnie wpadła, i zaparto jej dech w piersiach. Miał najpiękniejsze ciemnoniebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widziała. Zaciśnięte usta, żeby się nie roześmiać.

- Dzień dobry - powiedziała, nie przestając patrzeć na jego twarz. Jego gęste czarne włosy były świeżo umyte i błyszcząły w słońcu. Zauważyła bliznę na policzku, która odcinała się od opalonej skóry. Zastanowiła się, skąd ją miał.

- Witam - odparł Brent. Złapał ją za ramię i pomógł wstać.

Byrony była wysoka, ale ten mężczyzna przerastał ją niemal o głowę. Zobaczyła, jak rozchyła usta i wybucha głębokim, dźwięcznym śmiechem.

- Lepiej niech mnie pan puści, bo będzie pan miał szary garnitur, nie biały.

Brent nie zdawał sobie sprawy, że nadal trzyma ją za ramię. Szybko puścił dziewczynę i odsunął się. -Przepraszam, wpadłem na panią - powtórzył.

- Nie, to nie była pańska wina - odpada Byrony i zaczęła otrzepywać spódnicę. - Zagapiłam się.

- Usłyszałem strzały - powiedział.

- A tak - odparła, mrużąc oczy z ledwie skrywaną pogardą. - Tym razem jacyś młodzieńcy strzelali do celu. Nie ma się czym martwić.

- Nie martwiłem się, po prostu byłem zaintrygowany. Co miała pani na myśli, mówiąc „tym razem”?

Wzruszyła ramionami. - Niestety San Diego słynie z przemocy. Pojedynki, strzelaniny, walki na noże. Obawiam się, że mamy tu wszystko.

- Słyną z tego wszystkie miasta, które odwiedziłem.

Znowu spojrzała na jego twarz. - Nigdy wcześniej nie widziałam pana w San Diego.

- Jestem tu po raz pierwszy. Właściwie jutro wyjeżdżam.

- Czy jest pan hazardzistą? - zapytała, zerkając na Colorado House.

- Tak, chyba jestem.

Nie przestawała się w niego wpatrywać i bezwiednie oblizwała dolną wargę.

- Czy podoba się pani widok?

Zamrugła, nie rozumiejąc, a potem dostrzegła błysk rozbawienia w jego oczach. - Tak - odparła śmiało.

Brent nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Zarumienił się, bojąc się ukrytego oskarżenia, że nie jest dżentelmenem. - No cóż, odplacę komplementem. Wygląda pani pięknie nawet z mąką na nosie.

Roześmiała się, ale potrząsnęła głową w odpowiedzi na jego absurdalny komplement. Dobrze wiedziała, jak wygląda. Włosy miała mocno ściągnięte w węzeł na karku, a jej wyblakła szara bawełniana sukienka była równie ponętna, jak worek na ziemniaki. Nie mogła jednak oderwać oczu od jego twarzy. Uświadomiła sobie, że jest bardzo roslym mężczyzną, ale nie obawiała się go. To było dziwne. - Ma pan niesamowite oczy. Proszę mi wybaczyć, że się gapię.

Uniósł czarną brew. - Wydaje mi się, że nadal są tego samego koloru, szanowna pani, a może dostała się do nich mąka?

- Nie, to nie mąka. Nie ma w nich... zła.

Zmarszczył brwi. Naprawdę była bezpośrednia, w jej głosie nie słyszał rezerwy. Nagle zeszywniała, pochyliła się z gracją i podniosła swoje pakunki, szybko zamykając torbę z mąką. - Muszę iść. Przepraszam, że na pana wpadłam.

- Proszę zaczekać! - zawołał za nią, ale nie obejrzała się. Uniosła spódnicę i pospieszyła aleją San Diego do placu, gdzie przywiązana do drążka, stała stara bryczka. - Nie znam pani imienia - powiedział prawie do siebie.

Rozmawiała ze starszą kobietą. Prawdopodobnie z matką, pomyślał. Powoli ruszając, patrzył, jak stoi przy koniach i strzepuje z siebie resztki mąki. Miserne szkapy, pomyślał.

Zatrzymał się, widząc trzech młodych, hałaśliwych mężczyzn na środku ulicy. Najwyraźniej byli pijani. Ten w środku wkładał pistolet do kabury.

- Hej, Charlie - powiedział jeden z młodych mężczyzn - czy tam nie stoi twoja siostra?

Brent znieruchomiał, pamiętając pogardę w jej głosie, gdy powiedziała, że to tylko młodzi mężczyźni strzelają do celu. Czyżby była zła na własnego brata?

- Racja, Tommy - odparł Charlie. - Wygląda, że chciałbyś ją bliżej poznać. Nie masz wystarczająco dużo pieniędzy, przyjacielu. Zapomnij o tym.

Brent poczuł, że ogarnia go gniew. Przyjrzał się Charliemu. Nie zauważył specjalnego podobieństwa między rodzeństwem. Charlie miał śniadą cerę, matowe brązowe włosy i przekrwione od nadużywania alkoholu szarawe oczy. Spotkał już mężczyzn pokroju Charliego -bufonów, opryszków, a czasami nawet bandziorów.

- Nadal jednak jest ładna - odezwał się trzeci mężczyzna.

Charlie wzruszył wąskimi ramionami. - Tobie podoba się każda spódniczka.

- Ona niewątpliwie nieźle wywija swoją spódniczką - powiedział Tom.

Brent nie usłyszał odpowiedzi Charliego. U licha, dlaczego w ogóle był tym zainteresowany? Przeszedł przez zakurzoną ulicę i przystanął koło staruszka, siedzącego na krześle opartym o ścianę ratusza. Starzec zamachał do kobiety, a ona szybko skinęła głową. Brentowi zadrżały nozdrza, gdy się

zbliżał. Od starego człowieka biła woń spirytusu zmieszanego z potem i tanim tytoniem.

- Jak się masz, młody człowieku - odezwał się starzec.

Brent kiwnął głową. - Kim jest tamta dziewczyna?

- zapytał.

Starzec splunął. - Te tam, to kobiety DeWitta. Matka i córka. Ona nazywa się Byrony.

- Byrony - powtórzył Brent.

- Tak. Jej mamuska kochała się w Angliku, który nazywał się lord Byron. Był pisarzyną bez talentu, powiedział mi o tym Madison. Głupie imię. Madison DeWitt jest jej ojcem. Jest moim przyjacielem i dobrym człowiekiem, tym bardziej mi go szkoda.

Brent nie odrywał wzroku od Byrony. Zdał sobie sprawę, że mu się podoba - co nie zdarzało się często - i że chciałby z nią jeszcze porozmawiać. Od dawna nie podobała mu się żadna kobieta. Oczywiście była Maggie. No i Laurel, kiedy miał osiemnaście lat. Potrząsnął głową. Dobry Boże, nie myślał o Laurel od czasu, gdy dostał list od swojego brata, Drew. To było ponad sześć miesięcy temu w Denver.

Drew nie wspomniał o Laurel, ale Brent przypominał sobie o niej w najdziwniejszych momentach, takich jak ten. Nieświadomie uniósł rękę i przesunął palcem po bliźnie na lewym policzku. Nie ma głupszego stworzenia niż napalony młody chłopak, pomyślał.

- Dlaczego go szkoda? - zapytał w końcu.

- Przez tę dziewczynę. Jest przekleństwem Madisona. Powiedział mi, że przyłapał ją z kochankiem, jednym z tych cholernych Kalifornijczyków. Oczywiście chłopak nie chciał się z nią żenić, ale jego ojciec dał Madisonowi jakieś pieniądze, żeby go spławić. Cholerne, napuszone meksykańce. Madison ma tylko nadzieję, że dziewczyna nie urodzi mu bękarta.

Ale ona jest taka młodziutka, pomyślał Brent. Pewnie nie ma nawet dwudziestu lat. Kochanek? Nie wydała mu się kobietą tego pokroju... No cóż, może się mylił. Bóg mu świadkiem, że mylił się już wcześniej. Pewnie wykorzystywała swoje wdzięki, żeby wcisnąć się w bogatą rodzinę. Historia stara jak świat. Przekłete intrygantki. Dobrze mnie wyszkoliłaś, Lau-rel. Dobiegł go słodki śmiech Byrony DeWitt. Właśnie drapała za sparszywiałym uchem jakiegoś konia.

- Nie wydaje mi się to prawdopodobne - powiedział Brent.

- Powiedziałem ci, jestem przyjacielem jej ojca. On mi mówi o wszystkim.

- Dziewczyna jest dumna, ale puszczańska. - Znowu splunął.

- Nie wygląda na puszczańska.

- Mała, głupia dziwka z wydumanym imieniem. Taka właśnie jest. Ach, biedny Madison. Ale tak musiało być, skoro dziewczyna dorastała bez ojca w Bostonie. Teraz będzie musiał znaleźć jej męża w jakimś innym mieście. Nie weźmie jej żaden szanujący się mężczyzna.

Zwłaszcza, pomyślał Brent, jeśli będziesz wszystkim opowiadał o jej... błędach. Uniósł wzrok i zobaczył, jak Byrony DeWitt wsiada do powozu i bierze z rąk matki lejce. Przez krótką chwilę patrzyła prosto na niego i uśmiechnęła się. Zaraz po tym cmoknęła na konie i wkrótce nie widział nic poza tumanami kurzu, wzbijanymi przez koła powozu.

- Długo zostajesz w tych stronach, młody człowieku?

- Nie. San Diego jest dla mnie zbyt ciche. - I zbyt spokojne i zbyt brudne, dodał w myśli. Pomyślał o San Francisco i uśmiechnął się. Zbrodnia, korupcja, chciwość. Były tam wszystkie ludzkie słabości, ale, do diabła, w tym mieście wiesz, że żyjesz. W mieście pełnym młodych ludzi takich jak on, którzy chcieli sami budować swoją przyszłość. Nieokiełznane, hałaśliwe, pełne

energii, takie właśnie było San Francisco. Podróżował statkiem Edwarda Chambersa wzdłuż wybrzeża i przez chwilę zastanawiał się nad wykupieniem części udziałów przyjaciela. Ale to nie było dla niego. Wiedział, czego chce.

- Byłeś na północy w kopalniach złota?

- Tak.

- Poszcęściło ci się?

- Wystarczająco - odparł Brent. - Do zobaczenia. - Uchylił kapelusza i przeszedł przez ulicę do Colorado House.

*

- Kim był ten mężczyzna, Byrony?

Byrony spojrzała na matkę. - Wpadłam na niego i cała obsypałam się mąką. Jest bardzo miły, ale jutro wyjeżdża z San Diego.

Alice DeWitt splotła dłonie, jak to od lat miała w zwyczaju. - Cieszę się, że w mieście nie było twojego ojca.

- Dlaczego? Myślisz, że poszedłby za tym mężczyzną i domagałby się pieniędzy za zhańbienie mnie? - Głos Byrony trząsnął się z bezsilnej złości.

- Ależ, kochanie - powiedziała Alice proszącym tonem - nie możesz tak się zachowywać. Te pięćset dolarów bardzo się ojcu przydało.

- Don Joaquin powinien był posłać go do diabła. Biedny Gabriel. Boże, chciałabym być mężczyzną. - Parsknęła śmiechem. - Tylko że wtedy mogłabym być taka jak Charlie. Widziałaś go, prawda? Był z Tom-mym Larkinem i Jimmym Taylorem. Szumowiny. Oczywiście twój mąż byłby zadowolony, że Charlie jest pijany i strzela z pistoletu.

Alice wzdrygnęła się. Dwa miesiące po powrocie z Bostonu Byrony zaczęła o nim mówić wyłącznie jako o mężu Alice. - Dużo mąki się rozsypało?

- Nie więcej niż ćwierć kilo. Nie martw się, mamó. Jeśli zauważy, wezmę winę na siebie.

Jak mogę się od niego uwolnić? Jak uciec?

- Widziałam, jak ten mężczyzna rozmawiał z Je-bem Donnallym.

Byrony roześmiała się ponuro. - Ja też. Teraz pewnie uważa mnie za największą dziwkę w Kalifornii, o ile Jeb w ogóle o mnie mówił. Obłeśny staruch.

- Byrony, nie wolno ci tak mówić!

- Dlaczego nie? - warknęła. - Co to zmieni? Przynajmniej ustrzeże mnie to przed jego planami małżeńskimi. Założę się, iż nie przypuszczał, że Jeb rozpowie jego kłamstwa całemu światu.

Jednak to miało znaczenie, pomyślała Alice. Gdyby Byrony odezwała się tak przy ojcu, na pewno by ją uderzył. Musi odesłać stąd Byrony; zdała sobie z tego sprawę, gdy nie mogła powstrzymać córki przed występowaniem w jej obronie. Tyle że dwa miesiące temu Madison znalazł jej skromne oszczędności, które trzymała dla Byrony. Nie powiedział ani słowa, po prostu wziął pieniądze i pojechał z Charliem do San Diego. Nie wybuchnął gniewem również wtedy, gdy wrócił po kilku godzinach. Po prostu spojrzał na nią i powiedział całkiem spokojnie: - Wiem, dlaczego to zrobiłaś. Ale to ja zdecyduję o losie dziewczyny, nie ty. Dzięki Bogu, że nie jest podobna do ciebie. Zawsze uważałem, że twoja matka była przystojną kobietą. Dziewczyna musi być coś warta.

- To twoja córka, twoja krew! - krzyknęła wzburzona Alice. Przed laty i ona była piękna.

Uniósł rękę, lecz zaraz ją opuścił. - To prawda. Jest również diabolicą, ale nauczyła się, gdzie jest jej miejsce. Pozwoliłem ci zrobić po swojemu, kobieto, gdy wysłałaś ją do siostry. Ale teraz

wróciła, a ja zrobię z nią to, co uznam za stosowne.

Alice czuła, że ogarnia ją znajoma bezsilność. -Byrony nie jest diabolicą. Jest słodką, dobrą dziewczyną. Dlaczego nie możesz... lepiej jej traktować?

- Wymigiwała się od swoich obowiązków przez prawie dziewiętnaście lat. Najwyższy czas, żeby mi się odwdziękowała.

Jest taki, jak jego ojciec, pomyślała. I w głębi duszy wiedziała o tym, nawet zanim za niego wyszła. Ale tak bardzo go kochała i wierzyła, że może go zmienić. - Wiesz co, Byrony - powiedziała do naburmuszonej córki, wyrażając głośno swoje myśli - przez jakiś czas był inny. Naprawdę próbował, ale nic mu się nigdy nie udawało. Przez to stał się... zgorzkniały. Dlatego przeprowadziliśmy się do Kalifornii, żeby zacząć wszystko od nowa. Gdybyś tylko mu nie pyskowała...

- I pozwoliła mu cię bić? Naprawdę wierzysz, że mogłabym stać z boku, gdy ma jeden z tych napadów gniewu, i patrzeć jak cię bije? Och, mamó, wyjedźmy razem. Cokolwiek widziałas w nim kiedyś dobrego, to znikło. Charlie staje się taki jak on. Mogę zadbać o nas obie, mamó. Wiem, że mogę. Mam trochę wykształcenia, a ciotka Ida nauczyła mnie szyć i gotować. Mogę znaleźć pracę i zarobić na nasze utrzymanie.

- Nie mogę, Byrony. On mnie potrzebuje. Byrony usłyszała w głosie matki nie tylko patos, ale także ukrytą siłę. Była bardziej zniewolona niż w więziennej celi. - Masz rację co do pięciuset dolarów. Pewnie przez miesiąc będzie czuł się ważny. A potem wszystko wróci do normy. Za swoje niepowodzenia będzie obwinia wszystkich poza sobą.

- On mnie potrzebuje - powtórzyła Alice DeWitt.

Madison nie dowiedział się o stracie mąki, a pięćset dolarów rozeszło się w ciągu dwóch tygodni. Stał się posępny i milczący, a większość czasu spędzał w San Diego, uzalając się Jebowi Donnally'emu na swojego pecha. Byrony czekała na wybuch, ale nie nadszedł. Zamiast tego któregoś wieczora Madison DeWitt wrócił do domu, wymachując jakimś listem.

- Nareszcie! - wrzasnął. - Teraz, moja droga córko, zapłacisz mi za te wszystkie lata spędzone w Bostonie.

Byrony znieruchomiała.

- Co masz na myśli, Madison? - zapytała ostrożnie Alice.

- Mam na myśli - powiedział z satysfakcją - że znalazłem męża dla twojej córki. Bogatego męża. Jednego z twoich dalekich kuzynów, Alice. Nazywa się Ira Butler.

Byrony nie drgnęła. Przypominała sobie kilka rozmów, które odbyła z ciotką Idą na temat jej rodziny. Ira Butler był kuzynem w trzecim pokoleniu i pochodził ze Wschodu. Był stary, prawdopodobnie zbliżał się do czterdziestki.

- Problem w tym - powiedział Madison, krzywiąc się - czy dziewczyna jest w ciąży? Czy nosi w sobie bękartą tego cholernego meksykańca?

- Oczywiście, że nie! - krzyknęła Alice. - Nigdy...

- Zamknij się, kobieto. Nasz pan Butler przyjeżdża w przyszłym tygodniu z San Francisco. Drogo zapłacisz za twoją córkę, bardzo drogo. Pisz o ostatecznej ugodzie.

- Dlaczego chce się ze mną ożenić? - odezwała się wreszcie Byrony.

- Pisz o więzach rodzinnych - zbył ją Madison. -Przesyła nawet sto dolarów na twoją wyprawę, jak pisze. No cóż, dziewczyno, dostaniesz pięćdziesiąt. Zrób coś z sobą, wyglądasz jak zużyta...

- Dziwka?

Uniósł rękę, ale szybko się rozmyślił. - Trzymaj język za zębami, dziewczyno. Nie będę znosił twojej bezczelności. Niedługo zaczniesz sprawiać problemy innemu mężczyźnie.

Nie sprawiałam ci problemu przez osiemnaście lat! - pomyślała.

Alice zauważyła, że Byrony zeszywniała. - Chodź, kochanie, pójdziemy do kuchni i przygotujemy obiad - odezwała się szybko. - Porozmawiamy.

- Wychodzę, Alice - zawołał Madison, zadowolony z siebie. - Jadę do miasta. W końcu wszystko układa się po mojej myśli.

- Żeby się uchlać - powiedziała Byrony pod nosem.

- Madison - odezwała się Alice - czy mógłbyś dać mi te pięćdziesiąt dolarów?

- Jęcząca suka - mruknął, ale podał jej pieniądze. Alice odetchnęła z ulgą. - To odpowiedź na wszystkie moje modlitwy - powiedziała do córki, gdy ucichły ciężkie kroki jej męża.

- Twoje modlitwy, nie moje - odrzekła Byrony.

- Nie, posłuchaj mnie, dziecko. Dobrze pamiętam Iry. Jest trochę starszy od ciebie, ale jest dobrym i przystojnym mężczyzną, bardzo przystojnym. Kiedyś uważałam, że wygląda jak anioły z mojej Biblii, wszystkie jasne i szczupłe. On nigdy... cię nie skrzywdzi. Zastanawiam się, co nim kieruje, ale to nie ma znaczenia. Nie miałam od niego żadnej wiadomości od jakichś trzech lat. Napisał do mnie z San Francisco. Już wtedy dobrze mu się powodziło. Mądry i dobry mężczyzna z tego Iry. Będziesz nawet miała szwa-gierkę, Byrony. Nazywa się Irene i jest niewiele od ciebie starsza. To przyrodnia siostra Iry. Opiekuje się nią od dziesięciu lat, kiedy zmarli jego ojciec i macocha.

Byrony słuchała potoku słów matki. Dobry człowiek... nie skrzywdzi cię. Czy tylko tego należy oczekiwać od męża? Być może, pomyślała Byrony, garbiąc się, mogę oczekiwać tylko tego. Ale dlaczego właśnie ona? Nigdy nawet jej nie widział. To nie miało żadnego sensu. Jednak od czasu powrotu na łono rodziny nic nie miało sensu. Przed snem rozmyślała o hazard-dziście, którego spotkała w San Diego. Westchnęła cicho i zasnęła kamiennym snem.

ROZDZIAŁ 3

Ciotka Ida powiedziałaaby, że Ira Baines Butler jest prawdziwym dżentelmenem, niemal wymarłym gatunkiem wśród mężczyzn. Byrony zgodziła się z tym w myślach, patrząc jak Ira Butler zręcznie radzi sobie z każdym członkiem rodziny DeWitt. Zachichotała, przypominając sobie, że standardy ciotki Idy są równie sztywne, jak jej gorset. Za nic nie mogła sobie przypomnieć więcej niż tuzina mężczyzn, którzy zasługiwali na to miano. Ira spojrzał na Byrony jasnoniebieskimi oczami i uśmiechnął się. Poczula, że wbrew sobie odpowiada uśmiechem. Niewątpliwie jest czarujący, pomyślała, a także taktowny, elegancko ubrany i mówi odpowiednie rzeczy w odpowiednim momencie. Byrony, która gotowa była nienawidzić go od pierwszego wejrzenia, musiała zmienić zdanie przed końcem pierwszego dnia jego wizyty. Traktował jej ojca z pełnym szacunkiem, podczas gdy ojciec patrzył na niego z chciwością, zawiścią i ulgą. Widziała, że matka staje się niemal ładna pod wpływem delikatnych komplementów kuzyna Iry. Najbardziej zaskoczyło ją zachowanie Charliego. Najpierw był ponury, ale wkrótce, pod wpływem Iry, zachowywał się jak przyjacielski szczeniak, który chce zdobyć akceptację i zwrócić na siebie uwagę starszego mężczyzny. No i Ira był bogaty.

Jeszcze długo w nocy słyszała ciche odgłosy męskich rozmów, dobiegające z dołu. Ojciec niewątpliwie wyciska od niego każdego dolara, pomyślała. Była coraz bardziej zdezorientowana całą sytuacją.

Następnego ranka przy śniadaniu Ira poprosił Byrony, by oprowadziła go po małej farmie. Ku jej zaskoczeniu ojciec już przygotował powóz, czego dawno nie robił.

- To wielka przyjemność w końcu cię poznać, kuzynko - powiedział Ira, gdy siedzieli w powozie. - Czy wolno mi powiedzieć, skoro jesteśmy sami, że bardzo mnie cieszy twoja zgoda. Zapewniam cię, że zrobię wszystko, by uczynić cię szczęśliwą.

Mówił radośnie, z południowym akcentem, a jego głos był miękki jak jedwab. Byrony przypomniała sobie słowa matki, że kuzyn Ira Baines Butler jest przystojnym mężczyzną, i musiała przyznać jej rację. Rzeczywiście wygląda jak anioł, pomyślała Byrony, z tymi jedwabistymi blond włosami, bardzo jasną karnacją i bladymi, niebieskimi oczami. Nagle przed oczyma stanął jej obraz hazardzisty i pomyślała: A tamten wyglądał jak upadły anioł. Zamrugła, by odzyskać ostrość spojrzenia, a potem powiedziała: - Dziękuję, panie Butler.

- Mów mi Ira.

- Ira. - Uśmiechnęła się do niego. - Myślę, że nosisz nieodpowiednie imię. Myślę, że Gabriel byłoby bardziej odpowiednie.

Blond brew uniosła się do góry.

- Wyglądasz jak anioł.

Odchylił głowę do tyłu i szczerze się roześmiał, odsłaniając białe, równe zęby. Byrony zastanawiała się, dlaczego dotychczas się nie ożenił. Zdecydowanie wyglądał, jak spełnienie marzeń każdej kobiety.

- Będę o tym pamiętać, Byrony - powiedział po chwili - ale wolę raczej chodzić po ziemi, chyba że zechcesz dzielić ze mną niebieski firmament. - Znowu obdarzył ją ciepłym uśmiechem, a ona odwzajemniła uśmiech.

Szarpnęła lejcami, popędzając starą klacz. - Czy byłeś kiedykolwiek w San Diego?

- Niestety nie. To urocze małe miasteczko. Śmiem twierdzić, że San Francisco wyda ci się równie interesujące.

- Och, San Diego niespecjalnie mnie interesuje - odparła bez zastanowienia.

- Zapomniałem. Dopiero co wróciłaś z Bostonu, prawda? Piękne miasto. Nie dziwię się, że nie jesteś zachwycona San Diego. - Przytaknęła, a on ciągnął dalej: - Pewnie zastanawiasz się, dlaczego oświadczyłem się w tak nietypowy sposób. - Odwrócił się, by przyjrzeć się jej profilowi.

- Tak - odparła szczerze. - To prawda.

- Widziałem cię dwa lata temu w Bostonie.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma. - Nie rozumiem.

Wyglądał na zasmuconego. - Widzisz, dowiedziałem się, kim jesteś, tuż przed moim wyjazdem. Ale nie zapomniałem. I jeszcze odkryłem, że jesteśmy spokrewnieni! Wyobraź sobie moją radość i ulgę. - Zamilkł na chwilę, nie przestając się uśmiechać. - Trochę trwało, zanim cię odnalazłem.

- Co robiłeś w Bostonie? - spytała, nie wiedząc, co powiedzieć. Jego wyznanie oszołomiło ją. Czy chciał powiedzieć, że zakochał się od pierwszego wejrzenia, zupełnie jej nie znając? Byrony nie mogła sobie tego wyobrazić, ale czuła się przez to bardzo wyjątkowa. W końcu nie miał powodu, żeby kłamać.

- Interesy. Nudne rzeczy dla takiej uroczej młodej damy, zapewniam cię. Jest tak ciepło i parno. Muszę przyznać, że nie mogę doczekać się powrotu do San Francisco.

Zastanawiała się, jakie interesy, ale nie spytała. Łatwo zmienił temat i nie powinna wtykać nosa w nie swoje sprawy, chyba że chciała uchodzić za impertynentkę. - Czy pogoda tam jest taka sama jak tutaj?

- Jest znacznie chłodniej. Widzisz, Byrony, San Francisco jest jak - uniósł dłoń - mój kciuk. To półwysep, otoczony z lewej strony Pacyfikiem, zatoką powyżej i poniżej. U nas jest chłodniej przez cały rok. Myślę... mam nadzieję, że będzie ci się tam podobało.

- Wydaje się urocze. Pamiętam pot... - Zamilkła, rumieniąc się lekko na wspomnienie przestrogi ciotki Idy, o czym nie powinna rozmawiać dama.

Znowu się roześmiał, poklepując ją lekko po ramieniu. - Ja też. Pewnie w lecie wypijałaś litry lemoniady.

- Tak - powiedziała. - Gdzie mieszkasz w San Francisco?

- Na Rincon Hill, tak to się nazywa. W South Park. Irene i ja współpracowaliśmy z architektami, żeby dom był choć trochę podobny do naszego domu w Baltimore. Mam nadzieję, że będziesz się tam czuła jak w domu, Byrony.

- Irene mieszka z tobą? - spytała Byrony, choć знаła już odpowiedź. Wydawało jej się trochę dziwne, że siostra nadal będzie mieszkać z bratem po jego ślubie, ale w gruncie rzeczy nie miało to znaczenia. Nie było przecież między nimi uczucia.

- Tak, polubisz moją siostrę. W zasadzie moją przyrodną siostrę - dodał. - Rozmawiałem z nią o tobie i cieszy się, że cię pozna i zyska przyjaciółkę. - Zamilkł i Byrony poczuła się w obowiązku wypełnić milczenie uwagami na temat krajobrazu.

- Nie przeszkadza ci, że opuszczasz rodzinę tak szybko? - zapytał po chwili.

- Nie - odpowiedziała Byrony - nie przeszkadza. Moja matka i jej mąż zdają sobie sprawę, że jesteś bardzo zapracowanym człowiekiem. Czy chcesz wrócić do San Francisco zaraz po ślubie?

- Miała wyjść za mąż za zupełnie nieznanego człowieka. Czuła się, jakby dziewczyna w powozie nie była nią. Otrząsnęła się, gdy powiedział smutno: -Tak, statkiem. A w zasadzie jednym z moich statków. Nazywa się „Mknące Słońce” i ma całkiem wygodne kajuty. Podróż do San Francisco nie powinna nam zająć więcej niż pięć dni.

Bardzo chciała go zapytać, ile zapłacił jej ojcu, ale powstrzymała się. Był to jeden z tych męskich tematów. Miała tylko nadzieję, że kwota była wystarczająco duża, żeby jej matka nie musiała tak ciężko pracować.

Ira zerknął na jej profil, zadowolony, że jest taka ładna. Ożeniłby się z nią, nawet gdyby była brzydka jak noc. Ale jej urody zazdrościć mu będą wszyscy mężczyźni w San Francisco. A poza tym jest młoda i taka uległa. Wszystkie problemy będą rozwiązane. Wiedział wszystko o jej ojcu i w rzeczywistości zniechęcił go od pierwszego wejrzenia. Beznadziejny łajdak! Przynajmniej dziewczyna będzie bezpieczna. Pokazał się jako wrażliwy na jej uczucia i delikatny mężczyzna, wiedząc instynktownie, że tak właśnie należało z nią postępować.

Zachęcił ją do mówienia o życiu w Bostonie i nie pytał, gdy pominęła powrót do San Diego. Miał ochotę powiedzieć, że jej matka zawsze była naiwna, nawet w młodości, wierząc, że uda się jej zmienić tego bufona, Madisona DeWitta, ale szybko uświadomił sobie, że Byrony uważa się za obrończynię matki.

- Będiesz szczęśliwa, Byrony, przyrzekam ci -powiedział cicho, pomagając jej wsiąść z powozu.

- No i, mój chłopcze, jak się masz? - Madison DeWitt klepnął Irę po plecach, niepomny faktu, że „chłopiec” zbliża się do czterdziestki.

- Bardzo dobrze, proszę pana - Ira odpowiedział grzecznie. - Właśnie opowiadałem Byrony o moim domu w San Francisco. O jej przyszłym domu.

Na moment oczy Madisona zwęziły się. Był zły, że jego puszczałska córka będzie żyć w luksusie. Nie zasługiwała na to.

- Ach, tak - powiedział. - Moja mała dziewczynka będzie dobrą żoną.

Zastanawiał się, kogo zaprosić na ślub. Nie chciał, żeby Ira Butler dowiedział się o lubieżnych występkach Byrony z tym cholernym meksykańcem, Gabrielem de Neve, przynajmniej nie przed ślubem. Popełnił błąd, zwierając się ze swoich problemów staremu plotkarzowi, Jebowi Donnally'emu. Zaprowadził Irę do domu na szklaneczkę najlepszej whisky i zostawił Byrony samą.

Godzinę później Alice znalazła córkę w stajni, szcztokującą Thorny. - Czy chcesz wyjść za mąż za Irę Butlera, moje dziecko? - spytała bez ogródek.

Byrony odwróciła się powoli, nadal czesząc lśniący kark klaczy. - Wydaje się bardzo miły. Jest przystojny. - Na chwilę zamknęła oczy i powiedziała głosem przepelnionym gorczą: - No i oczywiście ma najważniejszą zaletę: jest bogaty.

Alice zignorowała ostatnie zdanie. - Nie wydaje ci się, że jest za stary dla ciebie? - spytała delikatnie.

Byrony wzruszyła ramionami. - Jest przystojny, mamó. Pewnie za dziesięć lat będzie wyglądał tak samo jak teraz. Myślę, że mogłabym go polubić. - Zamilkła na moment, a potem zapytała: - Czy dobrze za mnie zapłacił twojemu mężowi? Czy dzięki temu będzie ci łatwiej?

- Tak i zrobił to w taki sposób, że sądzę, iż zna... słabości mojego biednego Madisona. Co

miesiąc na rachunek u señora Bandiniego w San Diego będzie wpływać spora suma pieniędzy.

Byrony odetchnęła z ulgą. Nie jednorazowa kwota, którą można przegrać w ciągu tygodnia. Posłała matce lekki uśmiech. - Rozmawiałaś z nim o tym na osobności?

- Nie. On chyba po prostu... wie. Madison był trochę zły...

- Chcesz powiedzieć, że wrzeszczał i wyzywał się na tobie! - Zacisnęła pięści. - Nie skrzywdził cię?

- Nie bardzo - powiedziała Alice bez żalu. - Ale Ira nie chciał zmienić decyzji. Chcę, żebyś była szczęśliwa, Byrony, i... bezpieczna. Niemal przestałam wierzyć w cuda. - Objęła córkę, a Thorny cicho zarżała. - Ira to dobry człowiek, nigdy cię nie skrzywdzi.

Prawdziwy dżentelmen... jedyny wśród tak wielu bufonów i pyszałków. Czy hazardzista jest pyszałkiem?

Byrony zamrugła, zaskoczona kolejnym wspomnieniem o tym mężczyźnie. Nie, widziała to w jego oczach. Nie było w nich okrucieństwa. I ten niebieski kolor, którego nie mogła nawet opisać - ciemny, bardzo ciemny, ale nie granatowy. Oczy, w które można było wpatrywać się latami i nadal nie poznać ich głębi. *Przestań, Byrony, przestań pleść romantyczne bzdury.*

Ale to jego twarz widziała, leżąc w nocy w łóżku, gdy wokół rozlegało się jedynie cykanie świerszczy. Nawet mąż matki zapadł w pijacki sen. Dzięki Bogu nie słyszała chrapania. Co robił hazardzista? Czy w ogóle myślał o niej, czy zastanawiał się, co robi, śnił o jej pięknych oczach?

- Jesteś taka głupia, Byrony - powiedziała cicho i poprawiła poduszkę, zanurzając w niej twarz.

*

Brent Hammond siedział w milczeniu, z twarzą niezdradzającą żadnych emocji, jak to miał w zwyczaju podczas gry w pokera o wysoką stawkę. Wygrał już trzy tysiące dolarów. Jego pięćset dolarów leżało pośrodku stołu razem z półtora tysiącem dolarów pozostałych trzech graczy. Jednym z graczy był sam James Cora, właściciel salonu „El Dorado”. Było już dobrze po północy, a gra z każdą godziną stawała się coraz bardziej emocjonująca. Brent był cały czas skoncentrowany. Musiał wygrywać. Musiał, żeby kupić salon na rogu Clay i Montgomery.

- Ile, Hammond?

- Dwie - powiedział Brent, wybierając słabsze karty z ręki. - Myślę, że to wystarczy.

James Cora chrząknął, tasując karty. Hammond był dobry, bardzo dobry, choć Cora usilnie starał się rozproszyć jego uwagę. Spojrzał tylko przelotnie na pełne piersi Janine, a potem odwrócił się. Dwóch pozostałych graczy nie liczyło się. To górnicy, którzy tracą każdą uncję złota, którą mają w kieszeniach.

Brent delikatnie zawachlował kartami. Miał fula, króle na ósemki. Uśmiechnął się w myślach, nie dając po sobie nic poznać. Przy rozdaniu dostał trzy króle, a Cora dołożył mu dwie ósemki. No cóż, bardzo miło. Przyjrzał się twarzom pozostałych graczy, siedzących przy okrągłym stole. Bardzo młody mężczyzna uśmiechał się szeroko. Młody głupiec. Drugi, jego kumpel z Newady, wyglądał jakby stracił najlepszego przyjaciela. I Cora. Jego szeroka, przystojna twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Brent spotkał Jamesa Corę jakieś pięć lat temu na pokładzie statku, żeglującego po Missisipi. Nigdy przeciwko niemu nie grał.

- Licytuj, Foggerty - powiedział Cora do najmłodszego mężczyzny.

Foggerty oblizał usta z podniecenia. - Pięćset - powiedział i położył złoto na środku stołu.

Jego partner złożył karty.

Brent milczał przez chwilę, a potem podniósł stawkę o kolejne pięćset.

James Cora, zastanawiając się, lekko przesunął małym palcem i kciukiem po krawędzi kart. Był to wypróbowany chwyt, który nie miał już nic wspólnego z udawaniem. Jego ciemnobrązowe włosy niemal schodziły się na środku czoła. Podniósł stawkę o kolejne pięćset dolarów.

W ciągu pięciu minut na środku stołu leżało dziesięć tysięcy dolarów.

- Sprawdzam - powiedział w końcu Cora. Foggerty, z szerokim uśmiechem na ustach, rzucił karty na stół. - Trzy asy.

- Przykro mi - odezwał się cicho Brent - ful, króle na ósemki.

Cora zrobił dramatyczną przerwę i Brent poczuł, że krew zastyga mu w żyłach.

Zaklął w myślach, czekając aż topór opadnie. Cora spojrzał mu prosto w twarz, z krzywym uśmiechem na pełnych ustach. - Wydaje mi się, Hammond, że czeka nas rewanż. - Przy tych słowach złożył karty i rzucił je nieodkryte na stół.

Brent miał ochotę tańczyć na stole, chciał krzyczeć, śmiać się i wypić wiele litrów whisky.

Zamiast tego skinął głową każdemu z mężczyzn, patrząc dłużej na Corę. - Dziękuję, panowie - powiedział, powoli zgarniając swoją wygraną. - Mam nadzieję, że jeszcze razem zagramy.

Podniósł się i poprawił płaszcz. James Cora odezwał się: - Dobrze grasz, Hammond, nawet bardzo dobrze. Pozdrów ode mnie Maggie.

Brenta zamurowało. Skąd Cora wiedział o jego znajomości z Maggie? Boże, czy w San Francisco nie można było mieć żadnych tajemnic? - Oczywiście, pozdrowię - odparł od niechcenia. - Czy mógłbyś dzisiejszej nocy przechować moją wygraną w sejfie, Cora?

- Oczywiście. Rozsądnie z twojej strony. Straciłbyś wszystko w pięć minut, gdybyś wyszedł stąd z tak dużą sumą pieniędzy. Sydney Ducks mają wszędzie swoich ludzi, jak pewnie wiesz. Nic niewarte ścierwa.

Brent przytaknął i poszedł za Corą do jego biura. Umieścili pieniądze i złoto w skórzanym worku i włożyli je do sejfu. - „El Dorado” jest strzeżone przez cały czas. Nie musisz się denerwować - rzucił przez ramię Cora.

- Nie będę - odparł Brent. Ucisnęli sobie z Corą ręce. - Zagramy jeszcze. Postaram się być godnym przeciwnikiem, Cora. Pozdrów Belle.

- Pozdrowię - powiedział Cora uprzejmie. Nie był zmieszany. On i Belle byli dobrze znani. Nie pozwoliliby swojej ognistej żonce zbliżyć się do Hammonda. Był zbyt męski, jak na wątpliwą powściągliwość Belli. Zdjęłaby mu spodnie w pięć minut! Obserwował, jak Brent Hammond odchodzi, a potem wrócił zamyślony do baru. W środku trudno było cokolwiek dostrzec w kłębach dymu. Stracił dwa tysiące dolarów, ale nie martwił się. Łatwo to odzyska. Zastanawiał się nad swoimi skłonnościami dobrego samarytanina. To nie było w jego stylu, nawet jeśli Maggie błagała go, by pozwolił Hammondowi wygrać sumę, której potrzebował. Strit od dziesiątek w górę. Trudno było położyć karty i oddać Hammondowi pulę. Oczywiście bar Hammonda nie będzie dla niego konkurencją. W San Francisco jest już ponad sześćset barów - lekko licząc - jeden więcej nie robi różnicy. A poza tym Hammond nie otwierał nowego baru. On po prostu przejmował „Zdyszana Kobyłę” od tego głupca, Tory'ego Graysona. Dlaczego jednak, do diabła, tak bardzo zależało na tym Maggie? Była twarda jak skała. Chociaż Hammond wyglądał jak ogier, Cora przypuszczał, że Maggie nie chodzi o to, co kryło się w jego spodniach. No cóż, pomyślał, biorąc whisky od barmana, wkrótce się dowiem. Spojrzał w górę i zobaczył, jak wchodzi Tony Dawson, Dan Brewer i Delaney Saxton. Nigdy nie grywali o duże stawki, ale lubił ich. Byli dobrymi, uczciwymi ludźmi, tak jak ludzie sukcesu w San Francisco.

Brent Hammond odruchowo sięgnął po broń, wychodząc w chłodną, mglistą noc. O tej porze na zewnątrz nie było zbyt wielu ludzi, tylko kilku pijaków i opryszków, czających się w ciemnych zaułkach na nieświadome ofiary. Z radości szumiało mu w głowie. Gwizdał całą drogę do domu Maggie, jakieś trzy przecznice od placu Portsmouth.

Czekała na niego.

- Udało się - powiedziała miękko.

Uniósł drobną kobietę i okręcił ją wkoło, potem postawił na ziemi i mocno pocałował w usta. - Tak, Maggie, udało się. Teraz możemy zrealizować nasz plan.

- To trzeba uczcić, Brent. Whisky?

- Najlepszą, jaką masz, Maggie. - Patrzył, jak przemierza niemal wojskowym krokiem swój mały salon. Było w nim tyle bibelotów, że zastanawiał się, jak udawało się jej nie zbić żadnego z nich szeroką, sztywną spódnicą. Spotkał ją trzy tygodnie temu w jednym z najelegantszych burdeli w San Francisco. Nie obsługiwała go; była właścicielką. Zdziwiał, że zapomniał, po co tam przyszedł, kiedy zaczęli rozmawiać, choć wydawało mu się, że nikt nie był w stanie zaspokoić jego pragnienia. A wszystko przez tę dziewczynę z San Diego, Byrony. Głupie imię, a dziewczyna wydawała się równie nieostrożna i chciwa jak Laurel, on zaś po powrocie do San Francisco czuł się, jak lubieżny kozioł. Żadna kobieta po Laurel nie wywarła na nim takiego wrażenia. Uświadomiwszy to sobie, uśmiechnął się krzywo i pokiwał głową nad swoją głupotą. Żałował, że obserwował, jak Byrony z wdziękiem przebiega przez ulicę w San Diego, bo od tamtej pory rozbierał ją w myślach i widział jej długie, piękne nogi, oplecione wokół niego. Potrząsnął głową, odpędzając od siebie obraz tej cholernej dziewczyny i biorąc szklanek whisky.

- Dobra, Maggie - powiedział, wpatrzony w złocisty płyn. - Za nasz sukces.

- Za sukces - powtórzyła Maggie. Oboje odchyliłi głowy i wypili whisky.

- Nazwę bar „Dzika Gwiazda” - powiedział Brent cichym, zadowolonym głosem. - Oczywiście jeśli nie masz nic przeciwko.

- „Dzika Gwiazda” i „U Maggie” pasują do siebie. Przed nami dużo roboty, zanim będziemy mogli otworzyć, Brent. Ile masz teraz pieniędzy?

Ich plan był całkiem prosty. „Zdyszana Kobyła” Tory'ego Graysona mieściła się w dużym budynku, którego połowę wynajmowali kupcy na magazyny. Tę część miała wziąć Maggie, a Brent drugą. Byliby wspólnikami, wszystkie zyski miały być dzielone po połowie. Zanim wyszedł od Maggie, ustalili, że otwarcie będzie za miesiąc. Brent czuł się pijany, bardzo zadowolony i, po raz pierwszy od dziesięciu lat, gotowy do zapuszczenia korzeni. Nie chodziło mu wyłącznie o natychmiastowe zyski z baru; widział swoją przyszłość w tym hałaśliwym mieście.

Formalności sprzedaży zostały dopełnione następnego dnia w banku Delaneya Saxtona. Maggie uśmiechnęła się do Saxtona i zaproponowała mu swoją najlepszą dziewczynę, Celeste, po niższej cenie.

- Nie chciałbym, żeby Marie ganiała mnie z nożem - powiedział Saxton, myśląc o swojej francuskiej kochance.

Maggie wzruszyła ramionami, naśladując gest Marie Gallic. - Marie to rozsądna dziewczyna. Masz szczęście, że nie ganiałam za tobą z nożem, Del, gdy mi ją ukradłeś!

- Och, Maggie, ty jedna rozumiesz okropność męskich potrzeb.

Maggie roześmiała się i poklepała go lekko po ramieniu. - Wiedziałam, że zbiję fortunę w San Francisco. Twoje potrzeby, mój drogi, są tylko kroplą w oceanie męskich okropności.

Rozstali się w przyjaźni.

Następne trzy tygodnie upłynęły zaskakująco szybko, a „Dzika Gwiazda” i „U Maggie” zaczęły nabierać wyglądu. Jedynie czasami w nocy Brent przypominał sobie o ciepłych, wesołych oczach. Za nic nie mógł sobie przypomnieć, jakiego były koloru, ale pamiętał ich szczere, radosne spojrzenie. Z czasem obraz dziewczyny zacierał się w jego pamięci.

Był zaskoczony, gdy któregoś ranka Maggie, która właśnie skończyła tapetować salon, odwróciła się do niego i spytała: - Kto to jest Byrony?

Brent gapił się na nią, zakłopotany.

- Zamknij usta, bo wyglądasz jak głupia ryba. Nie znasz nikogo o tym imieniu?

- Znam - powiedział w końcu - w pewnym sensie.

- No cóż, kochanie, muszę ci powiedzieć, że całkowicie zbiłeś z tropu Celeste.

- Do diabła! O czym ty mówisz, Maggie? - Był zdenerwowany i wcale mu się to nie podobało.

Maggie teatralnie poprawiła czarną jedwabną spódnicę. - Wołałeś „Byrony”, gdy... no, w chwili rozkoszy.

- Cholera! - krótko i treściwie skomentował Brent. Przesunął palcami po włosach.

- Domyślam się - odezwała się sucho Maggie, obserwując go uważnie - że znasz jakąś Byrony.

- Widziałem ją krócej, niż zajmuje wypalenie cygara.

- A więc, mój drogi panie Hammond, ma pan problem. Twoje cygaro pewnie też. A co sądzisz o tapecie? Nie wydaje ci się zbyt ozdobna, prawda?

ROZDZIAŁ 4

Nie po raz pierwszy w tym dniu, dniu jej ślubu, Byrony czuła się zdenerwowana. Jednak teraz zdenerwowanie przemieniło się w paraliżujące przerażenie. Była noc, kolacja dobiegała końca i znajdowali się na pokładzie „Mknącego Słońca”. Wpatrywała się w oddalające się światła San Diego. Ciągle zadawała sobie pytanie, dlaczego wyszła za tego człowieka. Jak zwykle, powód był nazbyt oczywisty: nie miała wyboru, żadnego. Pozostanie w domu ojca, czego nie chciała, oznaczałoby ciągłą udrękę dla niej i dla matki.

- Cieszę się, że ocean jest spokojny, a niebo bezchmurne - powiedział Ira.

- Tak - odparła Byrony. - Gwiazdy wyglądają, jak błyszczące klejnoty. Chciałabym zostać chwilę na pokładzie, żeby... żeby podziwiać to wszystko. - Nie patrzyła na swego świeżo poślubionego męża, nie mogła. Nie chciała oglądać kabiny pod pokładem, nie chciała oglądać łóżka, które będzie musiała z nim dzielić. - Nie - wyszeptwała.

- Ja również - powiedział Ira i stanął obok niej w milczeniu. - To znaczy chciałbym zostać na pokładzie i podziwiać to wszystko. Nasi współtowarzysze podróży nie są tak odważni, jak my. Teraz przynajmniej jest cicho i spokojnie. - Nie zrobił żadnego ruchu, by ją dotknąć, choć czuła, że obserwuje jej profil.

Przypomniała sobie pospieszne słowa matki sprzed kilku godzin i przeraziła się jeszcze bardziej. -Byrony, Ira jest dobrym człowiekiem. Będzie delikatny w stosunku do ciebie. Po prostu zamknij oczy i leż spokojnie. Pozwól mu robić to, na co ma ochotę. To nie potrwa długo.

Chciała krzyknąć do matki: „A jeśli nie będę leżała spokojnie, to mnie zbije?”, ale nie powiedziała nic. To jej mąż, a ona do niego należy. Nie była głupia; taki właśnie jest los kobiety. Tylko ciotka Ida do nikogo nie należała, ponieważ miała wystarczająco dużo pieniędzy, by pozostać niezależną aż do śmierci. Nie musiała być utrzymywana przez mężczyznę. Czy wszystko musiało kręcić się wokół pieniędzy? Głupie pytanie. Chciwość Madisona De Witta zaważyła na całym jej życiu.

Pamiętała paskudne, wulgarne słowa ojca, wypowiedziane niskim, złośliwym tonem, na chwilę zanim opuściła dom rodzinny na zawsze. - Jeśli masz choć trochę rozumu, dziewczyno - powiedział - to udawaj, że jesteś dziewicą. Popłacz trochę, gdy będzie cię brał. Nie chcę, żeby mi cię oddał jak śmieć. Dzięki Bogu, że nie nosisz bękarta tego meksykańca.

Patrzyła na niego dłuższą chwilę, czując, jak przepelnia ją nienawiść. - Jesteś obleśnym staruchem - powiedziała chłodno.

Podniósł rękę, rozejrzał się wokół i z niechęcią ją opuścił.

- Nie - powiedziała mu, prostując się - nigdy więcej mnie nie uderzysz.

- Uważaj na słowa, dziewczyno - warknął - albo... - Albo co zrobisz? Może powiesz prawdę? Przyznasz się światu, że mnie sprzedałeś? Że ponieważ sam nie jesteś w stanie uczciwie zarabiać, utrzymuje cię inny mężczyzna?

- Ty mała, nic niewarta dziwko!

Odchyliła głowę i roześmiała się. - Nic niewarta? Cóż za niewdzięczne i nieprawdziwe stwierdzenie!

- Lepiej, żebyś uszczęśliwiła swojego nowego męża, dziewczyno.

- Albo przestanie przysyłać ci pieniądze? To niezła myśl. - Przyjęła wyzywającą i wyniosłą pozę. Jego mocna szczeka trzęsa się z wściekłości, ale zbliżał się do nich Ira, więc nie mógł nic więcej powiedzieć.

Pomyślała, że nie powinna go złościć. Mógł wyładować się na matce. Ale nie, wypił już tyle, że gdy z Irą odjadą, będzie dawno spał, uspiony whisky. Poza tym miał wreszcie pieniądze.

- Nasz ślub był taki, jak chciałem: bez szumu i gapiów. Prosty i prywatny.

- Pastor Elks nienawidzi mojego ojca. Poprowadził ceremonię wyłącznie ze względu na moją matkę.

- Pastor Elks jest bystrym człowiekiem. Nie bądź zdziwiona, Byrony. Dobrze znam reputację twojego ojca, jego usposobienie. Teraz nic już ci nie robi.

- A ty? Czy ty również nic mi nie zrobisz?

- I nie martw się o sytuację swojej matki, Byrony. Właśnie dlatego płacę twojemu ojcu w miesięcznych ratach. Ona również jest bezpieczna.

Odwróciła się, by na niego spojrzeć, zbyt zaskoczona, żeby cokolwiek powiedzieć. - Jesteś bardzo dobry - wydusiła w końcu.

Uśmiechnął się do niej smutno, a przynajmniej tak myślała, skoro oświecał ich tylko błydy księżyc.

- Ja po prostu nienawidzę niesprawiedliwości. Muszę z tobą porozmawiać, Byrony, a potem ocenisz, czy jestem dobry.

Drgnęła pod wpływem jego łagodnie wypowiedzianych słów i nerwowo oblizła usta. - Tak, Ira. - Czy zamierza jej powiedzieć, że chce rozpocząć noc poślubną? Zadrżała i zeszywniała.

Przez chwilę milczał, aż wreszcie powiedział: - Kiedy cię spotkałem, zdałem sobie sprawę, że jesteś bardzo szlachetną osobą, dzięki Bogu. Pełną zrozumienia. Wiem, że nie wyszłaś za mnie z miłości, Byrony, wiem również, że nie wyszłaś za mnie dla pieniędzy. Jeśli chodzi o mnie, to bardzo mi się podobasz, ale nie spieszyłbym się, gdyby nie chodziło, o...

Przerwał i dostrzegła, że jest bardzo błydy i nerwowo zaciska dłonie. Czekwała, marszcząc brwi z zakłopotaniem.

Odwrócił się do niej i uśmiechnął się lekko. - Widzisz, Byrony, muszę prosić cię o wielką przysługę i modłę się, żebyś się zgodziła.

- Tak? - Jej głos zadrżał lekko, ponieważ była zakłopotana bardziej niż kiedykolwiek.

- Wspominałem ci o mojej przyrodniej siostrze, Irene. W zasadzie wychowałem ją, bo nasi rodzice zmarli, gdy miała czternaście lat. Byłem jedyną osobą, która jej pozostała. I nadal tak jest.

Czego on od niej chce? Zapewnienia, że nie ma nic przeciwko temu, żeby jego przyrodnia siostra mieszkała z nimi? Obietnicy, że pokocha Irene i będzie dla niej dobra?

Wziął głęboki oddech i powiedział: - Kilka miesięcy temu Irene związała się z pewnym mężczyzną. Nie wiedziałem o tym... związku do czasu, aż było za późno. Widzisz, ten mężczyzna jest żonaty. Okłamał Irene, uwiódł ją, a teraz ona spodziewa się dziecka.

Byrony wpatrywała się w niego. Słyszała ból w jego głosie i zdała sobie sprawę, jak bardzo kocha swoją przyrodnią siostrę. - Przykro mi, Ira. Twoja biedna siostra!

- Jesteś teraz moją żoną, Byrony. Wiem, że boisz się mnie jako męża, boisz się, że będę czegoś od

ciebie żądał. Jak by mogło być inaczej? Wychowali cię ciotka, stara panna, która nie ufała mężczyznom, i ojciec, który jest brutalnym tyranem. Nie będę cię do niczego zmuszał, przyrzekam to. Ale przysługa, o którą proszę, zwiąże mnie z tobą, zaskarbi ci moją dozgonną wdzięczność. Proszę, Byrony, by dziecko Irene było twoje, żebyś ocaliła moją biedną siostrę od skandalu, który zniszczy nie tylko ją, ale także nas oboje. Proszę cię, żebyś udawała ciążę, a kiedy dziecko się urodzi, żebyś traktowała je jak swoje.

Jej pierwszą myślą było: A więc to nie moje piękne oczy przywiodły cię do San Diego? Niewdzięczna, Byrony. - Więc - powiedziała cicho - jedynym powodem naszego małżeństwa jest ocalenie twojej siostry.

- Tak.

Wolność od męskich żądań. Wolność bycia sobą, pozostania nietkniętą.

- Jak to można zrobić, Ira?

To, co mówiła, brzmiało tak rozsądnie i logicznie! Wyczuła jego ulgę. - Mam dom w Sacramento. Zawiozę cię tam z Irene, jak tylko dotrzemy do San Francisco. Pozostaniecie tam przez jakieś siedem miesięcy, a potem wrócicie do domu. Obawiam się, że przez ten czas będziecie się czuły trochę samotne i uwięzione, ale nie widzę innego wyjścia. Nikt nie może się dowiedzieć, że to Irene jest w ciąży, a nie ty.

- No... no nie wiem. To brzmi absurdalnie i niemożliwie do wykonania!

- Obawiam się również o życie Irene - powiedział cicho. - Jest przytłoczona poczuciem winy. Boję się, że może próbować się zabić.

Byrony spojrzała na spokojną wodę. Półksiężyc kładł się srebrną smugą na łagodne fale. Czy miała jakiś wybór? Dlaczego mówi jej o tym wszystkim dopiero po ślubie? W zasadzie nie miało to większego znaczenia, a ona nie miała wyboru.

- Uwolniłeś mnie od żalosnej egzystencji z moim ojcem - odezwała się w końcu. - Zrobię to dla ciebie i Irene. Pieniądze, które będziesz mu co miesiąc wysyłał, uchronią moją matkę przed jego gniewem. Tak, wiele ci zawdzięczam, Ira. - Wyciągnęła do niego dłoń, a on uściśnął ją ciepło, drżąc z ulgi.

- Dziękuję - powiedział.

*

Brent zmierzwił miękkie, czarne loki Celeste i pocałował ją delikatnie w zadarty nos.

- Może teraz będziesz pamiętać moje imię, *mon amour*?

Zanim przekreślił się na plecy i ułożył głowę na ramieniu, uśmiechnął się do niej promiennie. - Wiem kim jesteś, Celeste.

Poczuł, jak przesuwają palcami po jego torsie, a później niżej. - Celeste daje ci wszystko, tak? Kim jest ta druga *grisette*, której imię wykrzyczałeś?

- Czy francuskie dziewczyny pamiętają wszystko? - zapytał lekko i żartobliwie.

Zesztywniał, gdy jej palce zacisnęły się wokół niego.

- Sądzę, że to, co zrobiłeś, nie było grzeczne.

- Zapomnij o tym. Ona nic dla mnie nie znaczy. To tylko marzenie, wspomnienie, nic więcej.

- Ha! Marzenie, które mieszka w twojej głowie nie jest niczym. Ale Celeste sprawi, że zapomnisz, tak?

- Może za godzinę - powiedział sucho. - Jestem tylko mężczyzną, Celeste. Daj mi chwilę, żebym nabrał sił.

Brent wciąż nie mógł uwierzyć, że wykrzyczał imię Byrony w chwili namiętności. Dlaczego? Była tylko marzeniem, zatartym wspomnieniem, niewyraźnym złudzeniem. Nie skłamał. Niewątpliwie nie była *grisette*, jak ją przedstawiła Celeste, niemniej i tak się sprzedawała. Bogatemu mężczyźnie, głupiemu bogatemu mężczyźnie, który pragnął mieć piękną, młodą żonę. Zaciśnął szczęki, aż ból wykrzywił mu twarz. Wyobraził sobie, jak dłonie starego mężczyzny wędrują po jej młodym ciele. - Do diabła z wszystkimi kobietami! - warknął. Czy jego przeznaczeniem był pociąg do kobiet pokroju Laurel? Nauczył się w ciągu ostatnich dziesięciu lat zostawiać je, zanim go zranią.

Wściekły na siebie, odwrócił się do Celeste i zaczął odwzajemniać jej pieszczoty.

- Ach - wyszeptała, przyciągając go do siebie. - Nie jesteś tylko mężczyzną, Brent. Robisz takie miłe rzeczy.

- Tak - powiedział - robię.

*

Maggie stała pośrodku pełnego przepychu pokoju, pokoju powitań panów, jak go nazywała. „U Maggie” było niemal skończone, tak samo „Dzika Gwiazda”. Wszystko wyglądało wspaniale. Najpierw przygotowała pokoje dziewcząt, a panom zupełnie nie przeszkadzał zapach farby i porozrzucane wszędzie resztki materiałów budowlanych.

Skrzywiła się nagle, przypomniawszy sobie, że Li-sette nadal cierpi z powodu bolesnych skurczy. Musi poprosić Sainta Morrisa, żeby zbadał dziewczynę. W zasadzie, myślała, choć dbała o to, by panowie, którzy płacili wysoką cenę za noc w jej przybytku, byli czysti, nie zaszkodziłoby, gdyby Saint badał dziewczęta co miesiąc. Absolutnie nie chciała u siebie syfilisu.

Przeszła przez salon do dużego, czarnego pianina. Czule przejechała palcami po klawiszach, potem usiadła i zagrała kilka akordów. Tylko radosnych. Mam dwadzieścia siedem lat, myślała Maggie, i będę bardzo bogata, i będę zawdzięczać to wyłącznie sobie. Uśmiechnęła się na myśl o swoim surowym ojcu, kowalu, wchodzącym do jej przybytku. Zarozumiały bufon! Napalony, wymagający drań! Jej palce nagle uderzyły w smutne akordy. Biedna matka, każdy rok małżeństwa spędziła w ciąży, aż w końcu zmarła, zostawiając dziewięcioro dzieci. Maggie została w domu, dopóki ojciec ponownie się nie ożenił. Świadomie sprzedała swoje dziewictwo bogatemu plantatorowi tytoniu z Wirginii. Pieniądze wystarczyły jej na dotarcie do Missisipi, gdzie spędziła siedem lat jako kochanka pewnego mężczyzny. Bił ją rzadko, równie rzadko dawał jej prezenty i nie zaszła z nim w ciążę. Gdy przeczytała o odkryciu złota w Kalifornii, wiedziała, że tam właśnie zmierza i tam jest jej miejsce. Zaoszczędziła niemal każdego centa z tego, co niechętnie zapłacił jej Thomas Currson, i dotarła do San Francisco z fasonem. Teraz jestem kobietą interesu, pomyślała, przesuwając palce na wyższe akordy. Nigdy już nie będę kochanką bogatego mężczyzny.

Maggie podniosła głowę i dostrzegła stojącego cicho Brenta, który ją obserwował. Kiwnęła głową i położyła dłonie na udach.

- Nie przestawaj, Maggie. Bardzo dobrze grasz. Roześmiała się i szybko wstała ze stołka. - Bardzo długo nie dotykałam pianina, za długo. Moja matka pięknie grała, dopóki... no cóż, dopóki nie zabrakło jej sił.

- Czy twoja matka była chora?

Maggie zaśmiała się gorzko. - Chora? Tak, chyba można tak powiedzieć. Ale, Brent, co mogę dla ciebie zrobić? Czy przyszedłeś podziwiać?

Jaka ona skryta w mówieniu o swojej przeszłości, pomyślał Brent. No cóż, taka była niepisana zasada na Zachodzie. Każdy miał prawo zacząć wszystko od nowa, pogrzebać swoją przeszłość. Tak

jak ty, Hammond. - Nigdy nie widziałem tak eleganckiego burdelu - powiedział. - W zasadzie chciałem ci powiedzieć, że muszę pojechać do Sacramento po mosiężną poręcz do mahoniowego baru. Czy możesz uwierzyć, że nie ma takiej w San Francisco? - Potrząsnął głową z niedowierzaniem. - Czy chcesz czegoś jeszcze?

- Nie. Kiedy wrócisz?

- Pod koniec tygodnia. Nie powinno mi to zająć więcej niż trzy, cztery dni. Wtedy, Maggie, zrobimy oficjalne otwarcie.

Radość w jego głosie sprawiła jej przyjemność. Nigdy w życiu nie lubiła żadnego mężczyzny, a tym bardziej żadnemu nie ufała, dopóki nie spotkała Brenta. Był pięknym mężczyzną, piekielnie męskim, jeśli wierzyć jej dziewczętom, ale nie pragnęła jego ciała. Chciała jego przyjaźni. Chciała być częścią jego marzeń. Gdy pierwszy raz zobaczyła go w swoim burdelu, ujrzała w jego oczach samotność. Pustkę. Otworzył się przed nią i wiedziała, że jest jedyną osobą, z którą naprawdę rozmawiał. Była dla niego kimś wyjątkowym. Uzupełniali się nawzajem. Burdelmama i szuler. Zachichotała. - Tak - powiedziała - oficjalne! James Cora będzie zgrzytał zębami z zazdrości.

- Dopóki nie przyjdzie Belle i nie potrzaska tu wszystkiego.

- Wątpię. James i Belle przeżywają obecnie jedną ze swoich fantastycznych kłótni. Nie odzywają się do siebie. A tak przy okazji, znalazłam ci barmana. Pochodzi z Nowego Jorku, jest raczej uczciwy i umie sobie radzić z pijakami, którzy szukają kłopotów.

- Dzięki Bogu - odparł Brent. - Jak się nazywa? Jak go znalazłaś?

- W zasadzie znalazła go Lucienne. Nazywa się, jeśli możesz w to uwierzyć, Percival Smith. Jest większy od ciebie, Brent, i zbudowany jak beczka.

- Przyślij go do mnie, to dobijemy targu. - Brent zamilkł, przyglądając się twarzy Maggie. - Uda się nam, Maggie, przyrzekam.

- Wiem, Brent. Pięć minut po tym, jak cię spotkałam, wiedziałam już, że jesteśmy parą zwycięzców. - Poczula ucisk w gardle i szybko dodała lekko: - Kiedy znowu zagramy w szachy?

- Jak tylko będziesz miała ochotę na upokorzenie, moja pani.

Uśmiechnęli się do siebie w całkowitym porozumieniu.

- Nigdy mi nie powiedziałaś, Maggie, kto cię nauczył grać.

Jej oczy zachmurzyły się, ale tylko na krótką chwilę. - Ktoś, kogo znałam dawno temu - powiedziała. Thomas Currson nauczył ją grać w pokera i w szachy. Miał swoje dobre strony.

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się. - Wiesz co, nigdy cię nie spytałam, dlaczego nazwałeś bar „Dzika Gwiazda”. Moja nazwa, „U Maggie”, jest całkiem oczywista, ale „Dzika Gwiazda”? - Powiem ci, jeśli obiecasz, że nie będziesz się ze mnie śmiała - odparł.

Zrobiła znak krzyża na piersi. - Przyrzekam. - Może to głupie, ale gdy w nocy wyjeżdżałem z Denver, nad moją głową świeciła jasna gwiazda. Jechałem w jej stronę, myśląc, że w pewnym sensie była podobna do mnie - ciągle w ruchu, niezatrzymująca się nigdzie na dłużej, wolna i dzika. Wtedy postanowiłem, że jeśli gdzieś osiadę, usidlę tę gwiazdę, ale zachowam pozory, że nadal jest wolna, w ruchu i dzika.

- To wcale nie jest głupie - odezwała się po chwili. - Dobrze, gdy mężczyzna jest romantykiem, Brent.

- I poetą, bez wątpienia - powiedział, naśmiewając się z siebie.

- Być może - powiedziała Maggie. - Widzę, że nie możesz się doczekać, żeby sobie pójść. Możesz mi wyświadczyć przysługę? Poproś Sainta, żeby tu przyszedł. Lisette nie czuje się najlepiej.

- Jasne. Mam nadzieję, że to nic poważnego?

- Kobięce dolegliwości, to wszystko.

- Tajemnicze - odparł, rzucając jej figlarne spojrzenie.

- Wy, mężczyźni, jesteście cholernymi szczęściarzami - rzekła Maggie.

- Nie zawsze. Celeste dostała tajemniczych dolegliwości, kiedy byliśmy razem.

Uchylił w jej stronę kapelusza i wyszedł z dusznego od przepychu salonu. Maggie kochała żółty kolor. Czuł się, jakby wszedł do olbrzymiego mleczu. Było to bez wątpienia lepsze niż krzykliwy i urządzony bez gustu w złocie i czerwieni burdel Belli Cory.

*

- Zupełnie nie tego się spodziewałam - powiedziała Byrony do swojej nowej szwagierki. - Jest tak pusto, ale wzgórza są piękne, a miasto takie... tętniące życiem.

- Tak, to prawda. Ale uwielbiamy San Francisco. I jest tu tak wiele zmian. Ciągłe zmiany.

Byrony odstawiła filiżankę z herbatą i rozejrzała się po salonie. - Zbudowałeś piękny dom, Ira. Bardzo imponujący.

- Dziękuję, moja droga. Podoba ci się twój po-kój?

- Byłabym ślepa i głupia, gdyby mi się nie podobał! Czy ty go umeblowałaś, Irene?

- Nie, Ira to zrobił, zanim wyjechał do San Diego. Chciał, żeby wszystko było... gotowe na twoje przybycie.

Cicha czarna kobieta zabrała serwis do herbaty. -Dziękuję, Eileen - powiedziała Byrony.

Eileen skinęła głową, przez moment patrząc nieśmiało na Byrony.

Byrony ziewnęła. - O Boże - powiedziała, rumieniąc się - proszę mi wybaczyć. Chyba jestem zmęczona. Na pewno nie jest to winą towarzystwa.

- Zdrzemnij się przed kolacją, moja droga. Odprowadzę cię do pokoju.

- Z chęcią - odparła Byrony i wstała.

Wstała również Irene. Uścisnęła ją łagodnie i powiedziała: - Dziękuję.

Ira odprowadził ją do drzwi pokoju. - Dopilnuję, żeby ci nie przeszkadzano. Eileen obudzi cię o siódmej. Zwykle jadamy o ósmej.

Skinęła głową i weszła do swojej nowej sypialni. Przez chwilę stała pośrodku pokoju. Jej pokój u ciotki Idy był przeładowany ozdobami, co odzwierciedlało charakter ciotki. Znajdowały się tam różne zbędne przedmioty, które nie pasowały do innych pokoi. Jej pokój w San Diego był mały, goły i zimny. Ale ten był inny. Odetchnęła z zadowoleniem. Duży, przestronny, z dużymi łukowatymi oknami, wychodzącymi na południe, z widokiem na wzgórza, na których tu i ówdzie ulokowane były domy. Ściany pomalowano na kremowo, a wszystkie meble miały odcień wyblakłego błękitu. Nie było żadnych zbędnych rzeczy, zajmujących wolną przestrzeń. To był jej pokój i ona uczyni go bardziej osobistym. Łóżko nakryte było bladoniebie-sko-białą kapą.

Jestem szczęśliwa, przyszło jej nagle do głowy. Zaczynam nowe życie. Panuję nad nim. No, może niezupełnie, przyznała szybko przed sobą, a jej uśmiech zbladł. Teraz, jak się domyślała, oficjalnie była w ciąży. Przypomniała sobie ciche podziękowanie Irene. Poczwała ulgę. Nie chciała łez, przeprosin, scen. Irene tak bardzo różniła się od Iry. Ira był smukły i jasny jak anioł, a Irene niewysoka, miała ciemną cerę i duże brązowe oczy. Wydawała się cokolwiek powściągliwa, może nieśmiała, ale Byrony domyślała się, że siedem miesięcy, które przyjdzie im spędzić razem, pozwoli im lepiej zrozumieć własne odmienne charaktery.

Byrony podeszła do okna i odsłoniła ciężkie, kremowe zasłony. Miała nadzieję, że uda się jej

zobaczyć San Francisco, zanim Ira zabierze je do Sacramento. Poczula, jak krew zaczyna jej szybciej krążyć, gdy dopłynęli, dobijając do nabrzeża przy ulicy Clay. Życie, pomyślała, to właśnie jest San Francisco, burzliwe, nieokiełznane, młode życie. Ira powiedział jej ze śmiechem, że tutaj jest starym człowiekiem, skoro średnia wieku nie przekracza trzydziestki.

Jest tutaj ten gracz, pomyślała i poczuła dziwne podniecenie. Ale jest za późno. Jestem zamężną kobietą. Za późno.

- Głupia - powiedziała do siebie łagodnie. - Zachowujesz się jak dziecko, budując fantazje z okruchów wspomnień. Jest tylko mężczyzną, takim samym jak inni.

Zaciągnęła zasłony i powoli podeszła do łóżka. Zdjęła buty i położyła się na wznak, patrząc na kremowy sufit. Tak bardzo chciała zachować ten szlachetny wizerunek samej siebie, który powstał w jej myślach, gdy przystała na prośbę Iry, ale nie było w niej nic poza uczuciem rozpaczki i niedowierzania. Dla świata stanie się matką. Dziecko Irene będzie uznawane za jej dziecko. Jak oni wszyscy będą się zachowywać? Jak będzie się wtedy czuła, żyjąc w kłamstwie. Życie w kłamstwie. Życie...

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi i cichy głos Iry: - Byrony.

Szybko zerwała się z łóżka i poprawiła ubranie. - Wejdz.

Ira zauważył jej bladość i usztywnienie ciała. - Czy jesteś bardzo zmęczona, moja droga?

Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Może trochę.

Delikatnie zamknął za sobą drzwi i podszedł do niej. - Byrony - powiedział, kładąc dłonie na jej ramionach - rozmyślałaś, prawda? Rozmyślałaś o wszystkich komplikacjach, o konsekwencjach twojej decyzji?

Na moment zamknęła oczy, zastanawiając się, skąd mógł o tym wiedzieć, ale nie pomyślała o tym, by skłamać. - Tak, zastanawiałam się. To wszystko wydaje mi się teraz niemożliwe.

Bardzo delikatnie przyciągnął ją do siebie. Nigdy wcześniej nie przytulał jej żaden mężczyzna i czuła się dziwnie, zwłaszcza że mężczyzna był znacznie od niej silniejszy. Ogarnął ją strach. Ira opuścił ręce. - Powiedz, co wydaje się niemożliwe. Porozmawiamy o tym. Nie chcę, żebyś była nieszczęśliwa.

- Jesteś... jesteś bardzo dobry, Ira. Chyba po prostu tęsknię za domem.

- No, może tęsknisz za matką, ale za niczym więcej. I w rzeczywistości znałaś ją nie dłużej niż... Ile, Byrony? Sześć, siedem miesięcy?

Przytaknęła niechętnie.

- Teraz masz dom, moja droga, własny dom. Jesteś bezpieczna i troszczymy się tu o ciebie. Dziecko, modlę się o to z całego serca, pogłębi tylko nasze szczęście.

Umilkł na chwilę, a potem dodał spokojnie: - Jeśli w przyszłości będziesz chciała mieć dziecko, powiedz mi o tym. Robisz wielką przysługę mnie i mojej siostrze. Nie chciałbym, żebyś kiedykolwiek żałowała swojej decyzji.

- Mam nadzieję, że masz rację - powiedziała. Nagle zaburczało jej w żołądku i spojrzała na niego zmieszana.

- Jestem tak samo głodny - odezwał się, uśmiechając się do niej. - Chodźmy na kolację. Irene nie czuje się najlepiej, zje więc w swoim pokoju. Jutro odwiedzimy kilka eleganckich sklepów. Będziesz potrzebowała nowych sukien. W piątek wyjedziemy do Sacramento. Wyobrażam sobie - ciągnął zamyślony, wchodząc razem z nią do jadalni - że wyglądasz prześlicznie we wszystkich odcieniach niebieskiego. Sprawdzimy, co będzie miał dla nas monsieur David.

ROZDZIAŁ 5

Kwietniowe popołudnie było słoneczne, ale chłodne. Wiatr w zatoce wiał nieprzerwanie i Byrony musiała rękoma przytrzymać czepek, gdy patrzyła, jak jej nowiuteńki kufer wnoszony jest na pokład „Purpurowej Królowej”. Uśmiechnęła się z zadowoleniem, myśląc o wszystkich nowych ubraniach i bieliźnie, które się w nim znajdowały. Tak wiele strojów, a wszystkie w najlepszym gatunku. Czowała się jak rozpieszczona księżniczka. Poczwała dłoń Iry na ramieniu i odwróciła się do niego rozpromieniona.

- A to co? - zapytał, posyłając jej figlarny uśmiech.

- Ty... wszystkie te rzeczy, które mi kupiłeś, Ira. Nigdy nie miałam... Po prostu ci dziękuję.

- Nie ma za co, moja droga. Czy włożysz do obiadu szafirowoniebieską suknię?

- Oczywiście. Ira, statek jest taki duży i piękny. Jest chyba piękniejszy od najpiękniejszych statków, jakie pływają po Missisipi. - Spojrzała na Irene i dostrzegła jej niezwykłą bladość. - O Boże - powiedziała ściszym głosem - mam nadzieję, że podróż nie będzie dla niej zbyt uciążliwa.

- Może odprowadzę was obie do kajuty?

Byrony z pewnym ociąganiem skinęła głową. Tłum pasażerów, gorączkowe ładowanie i rozładowywanie innych łodzi, zapachy i odgłosy z wybrzeża wprowadzały ją w stan radosnego podniecenia.

- Kapitanie O'Mally - odezwał się Ira. - Dzień dobry, sir. Sądzę, że podróż będzie przyjemna. Chciałbym przedstawić moją żonę.

- Bardzo mi miło, *madam* - powiedział kapitan O'Mally. - Witam, panno Butler - lekko skłonił się przed Irene. - Czy ma pan jakieś interesy w Sacra-mento, panie Butler?

- Tak, w rzeczy samej. Zobaczymy się wieczorem, kapitanie.

Cóż za zabawny mały człowiek - powiedziała do siebie Byrony, idąc za Iry i Irene po pokładzie. Zajrzała przelotnie do dużej, przeszklonej jadalni. Rzeczywiście jestem księżniczką i jestem na pokładzie własnego pływającego pałacu.

Ich kajuta była mała, ale elegancko urządzona. Na podłodze znajdował się miękki, niebieski dywan, przy dłuższej ścianie kajuty stały dwa wąskie łóżka, dwa krzesła i toaletka.

- Jak tu ładnie. Och, Irene, chodź, musisz odpocząć. Może położyć ci mokry ręcznik na czoło?

Ira podprowadził Irene do łóżka i pomógł jej się położyć. Usiadł koło niej i łagodnie pogłaskał po okrytej rękawiczką dłoni. - Tak, Byrony, bardzo proszę - odpowiedział za siostrę. - Ręczniki powinny być w szafie, a zimna woda w misce.

W drzwiach pojawiła się milcząca Eileen, patrząc obojętnie na Irene. Bez słowa wzięła od Byrony mokry ręcznik i podeszła do wąskiego łóżka. - Zajmę się nią, panie - powiedziała cichym, chrapliwym głosem.

Ira wstał i zmarszczył brwi, przyglądając się siostrze. - Odpoczywaj, Irene. Może do obiadu poczujesz się lepiej. Byrony, moja droga, ja również pójdę do swojej kajuty.

Odprowadziła go do drzwi. - Czy nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym obejrzała statek? -

spytała.

- Oczywiście, że nie. Jesteś teraz mężatką, Byrony. Możesz robić, co zechcesz.

Czuła się winna, że zostawia Irene samą, ale szwa-gierka, widząc jej podniecenie, pokazała gestem, że nie ma nic przeciwko temu.

- Proszę się nie martwić, pani Butler - powiedziała Eileen - zostanę z panienką.

Zastanawiam się, pomyślała Byrony, wchodząc po schodach na główny pokład, czy Irene nie dziwi się, że nie dzieli kabiny z mężem? A może Irene jako kobieta samotna uważa to za normalne. Trochę przesadziła. Irene łączyło coś z mężczyzną. Na tyle dużo, że zaszła w ciążę. To nie moja sprawa, powiedziała sobie.

Byrony przez dwie godziny zwiedzała „Purpurową Królową”. Trzymała się relingu, dopóki statek nie opuścił portu i nie skierował się na północ. Podekscytowana, pomachała tłumowi, zgromadzonemu na nabrzeżu, nie dbając o to, że nie zna tam nikogo. Ani przez chwilę nie tracili z oczu lądu i wielu wysepek porozrzucanych po zatoce. Chciała, żeby ktoś powiedział jej, dokąd płyną i co widzi. Kilku mężczyzn patrzyło na nią pożądliwie, ale ich ignorowała. Każdy mężczyzna, którego spotkała podczas krótkiego pobytu w San Francisco, patrzył na nią pożądliwie.

- Jest tak niewiele dam, moja droga - wyjaśnił Ira, gdy kilku mężczyzn po prostu zatrzymało swoje powozy i gapiło się na nią. - No i oczywiście jesteś piękna.

- Ależ, Ira, widziałam wiele dam!

- Niezupełnie dam, Byrony. Większa część tutejszych kobiet to... to nie są damy.

- Dziwki?

- Tak - powiedział zaszokowany.

Nie wyjaśniła mu, skąd zna takie słowa. Jakże mogła powiedzieć, że to jedno z wielu wyzwisk, którymi obrzucał ją ojciec.

Byrony zerknęła ukradkiem do małego saloniku, który najwyraźniej był przeznaczony wyłącznie dla panów. Wisiała tam gęsta chmura dymu, czasami wybuchał śmiech. Oczywiście grano w karty.

Gdy wróciła do kajuty, Irene nadal leżała w łóżku. Na krześle obok siedziała Eileen. Byrony znowu poczuła się winna i ruszyła w stronę łóżka, ale Eileen przyłożyła palec do ust.

- Śpi, biedaczka. Dopilnuję, żeby później zjadła trochę zupy, gdy się obudzi. Pomogę się pani ubrać, pani Byrony, ale po cichutku.

Spotkała Irę przed swoją kajutą. Na jej widok z zachwytu zagwizdał i to poprawiło jej samopoczucie.

- Pięknie, moja droga, po prostu pięknie. - Spojrzał pytająco na zamknięte drzwi kajuty.

- Irene śpi. Eileen mówi, że tak jest lepiej.

- A więc chodźmy. - Ira eleganckim gestem zaoferował ramię. - Dziś wieczorem nie będziemy siedzieli z kapitanem. Jest tu kilku moich znajomych od interesów, którzy poprosili o osobny stolik. Myślę, moja droga, że będziesz się dobrze bawić w ich towarzystwie.

Tak też się stało. Przy stoliku siedział pan Lacy, właściciel odlewni, pan Dancy, inwestor z Nowego Jorku, i pan Cornfield, który był właścicielem jednej z gazet. Wiedziała, że Ira jest dumny, iż jego znajomi darzą ją taką atencją. Ładnie wyglądam, pomyślała, prostując się i uśmiechając do łysiejącego Ezry La-cy'ego.

- Panowie - powiedziała - proszę, nie przerywajcie sobie. Z przyjemnością posłucham i czegoś się nauczę.

Jadalnia była jasno oświetlona. Stoły nakryto białymi obrusami, sztuce były srebrne, a zastawa z

chińskiej porcelany. Spróbowała, jak smakują gotowane małże. Były przepyszne. Usłyszała za sobą śmiech jakiegoś mężczyzny i lekko odwróciła głowę w stronę stolika kapitańskiego.

Niemal upuściła kieliszek. Patrzył na nią ten hazardzista, przymrużywszy oczy tak, że wydawały się niemal czarne. Poczula na przemian falę zimna i gorąca. Lekko potrząsnęła głową i na krótką chwilę zamknęła oczy. To był on, nie miała wątpliwości. Ich oczy znowu się spotkały i uśmiechnęła się do niego. Uniósł dłoń w geście powitania.

Dobry Boże, pomyślała. Sądziła, że jej wyobraźnia wyolbrzymiła jego urok, ale tak nie było. Miał na sobie czarną kamizelkę z perłowszarym frontem i białą koszulę. Czarne włosy i marynarka błyszczały w świetle kandelabrow. Na dodatek zapuścił czarne, gęste wąsy.

- Czy wszystko w porządku, pani Butler? Opanowała się z trudem i powiedziała lekko:

- Oczywiście, panie Lacy. Czy mogę spytać, kim jest ten pan przy stoliku kapitańskim?

- To Brent Hammond. Jest nowym biznesmenem w San Francisco. W przyszłym tygodniu otwiera bar „Dzika Gwiazda”.

- Ach, tak - odparła. W tym samym mieście. Oczywiście wiedziała, że mieszka w San Francisco. To nie było w porządku. Dlaczego nie wyglądał jak oprych? Dlaczego musi wpatrywać się w nią tymi niezgłębionymi oczami?

Zmusiła się, żeby wrócić myślami do swojego stolika. Usłyszała, jak pan Lacy wspomina coś o „księżnej” i jej domu w kontekście Hammonda. Czyżby jego żona? Może kochanka? Cóż to za dom, o którym mówili?

Brent nadal patrzył; nie mógł się pohamować. To była ona, ale zmiana w jej wyglądzie zaskoczyła go. W pięknej i drogiej sukni, którą miała na sobie, rozpoznał rękę monsieur Davida. Jej gładkie ramiona okrywała miękka biała koronka, opadająca na krągłe piersi. Włosy w kolorze miodu miała upięte wysoko, tylko jeden kosmyk spadał na ramiona. Miała długą, smukłą i piękną, jak cała ona, szyję. Przeniósł wzrok na czterech mężczyzn, siedzących z nią przy stoliku. Trzech z nich rozpoznał. Po chwili odwrócił się do kapitana O'Mally. - Kim jest ta dama z Ezrą Lacy?

Kapitan O'Mally odwrócił się od Delaneya Saxtona. - To świeżo poślubiona pani Butler.

Brent, który niemiłosiernie flirtował z Chauncey, żoną Delaneya Saxtona, zamarł. Żona Iry! Boże, ten mężczyzna mógłby być niemal jej ojcem! Spojrzał na arystokratyczne rysy Iry Bainesa Butlera i poczuł czystą nienawiść do tego człowieka. Nie mógł uwierzyć. A właściwie dlaczego? Wszak wiedział, kim była; sprośny staruch w San Diego powiedział mu o niej wszystko. Poślubiła bogatego mężczyznę, tak jak przypuszczał. Kolejna Laurel. Zacisnął palce wokół kieliszka. Chciał je zacisnąć na jej smukłej szyi. Perfidna suka! Siła jego gniewu zaskoczyła go i zbiła z tropu. U licha, dlaczego się tym tak przejmuje? W żaden sposób go to nie dotyczyło. W żaden.

Byrony. Byrony Butler. Pewnie stary, zimnokrwisty Ira Butler kochał się z nią w ciemności.

Brent chciał już tylko jak najszybciej skończyć kolację i wyjść z sali. Dlaczego? Żeby lizać rany w samotności, wyśmiewał go wewnętrzny głos.

Byrony nic więcej nie zjadła. Miała ściśnięty żołądek. Starła się usłyszeć kilka komplementów, które padły pod jej adresem. Zauważyła, że Brent wstał od stolika kapitańskiego i wyszedł z jadalni. Obserwowała go kątem oka. Był wyższy niż pamiętała, a jednak zgrabny.

- Moja droga, czy dobrze się czujesz?

- O tak, Ira. Chyba jestem trochę zmęczona. - Czy w jej głosie słychać było poczucie winy?

- A więc odprowadzę cię do twojej kajuty. Życzyła pozostałym mężczyznom dobrej nocy i podała Irze rękę. Nigdzie nie było widać Brenta Hammonda. Czowała ulgę i jednocześnie zawód. Ira wszedł z

nią do kajuty, żeby zobaczyć, jak się czuje Irene. Nadal spała, a Eileen wciąż przy niej siedziała bez ruchu.

- Do jutra, moja droga - powiedział cicho i pocałował ją w czoło. - Śpij dobrze.

Byrony starała się stać spokojnie, ale nie mogła. Zaczęła spacerować po kajucie, dopóki nie poczuła przenikliwego wzroku Eileen na swoich plecach. Nagle chwyciła nowy szafirowy płaszcz, pasujący do sukni, i wyszeptowała: - Pójdę na chwilę na pokład, Eileen.

Nie muszę się martwić, że go spotkam, pomyślała. Niewątpliwie teraz gra w karty. W końcu to jego zawód. Szła szerokim pokładem, nie zwracając uwagi na mijanych mężczyzn, którzy się jej kłaniali. Znalazła odosobnione miejsce i oparła się o reling, wpatrując się w spokojną czerń wody.

- Wkrótce będziemy przepływać przez cieśninę Carquinez - usłyszała za sobą niski, głęboki głos.

- Właśnie przepłynęliśmy zatokę San Pablo, gdyby pani nie wiedziała.

Odwróciła się i jej wzrok padł na grdykę. Powoli uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Cieśnina Carquinez - powtórzyła bezmyślnie.

- Tak, teraz płyniemy na wschód i niedługo dopłyniemy do rzeki Sacramento.

- Jest tak wiele rzek i zatok i... tak dużo wody.

- Rzeczywiście tak jest.

- To niespodzianka znowu pana spotkać, panie Hammond.

Uniósł grubą czarną brew. - Pewnie pamięta pani, że mieszkam w San Francisco. To ja jestem bardziej zaskoczony ponownym spotkaniem. Jest pani daleko od San Diego. Widzę, że szybko poznała pani moje nazwisko.

- Tak, tak, to prawda. Słyszałam, że otwiera pan bar w San Francisco?

- Tak - powiedział i oczy mu rozblęsnęły. - Pięknie pani wygląda.

Uśmiechnęła się niepewnie. - Domyślam się, że trochę inaczej, niż podczas naszego pierwszego spotkania. Staram się unikać mąki.

Wyglądałaś pięknie z mąką na nosie.

- Słyszałem, że wyszła pani za męża za jednego z najbogatszych ludzi w San Francisco.

W jego głosie słychać było ledwie skrywaną pogardę. Byrony zeszywniała.

- Mówiono mi, że Ira jest bogaty - powiedziała ostrożnie. Chciała go dotknąć.

Idiotka! Beznadziejna idiotka!

- Z pani... wyglądem i niezaprzeczalnym urokiem nie spodziewałem się nikogo innego, tylko bogatego mężczyzny. Ale tak starego, pani Butler, że niemal mógłby być pani ojcem?

- Dlaczego jest zły? Przyjrzała się jego twarzy w słabym świetle, szukając odpowiedzi. Nie odezwała się.

- A więc, pani Butler - ciągnął obraźliwym tonem. - Czyżby nie cieszyło pani małżeństwo? Czy odkryta już pani, że sprzedawanie ciała bogatemu mężczyźnie wiąże się z nie całkiem miłymi obowiązkami?

Aż zatkała ją jego bezczelna uwaga.

- Nie rozumiem, panie Hammond. Dlaczego jest pan...

Przerwał jej gwałtownie, machając dłonią tuż przed jej twarzą. - Nie musi pani niczego przede mną udawać, pani Butler. Gdy pierwszy raz panią spotkałem, pomyślałem... No cóż, to nie ma znaczenia. Nieczęsto kobieta jest taka, na jaką wygląda.

- A na kogo ja wyglądałam według pana?

- Na słodką, nietkniętą, niewinną. - Szczere słowa z głębi serca padły, zanim zdążył się

powstrzymać.

- Dopóki nie porozmawiał pan z Jebem Donnal-lym - powiedziała tępo. - Teraz rozumiem. Jest wstrętnym, starym pijakiem, kumplem mojego ojca, równie obleśnym jak on. Zaskakuje mnie pan, panie Hammond. Myślałam, że gracz, zawodowy hazardzi-sta, będzie bardziej spostrzegawczy w kontaktach z ludźmi.

Przyjrzał się jej bladej twarzy, zastanawiając się nad goryczą w głosie, ale nie mógł się pohamować. - Być może jest starym głupcem, ale powiedział mi, że będzie pani musiała szukać bogatego męża poza San Diego. Domyślam się, że nasienie Kalifornijczyka nie zakiełkowało?

Byrony bez zastanowienia uniosła rękę i z całej siły uderzyła go w twarz. Złapał ją za nadgarstek, czując jej delikatne kości pod palcami.

- Ty... łajdaku - syknęła. - Nic nie wiesz. Jak śmiesz wierzyć w to, co usłyszałeś, w te zmyślone bajki starego człowieka?

Puścił jej rękę. - Dama nie uderzyłaby dżentelmena, nieprawdaż?

- Nie jesteś dżentelmenem.

- A ty nie jesteś damą. Ostrzegam cię, moja droga. Uderzysz mnie jeszcze raz, albo będziesz próbowała to zrobić, a odwzięczę ci się tym samym.

Byrony była roztrzęsiona. - Niech cię diabli - powiedziała drżącym ze złości głosem - musiałam wyjść za niego za mąż. Rozumiesz mnie? Nie, nie mów nic więcej! To oczywiste, że nigdy niczego nie zrozumiesz. Jesteś na to za głupi!

Odwróciła się na pięcie, ale złapał ją za ramię i odwrócił do siebie. - A więc to jego nasienie kiełkuje w twoim pięknym ciele? To ciekawe. Skoro nie jesteś damą, a twojego drogiego męża nie ma w pobliżu, może... - Przerwał nagle, pochylił się i pocałował ją mocno w zaciśnięte usta.

Zszokowana zeszywniała, ale tylko na moment. Przyciskał jej ręce do boków tak mocno, że nie mogła się poruszyć. Miał twarde, zaborcze, obce wargi. Nagle zwolnił uścisk i poczuła, jak przesuwa językiem po jej dolnej wardze, wsuwając go delikatnie w jej usta. Uniósł dłoń i objął pierś. Poruszyła się.

Wyrwała się z jego objęć i wytarła dłonią usta. - Ty...

- Łajdaku?

Jego ironiczny ton sprawił, że jej oczy przesłoniły się mgłą wściekłości.

- Wygląda na to, że twój drogi mąż nie nauczył cię jeszcze, jak zadowolić mężczyznę. Nauczysz się, moja droga. Jeśli będziesz dla mnie miła, to może udzielę ci kilku lekcji...

Zaskowyczał z bólu i złapał się za krocze.

Byrony, sama zszokowana i roztrzęsiona brutalnym kopniakiem, którym go uraczyła, odwróciła się i uciekła, unosząc wysoko spódnicę.

Brent z trudem opanował mdłości i ścisnął się za krocze, dopóki najgorszy ból nie ustąpił. Mała, cholerna na wspomnienie stów, jakimi obrzucił Byrony. Ale to wszystko prawda, pomyślał, prostując się. A jeśli nie? A jeśli jest taka, na jaką wygląda - niewinną, słodką? Cholera, miał wrażenie, że świat obraca się w złym kierunku. Nie chciał jej obrazić; nic dla niego nie znaczyła. Tak czy inaczej, to nie jego sprawa.

Odszedł poszukać kapitana, wiedząc, że znalezienie mężczyzny, który usiłował zabić Chauncey Saxton, było prawie niemożliwe.

Brent pomagał w poszukiwaniach. Nie był w stanie rozpoznać żadnego z przesłuchiwanym. Nic dziwnego, pomyślał później, leżąc w łóżku. Dlaczego ktoś chciałby zabić Chauncey Saxton?

Dlaczego Byrony wyszła za mąż za Irę Butlera? Precz z moich myśli, ty mała, podła...

W końcu zasnął, ale śnił o mężczyźnie, który usiłował wrzucić Byrony do rzeki. Próbował ją uratować; ona krzyczała jego imię, ale nie zdążył. Widział, jak jej niebieski płaszcz rozkłada się na wodzie i wciąga ją w czarną otchłań rzeki.

Zerwał się, cały spocony. Do diabła z nią! Miał wzwód i cały drżał z pożądania. Nagle przypomniał sobie jej gorzkie słowa: „Musiałam za niego wyjść”.

Czego właściwie się spodziewała? Dzieci z reguły biorą się z seksu. Ira przynajmniej się z nią ożenił. Znowu ją przeklął i położył się na brzuchu, starając się zapomnieć o nękającym go bólu.

Wczesnym rankiem Brent zobaczył, jak Chauncey i Delaney Saxton opuszczają „Purpurową Królową”. Wcale się nie dziwił Delaneyowi. Na jego miejscu też nie czekałby, aż bandzior będzie usiłował zrobić to ponownie. Broniłby tego, co było jego własnością.

Zobaczył Byrony w towarzystwie męża i szwagierki. Była blada. Miał ochotę trzasnąć Irę w jego przystojną twarz.

Odwrócił się na pięcie, nie chcąc jej oglądać z jej cholernym mężem.

ROZDZIAŁ 6

Brent zrobił ledwie dwa kroki, gdy usłyszał za sobą głos Iry: - Panie Hammond!

Odwrócił się powoli, unosząc grubą czarną brew.

- Może przyłączyłby się pan do nas na filiżankę kawy?

- Tak, zapraszamy - powiedział Ezra Lacy. Zerknął na Byrony, ale wpatrywała się w swoje dłonie, złożone na kolanach.

- Dziękuję - odparł. - Z chęcią.

- Zna pan moją siostrę Irene. A to jest moja świeżo poślubiona małżonka, Byrony. Drogie panie, przedstawiam wam pana Brenta Hammonda, nowy nabytek w świecie interesów San Francisco.

- Panie Hammond - powiedziała Irene.

Brent kiwnął głową. - Panno Butler, pani Butler.

- Przykra sprawa - odezwał się Ezra Lacy, potrząsając głową i podając Brentowi filiżankę dymiącej kawy. - Ira zastanawiał się, czy nie powinien zabrać stąd pań, zważywszy na to, co się stało ostatniej nocy.

- Podobno to pan, panie Hammond, uratował życie pani Saxton - powiedziała Irene.

- To szczęście, że byłem w tym czasie na pokładzie - odparł Brent.

Domyślał się, że Del nie chciałby, żeby mówiono o całej sprawie, dodał więc tylko: - Ten człowiek pewnie już dawno uciekł ze statku. Przykre doświadczenie dla pani Saxton.

- Tak właśnie myślałam - powiedziała Irene. - Łajdak pewnie chciał ją okraść.

Brent zamrugał, słysząc taką konkluzję, ale uznał, że ta wersja będzie najlepsza. - Zapewne ma pani rację - powiedział. Poczul na sobie wzrok Byrony i powoli odwrócił głowę w jej stronę. Miała zmęczoną twarz i podkrążone oczy jak po nieprzespanej nocy. Dobrze, pomyślał złośliwie. Sumienie nie pozwalało jej spać. Głośno i spokojnie powiedział: - Wygląda pani na trochę zmęczoną, pani Butler. Mam nadzieję, że wydarzenia ostatniej nocy nie zdenerwowały pani zbyt mocno.

Byrony zagryzła dolną wargę. Bezczelny, wstrętny łajdak usiłował ją sprowokować! - Zupełnie - odparła.

- Moja żona w tym czasie była bezpieczna w łóżku - odezwał się Ira, delikatnie klepiąc Byrony po dłoni.

Brent miał ochotę go zdzielić. Wszystko w nim się gotowało na myśl, że tamten jej dotykał, brał w posiadanie. Tracę resztki zdrowego rozsądku, pomyślał. Wszystko z powodu kobiety, która jest niczym więcej, jak tylko nierealnym marzeniem. Usłyszał śmiech i słowa Ezry Lacy'ego: - Och, Ira, jacy wy, świeżo upieczeni żonkosie, jesteście nudni. Jak mam prowadzić z tobą interesy przy twojej ślicznej żonie?

- Całkiem nieźle nam to wyszło wczoraj, o ile pamiętam - powiedział Ira. - Ale jak cię znam, Ezra, to chciałbyś mnie zagadać na śmierć w czasie podróży do Sacramento.

- No cóż, staruszkule, chciałbym, żebyś zerknął na pewne dokumenty, gdy znajdziesz chwilę. Może pan Hammond zechciałby towarzyszyć paniom przez jakiś czas?

Brent zobaczył zmieszane spojrzenie Byrony. -Z największą przyjemnością, panowie - odpowiedział lekko. - Będę szczęśliwy, mogąc pokazać paniom wszystkie ciekawe rzeczy i być dla nich miłym towarzyszem. - Odwrócił się do Irene. - Czy wiedziała pani, na przykład, że jesteśmy całkiem niedaleko farmy Hocka? W posiadłości jest pan Sutter razem z jednym z synów. Z tego, co wiem, bardzo się zmienił.

- Nie będziesz miała nic przeciwko, moja droga? - Ira spytał Byrony. - To nie zajmie dużo czasu. Cóż mogła powiedzieć?

- Chyba wrócę do swojej kajuty - odezwała się Irene. - Delektuj się uroczym porankiem, Byrony.

Żegnam panów.

Ira pomógł siostrze wstać, a sekundę później Byrony wpatrywała się w Brenta Hammonda. Czuli się, jakby byli jedynymi ludźmi na świecie, choć otaczali ich inni pasażerowie.

- Ja chyba także pójdę do kajuty - powiedziała, podnosząc się z krzesła.

- Co? Czyżby się pani bała? Zapewniam panią, pani Butler, że nie będę próbował niczego tak niestosownego, jak całowanie pani czy dotykanie jej biustu na oczach wszystkich.

Z trudem złapała oddech i na moment przymknęła oczy. - Panie Hammond - powiedziała w końcu -nie rozumiem dlaczego zachowuje się pan tak absurdalnie, obrażając mnie. O ile wiem, to nigdy nie wyrządziłam panu żadnej krzywdy, nie zrobiłam niczego poza obsypaniem pana mąką.

- A to zagadka, prawda? - powiedział lekko, wpatrując się w jej twarz.

Wyciągnął się na krześle, krzyżując długie nogi. -Wydaje mi się jednak, że są między nami pewne niedokończone sprawy.

- To znaczy?

- Chyba powiedziałem pani, że jeśli jeszcze raz mnie pani uderzy, odpłacę jej tym samym. Chciałbym przypomnieć, że niemal pozbawiła mnie pani męskości. Obawiam się, że gdyby pani lepiej celowała, to nie byłbym w stanie uratować biednej pani Saxton przed napastnikiem.

- To pan był napastnikiem! Ja się tylko broniłam! Brent wyprostował się z gracją. Widziała, jak błyszczą jego niebieskie oczy, tak głębokie i bezkresne, że przyciągały ją wbrew woli. Chciał jej dotknąć, chciał wyciągnąć wszystkie te cholerne spinki i wsunąć palce w jej włosy. - Naprawdę, Byrony? Trochę to dziwne - dodał po chwili. - Uważałem, że twoje imię jest czarujące i takie nietypowe. Może nawet przez chwilę wierzyłem, że jesteś, tak jak twoje imię, inna od reszty kobiet. Na przekór własnym doświadczeniom. Wygląda na *to*, że całkiem nieźle się urządziłaś w luksusie. Jesteś teraz bardziej wyrobiona niż dziewczyna, którą spotkałem w San Diego.

- Panie Hammond, nie wiem, jakie były pańskie tak zwane doświadczenia. Nie mam nic wspólnego z pańskimi niepowodzeniami! Czy mógłby mnie pan zostawić w spokoju?

- Zastanawiałem się nad zapłatą - ciągnął, ignorując jej słowa. - Ręka mnie świerzbi, żeby odsłonić twój śliczny tyłeczek i dać ci klapsa.

- Proszę przestać! Nie zamierzam tego słuchać! -Zerwała się na równe nogi, niemal przewracając mały stolik.

- O co chodzi? Czyżbyś nie miała ślicznego tyłeczka? - Nagle jego głos stał się twardy i rozkazujący. - Proszę usiąść, pani Butler. Na pewno nie chce pani robić scen. Jestem pewien, że wielu pasażerów zna pani męża. Zastanawiam się, co by powiedział.

Ma rację, pomyślała, siadając na krześle. Tutaj nie mógł jej nic zrobić. Będzie po prostu znosić jego obecność, aż mu się znudzi obrażanie jej.

- Tak lepiej. Powiedz mi, Byrony, czy twój mąż zadowala cię w łóżku? Czy przeszkadzało mu, że

nie byłaś... dziewczą? A może oszukałaś go i krzyczałaś w odpowiednim momencie? A może trochę fałszywej krwi?

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, a on miał ochotę nią potrząsnąć.

Musiał przyznać, że jest dobrą aktorką. Opuściła wzrok na kolana i zobaczył, jak ze złości i bólu oblewa się rumieńcem.

- Ach, widzę, że niezbyt długo udawałaś naiwną. Nie, pomyślała tępo, wiem, o czym mówisz. Mój kochany ojciec mówił mi to samo. Muszę się wziąć w garść. Tutaj nie może mi nic zrobić. Ani tutaj, ani nigdzie. Niedługo się od niego uwolnię. Ta myśl sprawiła jej ból.

- Panie Hammond, kim jest księżna? I co ma wspólnego z domem obok pańskiego baru?

Wyglądał na zaskoczonego, potem odchylił głowę i roześmiał się głośno. - Moja droga, słuchałaś tego, czego słuchać nie powinnaś.

- Pomyślałam, że może jest pańską kochanką. Jej ostry ton rozbawił go jeszcze bardziej. - Nie, nie jest moją kochanką, lecz współpracowniczką w interesach. Nazywa się Maggie i, co najdziwniejsze, jest porządną kobietą. Diogenes byłby szczęśliwy, gdyby ją znał. A jeśli chodzi o jej dom, to jest w nim burdel. Księżna jest burdelmama, jedną z najlepszych w San Francisco. Belle Cora i Ah Choy nie dorównują jej, jeśli chodzi o urodę i umiejętności jej dziewcząt.

- Burdel - powtórzyła tępo.

- Tak. Jestem pewien, że wiesz, co to takiego. Miejsce, w którym mężczyźni płacą za przyjemność.

Jej dom rozkoszy jest połączony z moim barem. Dwa interesy obok siebie, uzupełniające się nawzajem, jak możesz sobie wyobrazić. Mężczyzna wygrywa i chce to uczcić. Mężczyzna przegrywa i chce ukoić smutek, a gdzie jest lepsze miejsce niż w ciepłych ramionach kobiety?

Byrony nie mogła uwierzyć, że mówi tak otwarcie o burdelu i o tym, co robią tam mężczyźni. Nie przychodziła jej do głowy żadna odpowiedź, żadna cięta uwaga, która przywołałaby go do porządku. Śmiałyby się tylko, gdyby powiedziała mu prawdę. Już mu powiedziała, a on jej nie uwierzył. Przez całe życie była chroniona. To jej ojciec sprawił, że stała się świadoma swojej kobiecości i że czuła się brudna.

- Może - ciągnął od niechcienia Brent, gdy się nie odezwała - zechcesz odwiedzić Maggie. Oczywiście w tajemnicy. Kobieta, która dla pieniędzy wychodzi za mąż za starszego człowieka, rzadko jest zadowolona. Bogaty mąż chce wyłącznie cieszyć się swoim nabytkiem; nie ma ochoty przejmować się zaspokajaniem pożądlivej żonczki. Tak jak powiedziałem zeszłej nocy, pani Butler, jeśli zmęczą panią szarady, być może przyjmę panią do swojego łóżka. Ale chciałbym być pierwszy. Nie chciałbym być zbyt daleko na liście pani kochanków.

Starła się go nie słuchać, ale nie mogła. Pomyślała rozczarowana, że większość mężczyzn jest taka jak on i jak jej ojciec. Tylko Ira był inny. Podniosła się powoli i uśmiechnęła się do niego. - Czy już pan skończył, panie Hammond?

- Nie, jeszcze muszę odkryć twój tyłeczek.

- Sądzę, że pan skończył. Mój mąż jest bardzo dobrym człowiekiem, dżentelmenem. Jeśli mam być szczerą, jest jedynym dobrym mężczyzną, jakiego spotkałam. Kiedyś panu powiedziałam, że nie ma w panu zła. Najwyraźniej się myliłam, i to bardzo. Zegnam.

Odwróciła się na pięcie, ale zatrzymał ją jego cichy, sarkastyczny głos: - Kiedy poród?

Zbladła i powoli odwróciła się w jego stronę. - Co pan o tym wie?

- Popytałem - powiedział lodowatym tonem. A prawda wypisana była na jej twarzy. - Wygląda

na to, że pani i szwagierka zostanieie w Sacramento przez kilka miesięcy. Och, proszę się nie martwić, pani Butler, nie rozpowiem, że noc poślubna była przed ślubem. Ale pewnie gdyby nie dziecko, nie byłoby małżeństwa, prawda?

Patrzyła przez niego. - Tak - odparła bardzo cicho - ma pan rację.

Nagle podniósł się i stanął obok niej. - A więc to prawda. Do diabła z tobą! Ja bym... - przerwał, zaskoczony myślą, która się pojawiła.

Ja bym się z tobą ożenił.

Widziała wściekłość w jego oczach, czuła napięcie jego ciała. Nie rozumiała ani jego, ani jego wściekłości. Przecież nią pogardzał.

- Mam nadzieję, że nie stracisz swojej uroczej sylwetki - powiedział.

- Nie stracę, ale co to pana obchodzi, panie Hammond?

- Nie obchodzi, do cholery!

Odszedł szybko, wściekły. Patrzyła za nim.

- Muszę pójść zobaczyć, jak się czuje Irene - powiedziała głośno. Tak, zobaczę, jak się czuje Irene.

*

Byrony nienawidziła Sacramento. Choć była dopiero wiosna, panował tam upał i wilgoć. Dom Iry był mały, duszny, ale przynajmniej znajdował się blisko rzeki. Na szczęście nie zabroniono jej chodzić nad rzekę. Siedziała naprzeciwko Iry i Irene w kwadratowym salonie i słuchała męża.

- Pamiętaj, Byrony, że nie możesz zadawać się z miejscowymi ludźmi. Znam kilku z nich i nie powinni widzieć, że moja żona nie jest ciężarna, choć powinna być.

Byrony uniosła się lekko na krześle, gdy kropla potu spłynęła jej między piersiami. Westchnęła. - Dobrze, Ira.

- Wiem, że to będzie ciężki okres dla was obu, ale nie widzę innego rozwiązania.

Byrony miała ochotę zapytać, dlaczego nie mogli pojechać na przykład do Newady, gdzie nikogo nie obchodziłoby, kim są. Nie odezwała się jednak. Dała słowo i musiała go dotrzymać.

- Irene, zapłacę twojemu doktorowi za milczenie. Nazywa się Vincent Chambers. To dobry człowiek. Niedługo cię odwiedzi. Wiem, że lubisz dużo czytać, Byrony. Dostarczę ci tyle książek, ile tylko uda mi się tu znaleźć. A teraz, moje panie, jeśli mi wybaczycie, muszę zająć się interesami przed powrotem do San Francisco.

Byrony pozwoliła Irene odprowadzić brata do drzwi. Wiedziała, że martwił się o siostrę, a ponieważ ona nie miała mu nic do powiedzenia, wolała, żeby odprowadziła go Irene.

- Przygotowałam mrożoną lemoniadę, pani Butler. Wygląda pani na zmęczoną.

- Dziękuję, Eileen. - Wypiła duży łyk i oparła głowę na obiciu fotela. Przed oczami pojawiła się natychmiast, jak wyczarowana, twarz Brenta Hammonda. Okropny człowiek! Myślał o niej niemal tak dobrze, jak jej ojciec. Dlaczego obchodziło ją, że uważał ją za wstrętą, zdradliwą kobietę? Pozwoliła mu wierzyć, że jest w ciąży - celny strzał - ale przecież nie miała wyboru. Nie mogła zdradzić Iry ani Irene. Zmusiła się, żeby wstać i podejść wolno do okna z widokiem na rzekę. Spróbowała je otworzyć, ale nie drgnęło. Poczuła, jak uchodzi z niej energia i nadzieja. Oparła czoło o szybę i zamknęła oczy.

Zostaw mnie w spokoju, Brencie Hammond. Po prostu zostaw mnie w spokoju.

Jednak w głębi duszy zastanawiała się, co teraz robi i jak długo zamierza zostać w Sacramento. Zacisnęła dłonie. Nie zauważyła, że po jej policzkach spływają łzy zmieszane z potem.

ROZDZIAŁ 7

Sacramento, 1853

- Wszyscy w to wierzą, prawda Ira?

Ira spojrział na Byrony, wiedząc, że od dawna chciała mu zadać to pytanie. Zdawał sobie sprawę, że jest bystra i zastanawiał się, dlaczego nie zapytała o to wcześniej. Bardzo łagodnie powiedział: - Tak, Byrony, wszyscy w to wierzą.

- Nie dziwi mnie to. Kiedy wrócimy do San Francisco, ja ze swoim nowo narodzonym dzieckiem, wtedy to się potwierdzi. Czy ktoś w ogóle będzie chciał ze mną rozmawiać?

Bardzo żałował, że skazał Byrony i siostrę na odosobnienie. Pewnym pocieszeniem, choć niewielkim, było to, że co miesiąc przyjeżdżał do nich na tydzień.

- Pewnie mi nie uwierzysz, Byrony, ale porządni ludzie w San Francisco myślą o nas lepiej, ponieważ nie wywołaliśmy skandalu. Kiedy wrócisz, wszyscy, których znam, nawet ci najbardziej konserwatywni, powitają cię z radością. Łatwiej jest zaakceptować dziecko, które nagle się pojawiło, niż patrzeć na zbyt szybko rozwijającą się ciążę. Oczywiście, wszyscy wierzą, że pobraliśmy się, ponieważ byłaś w ciąży, ale twoja nieobecność w pewnym sensie cię oczyszcza.

- Można powiedzieć, że chronimy ich przed nimi samymi - stwierdziła ironicznie Byrony.

- Jeśli tak chcesz to ująć, owszem. Bytem na górze u Irene. Zapewniła mnie, że poza lekkim bólem pleców nic jej nie dolega. Doktor Chambers również uważa, że wszystko jest w porządku. Też tak sądzisz?

Byrony zirytowana wzruszyła ramionami, ale natychmiast poczuła się winna. Jakim cudem Ira wyglądał tak świeżo? Ona czuła się jak jedna z wilgotnych ścierek Eileen. Nawet we wrześniu jej koszula już o dziesiątej rano była mokra i przylegała do pleców.

- Przepraszam, Ira - powiedziała, zmuszając się do uśmiechu. - Irene czuje się dobrze. Upał ją męczy, ale się nie skarży. Naprawdę nie wiem, jak ludzie mogą tu mieszkać! Na palcach jednej ręki mogę policzyć dni, które były znośne.

Ira wyglądał na zamyślonego. Byrony skrzywiła się, gdy napił się gorącej herbaty. W ciągu letnich miesięcy w Sacramento wypijała więcej mrożonej lemoniady i wody niż w całym swoim życiu. Latem w Bostonie również było gorąco, ale dom ciotki Idy był duży, przewiewny i cudownie chłodny.

- Czy Irene rozmawiała z tobą o... o pewnych sprawach?

Gdyby rozmawiała, pomyślała Byrony, może czas upłynąłby szybciej. Irene była jak małż w skorupie. Potrząsnęła głową. - Nie. A ja uważam, że nie powinnam zadawać pytań, Ira. Jeśli nawet kiedykolwiek była rozzalona z powodu tego mężczyzny albo ciąży, mnie o tym nie powiedziała. Wydaje się nawet całkiem zadowolona z tego powodu.

- Dobrze - odparł Ira z ulgą w głosie. - To było dla niej bardzo trudne. Martwiłem się o nią.

A co ze mną? - chciała zapytać Byrony, ale nie zrobiła tego. Chciała powiedzieć, że teraz rozumie, jak to jest być więźniem, ale nic by to nie dało.

- Dziecko ma się urodzić mniej więcej za dwa tygodnie - rzuciła Byrony.

- Tak, powinienem wrócić na czas. To ważne, żebym tu był.

Dziwne, pomyślała Byrony. Nie udało się jej zbliżyć do Irene przez ostatnie miesiące, choć próbowała. Irene odnosiła się do niej z rezerwą, dziecko było jej, a nie Byrony i wydawało się, że Irene nie chce, żeby to się zmieniło. Jeśli mówiła z ożywieniem, to wyłącznie o dziecku. Byrony zastanawiała się, jak Irene będzie się zachowywać, gdy dziecko się urodzi. I czy ona da radę traktować dziecko jak swoje? Wydawało jej się to niemożliwe.

- Mam dla ciebie list od matki, Byrony - powiedział Ira, wrywając ją z zamyślenia.

Byrony rozpogodziła się i wzięła od męża gładką kopertę. Była otwarta, tak jak dwie poprzednie. Za pierwszym razem się obruszyła, ale powiedział tylko przeproszającym tonem: - Chodzi o twojego ojca, Byrony. Nie ufam mu.

- Ja również - odparła. A cóż to ma do rzeczy, pomyślała. Nie podejmowała jednak dalszej dyskusji, a on nadal otwierał listy.

W liście było niewiele wiadomości i ani słowa o jej ojcu. Matka oczywiście wierzyła, że mieszka szczęśliwa ze swoim mężem w San Francisco. Przeczytała list i włożyła go z powrotem do koperty. Zamierzała odpisać i dać Irze do wysłania w San Francisco. Tajemnica powinna być zachowana.

Nagle poczuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek w życiu. Pusta. Łzy napłynęły jej do oczu i powoli spływały po policzkach.

- Byrony!

Przełknęła łzy i wytarła dłonią policzki. - Przepraszam, Ira. Naprawdę bardzo przepraszam. Tylko, że...

- Przerwała, niepewna tego, co może się jej wyrwać.

Wstał i podszedł do niej. - Biedna Byrony - odezwał się łagodnie, gładząc ją delikatnie po ramieniu.

- To musi być dla ciebie trudne, prawda? Obiecuję, że ci to wynagrodzę. - Westchnął. - Jesteś taka młoda. Potrzebujesz zabaw i przyjęć.

- Potrzebuję ludzi - powiedziała. Nagle zapragnęła zapytać go o Brenta Hammonda i aż musiała ugryźć się w język, żeby tego nie zrobić. Zamiast tego nieelegancko pociągnęła nosem i uśmiechnęła się.

- Powiedz, co się dzieje z państwem Saxton.

Najwyraźniej poczuł ulgę. - Cała sprawa jest bardzo dziwna. Na początku lata słyszałem pogłoski, że pani Saxton została zaatakowana przez ochroniarza. Potem wybuchł pożar w jednym z magazynów Saxtona. Słyszałem, że w połowie lata wyjechali z San Francisco i wrócili jakieś trzy tygodnie temu. O ile wiem, między nimi wszystko jest w porządku. Jeśli istniały jakieś tajemnice, to zostały wyjaśnione.

Wcale jej to nie obchodziło, ale udawała, że uważnie słucha jego słów.

Obydwoje zaskoczył przeszywający krzyk, który dobiegł z góry.

- O Boże! - powiedział Ira i wybiegł z salonu. Podążyła za nim, ale wolniej. Eileen zatrzymała ją przy drzwiach sypialni. - Nie, pani Butler. Nie powinna pani wchodzić. Dziecko chce przyjść na świat trochę wcześniej. Niedługo pan Butler sprowadzi doktora.

- Zajmij się nią, Eileen - powiedział Ira. Spojrzał na Byrony niewidzącym wzrokiem. - Wróć najszybciej, jak będę mógł.

Przez chwilę stała w wąskim korytarzu. Gdy była małą dziewczynką, nie wolno jej było zbliżyć się do rodzącej kobiety. Uważała, że mężczyźni wymyślili tę zasadę. Bali się, że jeśli kobieta zobaczy cierpienie związane z porodem, nie będzie chciała przez to przechodzić. Co by się wtedy stało z ludzką rasą, pomyślała cierpko.

Byrony wróciła na dół i ułożyła się w swoim ulubionym fotelu z książką na kolanach. Drżała za każdym razem, gdy usłyszała krzyk. To było straszne. Nigdy tak naprawdę nie myślała o urodzeniu dziecka. Wszystko trwało bardzo długo. Na górze cały czas był doktor Chambers, mały łysiejący mężczyzna, który traktował ludzi jak insekty, które należało tolerować. Ira od czasu do czasu schodził na dół. Wyglądał na wykończonego i Byrony bardzo mu współczuła.

- Boże, jak długo jeszcze? - zapytał, przesuwając bezwiednie palcami po jasnych włosach. Nigdy wcześniej nie widziała go w spodniach i koszuli z podwiniętymi rękawami. Przedramiona miał blade i mocno owłosione. Nie wiedziała, co powiedzieć. Wymamrotała coś głupiego, ale Ira nie zwrócił na to uwagi. Przechadzał się nerwowo po pokoju, co chwila patrząc na sufit. - Na szczęście dziecko urodzi się trochę wcześniej. Nie roztyła się. Dlaczego nie wychodzi? - Rozległ się przesywający krzyk i Ira zbladł. Zajęczał, jakby to on odczuwał ból i popędził na górę. Byrony słyszała jego kroki na schodach.

Wstała i nawet nie zauważyła, że książka spadła na podłogę. Powoli podeszła do schodów. Usłyszała podniesione męskie głosy. A potem kolejny przeraźliwy krzyk.

Minęła godzina, potem następna. Nie było słychać krzyku. Nagle usłyszała ciche kwilenie. Dziecko! Pobiegła po schodach, ale Eileen zatrzymała ją przy drzwiach.

- Nie, pani Butler - powiedziała stanowczo. - Jeszcze nie teraz. Dziecko się urodziło, mała dziewczynka, a z panią wszystko będzie dobrze, obiecuję.

Było już dobrze po północy. Byrony siedziała i czekała na dole w nocnej koszuli i szlafroku. Spojrzała na Irę. Jego twarz była całkowicie zmieniona.

- Już po wszystkim - powiedział, zacierając ręce. - Irene teraz śpi. Dziewczynka jest mała, ale doktor Chambers mówi, że nic jej nie będzie.

- Czy dziecko jest podobne do Irene? - Przeklęła się w tej sekundzie, gdy wypowiedziała pytanie.

- Trudno powiedzieć - odparł, nie zwróciwszy uwagi na niestosowność jej pytania. - Ma prawie białe włosy i niebieskie oczy, ale Eileen mówi, że na początku wszystkie dzieci tak wyglądają. Jezu, nigdy więcej nie chcę przez to przechodzić.

Irene pewnie też, pomyślała. Byrony obawiała się, że dziecko będzie podobne do kochanki Irene, choć nie miała zielonego pojęcia, jak ten mężczyzna wyglądał. Irene stanowczo zbyła jej jedyne nieśmiałe pytanie na ten temat. Zobaczyła, jak zmęczony Ira opada na fotel. Zasnął w ciągu sekundy. Dziwnie patrzeć na niego, pomyślała. Choć był jej mężem, nigdy nie widziała go ubranego tak jak teraz ani śpiącego. Nie знаła go. Ogarnęło ją podniecenie. Już po wszystkim. Niedługo skończy się wygnanie.

*

Brent zerknął znad gazety i uśmiechnął się. - No i co, Maggie, jak wczoraj poszły interesy?

- Tak samo. Moje dziewczyny są wykończone. Rany, tak wielu napalonych facetów. - Zamilkła na chwilę i westchnęła. - Felice poroniła. Saint powiedział, że nic jej nie będzie. Mała idiotka musiała nie uważać. Natrę jej uszu, gdy dojdzie do siebie!

Brent wiedział, że się martwi, choć jej słowa były ostre. Najdziwniejsza burdelmama świata. Dbała o swoje dziewczyny, jakby były jej dziećmi, co było śmieszne, szczególnie w przypadku kilku

od niej starszych.

- A jeśli chodzi o ciebie, Brent, to wolałabym, żebyś nie zabierał Celeste.

- Przecież wiesz, Maggie, że nie lubię się dzielić swoimi kobietami. No, księżno, usiądź i odpocznij przez chwilę.

Maggie westchnęła i usiadła na miękkiej skórzanej kanapie w gabinecie Brenta. - Cholera, jestem taka zmęczona.

- Zmęczona czym? Liczeniem pieniędzy?

Otworzyła oko i patrzyła na niego, dopóki nie dostrzegła na jego twarzy szelmowskiego uśmiechu. - Jesteś draniem, Brent. I kto tu mówi o liczeniu pieniędzy! Ach, interes idzie dobrze. Oboje jesteśmy cholernymi szczęściarzami.

- To prawda. Chcesz drinka, Maggie?

- Myślę, że szklaneczka dobrej whisky nie zaszkodzi - powiedziała, prostując się. Patrzyła, jak podchodzi do małego barku w pobliżu mahoniowego biurka. Za gabinetem znajdował się mały salon i duża sypialnia. - Wszystko wygląda tu tak przytulnie. Dobrze sobie poradziłeś z umeblowaniem, Brent.

- Dziękuję - odparł, podając jej whisky.

- Wznoszę toast za wszystkie nasze marzenia - powiedziała Maggie. Nie zauważyła dziwnego, niemal nieobecnego wzroku Brenta. Alkohol spłynął ciepłą strugą do żołądka i od razu się rozpromieniła.

- Dlaczego nie chcesz mieszkać z Celeste? Urządziłeś ją jak królową.

Brent wzruszył ramionami. - Lubię mieć gabinet i pokój nad barem. Może się również zdarzyć - dodał rozbawiony - że jedna z twoich dziewcząt pomyli w nocy drogę i wejdzie do mojej sypialni.

- Jeśli tak się stanie, bądź pewien, że wystawię ci słony rachunek. - Wyciągnęła w jego stronę pustą szklanę. - Jeszcze jedną, Brent. Po drugiej czuję się luksusową kobietą.

- Boże, broń mnie od luksusowych kobiet - powiedział.

Przez moment przyglądała mu się uważnie. - Chcesz powiedzieć, Boże broń od wszystkich kobiet, które się za tobą uganiają. Wiesz, Brent, wielu facetów oddałoby wszystko za twoje powodzenie u kobiet. Czy zawsze musisz odganiać je kijem?

- Przesadzasz, Maggie - powiedział łagodnie, siadając w swoim ulubionym, dużym fotelu. - Trochę.

- Ha! Ominęła cię wątpliwa przyjemność wysłuchiwanie opowieści Celeste o twoim wspaniałym ciecie i umiejętnościach kochanka.

- Jakie to musiało być dla ciebie nudne, księżno. Oczywiście nie wierzysz jej. W końcu nigdy nie zauważyłem, żebyś się za mną uganiała. Zapomniałem nawet, że mam kij, kiedy przyszedłeś. Bardzo dołujące dla człowieka o mojej... wielkości.

Jej policzki zaróżowiły się lekko i przez moment nie patrzyła w jego ciemne, szydercze oczy.

Uniósł brew. - Zachowujesz się bezsensownie, wiesz?

- Tak - westchnęła. - Chyba tak. Wiesz, Brent, ty i ja jesteśmy parą powściągliwych ludzi. Myślę, że można nas nazwać samotnikami. A przynajmniej ciebie. Nikogo nie potrzebujesz, prawda?

Brent ostrożnie wyciągnął przed siebie nogi i skrzyżował je. - Potrzebuję ludzi - powiedział.

- Ale zawsze trzymasz się na dystans, jakbyś nie chciał, żeby ktoś się do ciebie zbliżył. Jeśli znam się na czymkolwiek, Brent - ciągnęła, gdy on milczał - to właśnie na mężczyznach.

- Maggie, nie ma się na czym znać. Wszyscy jesteśmy bardzo prości.

- Seks, jedzenie i pieniądze.

- W takiej kolejności? Nie bądź krótkowzroczna. Zapominasz o dobrej whisky i wygodnym łóżku.

- Och, Brent, czy ty nigdy nie jesteś poważny? A może się boisz, że za bardzo się do ciebie zbliżę i dlatego błaznujesz i odpychasz mnie od siebie?

- Maggie - powiedział bardzo cicho - daj spokój, dobrze? To, kim ty jesteś i kim ja jestem, nie powinno nikogo obchodzić. Wiem na pewno, że sypiasz sama. Czy to upoważnia mnie, żeby pytać o powody? Naprawdę uważam, że uzalanie się nad przeszłością, której nie można zmienić, nie ma sensu.

- Nie wychowałeś się w biedzie, Brent, więc twoja przeszłość nie może być taka zła. Trochę mi powiedziałaś o Wakehurst. Chyba powinnam być wniebowzięta, że zaufałaś mnie, kobiecie. Twoje oczy mają teraz taki niedobry wyraz! Wiem, że to kobieta zrobiła z ciebie samotnika!

Była z siebie tak zadowolona, że Brent pohamował swoją złość na to okropne wścibstwo.

- Czyż kobiety nie są przyczyną wszystkich męskich problemów? - zapytał, cedząc słowa, aż Maggie zamrugła.

- No cóż, w moim przypadku to był mężczyzna, a ściślej mówiąc, mój ojciec - dodała szczerze. - Napalony, cnotliwy kołtun! Boże, nienawidziłam go! - Wzięła się w garść, zaskoczona swoim wybuchem, i powiedziała dobitnie: - Ty jesteś twardzielem, Brencie Hammond, prawda? Wybacz mi. Już nie będę, skoro nie chcesz, żebym wypłakiwała się na twoim ramieniu.

- Nie bądź głupia, Maggie. - Wstał, przeciągnął się i z wdziękiem podszedł do okna. Opanowanym, chłodnym głosem rzucił przez ramię: - Jeśli chcesz, to mu dołożę. Chciałabyś?

Roześmiała się, na początku niepewnie, a później głośno i z całego serca. - Och, nie! Bóg raczy wiedzieć, ile osób musi teraz utrzymać. Nie chciałabym, żeby te maleństwa zostały sierotami. - Umilkła na chwilę, przyglądając się jego szerokim plecami. - Czy kiedykolwiek chciałeś mieć żonę i rodzinę, Brent?

Jego ciało nagle zeszywniało, ale gdy w końcu odpowiedział, głos miał spokojny, a nawet rozbawiony:

- Czy widzisz mnie kołyszącego dzieciaki na kolanach? - Odwrócił się do niej i uniósł rękę. - Nie, księżno, nie odpowiadaj. Jeśli chcesz znać prawdę, raz była jedna dziewczyna. Słodka, piękna i łagodna. Ale oczywiście wszystko okazało się kłamstwem, grą. Jesteś zadowolona?

- Raz, Brent? Wieki temu czy niedawno?

- Niedawno - odpowiedział sucho, potem wymownie wzruszył ramionami, co wcale jej nie zwiódło.

- Ona jest, jaka jest, a ja byłem na tyle głupi, że pomyślałem... Wystarczy. Wszyscy się uczymy, prawda Maggie? A tak przy okazji, nie masz żadnych kłopotów z Jamesem Corą?

Wyraz twarzy Maggie nie zmienił się. Pomyślała, że to rozgoryczenie było tylko czubkiem góry lodowej. Musiałby się bardzo upić, żeby powiedzieć więcej. Przystała na zmianę tematu, chociaż w duchu zastanawiała się, którą kobietę miał na myśli. - Jest przystojny - powiedziała wymijająco. - Muszę ci to przyznać, ale nie chcę go. Zdradziecki łajdak i Belle o tym wie. Oczywiście sama też nie jest święta.

Brent przez chwilę przyglądał się w milczeniu swojej partnerce. Podziwiał ją i lubił nawet wtedy, gdy stawała się nieznośna. Była ładna, choć nie w tak oczywisty sposób. Nie ubierała się krzykliwie. Nikt nie wziąłby jej za dziwkę ani za burdelmameę. Wyglądała całkiem elegancko, z czarnymi włosami upiętymi w kok. Zastanawiał się przez chwilę, jak by wyglądała w bardziej

swobodnej fryzurze. Miała na sobie jasnoszarą suknię z wysokim kołnierzem, tak skromną, że mogłaby w niej chodzić dyrektorka pensji dla dziewcząt.

- Przestań się tak na mnie gapić, Brent - powiedziała Maggie ze zmarszczonymi brwiami. - Wiem, że nie podoba ci się to, co widzisz, ale mnie to nie obchodzi.

- Nie podoba się... Nie bądź niemądra, Maggie. Jesteś bardzo ładną kobietą i właśnie o tym myślałem.

- To miłe z twojej strony. - Podniosła się i poprawiła spódnicę. - Za chwilę zaczniesz się zastanawiać, dlaczego nie chcę mieć gromadki dzieci. - Posłała mu figlarny uśmiech i rzuciła na odchodne: - Zastanawiam się, kim mogła być ta podła dziewczyna.

- Maggie!

- Mam ochotę zagrać dziś z tobą w pokera o wysoką stawkę, Brent. Nie przegraj wszystkich pieniędzy, zachowaj trochę dla mnie.

Przesuwając palcami po włosach, zastanawiał się, dlaczego był tak głupi, by wspominać o Byrony. Do licha, dlaczego nie mógł o niej zapomnieć? Zesztywniał, uświadomiwszy sobie, że pewnie już urodziła dziecko. Aż się w nim zagotowało i ogarnęła go nienawiść do samego siebie. Dowiedział się, że Ira Butler niemal co tydzień jeździ do Sacramento. A w wyższych sferach San Francisco plotkowano, że żona Iry była ciężarna, zanim na jej palcu zabłysła obrączka. Wyjechała z miasta, żeby nie zawstydzić nikogo swoją obecnością. To było mądre posunięcie, pewnie pomyśl Iry. Do diabła z nim! Usłyszał jakieś krzyki na ulicy i podszedł do okna, które wychodziło na Montgomery. Na dole dwóch pijanych mężczyzn, wyglądających na górników, z werwą okładało się pięściami. Uśmiechnął się. Miał ochotę się do nich przyłączyć.

Kiedy ona wraca do San Francisco?

ROZDZIAŁ 8

San Francisco, 1853

- Nie dotykaj jej!

Na dźwięk wściekłego głosu Irene Byrony natychmiast wyprostowała się nad kołyską Michelle. Dziecko, które do tej pory patrzyło na nią niewyraźnym wzrokiem, teraz zaczęło głośno płakać.

- Zobacz, co zrobiłaś! Moje biedne maleństwo. Chodź do mamusi, kochanie.

Byrony oszołomiona patrzyła, jak Irene pochyła się nad kołyską i delikatnie bierze dziecko na ręce.

- Nic nie zrobiłam - powiedziała Byrony, gdy dziecko przestało płakać. - Zdenerwował ją twój krzyk, Irene.

Zamarła na moment, widząc wściekłość w ciemnych oczach Irene. Wściekłość szybko znikła. Byrony zastanawiała się nawet, czy jej się to nie przywidziało.

Nie wymyśliła sobie jednak gniewu Irene, gdy chciała zbliżyć się do dziecka.

- Przepraszam, Byrony - powiedziała Irene, mocniej przyciskając do siebie dziecko. - Byłam... byłam czymś zdenerwowana i wyładowałam się na tobie. To głupie z mojej strony. Cichutko, aniołku.

- Oczywiście - odparła Byrony i wyszła z pokoju dziecka. Poszła do swojej sypialni i cicho zamknęła drzwi. Spojrzała na zamknięte drzwi, które łączyły jej pokój z pokojem Iry. Mój mąż, pomyślała, i roześmiała się z goryczą, ale zaraz umilkła.

Wrócili do San Francisco ponad dwa tygodnie temu. Pierwszą rzeczą, jaką doceniła Byrony, był cudowny chłód. Uwielbiała mgłę, falującą nad zatoką jak pierzasta chmura. Czasami zasłaniała miasto, dochodząc nawet do wzgórza Rincon. Byrony zebrała myśli. Był zimny, ale pogodny dzień, tak zimny jak słowa Irene. Muszę porozmawiać z Iry. Musi coś zrobić z Irene. A poza tym nie mogę dłużej pozostawać w zamknięciu!

Byrony czekała cierpliwie, dopóki nie usłyszała, że Ira krząta się w swoim pokoju. Cierpliwość. Tego nauczyła się w ciągu ostatnich miesięcy. Cierpliwość dla nudy. Po raz pierwszy podniosła rękę, żeby zapukać do drzwi jego pokoju, ale opuściła ją. Nigdy nie została tam zaproszona, widziała ten pokój tylko przez krótką chwilę, gdy oprowadzał ją po domu. Bardzo męski pokój. Czekala, aż w końcu usłyszała, jak wychodzi, idzie na dół. Poprawiła włosy, wygładziła sukienkę i poszła do jego gabinetu. Zapukała zdecydowanie w zamknięte drzwi.

- Byrony, wejdź, moja droga. - Ira wstał, żeby ją przywitać. - Jak minął dzień?

Czuła, że się jej przygląda. Zastanawiała się o czym myślał, patrząc na nią.

- Muszę z tobą porozmawiać, Ira - powiedziała.

- Oczywiście. Wejdź i usiądź. Zrobiła to i splotła dłonie na kolanach.

- O co chodzi, moja droga? Od czego zacząć? Jak wyjaśnić problem?

- Ira - powiedziała szybko - Irene nie chce, żebym zbliżała się do dziecka.

Wyczuła, że zeszywniał, choć jego słowa były uprzejme. - Na pewno przesadzasz, moja droga.

Zgadzam się, że Irene jest trochę nadopiekuńcza, ale to chyba zrozumiałe, prawda?

- Ira - ciągnęła, zmuszając się do zachowania spokoju - Michelle ma uchościć za moje dziecko. Jeśli ktoś zobaczy Irene z dzieckiem, a ja będę wlokła się za nimi jak przygłupia niania, to ludzie domyślą się, że coś jest nie w porządku.

Westchnął, pocierając kciukiem szczękę. Zauważyła, że miał taki nawyk, ilekroć głęboko się nad czymś zastanawiał. - Ludzie nie są głupi - odezwał się w końcu. - Oczywiście masz rację.

- Muszę przynajmniej na tyle poznać dziecko, żeby nie płakało, gdy wezmę je na ręce. Irene musi to zrozumieć...

- Co muszę zrozumieć?

Ira odwrócił się na pięcie. - Irene! Wejdz.

- Już weszłam - powiedziała chłodno Irene. - Chciałabym się dowiedzieć, jakie bajki opowiada ci Byrony za moimi plecami?

Byrony zatkało. - Nie opowiadam bajek! Na miłość boską, Irene, musimy coś wymyślić!

- Wszystko byłoby w porządku, gdybyś się nie wtrącała!

- Dosyć - powiedział Ira. Byrony patrzyła, jak łagodnie obejmuje siostrę. Mówił coś do Irene, ale nie słyszała słów. Gdyby tylko wytłumaczył jej, że zachowuje się jak idiotka! Nie, poprawiła się w myślach, nie jak idiotka, lecz jak biedna kobieta, która wiele przeszła i musi mieć dziecko, żeby poczuć swoją pełną wartość.

Irene załkała i zaczęła płakać.

O, do diabła! - pomyślała Byrony. Ira nie musiał być aż tak niemiły! Czekwała w napięciu.

Wydawało się, że Irene się opanowała. Ira poklepał ją po plecach i podprowadził do krzesła. - A teraz - powiedział, przenosząc wzrok z Irene na Byrony - musimy zastanowić się nad sytuacją. W końcu chcemy tego, co najlepsze dla Michelle. Irene, kochanie, musisz zrozumieć, że Byrony ma rację. Musisz pozwolić jej zbliżyć się do dziecka, bo inaczej ludzie zaczną się zastanawiać. Nie możesz być taka zaborcza. Zgadzasz się ze mną?

Irene zwlekała z odpowiedzią tylko przez krótką chwilę. - Tak, Ira - odparła beznamiętnie.

I to wszystko, pomyślała Byrony.

- Dobrze, a teraz mam dla was obu niespodziankę. W przyszły piątek wydamy przyjęcie. Już czas, żeby odpowiednio przedstawić Byrony naszym przyjaciołom.

Byrony poczuła ogarniającą ją falę podekscytowania. - To cudownie, Ira! Czy już zrobiłaś listę gości? O Boże, musimy zatrudnić pomoc. Ale jestem dobrą kucharką i mogę pomagać Eileen...

- Spokojnie - roześmiał się Ira, unosząc ręce. - Wszystko po kolei. Po pierwsze, przygotowałem listę gości i przejrzymy ją razem, Byrony. Załatwiłem już dodatkowych służących i, co więcej, zatrudniłem kucharkę. Nazywa się Naomi; to Murzynka z Alabamy. Irene, chcę żebyś do piątku dobrze wypoczęła. Pamiętaj, że to Byrony, urodziła dziecko, nie ty. Znowu musisz mieć zaróżowione policzki.

I to wszystko, znowu pomyślała Byrony. Pan przemówił. Domyślała się, że Irene jej nie lubi, ale co mogła na to poradzić?

Podczas obiadu Byrony bawiła się jedzeniem na talerzu, krojąc piersi kurczaka na małe kwadraciki i przysłuchując się od niechcienia wysiłkom Iry, starającego się rozluźnić atmosferę. Jest dobrym człowiekiem, pomyślała, patrząc na niego spod rzęs. Tak bardzo się starał, żeby obie kobiety w jego domu były zadowolone. Jego dom. Dziwne, ale nie czuła się częścią tej rodziny. Zastanawiała się, czy to kiedykolwiek się zmieni.

Następnego dnia Ira zapukał do jej drzwi wcześnie rano. Byrony była już ubrana i przechadzała się po pokoju. - Ira - powiedziała zaskoczona, spodziewając się Eileen.

- Chodź, moja droga, mam dla ciebie niespodziankę.

- Co? Jeszcze jedną? Myślałam, że wyszedłeś już do biura.

- Moje interesy nie utoną w zatoce - powiedział, podając jej ramię. - Chodź, bo nie powiem już nic więcej.

Byrony poszła za mężem na zewnątrz, niezadowolona z jego milczenia. - Nie rozumiem- zaczęła, lecz w tej chwili aż zamrugowała ze zdziwienia. - Thorny! Moja klacz! Och, Ira! - Rzuciła się w jego ramiona i mocno uściskała. Za chwilę oderwała się od męża i zaczęła głaskać Thorny po aksamitnych chrapach. - Jak udało ci się nakłonić ojca, żeby się z nią rozstał?

- To nie było trudne - odparł sucho Ira. - Już zdążył ją sprzedać. Kupiłem ją od człowieka, który się nazywa Joaquin de Neve.

- Ojciec Gabriela. To miłe z jego strony. Myślę, że było mu mnie żal po tym wszystkim... ale to już przeszłość. Bardzo ci dziękuję. To najwspanialsza niespodzianka, jaka mogła mnie spotkać!

Uśmiechnął się, myśląc, że to pewnie prawda. Może teraz nastanie pokój. Irene nie lubiła jeździć konno, więc dwie kobiety nie będą przebywać razem przynajmniej przez część dnia. Przyglądał się uważnie żonie, gdy szeptała ciche słówka do klaczy. Była chuda i zbyt blada. Może jazda konna przywróci jej rumieńce i pomoże nabrać trochę wagi. Nie chciał, by ktokolwiek na piątkowym przyjęciu podejrzewał, że to nie ona jest matką Michelle. Uważał, że trochę zbrzydła podczas pobytu w Sacramento; jej śliczne włosy straciły połysk, a zielone oczy nie miały już dawnego blasku. Gdy nagle odwróciła się do niego, zdał sobie sprawę, że mylił się co do jej oczu. Przynajmniej teraz błyszcząły, pełne życia.

- Myślę, że znowu powinniśmy odwiedzić monsieur Davida - powiedział. - Będziesz potrzebowała stroju do jazdy konnej.

- Och, nie! Mam swoje bryczesy...

- Boże broń - przerwał jej Ira z rozbawieniem. - Wywołaliśmy już wystarczający skandal w towarzystwie. Zagotowałyby się od plotek, gdybyś jeździła w spodniach.

- Masz rację - powiedziała z westchnieniem. - Nigdy nie miałam stroju do jazdy konnej - przyznała nieśmiało.

Był zły na Madisona DeWitta, ale powiedział tylko: - Teraz będziesz miała przynajmniej trzy. Jeden musi być błękitny.

*

Do eleganckiego sklepu monsieur Davida poszła w towarzystwie Eileen.

- Pan Butler nalega, żeby jeden strój był błękitny - zwierzyła się Byrony, niemal podskakując z radości, że wyszła na zewnątrz, jest sama i wolna. Na początku nie wiedziała, co myśleć o Eileen, bo dorastała w Bostonie, gdzie czarni mieszkali w osobnej dzielnicy. Ale Eileen nie była już niewolnicą. Kalifornia była wolnym stanem. Ciotka Ida nienawidziła niewolnictwa i rozprawiała o tym z każdym, kto chciał słuchać. Byrony podejrzewała, że w rzeczywistości ciotka nienawidziła bogatych posiadaczy ziemskich z Południa.

- Będzie pani ślicznie wyglądała w błękitnym, pani Butler - powiedziała Eileen.

- Jaki piękny dzień - ciągnęła Byrony. - Tak dobrze być znowu w tłumie ludzi.

- Mamy szczęście - odparła Eileen. - Proszę poczekać, aż zacznie padać. Słyszałam, że w zeszłym roku muł utopił się w błocie na ulicy Montgomery.

Byrony nalegała, żeby do centrum poszły piechotą. Odległość nie była duża, a ją rozpieierała energia. Teraz dostrzegła, że Eileen, z przynajmniej dwudzie-stokilogramową nadwagą, posapywała ze zmęczenia i trochę zwolniła. - O, zobacz, bar!

- Takich miejsc jest więcej, niż można zliczyć -powiedziała Eileen, cały czas patrząc pod nogi.

Brent Hammond jest właścicielem baru, pomyślała Byrony. Czy „Marzenie Górnika” to jego bar? Nie. Zdecydowanie potrząsnęła głową. Nie był wystarczająco elegancki. Dla niego tylko to, co najlepsze. Poczula, że Eileen zbliżyła się do niej i zdała sobie sprawę, że mężczyźni zaczęli się zatrzymywać, żeby na nią popatrzeć.

Chciała się do nich uśmiechnąć. Chciała uśmiechać się do wszystkich. Monsieur David, wytworny mały człowieczek o ożywionych czarnych oczach, przywitał ją osobiście w swoim zasobnym sklepie. W sąsiednim pomieszczeniu znajdowały się inne panie, wśród których Byrony rozpoznała panią Saxton.

Gdy wybrała odpowiedni materiał, podeszła nieśmiało do pani Saxton. - *Madami* Pewnie mnie pani nie pamięta. Byłam na pokładzie „Purpurowej Królowej” ostatniej wiosny, gdy... Tak się cieszę, że nic się pani nie stało. Nazywam się Byrony. Byrony Butler.

Chauncey Saxton wiedziała wszystko o pani Butler. Tamtej nocy nie zauważyła jej na pokładzie „Purpurowej Królowej”, lecz przez ostatnie miesiące wiele o niej słyszała. Ta pogodna, nieśmiała dziewczyna zupełnie nie przypominała ulicznej awanturnicy. No, ale oczywiście tak ją opisywała ta zdewociała Penelo-pa Stevenson.

- Tak, wszystko w porządku - powiedziała Chauncey z uśmiechem. Widząc ciekawość w oczach młodej kobiety, dodała kilka słów wyjaśnienia, które oboje z Delem mówili wszystkim wokół: - Mężczyzna, który usiłował mnie zabić na „Purpurowej Królowej”, już dawno uciekł, dzięki Bogu. Tak samo łobuz, który go wynajął. To było okropne przeżycie, ale oboje z mężem otrząsnęliśmy się z tego. Ale dość tego - powiedziała, poklepując Byrony po dłoni. - Cieszę się, że znowu cię widzę, moja droga. Mów mi Chauncey.

- Jakie piękne imię - powiedziała Byrony. - Takie niespotykane, ale pewnie nie w Anglii - dodała szybko.

- Nie, wszędzie jest nietypowe - odparła Chauncey. - A jeśli chodzi o twoje imię, to domyślam się, że matka była zakochana w lordzie Byronie?

- Tak. Zawsze uważałam, że mam szczęście, bo mogła mnie nazwać George, na cześć króla.

Kobiety zaśmiały się, przełamując resztki napięcia.

- *Madame* - odezwał się monsieur David do By-rony. - Przepraszam na moment. Mam pani wymiary, ale wydaje mi się, że jest pani trochę szczuplejsza niż wiosną.

- Proszę uszyć stroje w tym samym rozmiarze, *monsieur*- odrzekła Byrony. - Podejrzewam, że szybko wrócę do poprzedniej figury.

Nie wygląda jakby niedawno urodziła dziecko, pomyślała Chauncey, ale cóż ja wiem o dzieciach? „Staram się, najdroższa, staram się”. Niemal roześmiała się głośno na wspomnienie conocnych, żalonych utyskiwań męża.

- Pani Butler, powinniśmy wracać do domu -odezwała się Eileen.

Uśmiech na moment zniknął z twarzy Byrony. -Pani Saxton, to znaczy Chauncey, w przyszły piątek wydajemy przyjęcie. Może przyjdziecie z mężem?

Któż mógłby odmówić tak słodkiej prośbie? - pomyślała Chauncey.

- Będziemy zaszczyceni, Byrony. Mój mąż jest znajomym twojego męża, ale ja znam go tylko jako

dżentelmena, który uchyla przede mną kapelusza.

- Och, dziękuję. Mój mąż jeszcze nie pokazał mi listy gości, ale jestem pewna, że oboje z mężem na niej jesteście.

Ta naiwna informacja sprawiła, że Chauncey poklepała Byrony po ręce. - Jeśli nas na niej nie ma, to proszę dopisz nasze nazwisko - zasugerowała ściszym głosem.

Chauncey Saxton stała w milczeniu na środku salonu monsieur Davida i patrzyła, jak Murzynka prowadzi Byrony Butler do drzwi. To bardzo miła dziewczyna, pomyślała. Muszę o niej porozmawiać z Agathą. Jeśli coś ode mnie zależy, to nikt nie będzie zadzierał przy niej nosa! I jest tylko trochę młodsza.

W San Francisco było mało młodych kobiet, więc Chauncey poczuła przyływ optymizmu. Każdy byłby bardziej przyjemny od tej denerwującej Penelopy Stevenson. Dlaczego nie wyszła za kogoś i nie wyprowadziła się?

- Eileen - powiedziała Byrony przed sklepem - pospacerujmy jeszcze trochę. Widziałam tylko kawałek miasta, a jest taki piękny dzień!

- Dobrze, pani Butler - odpowiedziała Eileen - ale niezbyt długo.

Byrony obserwowała dwóch Chińczyków dźwigających na wąskich ramionach nieprawdopodobnie ciężkie kawały drewna. Warkoczyki, pomyślała; jakie to dziwne. Na ulicy było wielu mężczyzn, niektórzy ubrani zgodnie z najnowszą modą, a inni wyglądali, jakby od miesiąca nie zmieniali ubrań. Z radości odetchnęła pełną piersią. Tak wiele różnych zapachów, tak wielu różnych ludzi.

- Pani Butler - Eileen nagle szepnęła jej do ucha - proszę spuścić wzrok!

Byrony zamrużyła, ale zanim usłyszała Eileen, zobaczyła dwie piękne kobiety, idące w ich stronę. Mijający je mężczyźni głośno je komplementowali i gwizdali, a kobiety chichotały i wdzięczyły się.

Chciała na nie popatrzeć, ale czuła dezaprobatę Eileen. Nagle spojrzała prosto na szyję mężczyzny, a za moment na niego wpadła.

- Proszę o wybaczenie, *madam*. Chyba nie patrzyłem, gdzie idę.

Zesztywniała tak samo, jak Eileen. Zdjął rękę z jej ramienia, jakby się oparzył. Powoli podniosła głowę i spojrzała w ciemnoniebieskie oczy Brenta Hammonda.

- Pan!

- Co, dziś bez mąki? - wycedził. - Nie, oczywiście, że nie. Czasy z mąką ma pani już za sobą, prawda?

Boże, wyglądał tak... cudownie. Przełknęła ślinę, usiłując przywołać gniew, który w niej wzbudził wiele miesięcy temu. Ale nie mogła. - Witam, panie Hammond - powiedziała. Za szybko. Nie miała czasu, żeby odpowiednio go ustawić.

Patrzy na mnie jak zagubiona owieczka, pomyślał Brent. Cholera, miał nadzieję, że jej nie spotka, a przynajmniej do czasu...

- Pani Butler - Eileen wtrąciła się zdecydowanie. - Naprawdę musimy już iść.

Byrony spojrzała na nią błędnym wzrokiem. - Za momentik, Eileen. Pan Hammond jest znajomym pana Butlera. Nie widziałam go od naszego powrotu. Proszę, zajrzyj do sklepu i zobacz, czy nie mają kapeluszy do jazdy konnej.

Eileen rzuciła jej zdezorientowane spojrzenie. - Dobrze, pani Butler. Ale tylko na chwileczkę.

- Czy ona jest pani opiekunką?

- Służę u Iry i Irene od wielu lat. Jest po prostu opiekuńcza.

- Proszę mi uwierzyć, że potrzebuje pani opieki. Gdyby nie było mnie z panią, otoczyłby panią wianuszek mężczyzn, mających nadzieję.

Wszystko, czego mi trzeba, to twoja opieka!

- Kocham San Francisco - paplała. - Cały ten zgiełk i zamieszanie. Tutaj wiem, że żyję. I wszyscy mężczyźni są tacy mili. Nie są namolni, tylko po prostu samotni.

- Nadspodziewanie dobrze pani wygląda - odezwał się Brent, przerywając jej.

Zmieszła się pod wpływem szyderstwa w jego głosie i powiedziała: - A dlaczego miałabym wyglądać inaczej?

- To proste! Jak na kobietę, która niedawno urodziła dziecko, wygląda pani naprawdę dobrze.

- Och - westchnęła bezsilnie.

- Choć jest pani trochę za chuda. - Czują, jak mierzy ją wzrokiem od stóp do głów i zeszywniała.

- Myślałem, że pani cudowne piersi będą nieco pełniejsze.

- Proszę, panie Hammond, nie...

- Oczywiście, ma pani rację, pani Butler. To nie moja sprawa, prawda? - Do diabła z nią! A miał nadzieję, że gdy ją zobaczy, będzie mógł na nią patrzeć bez ucisku w żołądku. - Jak dawno pani wróciła?

- Dwa tygodnie temu. Po raz pierwszy jestem w środku miasta. Kim jest ten dziwnie wyglądający mężczyzna?

Brent odwrócił się i uśmiechnął do Jeremy'ego Glossopa, nowego mieszkańca San Francisco, który uważał się za wzór dżentelmena. - Pochodzi z Anglii, to straszny hazardzista.

- Jak tam pana bar? Gdzie się mieści?

- Niedaleko placu Portsmouth. Nazywa się „Dzika Gwiazda”.

Jego głęboki głos sprawił, że poczuła rozlewające się wewnątrz ciepło. Jeszcze nie chciała się z nim rozstawać, zwłaszcza że jej nie obrażał.

- Interes idzie dobrze?

- Nienajgorzej. W takim mieście jak San Francisco mężczyźni nie mają zbyt wiele do roboty, poza hazardem, piciem i dziwkami. Oczywiście - ciągnął, widząc że zeszywniała - z każdym dniem nabieramy oglądy. Słyszałem, że do stycznia mamy mieć zamontowane latarnie gazowe na ulicach, naturalnie, żeby odstraszyć złodziei. I proszę sobie wyobrazić, *madam*, że przyjeżdżają do nas trupy teatralne z całego świata. Niestety, ominął panią występ Loli Montez. Obecnie przebywa w krainie złota, w Grass Valley.

Boże, dlaczego wygaduję takie bzdury? Ponieważ nie chcesz, żeby odeszła, ty głupcze!

Wpatrywała się w niego tak intensywnie, że miał ochotę natychmiast zerwać z niej ubranie i posiąść ją. Zaśmiał się z siebie. Kobieta, która, tak jak ona, niedawno urodziła dziecko, nie jest przez pewien czas zainteresowana seksem.

- Jak się miewa pani dziecko, pani Butler? - Zobaczy! cień bólu w jej oczach i rozzłościł się.

- Nazywa się Michelle - odparła spokojnie Byro-ny. - Ma się całkiem dobrze, dziękuję.

- Czy jest podobna do pani, czy do pani męża? *Proszę, przestań!* Chciała na niego krzyknąć, ale nie zrobiła tego. - Wydaje mi się, że jest podobna do Butlerów. Jasna karnacja i niebieskie oczy.

Podobna do Butlerów? Do diabła, przecież sama ma jasną karnację; tylko oczy miały odcień zieleni, głęboki i tajemniczy. Chciał zapytać, czy mąż jest dla niej dobry. Głupia myśl. Wyśmiał siebie. Miała na sobie kosztowną suknię. Zaślepiiony mąż pewnie daje jej wszystko, czego zapragnie.

I pewnie wie o jej rozpustnych skłonnościach, bo dlaczego wysyłałby z nią tę Murzynkę. Żeby ją chronić, czy też powstrzymać przed flirtowaniem z innymi mężczyznami?

- Ach - powiedział - pani ochrona wraca. Byrony bardzo chciała odprawić Eileen jednym czarodziejskim machnięciem dłoni, ale nie mogła. Patrzyła na niego tym zagubionym, bezradnym wzrokiem, ale zmusił się, żeby wzruszyć ramionami i złożyć ironiczny ukłon.

- Miło było panią spotkać. Proszę pozdrowić męża.

- Dziękuję, pozdrowię.

Słuchała, jak Eileen opisuje kapelusz, który obejrzała w sklepie, ale wzrok miała utkwiony w jego wysokiej sylwetce, dopóki nie zniknął jej z oczu.

ROZDZIAŁ 9

Chauncey Saxton przyjrzała się wszystkim gościom, siedzącym przy dużym stole. Ira Butler dobrze wybrał, pomyślała. Trzydziestu zaproszonych gości było miłymi ludźmi i bardzo dobrze traktowali nową panią Butler. Byrony wyglądała prześlicznie w żółtym jedwabiu, który czynił jej włosy miodowymi, a zielonym oczom przydawał blasku. Miła dziewczyna, choć ze zrozumiałych powodów zdenerwowana, pomyślała Chauncey. Spojrzała na Irene, siedzącą po prawej Stronie Iry. Wyglądało na to, że nadal przeżywa to, co i rozegrało się przy wejściu do jadalni. Była bardzo cicha i rzadko odzywała się do kogoś poza swoim bratem.

Głupie nieporozumienie, pomyślała Chauncey, współczując Byrony, która starała się wszystko załagodzić. Jak Irene mogła postąpić tak niestosownie i usiąść u szczytu stołu? Już dawno powinna się przyzwycząć, że żona brata jest tu panią domu. Było oczywiste, że Irene tego nie zaakceptowała i najwyraźniej, nie mogła się z tym pogodzić. Biedny Ira! To on musiał coś cicho powiedzieć siostrze i posadzić ją koło siebie. Byrony pokrywała zawstydzony nerwowy uśmiech.

Jak na nieszczęście Chauncey nagle uchwyciła z drugiego końca stołu złowrogi spojrzenie Penelopy Stevenson. W odpowiedzi uśmiechnęła się przymilnie. Szkoda, że wazon z kwiatami nie stał bardziej na lewo; nie musiałyby wtedy fałszywie się uśmiechać. Bunker Stevenson, ojciec Penelopy, zanudzał wszystkich opowieściami o swoich przygodach w Panamie.

Chauncey spojrzała na Agathę Newton, a ta porozumiewawczo do niej mrugnęła. Cudowna Agatha! Chauncey opowiedziała jej o Byrony, więc teraz Agatha roztaczała przed nową panią Butler swój specyficzny urok.

- Spróbuj wieprzowiny, kochanie, na pewno cię nie zaatakuje.
 - Próbowałam i faktycznie nie zaatakowała - odcięła się mężowi.
 - Wyglądasz na zamyśloną, Chauncey. Czy powinienem zacząć się martwić o jakiegoś mężczyznę?
 - Do licha, miałam nadzieję, że nie zauważysz! Ale Bunker jest taki... jak to powiedzieć?
 - Nudny? Zarozumiały?
 - Któregoś dnia, Delu Saxtonie, do mnie będzie należało ostatnie słowo!
 - Ależ kochanie, zawsze masz ostatnie słowo w nocy. Oczywiście, jeśli słowami można nazwać twoje słodkie pojękiwanie.
- Kopnęła go pod stołem.

- Widzę, moja droga, że jeszcze nic nie zmieniłaś w domu - mówiła Agatha Newton do Byrony. - Zawsze uważałam, że w tym pokoju i salonie potrzeba kobiecej ręki. A Irene nic nie zrobi bez przyzwolenia brata.

- Tak, to prawda - odparła niewyraźnie Byrony, skupiona na Brencie Hammondzie, bez skrępowania flirtującym z uroczą dziewczyną, której imię na długo miało zapaść w pamięć Byrony. Penelopka-snobka ochrzciła ją Byrony, gdy młoda kobieta ledwie zaszczyciła ją skinieniem głowy przy powitaniu.

Szeroka w biodrach Agatha Newton, z cudownym matczynym uśmiechem, chciała dodać trochę pewności siebie młodej pani Butler. Oczywiście dziewczyna była zdenerwowana. Było to przecież jej pierwsze spotkanie z ludźmi, którzy liczą się w San Francisco. Szkoda, że wszyscy oni się liczą, ale cóż można było poradzić? Siedząc wzrok Byrony, spojrzała na wspaniałego mężczyznę, siedzącego obok Penelopy Ste-venson. Widziała go po raz pierwszy, ale słyszała, jak mówił o nim Horace. - Cholernie błyskotliwy młody człowiek - powtarzał entuzjastycznie jej mąż. - Stary James Cora nie jest zbyt zadowolony z popularności, jaką cieszy się bar Hammonda.

Cóż za przystojniak, myślała Agatha, popijając wyborne francuskie wino z piwnicy Iry. Gdyby była dwadzieścia lat młodsza, też by się w niego wpatrywała.

Krucha wieprzowina smakowała Byrony jak stary chleb. Nie przejrzała listy gości, zaniemówiła więc, gdy do salonu wszedł Brent Hammond. Muszę zachowywać się naturalnie, powtarzała sobie. On nic dla mnie nie znaczy. Nie mogę postępować jak głupia gęś, piszcząca na widok faceta, który jej nienawidzi. Jestem mężatką i koniec.

Puste słowa bez znaczenia. Na szczęście bardzo miły Tony Dawson poświęcał dużo uwagi pani Newton. Była uroczą kobietą, ale Byrony nie przychodził na myśl żaden temat do rozmowy. Dobiegi ją donośny, szczerzy śmiech Sainta Morrisa, według Iry najlepszego lekarza w San Francisco. Zmusiła się, by odwrócić się w jego stronę. Był młody, jak większość panów przy stole; przypuszczała, że nie przekroczył jeszcze trzydziestki. Nie przypominał żadnego z lekarzy, których spotkała w Bostonie, delikatnych i wymuskanych. On raczej przypominał drwala. Był potężnie zbudowany, miał ogromne dłonie, ale najłagodniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziała.

Myślałaś, że Brent Hammond ma łagodne oczy. Że nie ma w nich zła. Uważaj, głupia. Zupełnie nic nie wiesz o mężczyznach.

- Chciałbym zobaczyć pani córeczkę, pani Butler - powiedział Saint Morris. - Ira nie przestaje o niej paplać. Nazywa ją swoim małym aniołkiem i takie tam bzdury świeżo upieczonych tatuśków.

- Rozumiem, że pan nie jest ojcem, doktorze Morris.

W jego ciemnych, brązowych oczach pojawiły się wesołe iskierki. - Mówiąc prawdę, byłem zbyt zajęty. A przynajmniej tak sobie wmawiam. Czasami spotykam mile kobiety, jednak nie mogę się zdecydować. Proszę mi mówić Saint.

- Tylko jeśli pan będzie mi mówił Byrony. Czy naprawdę takie imię dostałeś na chrzcie?

- To długa historia, Byrony. - Posłał jej szeroki uśmiech, odsłaniając piękne, białe zęby. - Gdybym powiedział ci swoje prawdziwe imię, pewnie pękałabyś ze śmiechu i nazwała mnie misjonarzem.

- Byrony nachyliła się do niego, rozbawiona. - Czy nazywasz się Horatio? - wyszeptała. - A może Milton albo Percival?

Na krótką chwilę położył swoją dużą dłoń na jej dłoni i potrząsnął ze smutkiem głową. - Powinnaś poznać moją matkę. Ta kobieta miała dowcip godny ubolewania.

- Widzę, że nic z ciebie nie wyciągnę, Saint!

- Nic, zupełnie. Wspaniały posiłek, ale ty, Byrony, nic nie jesz. Gdybym wierzył w skuteczność toników, przepisałbym ci jakiś.

- Ach - powiedziała - więc nie przybyłeś na Zachód jako lekarz w jednym z tych krytych wozów.

- Nie, tym bardziej żałuję. To byłoby bardziej przyjemne.

- Domyślam się, że to kolejna długa i ciekawa historia, której nie zamierzasz mi opowiedzieć.

- Wyśmienite wino - odparł, uśmiechając się do niej leniwie.

- Ira powiedział mi, że jesteś najlepszym lekarzem w San Francisco.

- To chyba prawda, ale nie mam zbyt dużej konkurencji. Staram się przynajmniej nie zabijać ludzi, jeśli nie wiem, jak ich uzdrowić.

Saint obserwował, jak Byrony patrzy na Brenta Hammonda. Brent śmiał się z czegoś, co powiedziała Penelopa. Jakiż uprzejmy człowiek! Do diabła, pomyślał Saint, więc tu tkwi problem. Zajmij się swoimi sprawami, napomniał się natychmiast w myślach. Byrony to porządna dziewczyna. Po prostu sprawia jej przyjemność patrzenie na przystojnego mężczyznę. Patrz, jak wpatruje się w niego Agatha. Był już bliski porzucenia tych myśli, gdy dostrzegł spojrzenie Brenta na Byrony. Wtedy szybko zaczął wpatrywać się w swój talerz. Przeżuwał dokładnie wieprzowinę, rozmyślając o Brencie Hammondzie. Znał ją, było to wypisane na jego twarzy, i był wściekły. Matka Santa, Panie świeć nad jej duszą, zawsze zarzucała mu w dzieciństwie wybujałą fantazję. Niewątpliwie miała rację. Zawsze widział smoki tam, gdzie były pierzaste chmury. Brent z pewnością nie miał zamiaru kraść cudzej własności, zwłaszcza jeśli była to żona innego mężczyzny. Chociaż, pomyślał, życie cholernie się komplikuje. Czul się dziwnie odpowiedzialny za tę młodą dziewczynę. Nie mógł sobie wyobrazić, że wzięła sobie Irę za kochankę, tak jak nie mógł sobie wyobrazić, że Ira był na tyle głupi, by uwieść młodą kobietę. Odezwał się, by zwrócić na siebie jej uwagę:

- Powiedz mi, Byrony, do kogo podobne jest dziecko?

Spojrzała na niego niewidzącym wzrokiem, a potem wzięła się w garść. - Michelle jest podobna do Butlerów, tak mówi Ira, więc myślę, że aniołek to słuszne określenie. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam Irę, tak właśnie o nim pomyślałam. Archanioł Gabriel.

- Ale twój anioł ma głowę do interesów. Jeśli ktoś mógłby kupić akcje w niebie, to właśnie twój mąż.

- O ile wiem, jest bardzo odpowiedzialny - odparła Byrony bez przekonania. Nie bardzo wiedziała, czym zajmuje się Ira. Po prostu nigdy o tym nie rozmawiali.

- Tak, to prawda. Powinnaś porozmawiać z De-lem Saxtonem albo Samem Brannanem, jeśli chcesz znać zakres jego... możliwości.

- Sam Brannan mnie przeraża. Jest taki głośny.

- Tak. On i Ira stanowią niezły duet. Ira nigdy nie podnosi głosu, a Sam wygłasza tyrady i wścieka się.

- Ira to dobry człowiek - powiedziała Byrony. Dlaczego? - chciał szczerze zapytać Saint. Ponieważ ożenił się z tobą, gdy zaszłaś w ciążę?

- Czy Ira nie prowadzi interesów z Delaneyem Saxtonem? - dodała.

- Tak. Właśnie, jeśli chcesz się zirytować, to powinnaś porozmawiać z Delem. Przy tym człowieku nigdy nie można mieć ostatniego słowa. Doprowadza Chauncey do szaleństwa, ale ona odplaca mu tym samym. Powinnaś ich posłuchać. Dela z jego leniwą, przeciągłą wymową i Chauncey z jej sztywnym, angielskim akcentem.

Rozmowy zamilkły na krótką chwilę i Ira usłyszał uroczy śmiech swojej żony. Odwrócił się od Irene i spojrzał na drugi koniec stołu. Ach, Saint ją zabawia, pomyślał z wdzięcznością. Umyślnie posadził Santa obok niej. Wiedział, że Saint jest w stanie rozbawić każdego. W sumie, pomyślał, przyjęcie udało się. Jedzenie przygotowane przez Naomi było przepyszne, wino wyborne, a gościom dopisywał dobry humor. Wszystkim, poza Irene. Nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że Byrony nie siedziała na należnym sobie miejscu przy stole. Pewnie by zauważyłby tego dziś wieczorem, gdyby Agatha Newton nie zamrugała ze zdziwienia, widząc Irene sadowiącą się u szczytu

stołu. Cholera! Irene była urażona i nie udało mu się jej pocieszyć. Cała sytuacja była dla niej taka trudna, a on czuł się bezradny, mając do czynienia z dwiema tak różnymi kobietami, z których każda miała wobec niego jakieś żądania. Wysłanie jednego z pracowników do San Diego po kłacz Byrony było dobrym pomysłem. Ira był z siebie bardzo dumny. Wiedział, że jeździ po całym San Francisco, bardzo często sama, ale nie zamierzał jej powstrzymywać. Dał jej mały pistolet i pokazał, jak go używać. Nawet nie drgnęła. Wątpił, żeby wiedziała, jak groźna może być broń. Skrzywił się, słysząc głośny śmiech. To Bunker Stevenson znowu się ożywił!

Idąc na przyjęcie do Butlerów, Brent miał zamiar ignorować Byrony. Udało mu się to i przez cały wieczór zabawiał Penelopę Stevenson. Tylko raz patrzył na Byrony przez dłuższą chwilę. Bawiły go wygłupy Penelopy i zastanawiał się, co Maggie by powiedziała o tej pretensjonalnej, ale całkiem uroczej panience. Ach, tak to jest z tą śmietanką towarzyską. Siedział z nimi, on - hazardzista, utrzymujący kochankę i prowadzący interesy z burdelmama. Jego akceptowano, ale każda dama zbladłaby i zemdląła, gdyby przy stole usiadła Maggie, a wszyscy tak zwani dżentelmeni rzucaliby pożądlive spojrzenia i opowiadali sprośne dowcipy. Zastanawiał się, co Byrony sądziłaby o Maggie i niemal upuścił widelec. Do diabła z nią! I jeszcze ta głupia sytuacja z usadzeniem gości. Wyglądała tak bezradnie, tak delikatnie. Chciał nienawidzić Irę Butlera.

Zdał sobie sprawę, że milczy zbyt długo, ale nie mógł wymyślić żadnych komplementów dla Penelopy.

Odwrócił się do Chauncey Saxton. - Muszę powiedzieć, że wiele pani nauczyła swojego barbarzyńskiego małżonka. Słyszałem, że coraz lepiej mu idzie w interesach.

Chauncey roześmiała się, posyłając swojemu mężowi złośliwy uśmiech. - To prawda, panie Hammond. Gdy wraca do domu, wygląda jakby wszystko stracił, a ja mu mówię, że tak się stanie i pouczam, jak ma postępować, żeby nie stracić ostatniej koszuli.

- Aha! - odezwał się Delaney Saxton. - Jakie bajki opowiada ci moja żona, Brent?

- Rozmawialiśmy o koszulach - odpowiedział Brent z uśmiechem - i o tym, jak zachowujesz swoje. Dziś ma na sobie angielską koszulę, prawda? - dodał, uśmiechając się do Chauncey.

- Tak, panie Hammond, w rzeczy samej. Ciągle mu powtarzam, że angielskie wyroby nigdy się nie niszczą.

- Być może jest to coś, co Anglicy i hazardziści mają wspólnego. Zawsze jesteśmy w pobliżu, żeby zająć się sprawami innych ludzi i nigdy nie przechwalamy się z tego powodu.

Chauncey zaśmiała się. - I na końcu znikamy, sir?

- Brent, jeśli można. Czuję, że znikam bardzo szybko pod spojrzeniem, które posyła mi pani mąż.

- Nie zwracaj na niego uwagi, Chauncey - powiedział jej mąż.

- Dlaczego? - zapytała, posyłając mu wesołe spojrzenie. - Czy zagadał cię, tak jak ja?

- Kobiety - odparł Delaney, odchylając się na krześle. - Bóg chyba zesłał was na ziemię po tym, jak wypróbował już głód i zarazę.

- Nie zapominaj, Del, że miał jeszcze pod ręką szarańczę - powiedział Brent.

Chauncey jęknęła. - Nieznośni - powiedziała.

Byrony nie mogła przestać przysłuchiwać się ich rozmowie. Zastanawiała się, dlaczego nie mógł tak się zachowywać w stosunku do niej? Zabawny, wesoły i... czarujący. Powoli gryzła kawałek wieprzowiny.

- Proszę wszystkich o uwagę - zawołał Delaney Saxton. - Dalej, Tony, podnieś twarz nad talerza! Toast! Za Byrony Butler, cudowny dodatek do San Francisco.

Wszyscy zaczęli serdecznie żartować i śmiać się i wypili za zdrowie Byrony.

Zarumieniała się i wymamrotała podziękowania do wszystkich, którzy mogli ją usłyszeć.

Naomi i Eileen podały kawę i brandy w salonie. Brent Hammond wyszedł jako pierwszy. Lekko dotknął dłoni Byrony i mruknął coś głupiego. To dziwne, Byrony uświadomiła sobie, że gdy wyszedł, w końcu zaczęła normalnie oddychać. Nie zdawała sobie sprawy, że jego obecność była aż tak krepująca. Uśmiechnęła się szeroko do Penelopy Stevenson.

- Nie wiem, dlaczego musiał tak wcześnie wyjść - powiedziała Penelopa rozdrażnionym głosem.

- Kto?

- Pan Hammond. Ale jutro zabiera mnie na przejażdżkę.

Byrony poczuła przypływ gniewu. Zazdrość? Nie, gniew, powiedziała sobie. - To miło z jego strony - wydusiła z siebie.

- Ojciec go akceptuje, więc może za niego wyjdę. Tak po prostu? Byrony miała ochotę wytargać ją za kształtne uszy, ale zamiast tego uśmiechnęła się. Agatha napomknęła, że Penelopa miała również zamiar wyjść za Dela Saxtona, zanim Chauncey przyjechała do San Francisco.

Penelopa ciągnęła zamyślona: - Będzie musiał zrezygnować z kochanki, z hazardu i z całej tej reszty. Czy wie pani, że jego współniczką jest... dziwka?

- Nie dziwka, panno Stevenson, lecz burdelmama - odparła Byrony.

Penelopa wzruszyła elegancko przyodzianym ramieniem. - Widziałam ją, jest stara, ma prawie trzydzieści lat, więc pewnie ma pani rację. Żaden mężczyzna by jej nie chciał.

- Kochanie, muszę ci na moment przerwać. - Ira uśmiechnął się ze zrozumieniem do żony. - Wybacz, Penelopo, ale Saint chce zobaczyć Michelle. Możesz go zaprowadzić do pokoju dziecinnego, Byrony? Nie ma sensu budzić dziecka.

- Czy doceniasz moje wyczucie, Byrony? - Saint zapytał ją z wesołymi iskierkami w oczach.

- Jesteś aniołem - odparła. Michelle mocno spała z podwiniętymi pulchnymi nóżkami i z małą piąstką w buzi.

- Wygląda na zupełnie zdrową - powiedział cicho Saint. - Jak nazywał się twój lekarz w Sacramento?

- Chambers.

- Nie znam go - odparł Saint. - Czy karmisz ją piersią?

- Ja... to znaczy, tak, oczywiście.

- Przepraszam, nie chciałem cię zawstydzić. Śliczne dziecko. Faktycznie jest podobna do Butlerów. Czy ma zielone oczy po tobie, czy niebieskie po Irze?

- Ma niebieskie.

- Aha.

- Śpi, prawda? Nie obudziliście jej? Oboje odwrócili się, słysząc ostry głos Irene.

- Nie - odpowiedział lekko Saint. - Chrapałaby, gdyby dzieci chrapały. Czy mamy ją zostawić w spokoju?

Irene wyglądała na niezdecydowaną, a potem wzruszyła ramionami. - Oczywiście. Byrony, goście zaczynają wychodzić. Musisz zejść na dół. Idź, a ja się nią zajmę.

Byrony skinęła głową i przeszła obok szwagierki.

- Domyślam się - powiedział Saint od niechcienia, gdy schodzili po schodach - że niezamężnej kobiecie trudno zaakceptować... zmiany. Myślę, że masz szczęście, że ona tak troszczy się o dziecko. Mogłoby być zupełnie inaczej.

Byrony miała ochotę roześmiać się z jego bardzo miłej, ale całkowicie błędnej obserwacji. - To prawda - powiedziała jednak.

Chauncey Saxton wzięła ją za rękę. - Musisz mnie wkrótce odwiedzić, Byrony. Czy jesteś wolna jutro w porze lunchu?

Chauncey z zaskoczeniem dostrzegła, że Byrony zerknęła na męża, zanim udzieliła odpowiedzi. Ira kiwnął głową przyzwalająco i Byrony powiedziała entuzjastycznie: - Bardzo chętnie, Chauncey.

- To dobrze, weź ze sobą Michelle. Chciałabym ją poznać. Dziś wieczorem uprzedził mnie Saint! Następnego ranka Byrony ubrała się bardzo starannie, a potem zeszła do jadalni. Ira jadł już śniadanie.

- Trudno uwierzyć, że wszystko wróciło już do normy - powiedziała, rozglądając się po jadalni. - Na-omi to skarb.

- To prawda - odparł Ira, podnosząc się z krzesła i czekając aż Byrony usiądzie po jego prawej stronie.

- Nie - powiedziała, dostrzegając jego lekki grymas - nie chcę siedzieć u szczytu stołu! Nie mam ochoty krzyknąć do ciebie, żebyś mnie usłyszał. Mam nadzieję, że Irene nie jest już zdenerwowana tym, co zaszło.

- Dlaczego miałabym być zdenerwowana? W końcu czy to nie ty jesteś żoneczką ze wszystkimi przywilejami?

Ta kobieta chodzi jak kot, pomyślała Byrony, zmuszając się do uśmiechu, gdy odwróciła się w stronę Irene.

- Irene, proszę - powiedział Ira.

- Dzień dobry - powiedziała Byrony neutralnym tonem. Miała nadzieję, że dziwne zachowanie Irene minie, ale teraz zaczęła w to wątpić. Co się stało z tą delikatną, cichą kobietą, z którą spędziła tyle miesięcy? - Czy dobrze spałaś?

- Nie. Michelle miała kolkę.

- Przykro mi. Nawet nie słyszałam jej płaczu.

- A dlaczego miałabyś słyszeć? Nie jesteś jej matką.

- Irene - odezwał się Ira, a w jego opanowanym tonie pobrzmiwało ostrzeżenie - nie zapominaj o służbie.

Irene opuściła ramiona. Usiadła u szczytu stołu, posyłając Byrony zimne spojrzenie. Wyzwanie? Byrony nie była zainteresowana; dla niej Irene mogła siedzieć nawet na miejscu Iry.

Do jadalni weszła Naomi, niosąc półmisek z jajecznicą, bekonem i talerz grzanek. Ira umiejętnie rozprawiał o pogodzie, dopóki służąca nie wyszła z jadalni.

- Jestem umówiona na lunch z Chauncey Sa-xtton - odezwała się Byrony, przełamując ciężkie milczenie.

- Wspaniale - odparł Ira. - Urocza kobieta.

- Chce, żebym wzięła ze sobą Michelle.

- Nie! To znaczy - Irene opanowała się trochę -dziecko było chore przez całą noc. Nie byłoby rozsądnie ciągnąć je ze sobą!

- Irene, czy mam poprosić Sainta, żeby do niej zajrzał?

- To nie będzie konieczne, Ira. Ale Michelle powinna odpocząć.

I po sprawie, pomyślała Byrony. Trzy godziny później opowiedziała Chauncey o problemach dziecka. -Oczywiście teraz już nic jej nie dolega - dodała szybko Byrony, zdając sobie sprawę, że

Chauncey mogła uznać za dziwny fakt, że zostawiła chore dziecko. - Teraz śpi. - Rozejrzała się po salonie. - Masz śliczny dom, Chauncey.

- Przekażę Delowi. To on wszystkim się zajął. Ja się wprowadziłam, gdy dom był urządzony.

Właśnie wyszedł ode mnie Saint. Okropny człowiek! Nie chce mi powiedzieć, skąd ma takie imię!

- Tobie też? Wczoraj wieczorem mnie również odmówił.

- To było wspaniałe przyjęcie - powiedziała Chauncey. - Czy dobrze się bawiłaś?

- Wszyscy byli bardzo mili.

- Poza Penelopą, prawda?

- No cóż, kiedy przyszła, potraktowała mnie jak marnego robaka. A jej matka... przypomina mi zagłowiec. O Boże, nie powinnam mówić takich rzeczy. Jestem pewna, że obie są całkiem miłe.

- Nie są. Zdradzę ci pewien sekret, Byrony. Gdybym nie uratowała Dela, pewnie ożeniłby się z tą dziewczyną.

- Ira mówił mi, że przyjechałaś tu z Anglii zeszłej zimy i dwa miesiące później pobraliście się z panem Saxtonem.

Ku zaskoczeniu Byrony Chauncey na moment przymknęła oczy i zarumieniła się. - Jestem szczęściarą - powiedziała. - Del prosił, żebyśmy poszły z nim na lunch do nowo otwartej restauracji „U Samuela” przy ulicy Clay. Jeśli chcesz, to potem możemy się wybrać na zakupy.

Byrony zgodziła się chętnie. Lucas, wyglądający jak pirat, zawiózł obie panie na ulicę Montgomery. - Przyjedź po nas o czwartej, Luc. Dobrze?

- Oczywiście, proszę pani - odparł Lucas. Zasłaniając usta, Chauncey wyszeptwała: - Myślę, że między nim a moją pokojówką, Mary, coś jest. Luc wygląda groźnie, ale jest łagodny jak przysłowiowy baranek. Obawiam się, że pozwoli Mary wejść sobie na głowę.

Byrony uśmiechała się, gdy wchodziły do banku Saxtona i Brewera. Były jedynymi kobietami w tym przybytku mężczyzn, ale Byrony domyśliła się, że obecność pani Saxton nie stanowi dla nikogo zaskoczenia. Mężczyźni uchylali kapelusze i witali się grzecznie. Chauncey przedstawiła Byrony kilku panom, a wśród nich Danowi Brewery'emu, wspólnikowi Dela Saxtona.

- Ma pan uroczy bank - powiedziała Byrony, która nigdy wcześniej nie była w banku.

- Zgadza się, pani Butler - odparł, mrugając do Chauncey.

- Zobaczymy się później, Dan. A teraz muszę wybawić Dela od jego obowiązków. - Chauncey zapukała do drzwi, potem otworzyła je i weszła, a Byrony w ślad za nią.

- Och, kochanie! Nie wiedziałam, że masz gościa! Byrony zatrzymała się gwałtownie w miejscu. To nie było w porządku!

- Nie ma problemu, Chauncey. Wejdz. Ach, Byrony, witam. Brent i ja właśnie finalizujemy bardzo korzystny interes.

Byrony usłyszała nonszalancki, uroczy głos Chauncey, ale nie była w stanie rozróżnić słów. Nie zdawała sobie sprawy, że się cofa, dopóki Brent Hammond nie powiedział: - Miło znowu panią widzieć, pani Butler. Czy pani się gdzieś wybiera?

- Tak - odezwał się Del. - Panie zgodziły się łaskawie zjeść ze mną lunch. Może się do nas przyłączysz, Brent? - Gdy Brent nie odpowiedział, Del dodał: - Z pewnością nie masz zaplanowanej żadnej partyjki pokera w południe.

Brent zmusił się, żeby odwrócić wzrok od Byrony. - Nawet gdybym miał, natychmiast bym ją odwołał - rzekł. - Większość moich klientów jest zbyt niecierpliwa, by grać w pokera. Niech trochę pograją w ruletkę, albo w oczko. Tak więc z radością się do was przyłączę, Del.

Jestem przekłeta, pomyślała Byrony. Dlaczego musi być taki przystojny? Taki niedostępny?

- Pani Butler?

Jego głos był rozbawiony i lekko kpiący, a przynajmniej jej tak się wydawało.

Spojrzała na jego wyciągnięte ramię, jakby było wężem, który miał zamiar ją ugryźć.

- Myślałam - powiedziała, opuszczając wzrok i wsuwając dłoń pod jego ramię - że zabiera pan Penelopę Stevenson na przejażdżkę.

- Oczywiście, proszę pani - odparł, unosząc czarną brew. - Chyba nie sądzi pani, że spędzę z panią całe popołudnie?

Idź do diabła! - chciała wrzasnąć na niego Byrony. Zamiast tego powiedziała zuchwale: - Dlaczego nie? Być może nauczyłby się pan, jak zachowywać się w towarzystwie dam.

Brent odchylił głowę i głośno się roześmiał. - Doprawdy?

- O co chodzi? - zapytał Del.

- Pani Butler właśnie mi powiedziała, że może wygrać ze mną w pokera.

- Większość kobiet ma talenty, o których wam, panowie, nawet się nie śniło - powiedziała Chauncey. - Mogę się założyć, że Byrony cię pokona, Brent.

- O tak - mrukną! Brent do Byrony - założę się, że masz wiele talentów. Zastanawiam się, kiedy będę miał szczęście ich doświadczyć.

- Kiedy piekło zamarznie!

- Co za słownictwo u takiej idealnej damy.

ROZDZIAŁ 10

Byrony pochyliła się nad kołyską Michelle, paplając coś od rzeczy, a dziecko kopało nóżkami i wymachiwało rączkami z radości. Byrony roześmiała się i wzięła ją na ręce. - Nadal jest ci wszystko jedno, kto się tobą zajmuje. Ale za parę miesięcy staniesz się bardzo wybredna.

- Jest przeziębiona. Połóż ją z powrotem. Byrony nie odwróciła się, słysząc głos Irene, ale zeszywniała. - Przeziębiona? Wygląda całkiem zdrowo.

- A co ty możesz wiedzieć o dzieciach? - Irene wzięła od niej Michelle, przytuliła ją mocno do piersi i odeszła w drugi koniec pokoju.

- Chyba mogłabym się czegoś nauczyć, gdybyś mi tylko pozwoliła.

Przez chwilę Irene tylko na nią patrzyła bez słowa. Potem bardzo cicho i gorzko powiedziała: - Czy nie masz już wszystkiego? Dlaczego musisz mieć to, co jest moje?

- Nic nie mam - odparła Byrony bez zastanowienia i zdała sobie sprawę, że tak właśnie myśli.

- Ty idiotko! Masz śliczne suknie, nie musisz niczym zaprzętać swojej pustej głowy! I nosisz nazwisko Butlerów!

- Ty również.

- To nie to samo. Boże, żałuję, że Ira się z tobą ożenił!

Ja też, pomyślała Byrony. - Ira ożenił się ze mną dla ciebie, Irene - powiedziała, zaskoczona swoim opanowaniem i obojętnością. - Staram się dopełnić swoich warunków umowy, ale ty mi to utrudniasz. Dlaczego nie możemy zostać przyjaciółkami?

- Zabieram Michelle na spacer - powiedziała Irene.

- Jak to? - spytała Byrony z ironią. - Myślałam, że jest bardzo przeziębiona.

- Ty mała dziwko, o niczym nie masz pojęcia! Gwałtowność jej ataku sprawiła, że Byrony zaniemówiła na chwilę. Przemawiał przez nią czysty gniew:

- Dziwko? To nie ja zaszłam w ciążę. To nie ja byłam na tyle głupia, żeby wiązać się z żonatym mężczyzną!

Pożałowała swoich słów w chwili, gdy je wypowiedziała. - Przepraszam, nie chciałam tego powiedzieć - dodała szybko. - Na pewno możemy mieszkać pod jednym dachem bez kłótni.

Irene nie powiedziała ani słowa więcej. Byrony wyszła z pokoju dziecinnego i udała się do swojej sypialni. Mam dwadzieścia lat, pomyślała, i w jednym się nie pomyliłam: nie mam nic poza farsą małżeńską i opinią tej, która zaszła w ciążę przed ślubem. Żyję w kłamstwie i nienawidzę tego. Tego wieczoru poczuła się jeszcze bardziej osamotniona, gdy zobaczyła, jak Ira i Irene bawią się razem z Michelle. Odeszła, zanim zdążyli ją zauważyć.

Teraz w domu panowała cisza; za oknem ciemne chmury zakrywały wąski rogalik księżyca. Usiłowała wyobrazić sobie, jak będzie wyglądało jej życie w tym domu za pięć lat, ale nie potrafiła. Nie mogła wyobrazić sobie kolejnego miesiąca przeżytego w taki sam sposób. Była tylko dobrze traktowanym lokatorem, nikim więcej. Eileen była dla niej miła na swój sposób, ale zarówno ona, jak i Naomi szły po polecenia do Irene.

Podeszła do okna w sypialni i oparła twarz o szybę. Jej myśli przeniosły się na Brenta Hammonda, Nie mogła przestać o nim myśleć, więc już nawet nie próbowała. Nie widziała go od dwóch tygodni, od czasu lunchu z Delem i Chauncey Saxtonami. O dziwo, po niemiłym wstępie, potem przestał ją obrażać. Lunch upłynął więc bardzo przyjemnie. Nie chciała, żeby się skończył, choć wiedziała, że miłe zachowanie Brenta spowodowane jest tylko obecnością Delaneya i Chauncey. Wydawało jej się całkowicie naturalne, że razem z Chauncey wyraziła chęć obejrzenia baru Brenta. Oczywiście tylko zajrzały do środka. Damy nie bywały w takich męskich spelunkach. Byrony skonstatowała, że jest równie mocno zaciekawiona drugą częścią budynku. Burdelem. Czy spodziewała się usłyszeć uwodzicielskie śmiechy? A może zobaczyć skąpo ubrane kobiety?

Ponieważ przez cały lunch Brent zachowywał się bardzo miło i taktownie, jak prawdziwy dżentelmen, teraz zaniemówiła, gdy wyszeptał jej do ucha: - Czy mam poprosić Maggie, by udostępniła jedną z sypialni na górze pewnej idealnej damie? Oczywiście poszedłbym tam za tobą. Chciałabyś? Podnieca cię ta otoczka tajemniczości? Tylko sobie wyobraź, kochanie, jakie rzeczy mógłbym ci robić.

- Nie mam zamiaru tego słuchać, panie Hammond - syknęła.

- O, tak - mruknął tak cicho, że ledwie go słyszała. - Bardzo chciałbym cię posiąść. Nawet nie możesz sobie wyobrazić, co bym ci robił. A może możesz i dlatego próbujesz zachowywać się jak pensjonarka.

- Proszę przestać! - warknęła. Miała ochotę go uderzyć, ale nie mogła tego zrobić przy Delu i Chauncey.

- Przestać? Dlaczego, przecież nawet nie zacząłem. Założę się, że między twoimi ślicznymi nogami jest sama słodycz, Byrony. Czy masz śliczne nogi? Tak trudno to zobaczyć w tych waszych strojach. Może napiszę do któregoś z twoich byłych kochanków i zapytam, jaka jesteś. Pytanie o to Iry wydaje mi się niestosowne. A może to byli niezdarni młodzi chłopcy?

Byrony odwróciła się i powiedziała wysokim, piskliwym głosem: - Chauncey, muszę jechać do domu. Michelle pewnie jest głodna!

- Ach, zapomniałem o twoich piersiach - powiedział. - Może niedługo podzielisz się swoim ciepłym mlekiem. Chciałbym go posmakować.

Łajdak! Okrutny, arogancki łajdak!

Nawet po dwóch tygodniach pamiętała każde z jego nienawistnych słów. Irene nazwała ją dziwką, a Brent najwyraźniej naprawdę uważał ją za dziwkę. Nagle zaczęła się śmiać, najpierw cicho, a potem coraz głośniej. To wszystko było absurdalne! Powinna powiedzieć Brentowi Hammondowi, że jest jedynym mężczyzną, który kiedykolwiek ją pocałował. Co by na to powiedział? Śmiała się tak mocno, aż się złapała za bolący brzuch. Nie wiedziała, kiedy śmiech zamienił się w szloch.

*

- Skoro są tutaj moje dwie najlepsze przyjaciółki, mogę ogłosić nowinę.

Byrony i Agatha spojrzały na Chauncey. Miała zaróżowione policzki i błyszczące oczy.

- Nie trzymaj nas w niepewności! - powiedziała Agatha.

- Dobrze, będę miała dziecko!

Czy jest naprawdę twoje, czy też kłamiesz i przyznajesz się do cudzego dziecka ?

Agatha przytuliła Chauncey do ogromnych piersi i poklepała ją po plecach z matczyną czułością.

- Tak bardzo się cieszę, moja droga, tak bardzo się cieszę.

- Tak - odezwała się w końcu Byrony, odganiając bezsensowną myśl. - Czy Del się cieszy?

- Och, tak - powiedziała Chauncey. - Wczoraj skakał i wrzeszczał jak dzikus. Mary, Lin i Lucas przybiegli sprawdzić, co się stało. A Del wtedy właśnie tańczył ze mną walca. W piątkę wypiliśmy dwie butelki szampana.

- Cóż za wspaniała wiadomość, kochanie. Widziałas się z Saintem?

- Odwiedził mnie wczoraj i potwierdził moje przypuszczenia. - Chauncey zachichotała. - Powinniście zobaczyć, jak Mary uwiesiła się jego rękawa i mówiła mu, co myśli i co on powinien robić. Wyśmiał ją tylko i powiedział, że powinna wyjść za męża za Lucasa, żeby mógł być przy narodzinach kolejnego dziecka.

- Powiedział, że wszystko jest w porządku? - zapytała Byrony.

- Saint zapewnił mnie, że jestem zdrowa, jak każdy koń, którego widział. Okropny człowiek. Z błyskiem w oczach powiedział mi, żebym robiła wszystko to, co do tej pory, dopóki nie każe mi przestać.

- Założę się, że Del, słysząc to, był bardzo szczęśliwy! - powiedziała sucho Agatha.

Chauncey lekko się zarumieniła, a potem znowu zachichotała. - Dosłownie mój mąż powiedział: „Ach, przynajmniej wyniki mojej pracy będą widoczne”.

- A pracował zbyt ciężko? - zapytała Byrony. Obie kobiety wpatrywały się w nią, a potem wybuchnęły śmiechem.

- Z tego, co mówi jego angielska żona, moja kochana Byrony - powiedziała Agatha, klepiąc Byrony po kolanie - Delowi nie pozostało zbyt wiele energii do pracy!

Chauncey dostrzegła, że Byrony nadal nie rozumie, z czego się śmieją, szybko więc powiedziała: - Musisz kiedyś przyjść z Michelle. Najwyższy czas, żebym zaczęła przyzwyczajać się do dzieci, a ona jest taka słodka. Miałam nadzieję, że przyjdiesz z nią dzisiaj.

- Przeziębila się. Irene uważała, że nierozsądnie byłoby zabierać ją na zewnątrz.

To ciekawe, pomyślała Chauncey, kiedy przyjaciółki wyszły. Byrony naprawdę nie rozumiała, z czego się śmiały. Tak wiele rzeczy w Byrony do siebie nie pasowało. To właśnie powiedziała swojemu mężowi przy kolacji.

- A ona po prostu nie rozumiała, Del. To prawda, że nasze żarty były trochę niestosowne, ale wszystkie jesteśmy mężatkami, do diabła.

Delaney odłożył widelec i spojrzał na nią.

- No i jej dziecko, Del. Nigdy nie przychodzi z małą do nas. Mówiąc szczerze, to zawsze, kiedy widzę Michelle, Irene jest w pobliżu. Myślę, że to wszystko jest bardzo dziwne.

- Może dopisujesz do tego własną historię, kochanie.

- Może - przytaknęła w końcu niechętnie Chauncey.

- Mówiłem ci, że Ira stał się strasznym nudziarzem? Jest bardzo małomówny, poza momentami, gdy mówi o swoim dziecku. Czy myślisz, że ja też taki będę?

Szybko uniósł rękę, gdy dostrzegł iskiereki w jej oczach. - Dobra, już teraz strasznie nudzę o mojej żonie, więc może znajomi uznają, że gdy pojawi się dziecko, stanę się mniej nudny.

- Jestem taką szczęściarą!

W nocy, gdy Chauncey leżała już w łóżku, przytulając policzek do ramienia męża, wymamrotała sennie: - Martwię się o Byrony, Del. Dzieje się coś złego, jestem tego pewna. Czasami zastanawiam się, czy nie zaprosić jej, żeby zamieszkała z nami.

- Bardzo ładna dziewczyna, nie mam nic przeciwko.

- Cham!

*

Brent nie był delikatny, kochając się z Celeste. Ale ona lubiła, gdy był gwałtowny i władczy. Teraz spała, przytulona do jego boku. Brent leżał na wznak, z głową opartą na ramieniu i wpatrywał się w ciemny sufit, przypominając sobie wydarzenia minionego dnia. Rozmyślał o propozycji Delaney Saxtona, żeby wykupić część jego udziałów w interesie okrętowym. Orient, pomyślał. Chciałbym tam pojechać.

- Musisz jakoś rozsądnie zainwestować pieniądze - powiedział Del przy lunchu. - Teraz tylko lokujesz je w banku.

- Oczywiście masz rację - Brent umilkł na chwilę, przenosząc się w myślach na plantację ojca w Wake-hurst. Należałaby do niego, gdyby nie był takim cholernym głupcem. Nieświadomie przeciągnął opuszką palca po bliźnie na policzku. Minęło już tyle lat, a on nadal pamiętał te kilka strasznych minut, jakby to było wczoraj. Zdradził swojego ojca. Miałeś wtedy tylko osiemnaście lat, byłeś głupim chłopakiem, powtarzał sobie, ale i tak czuł się winny. Do diabła, brakowało mu ojca. Tylko dlatego, że był napalonym młokosem, tylko dlatego, że Laurel go pragnęła...

- Jeśli ty nie chcesz, Brent - powiedział Del - porozmawiam z Maggie. To jest kobieta z ambicjami.

- Myślę, że każdy mężczyzna, który gra w moim barze, odwiedza jej dziewczęta. Tracą pięćdziesiąt dolarów u mnie, a u niej zostawiają sto.

- To mi się zawsze podobało w San Francisco - powiedział Del, mieszając piwo w szklance. - Mężczyźni są mężczyznami i nie przepraszają za to. Tam, skąd pochodzę, jest zupełnie inaczej.

- Na Południu było gorzej - odparł Brent. - Każdy chciał być cwany i każdy był, ale dyskretnie i z zakłamaniami.

- Pochodzisz z Natchez, prawda? Nie dziw się, Brent, spytałem Maggie. Powiedziała, że jesteś synem plantatora.

- Tak, jestem. Albo raczej byłem. Ojciec mnie wydziedziczył. - Nie chciał tego powiedzieć.

Del uniósł brew w zadziwieniu, ale nie spytał o nic więcej. - To jeszcze jedna rzecz, która podoba mi się na Zachodzie, a zwłaszcza w San Francisco - powiedział po chwili. - Nikogo nie obchodzi przeszłość kobiety czy mężczyzny. Tutaj jesteś tym, kim chcesz być. Czasami myślę, że mój ojciec też by mnie wyrzucił, gdyby nie mój starszy brat, Alex. Zawsze był wspaniałym rozjemcą.

- Czy twój brat również działa w przemyśle okrętowym?

- Buduje statki w Nowym Jorku. I tak jak ja ożenił się z Angielką. Jest w tym związku jakaś tajemnica, ale nie widuję ich na tyle często, żeby z nich to wyciągnąć.

- A skoro mowa o związkach... - przerwał mu Brent i uśmiechnął się.

- Dobra, dobra, mów.

- O ile mi wiadomo, niemal ożeniłeś się z Penelopą Stevenson.

Delaney przewrócił oczami. - Mówię ci, Brent, ta dziewczyna potrzebuje lania przynajmniej trzy razy dziennie. Nawet zanim przyjechała Chauncey, postanowiłem, że prędzej podetnę sobie żyły, niż się z nią ożenię. Dlaczego? Nie domyślasz się?

Brent wzruszył ramionami. - Dama jest uparta. Gdybym nie wiedział, to pomyślałbym, że chodzi jej o moje ciało, a nie o szlachetne serce. Przyznasz, że posag jest kuszący.

- Chyba tak, jeśli ktoś jest gotów oddać za pieniądze spokój ducha.

- I władzę. Do licha, Del, mogłaby cały czas zachodzić w ciążę i dzięki temu nie czepiać się

ciebie.

- Nie postawiłbym na to nawet pięćdziesięciu centów! Dobrze bym się zastanowił, Brent, zanim zainteresowałbym się Penelopą.

Brent uśmiechnął się i dopił piwo. - Plotę bzdury. Nie słuchaj mnie. Nie zamierzam się żenić z żadną kobietą.

- Zmienisz zdanie, gdy spotkasz tę odpowiednią - powiedział z przekonaniem Delaney. - A tak przy okazji, możesz mi pogratulować. Chauncey jest w ciąży.

Ku zaskoczeniu Delaneya Brent zeszywniał. O co chodzi? - zastanawiał się Delaney, jednak Brent szybko wziął się w garść. - Cieszę się - powiedział z uśmiechem. - Czy Chauncey czuje się dobrze?

- Ma tyle energii, że mnie to przeraża. Saint zapewnia, że niedługo trochę zwolni. Ale coś ci powiem - dodał Del,niżając głos - nie powiem tego Chauncey, ale jestem przerażony. Byłem w Nowym Jorku w pięćdziesiątym pierwszym, kiedy moja siostra zaczęła rodzić. Nigdy w życiu nie czułem się tak bezradny. Cholera, zapłacę Saintowi każdą kwotę. Dzięki Bogu, że jest w San Francisco.

A co będzie, jeśli Byrony znowu zajdzie w ciążę ? Czy jej życie było zagrożone podczas pierwszego porodu?

- Istotnie - powiedział Brent ostrym tonem. Nie mógł znieść myśli, że Ira dotykał chociażby jej dłoni, a co dopiero reszty.

Musisz się do tego przyzwyczaić, ty głupcze. Albo wyjedź z San Francisco.

- No cóż, muszę wracać do roboty - odezwał się Delaney. - Pomyśl o mojej propozycji, Brent. Ale nie zastanawiaj się zbyt długo, dobrze?

- Wiesz, Del, wybiorę się dziś na przejażdżkę bez Penelopy, żeby przewietrzyć myśli. Jutro dam ci odpowiedź.

Brent trzymał swojego konia, arabskiego ogiera o nietypowym i niearystokratycznym imieniu George, w stajni Jemiego Bradleya przy ulicy Kearny. Na szczęście popołudnie było pogodne. Zbliżała się pora deszczowa i wiedział, że wtedy George nie będzie miał zbyt dużo ruchu. Pojechał wzdłuż wyboistej drogi do misji Dolores, a potem skierował George'a w stronę oceanu. W tej części przylądka nie było nic poza piachem i wysokimi, ruchomymi wydmami. Ustawiczny wiatr znad oceanu zwiewał piasek w głąb lądu, pokrywając nim ścieżki i drogi w ciągu jednego dnia. Pamiętał opowieści o górnikach świeżo przybyłych do San Francisco. Rozbijali namioty i szli spać, a następnego ranka budzili się zasypani piachem.

Mewy krzyczały nad jego głową i był to jedyny odgłos życia, jaki słyszał. Ten teren był dziki, nieprzyjazny człowiekowi, a jednocześnie cudownie uspokajający. Skierował George'a w stronę ostatniego wzniesienia, mocno ściskając jego boki, by nie spaść na piasek. Przed oczyma ukazał mu się Pacyfik. Jaki piękny, pomyślał. Wychował się w głębi lądu i po raz pierwszy zobaczył ocean dwa lata temu. Zbliżał się przyływ i chłodna bryza rozwiewała piasek na plaży. Spojrzał na północ, w stronę wysokich, postrzępionych urwisk. Wtedy zobaczył innego jeźdźca.

Kobieta siedziała bez ruchu na klaczy, jakieś sto metrów od brzegu. Skrzywił się na moment, bo chciał być sam. Po jakimś czasie zawróciła i skierowała klacz w jego stronę. Brent zamarł.

Jesteś pechowym łajdakiem, pomyślał, śmiejąc się z siebie. Wyglądało to tak, jakby ją wyczarował. Nigdy nie przestawał o niej myśleć. Zastanawiał się przez krótką chwilę, co robi, gdy go zobaczy. A potem było mu wszystko jedno. Przywołał w sobie pogardę, uświadamiając sobie

niejasno, że to jego jedyna i ostatnia obrona przed Byrony.

Ponaglił George'a w jej kierunku, trzymając go tylko kilka metrów od brzegu. Mokry piasek był twardy i nie było niebezpieczeństwa, że koń się potknie.

- Dzień dobry, pani Butler - zawołał do niej i uniósł czarny filcowy kapelusz.

- Co pan tu robi?

Wydawała się przestraszona i to go zaskoczyło. Czy bała się, że ściągnie ją z konia i zgwałci na piasku? Bez szans, moja pani, chciał z niej zakpić. Nie miał ochoty mieć oblepionych piaskiem intymnych części ciała.

- Jeżdżę, jak pani widzi. Czy pani mąż wie, że jeździ pani sama? To mimo wszystko nie jest cywilizowane miasto.

Miała na sobie błękitny, aksamitny strój do jazdy konnej i zgrabny niebieski kapelusik. Jej dłonie okrywały rękawiczki z najlepszej skóry. Wyglądała tak pięknie i tak reżolutnie, że nie mógł złapać oddechu.

- Pan nie wygląda zbyt cywilizowanie, panie Hammond. Ale zapewniam pana, że zawsze jestem bardzo ostrożna.

- Tak jak pani, mam strój jeździecki.

- Wygląda pan bardziej jak desperat niż elegancki hazardzista - powiedziała.

Patrząc na niego, pomyślała, że to prawda. Ubrany był w czarne spodnie, białą koszulę z długimi rękawami i czarną skórzaną kamizelkę. Obrazu dopełniał czarny kapelusz i także buty do konnej jazdy. Wyglądał tak diabolicznie i pociągająco, że miała ochotę do niego podjechać, a jednocześnie uciec.

- I jak człowiek niegodny zaufania? Zignorowała jego prześmiewczy ton i zmusiła się, by od niego odjechać. Nagle wyciągnął rękę i złapał jej konia za uzdę. - Pomyślałem, że pani się mnie boi.

- Nie boję się pana - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- Świetnie, a więc pospacerujmy chwilę po plaży. *Ty idioto! Dlaczego po prostu nie pozwolił jej odjechać?*

Szybko zsiadł z konia i podszedł do niej. Patrzyła na niego z góry, skupiona i ostrożna.

- Nie jestem pewna... - zaczęła, nerwowo oblizując usta.

Poczuła, jak jego mocne dłonie obejmują ją w pasie i z łatwością zdejmują z końskiego grzbietu. Zamiast od razu postawić na ziemi, powoli opuszczał ją na dół wzdłuż swojego ciała, aż dotknęła stopami piasku. Krew pulsowała mu w uszach. Jego ciało zareagowało natychmiast i nie zamierzał sobie niczego odmawiać. Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Pióro w jej kapeluszu muskało go w policzek.

Byrony szamotała się, uderzając pięściami w jego pierś. Ale on tylko mocniej ją do siebie przygarnął.

- Nie - pisnęła - proszę, Brent, nie.

Jej głos przywrócił mu świadomość. - Boże, jesteś taka cholernie piękna. Dlaczego ty?

- Nie wiem. - Odsunęła się od niego i odwróciła tyłem. Nie bała się go. Pragnęła go.

To było dziwne uczucie, którego nigdy wcześniej nie doświadczyła. Czy to pożądanie? Patrzyła bezmyślnie na rozbijające się o brzeg fale.

Jego pożądanie opadło i powiedział brutalnie:

- Pragniesz mnie, a ja chcę mieć cię w łóżku. Tylko jeden raz i sądzę, że przestanę o tobie myśleć.

Zobaczył, że drżą jej ramiona, ale nie odwróciła się do niego.

- Jeden mężczyzna więcej nie robi różnicy - ciągnął, a frustracja zamieniała się w pogardę. - Obiecuję, że będzie ci dobrze. I nie zajdziesz w ciążę.

Byrony powoli odwróciła się do niego. Jej serce waliło jak oszalałe i nie chciało się uspokoić, chociaż starała się głęboko oddychać. Zastanawiała się przez moment, czy był w stanie usłyszeć bicie jej serca.

- Nie rozumiem - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. - Dlaczego mnie pan pragnie? W ogóle mnie pan nie zna. Powiedziałabym, że raczej pan mnie nienawidzi.

Zdjął kapelusz i przesunął palcami po włosach.

- To dziwne - mówiła dalej, po chwili ciężkiego milczenia. - Gdy spotkaliśmy się w San Diego, naprawdę myślałam, że różni się pan od innych mężczyzn. Ale to chyba było naiwne z mojej strony, prawda? Panie Hammond, prawda jest taka, że...

- Jaka? - Jego głos był ostry i nieprzyjemny. Przekrzywiła głowę na bok i wyglądała tak niewinnie, że przez krótką chwilę chciał błagać ją o wybaczenie.

- Czy gdybym zrobiła to, czego pan sobie życzy, przestałby mnie pan nienawidzić?

Patrzył na nią, nie mogąc wymyślić żadnej sensownej odpowiedzi.

- Proszę, po prostu próbuję zrozumieć. Nie wiem dlaczego musi mnie pan atakować i obrażać za każdym razem, gdy się spotkamy. Nie rozumiem, dlaczego chciałby mnie pan... to znaczy, to, czego pan chce jest takie intymne. Po co mężczyzna chciałby przeżyć coś intymnego z kobietą, której nienawidzi?

- Ja pani nie nienawidzę.

- A więc w dziwny sposób okazuje pan sympatię, panie Hammond.

- Brent.

Westchnęła. - Dobrze, Brent.

- Nie czuję do ciebie niechęci - powiedział, usiłując bezskutecznie wziąć się w garść. - Cholera, nienawidzę tego, co zrobiłaś. Mówisz, że nie możesz zrozumieć! A ja nie rozumiem, dlaczego kobiety się sprzedają, dlaczego kłamią i zdradzają. Dlaczego uważają, że muszą prowadzić gierki i zwodzić mężczyzn. Czy świadomość, że mężczyźni was pożądają, daje wam poczucie władzy?

Na pewno Laurel czuła, że ma władzę, widząc, jak za nią wodzą oczami!

- Ja nie mam żadnej władzy - powiedziała. - A jeśli chodzi o to, co zrobiłam, to nie miałam żadnego wyboru.

- Ależ oczywiście - zakpił. - Nie miałaś wyboru, gdy zasiał swoje nasienie w twoim łonie!

Drgnęła pod wpływem jego słów. Nie mogła dłużej tego znosić. Wolno powiedziała: - Panie Hammond... Brent... proszę, już dosyć. Jak już raz powiedziałeś, pościeliłam swoje łóżko i teraz muszę w nim spać. Szczerze wątpię, że prawdziwe życie oznacza szczęście, ale chciałabym mieć trochę spokoju. Czy mógłbyś mnie zostawić w spokoju?

- Nic nie sprawi mi większej przyjemności. - Przesunął palcami po włosach, coraz bardziej sfrustrowany. - Jesteś jak okropna choroba i wątpię, żebym mógł się wyleczyć, dopóki nie posiadam cię w każdy sposób, w jaki mężczyzna może osiąść kobietę.

- A więc - powiedziała z ociąganiem - jeśli ci się oddam, to zostawisz mnie w spokoju?

Miał ochotę rzucić ją na piasek i zedrzyć z niej ubranie. Chciał nią potrząsnąć i powiedzieć, żeby przestała zachowywać się jak rozwydrzona paniusia. Chciał...

- Brent?

- Idź do diabła, Byrony - powiedział, wściekły na nią i na siebie.

- Już tam jestem - powiedziała miękko. Odwróciła się i odeszła do swojej klaczy.

*

Celeste wymruczała coś przez sen, wrywając Brenta z zamyślenia. - Do diabła z tobą, Byrony - wyszeptał w ciemności.

ROZDZIAŁ 11

- Jest piękny, Ira. Dziękuję.

Byrony uniosła ciężki kok z karku, żeby mąż mógł zapiąć jej na szyi cudowny naszyjnik z pereł i brylantów.

Delikatnie pocałował ją w czoło i powiedział: -Wesołych świąt, Byrony. Wyglądasz uroczo.

Byrony miała ochotę się roześmiać, gdy Ira podarował Irene podobny naszyjnik z szafirów i brylantów. Biedny mężczyzna! Tak bardzo się starał zadowolić swoją przyrodnią siostrę. Dopóki tu jestem, to jest niemożliwe, chciała mu powiedzieć. Uszyła dla niego koszulę, delikatnym ścięciem, tak jak nauczyła ją ciotka Ida. Irene kupiła bratu wspaniałe siodło z hiszpańskiej skóry. Jej prezent przy tym wyglądał skromnie, ale nie miała pieniędzy.

Eileen i Naomi podały im grzany rum i też dostały prezenty. Byrony usiadła i patrzyła, jak Irene bawi się z Michelle, rozpakowując całą masę prezentów dla dziecka. Michelle gaworzyła radośnie i wymachiwała kawałkami papieru pakowego. Irene jest wspaniałą matką, pomyślała Byrony. Jak ja bym się czuła, gdybym musiała udawać przed innymi, że moje dziecko nie jest moje? Myśl tak dalej, zbeształa się w myślach, a niedługo uczynisz z Irene świętą!

Ira roześmiał się, słysząc gaworzenie dziecka.

- Z każdym dniem coraz bardziej przypomina Irene - powiedział - tylko że ma jasne włosy.

Tak, pomyślała Byrony. Ira pewnie się cieszy, że dziecko będzie miało włosy jak jego fałszywa matka. Ale kształt twarzy i ciemne, brązowe oczy odziedziczyło po Irene.

Irene rozpakowała prezent od Byrony, malutką ręcznie uszytą spódniczkę z naszywanymi wstążkami.

- Oczywiście jest na to jeszcze za mała - powiedziała Irene i odrzuciła spódniczkę na bok.

I już po świątecznym nastroju i świętości Irene, pomyślała Byrony.

Świąteczny obiad zjedli tylko we trójkę. Podano nadziewaną gęś, świeży zielony groszek, puszyste ziemniaki i wigilijny pudding w wersji Naomi. Irene siedziała obok Iry z dzieckiem na kolanach.

Jestem sama w luksusowym odosobnieniu, pomyślała Byrony, zerkając z drugiego końca stołu. Naprawdę uważała, że te święta były przyjemniejsze od poprzednich. Wtedy ojciec się upił, a brat poszedł grać z jednym ze swoich podejrzanych znajomych. A matka oczywiście nic nie powiedziała.

Ira dał jej jeszcze na Gwiazdkę książkę, zbiór poezji lorda Byrona. - Twój imiennik, moja droga - powiedział.

Resztę dnia spędziła zwinięta na małej sofie przed kominkiem.

*

Brent i Saint zjedli świąteczny obiad z Saxtonami.

- Twój brzuszek, Chauncey, jest uroczy - powiedział Brent, uśmiechając się do pani domu.

- Zgubi cię twoja niewyparzona gęba, Brent!

- Smutne, ale chyba prawdziwe.

- Przestań, jeszcze nie jestem taka niezgrabna.

Saint przyglądał się Chauncey przez dłuższą chwilę i powiedział: - Natychmiast idź na górę i poluzuj gorset!

- Mężczyźni! - stwierdziła Chauncey i uniosła ręce.

- Rób, jak ci każe Saint, kochanie, a nie będziesz musiała słuchać mnie - odezwał się Del.

- Cóż za niesamowita męska stanowczość - zakpiła jego żona. - Brent, liczę na to, że dasz temu zagubionemu mężczyźnie nauczkę, zanim wrócę.

Brent wykrzywił usta w uśmiechu. - Obawiam się, Chauncey, że jest za późno, żeby zmienić któreś z nas, nieszczęsnych stworzeń. Jak myślisz, Saint?

- Myślę - odparł powoli Saint - że to jest naj-szczęśliwszy dom w San Francisco.

- Co to znaczy? Czyżbyś zapominał o domu Butlerów?

Saint posłał mu długie, zamyślane spojrzenie i Brent poczuł, że płonie ze wstydu. Dlaczego nie mógł trzymać języka za zębami?

Del odwrócił się w ich stronę i wtrącił swoje trzy grosze. - Tak, Saint, i nie zapominaj o Stevensonach!

- Dobra - odrzekł pojednawczo Saint. - Daj mi drinka, Del, a będę grzeczny, gdy przyjadą Agatha i Horace. Mają przyjść po obiedzie, prawda?

- Po obiedzie - roześmiał się Del. - Nie przejmuj się, możesz dać upust swojej zachłanności. - Podając Saintowi whisky, dodał: - Muszę was obu ożenić.

Saint zakrztusił się.

Brent dał Delowi kuksańca.

- Dowiedz się, Saxton - powiedział Brent od niechcenia - że jak się tutaj najemy z Saintem, idziemy do baru, żeby urządzić sobie prawdziwe świąteczne przyjęcie z Maggie i jej dziewczętami.

- O Boże, nawet nie chcę się domyślać, co dostaniecie na Gwiazdkę, wy hultaje!

Brent uśmiechnął się lekko. Celeste już dała mi tego ranka świąteczny prezent, a właściwie dwa, pomyślał. Nadal czuł się przyjemnie odprężony. Daję jej prezent, a ona daje mi swoje ciało. Uczciwa wymiana.

- Z żoną to nie byłoby to samo... - zaczął i zarumienił się, zdając sobie z sprawę, że powiedział to na głos.

- Co by nie było? - zapytał Saint.

- Cały system... wymiany - powiedział Brent lekko. - Jeśli mężczyzna ma pieniądze, może kupić przyjemność i nie musi się martwić, że ktoś mu będzie gderał.

- Cyniczny łajdak - rzucił Delaney w stronę kominka.

- Ma trochę racji - odezwał się Saint, pocierając ucho. - Nie wszyscy mają tyle szczęścia co ty, Del.

- Zobacz tego biednego głupca Butlera. Bóg wie, że nie musiał się z nią żenić - powiedział Brent.

Del oparł łokcie na półce nad kominkiem. - Można o Irze powiedzieć różne rzeczy, ale nie to, że jest nieho-norowy. Byrony, pomimo twojej ewidentnej niechęci, Brent, jest damą. Cokolwiek między nimi zaszło, Ira postąpił słusznie. Kobiety mają tak niewiele władzy.

Brent prychnął. - Mają to, czego chcą mężczyźni i za co są skorzy zapłacić!

- Kto ma to, czego wy, mężczyźni, chcecie? - spytała Chauncey wesoło, wchodząc do pokoju.

- Mówiliśmy ogólnie, kochanie - odparł Del.

- Jasne. A teraz, ponieważ jestem w pokoju, wasza rozmowa zejdzie na grzeczne bzdury,

odpowiednie dla wrażliwych uszu damy. No dalej, mówcie o jakich to podłościach rozmawialiście.

- Rozmawialiśmy o tym, że kobiety nie mają władzy - powiedział Brent. - A przynajmniej Del tak twierdzi.

Chauncey, ku jego zaskoczeniu, zeszywniała na moment, a jej zazwyczaj żywe oczy straciły wyraz. Posłała mu wymuszony uśmiech. - To prawda - powiedziała cicho. - Kobieta na przykład nie może wyjść i znaleźć sobie pracy. Kto by ją zatrudnił? A jeśli nawet ktoś by ją zatrudnił, oczywiście mężczyzna, nie miałby dla niej najmniejszego szacunku i pewnie musiałaby przystać na jego zaloty. To nie w porządku, naprawdę.

- Zaskakuje mnie, że mówi to jedna z najbogatszych dam w San Francisco - powiedział Saint.

- Nie, Brent - odezwał się Del - to nie była handlowa wymiana. Chauncey miała więcej pieniędzy ode mnie. Cały czas jej powtarzam, że dlatego właśnie się z nią ożeniłem.

- Nie zawsze byłam bogata - powiedziała Chauncey. - Wierzcie mi, że doskonale rozumiem bezradność. To nie jest przyjemne.

- Ale jeśli kobieta jest piękna, ma niesamowitą władzę - powiedział Brent, cedząc słowa. - Musi tylko wybrać swoją ofiarę, oczywiście mężczyznę, który wpadnie po uszy, dając jej wszystko, czego będzie chciała.

- Już go nazwałem cynicznym łajdakiem, kochanie - powiedział Del i uśmiechnął się, widząc, jak zmienia się wyraz twarzy żony.

- Powiedziałabym raczej, że został bardzo mocno zraniony przez kobietę - powiedziała Chauncey.

- Może napijemy się whisky - odezwał się Brent, czując się niezręcznie pod przenikliwym wzrokiem Chauncey.

*

Chauncey była syta i rozleniwiona po jednym z tych chińsko-meksykańskich obiadów Lin, mocno przyprawionych imbirem.

- Sądzę, że ten okropny deszcz nigdy się nie skończy - powiedziała do Byrony. - Jestem wdzięczna, że chciałaś ten wieczór spędzić ze mną.

Byrony przytaknęła, słuchając miarowego szumu deszczu za oknem. Już wcześniej było jej niedobrze i słabo, ale nic nie powiedziała. Jestem chora, przyznała się w końcu przed sobą, zaskoczona.

- Mam nadzieję, że Del wróci do domu przed północą. Ach ci dżentelmeni i ich polityczne spotkania! Ira jest w klubie „Pacyfik”, prawda?

- Tak. Cieszył się, że zaprosiłaś mnie na wieczór do siebie. Nie lubi, kiedy jestem sama. - Miała sucho w gardle i było jej nieprawdopodobnie gorąco. Czowała, że w głowie zaczyna jej pulsować.

Dlaczego miałabyś być sama? - chciała zapytać Chauncey. Masz dziecko i jest Irene, która może dotrzymać ci towarzystwa.

- Jest niemal koniec lutego - powiedziała zamiast tego - i wydaje się, że maj nigdy nie nadejdzie. Czy czułaś się tak rozleniwiona i zadowolona, jak ja? I taka niecierpliwa?

- Co?

- Gdy byłaś w ciąży.

- Ach, tak, chyba tak. Wydaje się, że to było tak dawno temu.

Dziwne, pomyślała Chauncey, zerkając na Byrony spod rzęs. Czuję się za nią odpowiedzialna, a ona jest bardziej doświadczona niż ja! - Saint powiedział mi tylko, że to boli. Czy miałaś ciężki

poród?

Nawet nie wolno było mi wejść do pokoju!

Odchrząknęła i powiedziała ostrożnie: - To raczej nie było przyjemne.

- Byrony, czy dobrze się czujesz? Jesteś bardzo blada.

Byrony zmusiła się do słabego uśmiechu. - Chyba bierze mnie jakaś choroba. Przez cały dzień nie czułam się najlepiej, a teraz mam wrażenie, że pęknie mi głowa - powiedziała.

Chauncey natychmiast znalazła się przy Byrony i położyła dłoń na jej czole. - Masz gorączkę. Czy mam posłać Lucasa po Santa?

- Och, nie, Chauncey. Chyba pójdę po prostu do domu i położę się do łóżka.

- Ta ohydna pogoda! To cud, że wszyscy nie kichamy i nie pryhamy! Siedź sobie, Byrony, a ja powiem Lucasowi, żeby podjechał powozem pod drzwi.

Byrony nie miała na nic innego ochoty. Najchętniej zwinęłaby się w kłębek i przespała cały rok. Była rozpalona i czuła, że wysoki kołnierz sukni ją dusi.

Pociągnęła za kołnierz i zadrżała, gdy przejął ją nagły chłód. Na palcach jednej ręki mogła policzyć, ile razy w życiu była chora. Nienawidziła uczucia słabości i bezradności.

- Chodź, kochanie. Odprowadzę cię do drzwi. Okryję cię.

Stała uległa i cicha, podczas gdy Chauncey owijała jej szal wokół szyi i pomagała włożyć długi płaszcz.

- Wpadnę do ciebie jutro, Byrony. Jeśli nie poczujesz się lepiej, dopilnuję, żeby Ira wezwał Santa. Lucas, trzymaj parasol wysoko nad panią Butler.

Było tak zimno. Byrony miała wrażenie, że jej kości drżą. Umościła się w zamkniętym powozie i zamknęła oczy. Na zewnątrz bardzo padało i było tak mgliście, że nie mogła nic zobaczyć przez okno powozu. Dom Iry znajdował się niecały kilometr od domu Saxtonów. Gdy powóz się zatrzymał, zebrała siły i pozwoliła, żeby Lucas odprowadził ją do drzwi. W domu panował mrok.

- Dziękuję, Lucas. Nie musiałeś mnie odprowadzać. Nic mi nie będzie.

Jednak czekał, zmrużywszy oczy, aż Byrony wejdzie do środka.

Gdzie są Eileen i Naomi?

Byrony dobrze знаła dom i weszła po schodach po ciemku. Podejrzewała, że Irene i Michelle śpią. Dobrze, pomyślała, będę miała trochę spokoju. Już miała otworzyć drzwi do swojej sypialni, gdy dostrzegła smugę światła spod drzwi sypialni Iry. Dziwne, pomyślała, patrząc na światło. Czyżby Ira był już w domu? Powiedział jej, że wróci późno i żeby dłużej posiedziała u Chauncey Saxton.

Może powinnam poprosić Irę, by wezwał Santa, pomyślała i podeszła do zamkniętych drzwi. Podniosła rękę, żeby zapukać i zamarła. Ze środka dochodziły jakieś odgłosy. Dziwne dźwięki. Czy to był jęk? Czyżby Ira był chory? Złapała za klamkę i przekręciła. Drzwi otworzyły się po cichu i Byrony zajrzała do środka.

W pokoju paliła się tylko jedna lampa, rzucając wokół przyćmione światło.

Usłyszała kolejny jęk od strony łóżka.

Chciała zawołać go po imieniu, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jej ust. To nie był głos mężczyzny, to był jęk kobiety. Stała bez ruchu, zszokowana i zaskoczona.

- Ira, proszę... proszę.

- Tak, najdroższa, och tak.

Głos Irene. Głos Iry. Głosy kochanków.

Poczuła ucisk w gardle i włożyła pięść do ust, żeby nie krzyknąć. Zobaczyła unoszące się białe

ciało Iry i rozłożone nogi Irene. Usłyszała sapnięcie Irene, gdy Ira się na niej położył.

Są kochankami. Nie! Przecież Irene jest jego przyrodną siostrą! Nie, to niemożliwe!

Ich ciała splotły się i stali się jednością.

Michelle wygląda jak Butlerowie. Ha! Ona wygląda jak Ira!

Byrony objęła się ramionami, gdy dotarła do niej prawda. Boże, nic dziwnego, że Ira nie chciał, żeby była prawdziwą żoną. On już ma żonę i dziecko.

Powoli wycofała się z pokoju. Delikatnie zamknęła drzwi.

Michelle była ich dzieckiem. Ożenił się z nią, żeby chronić swoją przybraną siostrę, żeby zatrzymać ją i dziecko w domu. Byrony była tylko na pokaz. Dla ludzi.

Zaraz zwymiotuję, pomyślała przestraszona. Zbiegła szybko po schodach i otworzyła drzwi. Upadła na kolana w błoto i zwymiotowała. Jej ciałem wstrząsały gwałtowne skurcze. W końcu się uspokoiła. Czuła się wyczerpana i na szczęście otepiała, ale tylko przez chwilę. Nie mogę tam wrócić, pomyślała. Nie mogę tam wrócić!

Z trudem podniosła się, owinęła płaszczem i pobiegła. Zobaczyła światła w centrum i pobiegła w tamtą stronę. Wpadała w głębokie, błotniste kałuże, podnosiła się i biegła dalej. Czuła, jak deszcz przesiąka przez płaszcz.

Me mogę tam wrócić! Nie mogę!

Jej umysł skupił się na światłach. Nowe lampy gazowe zamontowano w zeszłym miesiącu. Zamglone światła. Biegła obok barów, obok mężczyzn, którzy nie zdawali sobie sprawy, że jest kobietą, dopóki ich nie minęła. Usłyszała, że mężczyźni wołali za nią, ale nie zwolniła.

Muszę biec. Muszę.

Podświadomie dobrze wiedziała, dokąd biegnie. Do „Dzikiej Gwiazdy”. Do placu Portsmouth. Do Brenta Hammonda. Przez moment zastanawiała się, dlaczego nie poszła do Chauncey. Chauncey była jej przyjaciółką, na pewno by ją przyjęła. Ale jej nogi nie zwolniły. Oczyma wyobraźni zobaczyła Brenta i wiedziała, że mimo wszystko zaopiekuje się nią. Będzie ją chronił. I właśnie jego ochrony chciała, niczyjej innej. Boże, chciała go zobaczyć, chciała, żeby ją przytulił i sprawił, że zniknie koszmar tej okropnej nocy.

Miała urywany oddech i kłuło ją w boku. W głowie czuła dudnienie serca. Zacisnęła tak mocno zęby, aż rozboleły ją szczęki. Słyszała stukot swoich butów o drewniany chodnik po wschodniej stronie Kearny, głuche odgłosy. Nie zdawała sobie sprawy z upływu czasu. Była skupiona wyłącznie na tym, by stawiać jedną stopę przed drugą. Wyłącznie na ucieczce.

„Dzika Gwiazda” była jasno oświetlona. Hazardziści i dziwki przeróżnego autoramentu, pomyślała bezsensownie. Nagle usłyszała niski, męski głos i poczuła, że silna męska dłoń łapie ją za ramię.

- Jezu, Chad, zobacz, co mam! Mała ptaszyna. Bardzo mokra mała ptaszyna.

- Puść mnie! - krzyknęła Byrony, ale z jej ust wydobył się tylko zachrypnięty szept. Nie mam swojego pistoletu, pomyślała.

- Chyba dostałeś nagrodę, Neddie.

- Co ty tutaj robisz, skarbie? Czy potrzebujesz na noc ciepłego mężczyzny?

Są pijani i mogą mnie skrzywdzić!

- Proszę, puśćcie mnie!

Odskoczyła od jednego z mężczyzn, ale zaraz złapał ją drugi i przyciągnął do siebie. Jego oddech pachniał whisky.

Krzyknęła, ale był to raczej żalospny pisk, zagłuszony szumem deszczu.

- Co tu się, do cholery, dzieje!

- Proszę, pomóż mi!

Brent gapił na przemoczoną kobietę w objęciach dwóch pijaków, których Nero przed chwilą wyrzucił z baru.

- Właśnie znaleźliśmy małą dziwkę - powiedział Chad, przyciągając Byrony do siebie.

- Chyba nie jest zbyt chętna - powiedział Brent, obserwując szarpiącą się kobietę z narastającą złością. - Puśćcie ją i to już.

Cholera! Chciał iść do Celeste, a tu ta historia! Czuł krople deszczu na karku, ale ruszył naprzód.

- Słuchaj, Hammond, nie mieszaj się!

Byrony zebrała siły i uderzyła Chada łokciem w brzuch. Jęknął i uniósł wielką pięść, żeby oddać cios.

- Ty draniu! - Brent doskoczył do niego w ułamku sekundy, waląc go pięścią w mokrą szczękę. Jezu, pomyślał, czy to któraś z dziewcząt Maggie? Chad upadł, a Byrony podbiegła do Brenta. Przyciągnął ją do siebie. To biedactwo potwornie się trzęsło.

- Wystarczy, panowie - powiedział.

- Jest nas dwóch, Neddie. Wielki pan Hammond nie ma tu nic do powiedzenia!

W dłoni Brenta pojawił się pistolet. - Radzę wam, żebyście się stąd wynieśli, łachudry. Niczego nie próbujcie, bo rozwalę wam łby - mówił Brent spokojnym, niemal rozbawionym głosem.

Byrony słyszała całą kłótnię jak przez mgłę. Słyszała, jak dwaj mężczyźni przeklinają niemiłosiernie, a potem odchodzą.

- Co ty tu robisz, do cholery? - Zapytał ostro Brent, chowając broń. - Czy Maggie niczego cię nie nauczyła? - Czuła, że nią potrząsa, aż kaptur płaszcza zsunął się jej z głowy.

Brent ujrzał mokrą, splecioną burzę włosów i niecierpliwie odgarnął je do tyłu. Odetchnął głęboko i zaklął. - Ty! Boże, Byrony, co do diabła...

Zamilkł nagle. Patrzyła na niego tępym wzrokiem.

- Co się z tobą dzieje? Gdzie jest Ira?

W łóżku ze swoją przyrodnią siostrą! Chciała się zaśmiać, ale z jej ust wydobył się tylko ostry kaszel.

- Co robisz na dworze w taką ohydłą pogodę? - Wciągnął ją pod drewniany dach i przyłożył jej dłoń do czoła. Gorączka. Była cała rozpalona. Przeraził się. Boże, nie może być chora! - Gdzie jest twój cudowny mąż? Chodź, zabiorę cię do domu!

- Nie! - Odskoczyła od niego tak szybko, że nie miał nawet czasu, by zareagować.

- Byrony! - krzyknął za nią wściekły. Zobaczył, jak upada w błotnistą kałużę.

ROZDZIAŁ 12

Zaklął głośno, tak z gniewu, jak i ze strachu. Pobiegł za nią, złapał ją nieporadnie i omal nie upadł w błoto razem z nią. - Cholerna pogoda - mruknął.

Udało mu się stanąć z powrotem na chodniku. Co u licha ma teraz zrobić? W rzeczywistości nie miał wątpliwości i mocniej ją uściskał, prowadząc do „Dzikiej Gwiazdy”. - Ani mi się waży chorować, gówniaro - warknął na nią.

Otworzył tylne drzwi i wszedł po schodach do swojego apartamentu. Zobaczyła go czarnowłosa, brązowooka Felice. - Natychmiast przyślij do mnie Maggie! - wrzasnął na nią.

- Dlaczego jest nieprzytomna? Czy ten drań zrobił jej krzywdę?

- Co się dzieje, Brent? - Maggie szeroko otworzyła oczy, gdy zobaczyła mokrą, brudną postać w jego ramionach.

- To Byrony - powiedział. - Nie wiem, co się stało. Ma gorączkę i jest nieprzytomna.

Byrony, pomyślała Maggie. A więc to nie była jakaś kobieta, którą znał dawno temu.

Ożywiła się. - Jest brudna. Trzeba ją wykapać. Poślę Caesara po Santa. Skoro już Felice cię widziała, a można jej ufać, poproszę ją, żeby ci pomogła. Nie ruszaj się, Brent!

Byrony poruszyła się w jego ramionach i wymamrotała coś o dziecku. Przytulił ją mocniej i zaczął do niej szeptać: - Co z dzieckiem? Twoim dzieckiem? Byrony?

Jej głowa opadła mu na ramię. Tak niedawno ją widział, a teraz była chora. Po chwili zdał sobie sprawę, że się modli. Gdy Maggie wróciła do pokoju, spojrział na nią, jak na anioła miłosierdzia.

- Dobra, Brent. Zabierz ją do sypialni. Felice podgrzewa wodę. Nieważne, że jest chora. Rozchoruje się jeszcze bardziej, jeśli nie zdejmujemy z niej tych przemoczonych łachów. Caesar pojechał po Santa. Módl się, żeby był w domu. Ale chyba tylko kretyń wychodziłby z domu w taką pogodę!

Brent zaniósł ją do sypialni, gdzie tak często marzył o tym, żeby się z nią kochać. W marzeniach była skazana na jego łaskę, pragnęła go i przyznawała się do tego. Chciał, żeby leżała w jego łóżku, z wyciągniętymi ramionami, cała gotowa, by go w siebie przyjąć.

- Połóż ją przy kominku. Wyjmij balię, Brent. - Maggie spojrzała na niego, zdając sobie sprawę, że się nie ruszył.

- Brent!

Delikatnie położył ją na zimnej podłodze koło kominka. - Jest chora - powiedział.

- Wiem. Rozbiorę ją i ty też się rozbierz. Jesteś tak samo przemoczony.

Przytaknął, wdzięczny, że ktoś wiedział, co robić. Nie wyszedł z sypialni, po prostu stanął z tyłu i powoli zaczął zdejmować mokre ubranie, rzucając je na podłogę.

Usłyszał westchnienie przy drzwiach, obejrzał się i zobaczył Felice z wiadrami gorącej wody. Nie zdawał sobie sprawy, że jest całkiem nagi.

- Do balii - powiedziała ostro Maggie. - Pomóż mi, Felice, i nie wzdychaj do pana Hammonda. Jest tylko mężczyzną, a ty widziałaś już wielu!

Brent owinał się szlafrokiem. Stał bezradny, podczas gdy Maggie i Felice włożyły Byrony do balii.

- Nie wyobrażam sobie mycia jej włosów, ale muszę to zrobić - mówiła Maggie do Felice. - Szybko, podaj mi mydło, nie powinna być w wodzie dłużej niż to konieczne.

- Dlaczego jest nieprzytomna? - wydusił z siebie Brent.

- Nie wiem. Nie martw się. Wkrótce przyjdzie Saint.

Chciał zobaczyć jej ciało od pierwszego spotkania; wydawało się, że to było wieki temu. Teraz jednak nie patrzył na nie. Wpatrywał się w jej twarz. Była taka' blada! - Zabiję tego drania - powiedział niskim, zbolalym głosem.

- Nikogo nie zabijesz, Brent! Daj mi swój drugi szlafrok. Ten z czerwonego aksamitu.

Felice owinęła mokre włosy Byrony grubym ręcznikiem, a Maggie szybko wytarła jej ciało. Brent bezmyślnie podał szlafrok.

- Dobrze. Połóż ją do łóżka, Brent.

Jest taka lekka, pomyślał, biorąc ją w ramiona. Taka krucha. Przykryli ją trzema grubymi kocami. Felice zdjęła ręcznik z jej włosów i zaczęła je rozczesywać.

- Wystarczy, Felice. Dziękuję. Proszę, dopilnuj, żeby doktor Saint przyszedł prosto na górę, kiedy przyjedzie. I nikomu ani słowa, rozumiemy się?

- Ale kim ona jest, Maggie? Co tutaj robi?

- Nie twoja sprawa, Felice. Idź już.

- Dlaczego jest nieprzytomna? - zapytał Brent, gdy zostali sami.

- Boże, nie wiem! Wiem tylko, że ma gorączkę. To pewnie grypa. A więc, Brent, to jest twoja Byrony. Kim ona jest?

Moja Byrony. Byrony, której imię krzychałem, kochając się z inną kobietą.

- Byrony Butler - powiedział i patrzył, jak Maggie otwiera szeroko oczy ze zdziwienia.

- Żona Iry Butlera?

- Tak. Cholera, Maggie, ona nic dla mnie nie znaczy! Nie widziałem jej od dawna. Nie mam pojęcia dlaczego była sama i...

- Najwyraźniej szła do ciebie.

- Nie - powiedział gorzko. - Chciała, żebym zostawił ją w spokoju. Chciała spokoju. Powiedziała mi, żebym poszedł do diabła.

Nie, to ty tak powiedziałeś.

- A więc gdzie szła?

- Nie wiem. Dobra, najwyraźniej coś się jej przydarzyło...

- Chyba coś okropnego i szła do ciebie, ponieważ nie miała gdzie się podziąć. - Maggie zamilkła na chwilę i położyła dłoń na czole Byrony. - Jest taka młoda - powiedziała. - Czy zamierzasz posłać kogoś po jej męża?

- Nie! To znaczy, gdy powiedziałem jej na zewnątrz, że zabiorę ją do domu, krzyknęła, że nie chce wracać. Nie wiem, co mam zrobić.

- Poczekajmy, co powie Saint - zdecydowała, gdy do sypialni wszedł doktor.

- Mam nadzieję, że masz dobry powód, Brent, żeby wyciągać człowieka z domu w taką pogodę...

O rany, kto to? Byrony!

Saint spojrział na Brenta, ale ten tylko wzruszył ramionami.

- Maggie uważa, że to grypa. Ale ona nie chce się obudzić, Saint.

Saint miał ochotę zadać kilka pytań, ale się nie odezwał. Ściągnął płaszcz, kapelusz, a potem rzucił to wszystko razem z parasolem w kąt pokoju. Usiadł obok Byrony i delikatnie przyłożył dłonie do jej policzków.

- Pójdę już, Brent - powiedziała Maggie. - Nie chcemy przecież, żeby ludzie zaczęli gadać. Zawołaj mnie, gdybyś czegoś potrzebował.

- Dziękuję, Maggie.

- Czy możesz mi powiedzieć, co tu się dzieje, Brent? - zapytał Saint, nie podnosząc wzroku.

Brent mówił, a Saint chrząkał od czasu do czasu.

- Tak więc wiem tyle, co ty - zakończył Brent. Patrzył jak Saint rozchyła szlafrok i przykładła ucho do piersi Byrony. - Płuca są czyste - powiedział. Saint miał już z powrotem zakryć szlafrok, gdy się zatrzymał. Patrzył na piękne, białe piersi z małymi, różowymi sutkami. Oszołomiony, potrząsnął głową.

- Co się stało? - zapytał Brent, podchodząc do łóżka.

- Zostaw mnie na chwilę samego, Brent. Myślę, że moja pacjentka nie byłaby zadowolona, gdyby wiedziała, że tu byłeś podczas badania.

- I co z tego - mruknął Brent, ale podszedł do kominka i oparł łokcie na półce.

Saint rozchylił cały szlafrok i przyglądał się smukłemu ciału. Zbyt smukła, pomyślał, prawie chuda. Zapytał: - Kiedy Byrony urodziła dziecko?

- Nie wiem. Jakieś sześć, siedem miesięcy temu. Dlaczego pytasz?

- Tak tylko się zastanawiam - odparł Saint. Bardzo się zastanawiał. Jeśli Byrony była kiedykolwiek w ciąży, to on jest prezydentem Stanów Zjednoczonych!

- Nalej mi brandy, Brent. Chcę, żeby oprzytomniała.

Dlaczego jest nieprzytomna? Czyżby przeżyła szok?

Saint przycisnął krawędź szklanki do jej ust i wlał w nią brandy. Zaczęła się krztusić, więc Saint szybko ją podniósł.

- Spokojnie, dziewczyno - przywitał ją łagodnie. - Wypij jeszcze trochę. To cię rozgrzeje.

Byrony słyszała męski głos i zmusiła się, żeby otworzyć oczy. Obraz był zamazany. Jakiś obcy mężczyzna. Dotykał jej, na pewno chciał ją skrzywdzić. - Nie! - krzyknęła i zaczęła się szarpać.

- Odsuń się, Saint! - Brent chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie. - Spokojnie, Byrony. Wszystko w porządku. Daję słowo. To ja, Brent. Jesteś bezpieczna.

- Brent - wyszeptała. Odzyskała ostrość widzenia i spojrzała w jego ciemne oczy. - Jestem chora - powiedziała.

- Wiem, jest tutaj Saint. Na pewno zaraz poczujesz się lepiej.

Chciał ją położyć na poduszce, ale ona zarzuciła mu ręce na szyję i mocno się do niego przytuliła. - Proszę... nie odchodź!

- Dobrze. Obiecuję, że zostanę. Ale teraz połóż się i odpręż. O tak. Zamknij oczy. Grzeczna dziewczynka.

Saint nie odezwał się słowem. Wlał do szklanki z wodą kilka kropli laudanum. - Niech to wypije - powiedział.

Słuchał, jak Brent miękkim i łagodnym głosem namawiał Byrony do wypicia lekarstwa. Patrzył, jak delikatnie głaskał ją po dłoni, gdy zasypiała.

- Wydaje mi się, synu, że masz spory problem. Brent odwrócił wzrok od twarzy Byrony. - Muszę się dowiedzieć, dlaczego uciekła - powiedział. - Czy ona wyzdrowieje, Saint?

- Tak, to silna dziewczyna. Rozumiem, że zamierzasz ją zatrzymać na noc?

- A mam wybór?

- Nie, chyba że chcesz posłać po Irę. W końcu jest jej mężem i to on jest za nią odpowiedzialny.

Brent podniósł się i wyciągnął do Santa rękę. -Zobaczymy się jutro - powiedział.

- Dopilnuj, żeby było jej ciepło, a kiedy się obudzi, niech pije dużo wody.

Saint nasunął na czoło skórzany kapelusz, odetchnął głęboko i zamyślony zszedł tylnymi schodami na dwór. A więc, pomyślał, to dziecko Irene. Jak ta diabli-ca zaszła w ciążę? Dlaczego Byrony zgodziła się uczestniczyć w tym przedstawieniu? Boże, co za zamieszanie!

*

Mamrotała coś przez sen, ale Brent nie rozumiał jej słów. Siedział ze splecionymi dłońmi na krześle obok łóżka, ani na moment nie spuszczał oczu z jej twarzy. Od pierwszej chwili rozbudziła w nim silne uczucia. Tak silne, że nie umiał sobie z nimi poradzić i chciał się wyładować - na niej. Zobaczył krople potu na jej czole. Wstał, zmoczył ręcznik i delikatnie otarł jej twarz.

Zawsze się kłócili. A raczej to on atakował ją i obrażał, przyznał sam przed sobą. Przyglądał się jej rysom, delikatnemu, prostemu nosowi, brodzie, zdradzającej upór, wysokim kościom policzkowym. Miała ciemne rzęsy, które odcinały się cieniem od jej bladych policzków. Ciemne brwi były lekko wygięte i miały ciemniejszy odcień niż włosy. Powoli wyciągnął dłoń i owinał wokół palca gruby pukiel jej włosów. Miękkie jak... Nie, nie jedwab, raczej aksamit.

Szybko tracisz głowę!

- Powtarza! sobie, że sprzedała się Irze Butlerowi i urodziła mu dziecko. Sama zgotowała sobie taki los, do cholery, to niech teraz go znosi! Nic go nie obchodziła.

Dlaczego przyszła do niego? Przecież go nienawidziła. Wiedział, że przyjaźni się z Chauncey. Dlaczego nie poszła do niej? Boże, ta okolica jest taka niebezpieczna. Przeszły go ciarki na myśl, co się mogło stać, gdyby nie szedł właśnie do Celeste. Co by było, gdyby ci mężczyźni...?

Jezu, przestań!

Podskoczył, gdy zegar na kominku cicho wybił dwunastą. Północ. Siedział tak, patrząc na nią od dwóch godzin. Powoli wstał, zamknął drzwi i zgasił lampę. Zrzucił z siebie szlafrok i wsunął się pod prześcieradło obok niej.

Do diabła z tobą, Byrony, pomyślał, zgrzytając zębami. Odsunął się od niej i zmusił się, by zamknąć oczy.

Obudził się w środku nocy, czując wtulone w niego ciepłe ciało. Ile to razy pragnął mieć ją przy sobie w łóżku przytuloną.

Głupiec.

Delikatnie dotknął jej brwi. Była chłodna. Nie miała już gorączki. Zacisnął palce. Miał ochotę zerwać z niej szlafrok i poczuć jej nagość. Jego męskość nabrzmiała, całe ciało drżało, a każdy mięsień był napięty do bólu. Wymruczała coś przez sen i odwróciła się od niego. Przewrócił się na plecy i wpatrywał się w ciemność. Zawsze przychodzi ten pierwszy raz, zakpił z siebie w myślach. Powinieneś ją wziąć, a potem niech się dzieje, co chce. Jednak nawet się nie poruszył.

*

Byrony zamrugnęła pod wpływem światła, które ogrzewało jej twarz. Powoli otworzyła oczy. Nie pada, pomyślała bez związku. Nagle przypomniała sobie wszystko i zaparło jej dech w piersiach.

- Wszystko w porządku, Byrony. Jak się czujesz?

- Brent? - Miała całkowicie zmieniony, niski, niemal grobowy głos.

- Tak.

- Ale co...? Och, teraz pamiętam. Gdzie jestem? - Spróbowała się podnieść.

- Jesteś w moim mieszkaniu, nad „Dziką Gwiazdą”. Czy pamiętasz, jak tu przyszedłeś zeszłej nocy?

Zamknęła oczy, usiłując pozbyć się obrazu Iry i Irene sprzed swoich oczu. - Pamiętam, że biegłam. Chyba do ciebie. Sama nie wiem.

Oczywiście, że biegłaś do niego. Dlaczego kłamiesz?

- Wypij to. Maggie zrobiła ci kleik.

Wypiła posłusznie, a potem opadła na poduszkę.

- Jesteś dla mnie miły - powiedziała, wpatrując się w niego.

- Tak. Cudowna przemiana. Musisz mi powiedzieć, co się stało.

No cóż, ponieważ nie czułam się najlepiej, wróciłam wcześniej do domu i przypadkiem zastałam mojego męża, kochającego się ze swoją przyrodnią siostrą.

Roześmiała się nieprzyjemnie, wręcz histerycznie. Przez moment w jego oczach pojawiło się przerażenie.

- Byrony!

Znowu chciała się roześmiać, ale zakrztusiła się. Poczowała, jak ją obejmuje i delikatnie poklepuje po plecach. Odetchnęła głęboko, próbując wziąć się w garść.

- Pokłóciłaś się z mężem? Dlatego uciekłaś? Czy on cię skrzywdził?

Był taki zły, przeszło jej przez myśl. - Nie - powiedziała. - Nie pokłóciliśmy się.

Rozboliła ją głowa. Nadal jestem chora, pomyślała, ale nie mogę tu zostać.

- A więc dlaczego?

Dlaczego nie zostawi jej w spokoju? Mogła tylko wyobrazić sobie, jak mówi mu, co się stało. Oczywiście nie uwierzyłby jej. Nigdy nie wierzył w to, co mu mówiła. Ale nie o to chodziło. Nie może niczego powiedzieć, dopóki nie zdecyduje, co zrobić. To był wyłącznie jej problem.

- Muszę iść. - Na pewno!

- Muszę wrócić do domu, zanim zaczną mnie szukać.

Brent, wściekły na siebie i na nią, wstał z łóżka. -Czy twój drogi mąż za bardzo na ciebie naciskał? Czy domagał się zbyt wiele? Obraził twoje delikatne uszy?

Jego złość przyniosła ulgę. To coś, do czego była przyzwyczajona i co rozumiała. Nie umiała poradzić sobie z jego przyływem łagodności.

- Tak - powiedziała chłodno. - Chciał mnie pojąć na stole w jadalni, a ja odmówiłam.

- Do diabła z tobą!

Odwrócił się od niej, a ona patrzyła, jak zaciska pięści. Miał na sobie szlafrok. Jego szczękę pokrywał ciemny zarost. Nie ogolił się. Chyba było jeszcze wcześniej. Wystarczająco wcześniej. W głowie zaczęła sobie układać ewentualne kłamstwa, którymi mogłaby się usprawiedliwić przed Iry.

Nagle zdała sobie sprawę, że ma na sobie tylko szlafrok Brenta. Był ciepły i taki miękki. Pachniał nim. Wolno opuściła nogi z łóżka. Czowała się słaba, ale nie miała już zawrotów głowy. Nadal jednak bolało ją gardło i głowa.

- Gdzie są moje ubrania?

- Zniszczone. Maggie coś ci pożyczy.

- Księżna.

- Jeśli powiesz o niej złe słowo, to popamiętasz. Posłała mu słaby uśmiech. - Proszę, Brent, muszę iść. Czy mógłbyś poprosić ją o jakieś ubrania? Obiecuję, że wszystko zwrócę.

Wyglądała tak bezbrinnie i smutno. Wszedł bez słowa z sypialni. Chwilę później Maggie przyniosła jej ubrania. O nic nie pytała.

- Dziękuję - powiedziała Byrony. - Doceniam pani dobroć.

Szara wełniana suknia była za krótka, ale Maggie nic nie powiedziała. Brent wszedł do pokoju, gdy Byrony okrywała ramiona szalem.

- Nero zawiezie cię do domu - powiedział zdawkowo. - Powóz jest wynajęty, więc twój mąż go nie rozpozna. Domyślam się, że masz dla niego w zanadrzu kilka wiarygodnych kłamstw?

- Mam nadzieję, że będą wiarygodne.

- Jak będzie po wszystkim - powiedział lodowatym głosem - staraj się dotrzymywać swoich warunków umowy. Nie mam ochoty być wplątany w twoje brudne sprawy.

- Tak, to było z mojej strony nie w porządku. Przepraszam.

- Przestań zachowywać się jak zbity pies!

Po raz pierwszy Byrony uśmiechnęła się. - A nie suka?

Odwrócił się do Maggie, która spod przymrużonych powiek przyglądała się jego wścieklej twarzy. - Jeszcze raz dziękuję.

Miała ochotę znowu się roześmiać, gdy dwadzieścia minut później wśliznęła się cicho do domu. Nikogo nie było. Nikt nie mógł jej zobaczyć. Poszła do swojego pokoju, ostrożnie zdjęła z siebie ubranie Maggie i złożyła je w kostkę. Włożyła ciepłą koszulę nocną i weszła do łóżka.

Zastanawiała się, czy Ira i Irene śpią razem po drugiej stronie drzwi. Muszę coś zrobić, pomyślała znowu. Rozwiązanie było w istocie bardzo proste. Podciągnęła kołdrę pod brodę i zasnęła.

ROZDZIAŁ 13

Byrony zatrzymała się w drzwiach gabinetu Iry, potem zmusiła się, żeby zamknąć je za sobą i podejść do niego. Przyglądała mu się przez chwilę, zanim zauważył jej obecność. Pochłonięty był czytaniem gazety. Był w nim spokój i łagodność, które działały na nią uspokajająco i wyciszająco. Jednak nie teraz. Czy wyobrażała sobie, że będzie wyglądał inaczej? Gdy już o wszystkim wiedziała? Ale nie wyglądał inaczej. Nadal miał jasną skórę, blond włosy, tylko trochę ciemniejsze od włosów swojej córki, cudownie wyrzeźbione, arystokratyczne kości. Prawdziwy anioł, pomyślała. Zawsze zachwycały ją jego dłonie - długie, smukłe, z idealnymi paznokciami. Delikatne dłonie, którymi pieścił swoją przyrodnią siostrę.

Przestań, Byrony!

- Ci idioci chyba nie chcą tego zrobić - mruknął Ira, krzywiąc się. Wyczuł jej obecność i zaczął powoli składać gazetę, zanim podniósł wzrok. - Jak się czujesz, moja droga? - spytał, podnosząc się z krzesła. - Nadal jesteś trochę blada. Martwiłem się o ciebie.

- Nic mi nie jest, Ira. Dziękuję. *Jak normalnie się zachowujemy!* Odetchnęła głęboko i powiedziała: - Ira, muszę z tobą porozmawiać.

- Oczywiście, moja droga. - Był zmęczony kilkudniowymi rozmowami ze związkami zawodowymi w odlewni. Ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, była rodzinna awantura. - Proszę, usiądź.

- Nie, nie chcę. - Ile to razy w ciągu ostatnich trzech dni powtarzała sobie w głowie to, co zamierza mu powiedzieć. Dotknął jej dłoni, lecz odsunęła się od niego.

Skrzywił się, ale nie skomentował.

- Ira - powiedziała bardzo spokojnie - ja wiem.

Nadal milczał z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Doskonale wiedział, co miała na myśli, niemniej spytał: - Co wiesz, Byrony?

- Wiem o tobie i Irene i... Michelle.

- Rozumiem. - Skończyło się i poczuł dziwną ulgę, a potem przyływ strachu. Byli tacy ostrożni! Czyżby ta czarna suka, Eileen, coś powiedziała? Nie, oczywiście, że nic by nie powiedziała. - Czy mogę spytać, skąd wiesz?

- Widziałam was w twoim łóżku.

W jej głosie pobrzmiwała odraza i nagle ją znienawidził. Miał ochotę uderzyć Byrony za to, że czuje odrazę do czegoś, czego nigdy nie będzie w stanie zrozumieć. Oczywiście nie mógł jej uderzyć... nigdy nie uderzył kobiety. Ojciec bardzo wcześnie nauczył go, że kobiety należy wielbić i chronić. W głowie pojawiły się dawno zapomniane wspomnienia. Jego ojciec i matka Irene zginęli podczas tej niespodziewanej śnieżycy. On i Irene zostali sami, a jego przepelniała rozpacz. Irene, wtedy czternastoletnia, ale taka mądra, przyszła do niego. Przytulila go. Nie miał wielu kobiet w swoim dwudziestośmioletnim życiu, a nigdy nie miał dziewczyny. Oddała mu się całkowicie, znosząc dziewiczy ból w milczeniu, kochając go. Na zawsze, jak szeptała.

Dziwne, pomyślała Byrony, przyglądając mu się uważnie. Nadal wygląda jak anioł; nie zmienia tego nawet świadomość jego postępowania. Nie mogła jednak nie zauważyć bólu w jego oczach.

- Czy mogę spytać, co zamierzasz zrobić? - zapytał grzecznym, niemal obojętnym tonem.

- Nic. Nic nie powiem, jeśli uwolnisz mnie od tej małżeńskiej farsy i...

Uczucie ulgi zastąpił gniew i niedowierzanie. - Co oznacza to „i”? Szantażysta zawsze chce więcej.

- Musisz nadal wysyłać moim rodzicom co miesiąc taką samą kwotę. Nie chodzi mi o mojego ojca, ale bez tych pieniędzy szybko zwróci się przeciwko matce. Nie chcę, żeby zrobił jej krzywdę.

- To wszystko, czego chcesz? - zapytał i odwrócił się od niej. Nie ufaj jej, mówił sobie.

- Tak, to wszystko.

- Co rozumiesz przez uwolnienie cię?

- Myślałam o wszystkich problemach z tym związanych. Jestem gotowa wyjechać z San Francisco i pozwolić, by wierzono, że opuściłam męża i... dziecko. Twoja tajemnica nie wyjdzie na jaw.

Odwrócił się do niej i zobaczyła w jego oczach strach.

- Nie jestem szantażystką, Ira, ale chciałabym, żebyś dał mi, powiedzmy, sto dolarów. Jak wiesz, nie mam żadnych pieniędzy. Wątpię, żebym odjechała daleko od San Francisco, nawet za pieniądze ze sprzedaży ubrań, które od ciebie dostałam. I nie sądzę, żeby to było rozsądne, żebym sprzedała naszyjnik, który mi dałeś na święta. Ktoś mógłby go rozpoznać, zacząć się zastanawiać i zadawać pytania.

- Widzę, że wszystko sobie dobrze przemyślałaś.

- Tak, przemyślałam. Przez ostatnie trzy dni nie miałam nic innego do roboty. Nie życzę ci źle, Ira. Wprawdzie nie rozumiem twoich... uczuć do Irene ani jej uczuć do ciebie, ale nie mnie to osądzać.

Jak mogłabyś, ty mała kretynko?

- Jest jeszcze jedna sprawa. Mam zamiar utrzymywać kontakt z moją matką. Jeśli dowiem się, że przestałaś wysyłać jej pieniądze, zrujnuję cię.

- Zastanowię się nad tym - powiedział w końcu. Byrony wyszła z gabinetu bez słowa. Zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie.

Drżała z ulgi. Czego się po nim spodziewała? Ze będzie na nią krzyczał, że będzie usprawiedliwiał swój związek z przyrodnią siostrą? Ira, dżentelmen w każdym calu. Boże, już po wszystkim. Wyszła z domu i pojechała konno nad ocean. Nie padało, ale silne podmuchy wiatru uderzały ją piaskiem po twarzy i oczach.

Nie zdziwił jej widok Brenta na dużym, arabskim ogierze.

- Witaj, Brent - powiedziała, marząc o tym, by spotkania z nim nie wywoływały w niej bólu. Jego gęste włosy rozwiewał wiatr. Zmierzył ją wzrokiem. Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu. - Dobrze się czujesz? - zapytał w końcu.

- Tak, dobrze. Jeszcze trochę kaszlę, ale nic poza tym. - Zsiadła z konia i podeszła do brzegu. Nadepnęła na muszelkę i schyliła się, by ją podnieść. Z uwagą studiowała różowe prążki, doskonale wiedząc, że stał tuż za nią.

Powoli odwróciła się. - Miałam nadzieję, że cię tu spotkam. - *Musiałam cię zobaczyć ten ostatni raz.* - Chciałam ci podziękować za to, że się mną zająłeś.

- Nie dałaś mi wyboru. Nie mogłem zostawić cię w błocie.

- Tak - powiedziała, uśmiechając się lekko - oczywiście, że nie mogłeś.

- Nadal nie zamierzasz powiedzieć mi, co się stało, prawda?

- Nie mogę. - *Ale bardzo chcę!*

Brent odwrócił się od niej, uderzając szpicrutą o udo. Jak głupiec przyjeżdżał tu przez ostatnie dwa dni. Nic nie pomagało. - Czy udało ci się wymyślić wiarygodne kłamstwo dla twojego drogiego męża?

- Miałam przygotowanych kilka kłamstw, ale nikt mnie nie widział, kiedy wróciłam. Nikt nawet nie zauważył, że mnie nie było.

- Nie zapomnij tych kłamstw. Założę się, że będziesz ich potrzebowała w przyszłości.

- Dlaczego miałabym ich potrzebować? - spytała zaskoczona.

Miał ochotę nią potrząsnąć. - Gdy weźmiesz sobie kolejnego kochanka, droga pani Butler.

Uniosła rękę i z całej siły uderzyła go w twarz.

Głowa jej odskoczyła, gdy jej oddał. Sapnęła, bardziej z zaskoczenia, niż z bólu, choć czuła, że piecze ją policzek.

- Do diabła z tobą - powiedział i przyciągnął ją do siebie. Pocałował ją namiętnie, nie jak kochanek, lecz jak mężczyzna, który wymierza karę. Czuła jego dłonie we włosach, jego usta delikatnie muskające jej szczękę, policzki, nos. Chłonał ją całą i zaznaczał, jak swoją własność.

Byrony przestała walczyć. Czuła, jak zębami przygryza jej dolną wargę, jak jego język usiłuje się precyzyjnie pomiędzy jej wargami. - Otwórz usta - powiedział.

Otworzyła. Nie wsunął języka brutalnie, lecz powoli i bardzo delikatnie, zaraz go wycofując, żeby mogła się do niego przyzwyczaić. Brent poczuł, gdy na niego zareagowała i coś głęboko w nim zadrżało. Krzyknęła zaskoczona, a potem przytuliła się do niego, stając na palcach, żeby być bliżej jego ust.

Oszalałem, pomyślał. Kompletnie oszalałem. Przestał ją całować i spojrzął na jej rozchylone, opuchnięte i wilgotne wargi. Jej piersi falowały, a ona cała drżała. Otworzyła oczy i dostrzegł w nich rozczarowanie, że przestał ją całować. Rozmarzone oczy.

- Pragnę cię, Byrony - powiedział, przyciskając wargi do jej skroni. - Nie tutaj. Dziś wieczorem. Przyjdź do mnie dziś wieczorem.

Cudowne, nieznane uczucie, które opanowało jej ciało nagle znikło. *Co robisz?* Lekko potrząsnęła głową, usiłując uporządkować myśli.

- Zgódź się. Dam ci rozkosz, więcej rozkoszy, niż byłby w stanie dać ci ten starzec, za którego wyszłaś. Więcej niż inni twoi kochankowie.

Łzy napłynęły jej do oczu. Tak wiele kłamstw i podstępów. Cicho powiedziała: - Nigdy nie miałam kochanka. - *Boże, nigdy nie miałam męża.*

Dostrzegła cień niedowierzania w jego oczach. Granatowych jak bezksiężycowa noc. W oczach, które odzwierciedlały jego myśli, przynajmniej w tej chwili.

- Nigdy nie miałam kochanka - powtórzyła.

Zacisnął dłonie na jej ramionach. - Nie chcę twoich kłamstw! Nie obchodzi mnie, czy miałaś tuzin kochanków. Oni się nie liczą. Liczy się tylko to, że będę miał ciebie. - Nagle roześmiał się głośno. Patrzyła, jak drga jego grdyka. - Cholera, nie obchodziłoby mnie, nawet gdybyś miała syfilis!

- Przestań, Brent - powiedziała bardzo spokojnie i bardzo stanowczo.

Była sztywna i nieprzystępna. Jej pożądanie osłabło. Oczy nie były już rozmarzone, a twarz miała nieprzenikniony wyraz.

- Puść mnie - powiedziała.

Opuścił ręce. - Czyżby tak łatwo było cię zranić, pani Butler? Czy twoja namiętność jest tylko grą? A może grą jest twój chłód? Lubisz uwodzić mężczyzn, doprowadzać ich do szaleństwa, zanim pozwolisz im się posiąść?

Podniosła rękę, ale chwycił ją mocno za nadgarstek. - Ciesz się, że cię powstrzymałem, Byrony. Niewiele brakuje, żebym wziął cię od razu tutaj. Zważywszy na mój stan, wątpię, żebyś odczuwała jakąkolwiek przyjemność.

Nagle szarpnął jej rękę w dół i przycisnął palce do swojej nabrzmiałej męskości. - Cieszysz się, wiedząc, jak bardzo cię pragnę, Byrony? Czujesz, że masz nade mną władzę?

Zaniemówiła, zaszokowana. Czowała, jak pręży się pod jej dotykiem. Mężczyzna. Był twardy, żywy, niebezpieczny i przerażający. I taki gorący. Nawet przez ubranie czowała, jaki jest rozpalony. Zacisnęła palce na jego męskości. Jego mimowolne jęknięcie zaszokowało ją.

Dyszał i drżał z pożądania. Gdy wyrwała rękę, z trudem skupił wzrok na jej bladej twarzy i szeroko otwartych oczach, w których nie dostrzegł zrozumienia.

Kolejna gra, do diabła z nią! - Masz miłe dłonie, pani Butler, ale niewątpliwie mówiono ci to już wcześniej. Oczywiście wolałbym twoje usta. Czy umiesz posługiwać się ustami i tym swoim różowym językiem?

- Ja... ja nie wiem - powiedziała. Żywy obraz jej, klęczącej przed nim i biorącej do ust tę część jego ciała, sprawił, że zarumieniła się ze wstydu. Jak by mogła zrobić coś takiego? Był taki twardy i duży.

- To powszechnie stosowana metoda, jak pewnie wiesz, żeby zadowolić mężczyznę i uniknąć ciąży. Może nie jesteś aż tak doświadczona. Z przyjemnością cię przeszkolę. Dziś w nocy, Byrony. Chcę, żebyś przyszła do mnie dziś wieczorem. To nie powinno być dla ciebie problemem przy tych wszystkich kłamstwach, które przygotowałaś dla swojego męża.

Nie docierały do niej jego ironiczne słowa. Dlaczego ciągle o nim myślała, chciała go zobaczyć, być z nim, skoro cały czas ją obrażał? Wszystko czego on chce, powiedziała sobie w chwili brutalnej szczerości, to twoje ciało. Nic więcej. Przez moment ciało przypomniało jej o uczuciach, które w niej obudził. Dlaczego nie miałyby pójść do niego przed wyjazdem?

- Nie mogę - powiedziała, odpowiadając sobie, a nie jemu.

Ale niedługo będziesz wolna.

- Nie jestem dziwką, panie Hammond. Wyszczrzył do niej zęby. - Oczywiście, że nie jesteś.

Dziwki, moja panno, są całkiem uczciwe. Ty natomiast i wiele podobnych tobie dam jesteście jak suki w cieczce.

- Wyjeżdżam z San Francisco.

Brent zamarł, targany nim nieokreślone emocje. *Me, do cholery, nie możesz wyjechać!*

- Chyba chciałam zobaczyć cię po raz ostatni przed wyjazdem. Sama nie wiem dlaczego. Może chciałam ci jeszcze raz podziękować za to, że mi pomogłeś tamtej nocy. - Roześmiała się szyderczo.

- No cóż, to nie ma znaczenia.

- Dlaczego przyszłaś do mnie tamtej nocy? Dlaczego?

Odpowiedziała całkiem szczerze: - Ponieważ z nieznanego mi powodu jakaś część mnie ufa ci bezgranicznie. Chyba jestem głupia. Ale pomogłeś mi i jestem ci za to wdzięczna. A teraz do widzenia, panie Hammond.

- Dlaczego? - wrzasnął za nią. - Dlaczego chciałaś mnie znowu zobaczyć? Wiem, że nie tylko po to, by mi podziękować! - Zatrzymała się na chwilę, ale nie odwróciła się.

Stał na plaży, słuchając kojącego szumu fal i patrząc, jak wsiada na konia. Ani razu się nie obejrzała.

*

- Gdzie ona jest?

- Eileen powiedziała, że jadła obiad w swoim pokoju. Nie musimy się nią przejmować. Co zamierzasz zrobić, Ira?

- Czy mamy jakiś wybór? Jest gotowa wyjechać. Rozwiode się z nią po cichu. A wtedy będziemy wolni, Irene. I nasze dziecko.

- Czy na pewno?

Zadziwiła go nuta goryczy w jej głosie. - Oczywiście. Wierzę Byrony.

- A więc jesteś głupcem, Ira. Czy ona zamierza wrócić do domu ojca w San Diego?

- Nie powiedziała, ale jestem pewien, że nie. Nienawidzi go, a Madison DeWitt jest bydlakiem.

- Jak sądzisz, co się stanie, gdy skończą się pie-- niądze, które jej dasz? Zostanie sprzedawczynią? Zacznie szyć czepki?

- To nie jest zła dziewczyna, Irene - powiedział cierpliwie. - Wiem, kochanie, że miałyście problemy, ale nigdy nie widziałem, żeby zachowywała się podle czy złośliwie.

- Będzie dużo ohydnych plotek. Mówisz o cichym rozwodzie. To nie będzie możliwe, Ira. Będziemy narażeni na skandal.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że zawsze obwinia się kobietę. A wszyscy będą uważali, że Byrony opuściła nie tylko mnie, ale także dziecko.

- Ludzie będą się zastanawiali, dlaczego odeszła, a jej jako nieobecnej nie można będzie obwiniać. Nie podoba mi się to i w przeciwieństwie do ciebie nie ufam jej. Ona zawsze będzie obecna, a my już zawsze będziemy się zastanawiać i martwić.

Ira westchnął i wsunął ręce do kieszeni spodni.

- Musimy chronić Michelle.

Ach, jego córeczka. Zrobiłby wszystko, żeby tylko była bezpieczna. Wszystko. - Co masz na myśli, Irene? - zapytał w końcu, patrząc jej w oczy.

Dławiła ją zazdrość o Byrony. Nie mogła tak po prostu powiedzieć, co chciała zrobić tej małej dziwce.

Była zagrożeniem. Zawsze będzie zagrożeniem. Widziała, jak przez te miesiące Ira stawał się dla niej coraz miłszy. Była przerażona, że zacznie ją w końcu traktować jak prawdziwą żonę.

- Ona nie może wyjechać - powiedziała Irene. Ira przeklął pod nosem. - Ona wyjedzie, Irene!

Nie zostanie tutaj po tym...

- Zdaję sobie z tego sprawę. - Wstała z krzesła i podeszła do niego. Przytuliła się policzkiem do jego ramienia i jego napięcie stopniało. Objął ją i poczuła jego zdesperowanie, strach i miłość.

- Myślę, że powinna umrzeć.

Odsunął się od niej, pobladły z przerażenia. - Nie jestem mordercą - powiedział.

- Naprawdę wierzysz w to, że nie wróci, gdy wyda wszystkie pieniądze? Że nie będzie nas szantażować? Ira, na Boga, pomyśl o Michelle!

- Nie jestem mordercą - powtórzył.

Dobrze go znała i wiedziała, że nie zmieni zdania. Zastanawiała się, czy sama nie mogłaby spowodować śmierci Byrony. Patrzył na nią z przerażeniem w oczach. Zbladła i powiedziała szybko:

- Nie, oczywiście, żadne z nas nie mogłoby tego zrobić. - Przytuliła się do niego i załkała cicho. -

Tak bardzo się boję, Ira. Tak bardzo.

- Wiem, kochanie, wiem.

Kocham go, pomyślała, ale czasami jest taki słaby. Muszę chronić to, co jest nasze. Muszę chronić dziecko.

- Ira - odezwała się, połykając łzy - chyba wiem, co musimy zrobić.

*

Tej nocy Brent przegrał niemal tysiąc dolarów z Jamesem Corą. Usiłował blefować, ale nie był w sta-

nie nic zrobić, mając w ręku trzy kara. Cały czas pił, a od czasu do czasu klął bez powodu jak szewc.

- Przyjacielu - odezwał się Cora, odchylając się na krzesło, gdy Brent zgarniał ze stołu jakieś marne sto dolarów. - Mógłbyś wygrać więcej, gdybyś choć trochę uważał. Trzy króle! Boże, ja miałem tylko parę waletów. Colin był gotów licytować do upadłego z dwiema damami i ósemkami.

- Jestem głupcem - odparł Brent tonem człowieka całkowicie pijanego, który usiłuje zachować pozory trzeźwości.

Cora roześmiał się i zapalił grube cygaro. - Domyślam się, że chodzi o kłopoty z kobietą. Nawet nie próbuj zaprzeczać. Wiem coś na ten temat. Belle dała mi niezłą szkołę!

- To suka i oszustka.

- Mam nadzieję, że nie mówisz o Belle? Oczywiście, że nie. Czy mam przyjemność znać ten wzór cnót?

Brent zbyt późno się zreflektował. - Nie - powiedział ostro.

- Kłamiesz dziś równie kiepsko jak grasz, mój przyjacielu. Słuchaj, każda kobieta jest równie dobra jak inna. Nadal będę wygrywał od ciebie pieniądze, ale nie jest to zbyt zabawne. Idź do swojej Celeste. A kiedy zanurzysz w nią swoją wędkę, po prostu zamknij oczy. Zobaczysz to, co będziesz chciał. Słonie, ptaki, cokolwiek.

Brent chrząknął i wypił resztkę whisky.

- Pij dalej to świństwo, a nie będziesz w stanie nic z siebie wydusić.

Brent nie mógł się pohamować od śmiechu. - Masz niewyparzoną gębę, Cora.

- Belle mi to powtarza - przytaknął, szczerząc zęby.

- Nie potrzebuję twoich rad. Znam się na kobietach i ich szwindlach.

- Dobra - powiedział ugodowo James Cora. - Widzę dwóch rozrzutnych facetów. Nie wezmą od ciebie więcej niż dziesięć dolarów. Hej, Del, Dan! Chodźcie tu, chłopcy. Mam tu żalosego hazardzistę, który przegrał wszystko poza butami.

Del Saxton uniósł brew i zagwizdał pod nosem, patrząc na Brenta. - Fatalnie wyglądasz - powiedział.

- Dzięki, Saxton. - Spojrzał zamglonym wzrokiem na Dana Brewera, współnika Dela. - Usiądź. Nie stój jak dupek.

- Ja też cię lubię, Hammond.

- Maggie powiedziała mi, że cię tu znajdę - odezwał się Del, siadając koło Brenta. - Trochę się o ciebie martwi.

- Cholerne kobiety. Powiedz jej, żeby pilnowała swoich spraw.

- Och, ależ jesteś dziś wygadany - odparł Dan, nie przejmując się.

Brent miał ochotę się pokłócić, ale nie z Delem. Boże, robił z siebie głupca. I to była jej wina. -

Przepraszam, Del - powiedział, biorąc słaby oddech. -Wybacz mi moją niewyparzoną gębę. Cholera, nawet nie wiem, co ja tutaj robię.

- Tracisz duże pieniądze - odparł sucho Del. - Na to wygląda. Brent. Chcesz o tym pogadać?

Brent podniósł się chwiejnie. - Nie. Może jesteś moim współnikiem w interesach, ale nie jesteś księdzem. A teraz, panowie, wybaczenie. Pójdę poszukać mniej wymagającego towarzystwa.

- Co mu się stało? - zapytał Dan, patrząc jak Brent idzie bardzo powoli i bardzo ostrożnie między stolikami do drzwi „El Dorado”.

- Wiem tyle co ty - odparł Delaney Saxton. - Skoro już tu jesteśmy, to może chcesz przegrać kilka centów?

ROZDZIAŁ 14

- Celeste, trzymaj ręce przy sobie! Nigdzie nie idę. Roześmiała się rozbawiona. Brent rozwalił się w dużym fotelu z nieprzytomnym wzrokiem i wyciągniętymi przed siebie nogami. Rozpięła guziki spodni i delikatnie zamknęła jego męskość w dłoni. - Taki mały problem - powiedziała, głaszcząc go lekko.

- Wielkie dzięki za komplement - wymamrotał.

- Moje małe kochanie nie wie, ile go czeka przyjemności.

- Twoje małe kochanie jest pijane jak świnia. Może nalejesz mi trochę whisky i zachowasz swoje komplementy dla siebie.

- Jestem kobietą, Brent, a nie cudotwórcą - powiedziała Celeste. - Kolejny kieliszek na pewno go nie ożywi. A teraz cicho.

Brent westchnął i zamknął oczy.

- O, już nie taki mały - odezwała się po chwili Celeste z zadowoleniem, unosząc głowę ku jego twarzy. - Chodź, rozbiorę cię.

- Nie chcę się ruszać. Nie chcę myśleć. Nie chcę się kochać.

- Ale uparty. Co się stało? Ktoś nie chciał grać?

- Tak, ja. Straciłem tysiąc dolarów, grając z Cora.

- Słaba forma - powiedziała Celeste, potrząsając głową. Spojrzała na efekt swoich pieszczot i skrzywiła się. Zajął jej dobre dziesięć minut, żeby go rozebrać i położyć do łóżka. Przeklinał ją i cały świat, aż w końcu opadł na łóżko, jak długi.

- A teraz - powiedziała Celeste, moszcząc się na nim - sprawię, że przestaniesz przeklinać, a zaczniesz jęczeć.

Zamiast jęczeć, Brent wymamrotał: - Jestem głupcem, capem bez krzty rozumu. Ona nic dla mnie nie znaczy i niedługo pozbędę się jej ze swojego życia i myśli. Uparta... głupia, taka piękna.

Jęknął w końcu, gdy wprowadziła go głęboko w siebie. Podniósł ręce i złapał ją za biodra, a Celeste, patrząc na jego niespokojną twarz, zapytała cicho, nie przestając się poruszać: - Taka uparta? To znaczy, że nie chciała pójść z tobą do łóżka? Twoja... Byrony?

Brent uniósł się i wbił palce w jej biodra. - Nie! - wrzasnął. - Jezu, wy kobiety jesteście takie pamiętliwe! Przestań na mnie napadać, Celeste!

Zaczęła poruszać się wolniej, zadając mu tym słodką torturę. - Cicho, mój kochany. Skup się na przyjemności i zapomnij o tamtej kobiecie.

Zapomniał, przynajmniej na pięć minut. Zapadł w pijackie otępienie, ale Celeste przyciągnęła go do piersi i przesunęła dłonią po jego potarganych włosach. Ciszę wypełniło jego chrapanie. Mój silny mężczyzna wpadł z kretesem, pomyślała, i pewnie nigdy nie przyzna się do tego przed sobą. Nie kochała go, ale była nim zauroczona i uważała go za wspaniałego i hojnego kochanka. Wiele razy zarzekał się, że nigdy się nie ożeni, że nigdy nie pozwoli, by usidliła go jakaś kobieta. - Ty biedny głupcze - mruknęła, delikatnie głaszcząc go po plecach. Co miał na myśli, mówiąc, że niedługo ona

zniknie z jego życia? Czyżby wyjeżdżała? Czy dlatego spił się do nieprzytomności?

*

- W tym tygodniu wszystko załatwimy, Byrony - powiedział Ira.

W ciszy siedzieli we trójkę przy śniadaniu, aż Ira w końcu przerwał ciężkie milczenie.

- Rozumiem, że zastosujesz się do moich życzeń, Ira?

- Tak, oczywiście.

- Nie pozostawiłaś mu... nam... wielkiego wyboru - odezwała się Irene.

Byrony zjadła trochę jajecznicę, zanim powiedziała ironicznie: - Czy wyobrażasz sobie, że mogłabym tu zostać, Irene? Czy ty na moim miejscu nie chciałabyś wyjechać, nie domagałabyś się wolności?

- Prowadzisz bardzo przyjemne życie - powiedziała Irene. - Nosisz nazwisko Butlerów, masz piękne stroje, pozycję społeczną... - Zamilkła, widząc wściekłość, malującą się na twarzy Byrony. - No cóż, nie wyobrażam sobie, żebyś chciała pracować jako sprzedawczyni.

- Wtedy przynajmniej nie otaczałyby mnie kłamstwa.

- Do kłamstw można się przyzwyczaić - odparła Irene.

W niecałą godzinę po śniadaniu Byrony poczuła ogarniające ją mdłości. Złapała się za brzuch pod wpływem ostrego bólu, który wkrótce ustąpił. Pozostałość po grypie, pomyślała i odetchnęła głęboko.

Tak jak to było w zwyczaju, towarzyszyła Irze i Irene w kościele. Po mszy zamieniła kilka słów z Chauncey i Delem, umawiając się z Chauncey na lunch we wtorek, wymieniła grzeczności z Agathą i Horace'em Newtonami i zauważyła zmieszana, że Saint skinął jej grzecznie głową, a potem bacznie się jej przyglądał.

Po południu chciała pojeździć konno, ale poczuła się tak zmęczona po lunchu, że poszła się położyć.

- Czy na pewno wyleczyłaś grypę? - zapytał Ira zatroskanym głosem następnego dnia przy śniadaniu.

- Może nie do końca - odparła Byrony. - Jestem trochę zmęczona.

- Czy mam wezwać Sainta? Może wpadłby do nas?

- Och, nie, nie ma takiej potrzeby. Chyba trochę odpocznę. - Bawiła się grzanką z dżemem. -

Chciałabym wyjechać w piątek, Ira - powiedziała.

- Dobrze, wyjedziesz - odparł.

*

- Jest okropny - powiedziała Maggie do Sainta. - Powiesz mu dzień dobry, a on patrzy się na ciebie, jakbyś obrażał jego dobre imię.

Saint chrząknął, a potem podjął temat, który Maggie mu przerwała. - Nie wiem, co zrobić z Felice. Co miesiąc daję jej laudanum. Mówi, że zawsze miała silne bóle. Obawia się, że jej... zajęcie tylko je pogorszyło.

- Niemądra dziewczyna - odparła Maggie. - Może kawy?

Przytaknął. - Czarną, Maggie.

Po podaniu kawy usiadła naprzeciwko niego i ciągnęła swoje rozważania. - To musi mieć coś wspólnego z Byrony Butler. Celeste, która ma najszersze serce i najdłuższy język, powiedziała mi, że Brent mamrotał coś o jej wyjeździe.

Tak, jak spodziewała się Maggie, Saint gwałtownie podniósł głowę. - To niedorzeczne -

powiedział i natychmiast zamilkł. Boże, etyka zawodowa to taka skomplikowana kwestia. Gdzie się kończy, a gdzie zaczyna? Może byłoby lepiej, żeby Byrony wyjechała. Tej biednej dziewczynie należy się coś od życia poza udawaniem matki dziecka innej kobiety. Ale Ira wydaje się wobec niej taki troskliwy, przynajmniej tak się zachowywał wczoraj w kościele. Sprawiali wrażenie idealnej pary.

- Porozmawiasz z nim, Saint?

Wyczuł troskę w głosie Maggie, sam również był zatroskany. Westchnął głęboko. - To nie moja sprawa, Maggie.

- Przecież jesteś jego przyjacielem.

- Tak i jako jego przyjaciel nie będę się wtrącał.

- Poczekaj, aż zwróci się przeciwko tobie! Założę się, że wtedy będziesz chciał coś zrobić!

- O co się założysz, Maggie? - W drzwiach stał Brent.

Maggie podskoczyła i oblała się rumieńcem. - Nie możesz pukać, Brent? Mogliśmy robić z Saintem coś bardzo intymnego.

Saint zakrztusił się kawą. Patrzył, jak Brent przechodzi przez pokój. Wyglądał inaczej, był zmęczony i miał poszarzałą cerę. Schudł.

- Nie zobaczyłbym niczego, czego dotychczas nie widziałem - odparł Brent, siadając nieproszone na jednym z obitych aksamitem krzeseł. - Patrząc na twoje pełne winy spojrzenie, Maggie, założę się, że plotkowałeś. Oczywiście zgodnie ze swoją kobiecą naturą.

- Nie bądź niesprawiedliwy, Brent - powiedziała Maggie.

Uniósł brew. - Ja, niesprawiedliwy?

- Najbardziej niesprawiedliwy drań, jakiego widziałam!

- Pogódźcie się - Saint uniósł ręce.

- Przeliteruj to - warknął Brent.

Saint skrzywił się. Maggie miała rację. Brent zachowywał się okropnie. - Spotkałem dziś Irę Butlera - powiedział. Nie było to prawdą, ale chciał zobaczyć reakcję Brenta.

Nie musiał długo czekać. Brent zeszywniał, zmrużył oczy i wycedził przez zęby: - Co, do cholery, robił ten łajdak?

- Szukał mnie - powiedział Saint obojętnie i wstał. - Dziękuję za kawę, Maggie. Felice poczuje się lepiej, gdy się obudzi. Nie musisz mnie odprowadzać. Brent, mam dla ciebie radę, jako lekarz oczywiście. Przestań pić.

- Idź do diabła.

- Święty w piekle? Niemożliwe!

*

Chauncey stała przed Eileen w drzwiach domu Butlerów.

- Chciałabym się zobaczyć z panią Butler - powtórzyła, zastanawiając się, dlaczego ta kobieta nie chce jej wpuścić.

- Pani Butler jest chora, pani Saxton. Doktor zabronił ją odwiedzać.

- Chora? Co jej jest?

Eileen wzruszyła ramionami. - Musi pani zapytać lekarza, pani Saxton. Wiem tylko, że cały czas leży w łóżku.

- Czy pan Butler jest w domu?

- Nie, *madam*. Muszę już iść, pani Saxton. - Z tymi słowami Eileen zamknęła Chauncey drzwi

przed nosem.

- Do jasnej cholery! - mruknęła Chauncey, wracając do powozu. - Jedziemy do domu, Lucas.

Wygląda na to, że pani Butler jest chora i nikt nie może jej odwiedzać.

Lucas skrzywił się ponad głową Chauncey, gdy pomagał jej wsiąść do powozu. - Nadal grypa?

- Nie wiem. Nic z tego nie rozumiem. Miała dziś zjeść ze mną lunch. Musi być naprawdę bardzo chora, skoro nie przesłała mi żadnego listu.

- Proszę się nie martwić - powiedział Lucas. - To nie podobałoby się panu Delowi.

- Wiem. - Chauncey westchnęła smutno. - Wydaje mu się, że będę rodzić pierwsze dziecko na świecie!

Jednak Chauncey nie zapomniła o Byrony i wspomniła o niej wieczorem Delowi. Gdy skończyła, zapytała: - Co powinniśmy zrobić?

- Zrobić? - zapytał. - Domyślam się, że jeśli jest chora, to zajmuje się nią Saint. Dlaczego tak się martwisz?

Chauncey skubała koniec szala, który Del kazał jej zarzucać na ramiona wieczorami jako ochronę przed nieistniejącym przeciągiem. - Służąca Butlerów, Eileen, zachowywała się dziwnie.

- Coś ci powiem, kochanie. Jutro zapytam Sainta, co się dzieje. Dobrze?

- Tak, dziękuję. Widziałam, jak Lucas całował Mary - dodała z błyskiem w oczach.

- O, to jest coś, co chcę usłyszeć! Czy powinienem przyszpilić Lucasa i wypytać o jego zamiary? Czy mam wyciągnąć dubeltówkę?

- Wariat - mruknęła Chauncey.

- Chyba masz rację. Mary poradzi sobie bez nas. To twarda kobitka.

*

- Jest w swoim biurze, doktorze Morris - powiedział Nero. - Nie niepokoiłbym go, jeśli to nie jest naprawdę ważne.

- Dziękuję za ostrzeżenie, Nero. To ważne, bo inaczej nie narażałbym swoich uszu.

- Wczoraj strasznie pobił jednego pijaka - dodał Nero. - Musiałem go od tego biedaka odciągać.

- Dobrze - odparł Saint. - Pewnie jest zbyt zmęczony, żeby wyzywać się na mnie.

Zapukał do drzwi i usłyszał bardzo niechętne warknięcie: - Proszę.

- Czego chcesz?

Saint zamknął drzwi i wszedł do małego gabinetu Brenta. Spokojnie usadowił się na krześle.

- No?

- O rany, jesteśmy zirytowani.

- Saint, jeśli przysłała cię Maggie...

- Ależ skąd. Chcę tylko usłyszeć, co wiesz o wyjeździe Byrony Butler z San Francisco.

Aha, pomyślał, to go zainteresowało.

- Wiem tylko, że wyjeżdża. Wystarczy? Zostaw mnie w spokoju. - Brent zamknął oczy. Czuł się taki zmęczony i żaloszny, że nie mógł znieść sam siebie.

Saint rozparł się wygodnie na krześle. - To dziwne - powiedział po chwili.

- Co jest dziwne? - zapytał ostro Brent, wyprostowując się i wbijając wzrok w twarz Sainta.

- Nie wyjechała.

- I co z tego? - powiedział Brent, wypuszczając powietrze. - Nawet w tej sprawie mnie okłamała.

Powinienem był wiedzieć, że wszystko było grą, wszystko...

- Jest chora.

Brent zbladł. Zerwał się z krzesła i podskoczył do Sainta. - Co to znaczy? - zapytał zdenerwowany.

- To znaczy, że dziś rano spotkałem Dela. Powiedział mi, że Chauncey poszła do domu Butlerów, ale służąca jej nie wpuściła. Powiedziała Chauncey, że pani Butler leży w łóżku i że lekarz nie pozwolił jej nikogo widzieć.

- Ty jesteś jej cholernym lekarzem! Co jej jest, Saint? - Nagle Brent cofnął się, jakby dostał cios w brzuch. - Znowu jest w ciąży, prawda? Dlatego leży w łóżku.

- Wątpię - powiedział Saint. - Ira mnie nie wzywał. Nie wiem, kto się nią zajmuje.

Brent w myślach policzył dni od ich ostatniego spotkania. Cztery... nie, pięć dni. Powiedziała mu, że czuje się dobrze i jeszcze tylko trochę kaszle. - Musisz do niej pójść - powiedział.

Saint już wcześniej postanowił, że zajrzy do Butlerów. Musiał sam zobaczyć, co się dzieje. - Chyba tak zrobię - odezwał się, wstając z krzesła.

- Powiesz mi, co z nią?

- Tak - odparł Saint. - Powiem ci. - Spojrzał na przyjaciela ze współczuciem i zrozumieniem, ale Brent tego nie zauważył.

*

- Czy ty oszalałeś? - Saint nie wierzył własnym uszom. Posłał Irze wrogie spojrzenie.

- Powiedziałem ci, Saint, że moja żona ma swojego lekarza. Ma dobrą opiekę.

- Marcus Farnsworth jest cholernym szarlatanem! To dziwak. Wie tyle samo o medycynie, co mój koń! A nawet mniej. Mój koń przynajmniej nie uśmierca ludzi!

Ira wstał z krzesła i splótł roztrzęsione ręce za sobą. - Zgodziłem się z tobą spotkać, ponieważ myślałem, że czegoś chcesz. Nie życzę sobie jednak, żebyś atakował mnie albo podważał moje decyzje.

- Ira - wolno powiedział Saint - chcę zobaczyć Byrony.

- Nie. Marcus uważa, że ma zapalenie opon mózgowych. Uważa, że to jakaś forma kobiecej hysterii.

- Brednie!

Ira siłą się pohamował. Byłoby nierozsądnie naskoczyć na Sainta. Bardzo nierozsądnie. - Słuchaj, Saint, Marcus wie, co robi. Przykro mi, że go nie lubisz, ale ja wprost przeciwnie. Widzę, że jej pomaga.

- Chcę ją zobaczyć - powtórzył Saint.

On nie odpuści, pomyślał Ira, przyglądając się człowiekowi, którego szanował, lubił, a teraz trochę się obawiał. Z rezygnacją machnął ręką. - Dobrze. Jeśli chcesz, to przyjdź dziś po południu, koło drugiej. W porządku?

Dokładnie o drugiej zaprowadzono Sainta do pokoju Byrony. Nie było tam Marcusa Farnswortha, co nie robiło Saintowi specjalnej różnicy. Miał ochotę obedrzeć tego durnia ze skóry. Rzeczywiście kobieca histeria!

Byrony spała, odurzona lekami.

Saint usiadł na łóżku i delikatnie zmierzył jej tętno, potem pochylił się, żeby posłuchać bicia serca. Tętno miała trochę nierówne, ale serce biło normalnie. Nie wyglądała dobrze, była blada i sprawiała wrażenie kruchej jak porcelana.

- Co jej dał? - zapytał Irę.

- Chyba laudanum. Miałem nadzieję, że nie będzie spała. Oczywiście chciałem, żebyś z nią

porozmawiał. Ale dziś rano jej stan się pogorszył. Straciła głowę, była niemal agresywna.

Boże, pomyślał Saint krzywiąc się, co powinienem zrobić? Przesunął palcami po włosach, ani na moment nie spuszczał oczu z twarzy Byrony. Cholera, jeśli Irene, a nie Byrony, jest matką Michelle, nic mu do tego.

- Powiedz mi, Ira, co rokuje Farnsworth?

- Jest pełen nadziei - odparł Ira. - Ale mówi, że ten rodzaj choroby jest trudny. Zapytał mnie, czy może zadzwonić do lekarza w Sacramento, który zajmuje się takimi... problemami.

Szukam dziury w całym, pomyślał Saint, podnosząc się z łóżka Byrony. Już miał wyjść, gdy od strony łóżka dobiegło ciche jęknięcie. Odwrócił się na pięcie i szybko podszedł do Byrony.

Byrony?

Czuła, jakby jej głowa i ciało ważyły tonę. Tak trudno było otworzyć oczy. Chciała tylko spać. Ale usłyszała głos Sainta. - Saint - wyszeptała. - Chce mi się pić.

- Oczywiście, kochanie - powiedział i szybko wlał do szklanki wody z dzbanka przy łóżku. - Proszę, wypij powoli.

Przełknięcie wody wymagało wielkiego wysiłku. -Co ty tutaj robisz, Saint?

- Martwiłem się o ciebie. - Delikatnie uścisnął jej bezwładną dłoń. - Jak się czujesz?

- Słaba, bardzo słaba.

- To chyba przez laudanum. Wyzdrowiejesz niedługo. A wtedy... - Przerwał. Znowu była nieprzytomna. Wstał z zaciśniętymi szczękami i już wiedział, co ma zrobić. - Dziękuję, Ira - powiedział. - Myślę, że niedługo wyzdrowieje.

- Też mam taką nadzieję - odparł Ira. Miał spocone dłonie.

ROZDZIAŁ 15

Byrony obudziła się, słysząc głosy - nieznane, niskie i zdenerwowane. Jej umysł pracował na wolnych obrotach. Usiłowała skupić się na tych głosach. To był Ira i Irene.

W głosie Iry pobrzmiwało zmartwienie. - Saint coś podejrzewa!

Głos Irene był pogardliwy i rozkazujący. - A co może zrobić, na Boga? Nic, zupełnie nic!

- Dostyc, Irene. Mówię poważnie. Przestań dodawać coś do jej jedzenia, cokolwiek to jest! Pozwolę jej odejść. Słyszysz?

- Nie, Ira, nie! Proszę, musisz mnie wysłuchać. Głosy oddaliły się.

Co ma przestać dodawać do mojego jedzenia? -zastanawiała się. Jej umysł zaczął pracować i zdała sobie nagle sprawę, że Irene ją truła. Przecież to szaleństwo. Dlaczego miałyby to robić?

Ponieważ boją się, że powiesz prawdę o ich związku. Że już zawsze będziesz ich szantażować.

- Ale przecież obiecałam Irze, że tego nie zrobię - wyszeptała. Miała obolałe gardło, a jej głos przypominał skrzek.

Rozbudziła się całkowicie. Na szczęście była sama. Pamiętała, że obok niej siedział Saint i coś do niej mówił. Co mu powiedziała?

Co mam zrobić?

Wyjedziesz, to właśnie zrobisz.

Muszę odzyskać siły, pomyślała. I nie wolno mi jeść ani pić. Podniosła się z wysiłkiem i zwiesiła nogi z łóżka. Powoli stanęła, lecz była tak osłabiona, że zaraz upadła.

Zakryła dłońmi twarz. Była zbyt przerażona, żeby płakać. Nigdy w życiu nie czuła się taka samotna. Dlaczego do pokoju nie może wejść ciotka Ida? Powiedzieć jej, że przyszły panny Perkins z wizytą. Powiedzieć jej... Nie miała nikogo.

Będziesz musiała polegać tylko na sobie, gdy wyjedziesz, głupia. Lepiej zacznij od razu.

Spojrzała w stronę okna. Było późne popołudnie. Za chwilę Eileen i Irene przyniosą jej coś do jedzenia. Będzie musiała udawać. Dziś w nocy, pomyślała. Muszę być na tyle silna, żeby uciec dziś w nocy. Przypomniała sobie o pięknym naszyjniku, który Ira dał jej na Gwiazdkę. Nie mogła się doczekać, żeby go sprzedać. Odpocznę teraz, pomyślała. Dziś w nocy wymknę się przez okno. Pojadę konno na południe, w stronę San Jose. Wszystko będzie dobrze.

Spała, gdy Irene cicho otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Skrzywiła się, a potem wzruszyła ramionami i odniosła tacę z jedzeniem na dół.

*

Dochodziła północ. San Francisco okryte było niesamowitą szarą mgłą, tak gęstą i ciężką, że widać było tylko na kilka metrów.

Brent jechał konno ulicą Market, a potem South Park, do domu Butlerów. Tutaj mgła była rzadsza. Zatrzymał się w pewnej odległości od budynku. Na szczęście było ciemno, nie paliły się żadne światła. Saint powiedział mu, w którym pokoju jest Byrony. Nie sypiała z mężem.

Przez moment się zastanawiał, czy Saint zdawał sobie sprawę, jaki skutek odniosą jego słowa.

Pewnie tak; facet był cholernie błyskotliwy.

- Więc - powiedział wtedy Saint, niemal zamykając oczy - chyba po prostu odwiedzę ją jutro. Mam nadzieję, że nie będzie za bardzo odurzona.

Brent nadal pamiętał swój gniew.

- Oczywiście, to nie jest twoja sprawa, Brent. Ale mówiłeś, że chcesz wiedzieć. - Saint wstał, przeciągnął się, jakby nic go to nie obchodziło i dodał: - Chyba spróbuję szczęścia na dole.

Wtedy Brent zapytał, gdzie się znajduje pokój Byrony.

A Saint mu powiedział.

- A więc ma osobną sypialnię? Nie sypia z mężem?

Saint lekko się uśmiechnął. - Kto wie? - powiedział tylko.

Brent tak naprawdę nie zastanawiał się nad swoją decyzją. Podjął ją i już.

Co powie, gdy go zobaczy? A jeśli nie zechce z nim pójść? Jeśli tak, przywołanie jej do porządku sprawi mu ogromną przyjemność.

Potrząsnął głową i bezszelestnie zsiadł z konia. Przywiązał rumaka do jednej z kilku rosnących przed domem sosen i poszedł na drugą stronę domu. Zatrzymał się, uśmiechnął szeroko i rzucił na ziemię przywieziony z sobą sznur. Cienka sosna dosięgała piętra, niemal dotykając ściany budynku.

*

Byrony spakowała walizkę. Trzęsa się i pociła z wyczerpania. Muszę się teraz ubrać, pomyślała, muszę iść. Ale nie miała już więcej siły. Usiadła na łóżku, patrząc tępo na migocący płomień świecy. Za chwilę zgaśnie, pomyślała, a nie mam już więcej świec. Jak się ubiorę po ciemku?

Podskoczyła, gdy usłyszała hałas. Serce zaczęło jej łomotać i spojrzała w stronę okna. Zobaczyła, że się otwiera, i jakiś mężczyzna przekłada przez nie nogi.

- Brent.

Ich oczy się spotkały. Uśmiechnął się. Byrony tylko patrzyła na niego bez ruchu, nie wierząc własnym oczom.

- Dobry wieczór, szanowna pani - powiedział cicho, kłaniając się przesadnie.

- Brent - wyszeptała. Zerwała się z łóżka i wpadła w jego ramiona. - Czy naprawdę tu jesteś? Czy to nie moja wyobraźnia? - Histerycznie zaciskała dłonie na jego ramionach.

- Jestem tu.

- Nie wiedziałam, co zrobić. Wiedziałam, że muszę uciekać, ale nie miałam siły, żeby się ubrać. Świeca niemal się wypaliła.

Trzymał ją mocno w ramionach, przez chwilę nic nie mówiąc. Drżała. Czuł, jak omdlewa i delikatnie wziął ją na rękę.

- Teraz już nic nie musisz robić - powiedział, sadzając ją na krawędzi łóżka. Wziął w dłonie jej twarz. - Pójdiesz ze mną?

Spojrzała na niego tak, jakby nie zrozumiała pytania. - Myślałam, że jestem sama - odezwała się w odpowiedzi. - Czy naprawdę przyszedłeś, żeby zabrać mnie z tego domu?

- Tak - powiedział. - Widzę, że udało ci się spakować.

Kurczowo trzymała się jego rękawa. - Proszę, czy możemy już iść? Czasami... czasami do mnie zagląday.

Przez chwilę przyglądał się jej bladej twarzy. Miała błyszczące gorączką oczy. Długie włosy zaczesana do tyłu i związała wstążką na karku. Lekko przyłożył opuszki palców do jej policzka. - Siedź spokojnie.

Wyrzucił za okno jej walizkę. - Byrony, to wymaga trochę sprytu. Nie wiem, jak wytrzymałe jest to drzewo. Spróbujemy?

Przytaknęła i spróbowała się podnieść.

- Nie, nie - zbeształ ją łagodnie. Wyciągnął z szafy gruby, wełniany płaszcz i owinał ją. - Trzymaj się. - Podniósł dziewczynę i przełożył przez ramię, trzymając za uda.

Byrony zamknęła oczy. Jeśli to sen, pomyślała, to nie chcę się obudzić. Jeszcze nie teraz. Wdychała jego zapach, czuła jego siłę.

Gałąź pękła. Brent zaklął cicho, tracąc oparcie pod nogami. Ale Byrony nie wydała żadnego dźwięku.

Leżała przewieszona przez jego ramię, jakby było to najbezpieczniejsze miejsce na świecie. - Grzeczna dziewczynka - szepnął. - Jesteśmy prawie na miejscu.

Stał na ziemi i delikatnie postawił Byrony obok siebie. - Schudłaś - powiedział.

Opierała się o niego. - Ty też.

- Skąd wiesz? Nawet na mnie nie spojrzałaś.

- Masz szczuplejszą twarz. Ty też byłeś chory? Miał ochotę się roześmiać, ale nie zrobił tego.

Może później. - Chodź, musimy stąd uciekać i to zaraz.

Podniósł walizkę znowu przewiesił Byrony przez ramię. Ufa mi, pomyślał, idąc najciszej jak mógł w stronę konia. Było to dla niego zaskoczeniem, zważywszy na to, jak ją poprzednio traktował. Nie, poprawił się. Ufała mu już wcześniej, wtedy gdy przyszła do niego w tę deszczową noc. Jakoś udało mu się wsiąść na konia, trzymając zarówno ją, jak i jej walizkę.

Chciał wiedzieć, dlaczego mąż chciał ją skrzywdzić. Jeżeli rzeczywiście chciał ją skrzywdzić, poprawił się. Może dlatego, rozmyślał dalej, że chciała go zostawić. Zazdrosny, zaborczy typ. Może Ira był wściekły, bo chciała zabrać dziecko. Ale nie wspomniała nic o dziecku, nie przejawiała żadnego zainteresowania, nie wyglądała na zmartwioną. Skrzywił się, myśląc, że kawałki układanki po prostu do siebie nie pasują. Nie rozumiał ani jej, ani tej absurdalnej sytuacji. A teraz znalazł się w samym środku tego wszystkiego. Nieodwołalnie. Porzucił tę myśl.

Zatrzyma! konia w uliczce na tyłach baru. Ku jego zaskoczeniu z cienia wyłonił się Saint.

- Dobry wieczór, Brent - powiedział. - Spodziewałem się ciebie trochę wcześniej, ale domyślam się, że w dzisiejszych czasach ratowanie ludzi trwa dłużej.

- Ty podstępny łajdaku - powiedział Brent, zsiadając ostrożnie z konia z Byrony na ramieniu. - Wiedziałaś, prawda? Wiedziałaś, co zamierzam zrobić.

- Czasami jesteś bardzo przewidywalny. Zabierz ją na górę i połóż do łóżka. Potem zaprowadź konia do stajni, a ja ją zbadam. Mam nadzieję, że nikt cię nie widział.

- Nie.

Brent podał Saintowi walizkę, a potem wziął Byrony na rękę. Położyła mu głowę na ramieniu.

Gdy leżała w łóżku Brenta, Saint powiedział przez ramię: - Wyjdź na chwilę, Brent. Muszę zbadać pacjentkę.

- Saint? Czy mi się śniło, czy przyszedłeś dziś do mnie? - zapytała, gdy Brent wyszedł.

- Przyszedłem do ciebie, Byrony - powiedział, uśmiechając się do niej. - Wkrótce wyzdrowiejesz, moje dziecko.

Uśmiechnęła się do niego słabo. - Dziecko? Przecież nie możesz być starszy ode mnie więcej niż osiem lat! Faktycznie, dziecko!

- Dobrze. Powiedz mi, jakie masz objawy i kiedy się zaczęły.

Przez moment się wahała, a potem wzięła głęboki oddech i zaczęła swoją relację:

- Powiedziała Irze, że chcę od niego odejść. Zgodził się. Potem, tej samej nocy, po kolacji nie czułam się najlepiej. Ale w ostatnią niedzielę znowu poczułam się dobrze. Pamiętasz, widziałam cię w kościele.

- Pamiętam. Czy bolał cię brzuch, miałaś mdłości?

- Tak. A potem zrobiłam się bardzo słaba. Do wczoraj nie wiedziałam, co Ira i Irene robili. Słyszałam, jak się kłócili.

Zamknęła na moment oczy, starając się wymazać z pamięci horror ostatnich dni. - Myślę, że mnie truli.

- Tak, zgadzam się - powiedział całkiem spokojnie. - Niewątpliwie ma to związek z... teraz nie ma to znaczenia. Czy jadłaś kolację albo coś piłaś?

- Nie, nic. Nie jestem aż tak głupia! Wyszczерzył zęby. - A może zjesz coś teraz? Obiecuję najpierw sam tego spróbować.

- Nie jestem głodna - powiedziała.

- No to może za jakiś czas. Nie ruszaj się teraz przez chwilę. - Delikatnie wsunął ręce pod jej nocną koszulę i dotknął brzucha. - Czy to boli?

- Nie.

- A tutaj?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Dobrze. - Obciągnął jej koszulę i wstał. - Aha, oto twój dzielny wybawca. Wyzdrowieje, Brent, obiecuję.

- Dlaczego jest taka blada?

- Leżała w łóżku przez pięć dni, nic dziś nie jadła i ma w organizmie jakąś truciznę. To chyba wszystko.

- Zabiję tego drania!

- Nie! Proszę, Brent, nie mów mu, gdzie jestem! Proszę!

Jak na kogoś, kto nienawidził tej kobiety, Brent wydawał się Saintowi mocno poruszony. Patrzył, jak przyjaciel szybko podchodzi do łóżka, siada obok niej i ujmuje jej małą dłoń. - Nie powiem. Teraz musisz odpoczywać, Byrony. Musisz odzyskać siły. Zdecydujemy, co zrobić, gdy wrócisz do zdrowia.

- Dobrze. - Byrony umilkła na chwilę, czując ogarniającą ją ulgę. - Już nie jestem sama - wyszeptała bardziej do siebie, niż do Brenta.

- Nie - potwierdził Brent - nie jesteś.

Podniosła rękę i czule dotknęła palcami jego policzka. - Musisz coś zjeść, Brent. Na pewno nie jesteś chory?

Brent usłyszał chichot Sainta i powiedział krótko: - Nie, nie jestem. Wiesz co zrobimy? Przyniosę nam obojgu po talerzu gorącej, pożywnej zupy. Dobrze?

- Dobrze - odpowiedziała. - Chyba nie dojechałabym dziś do San Jose.

Saint został, żeby się upewnić, że rosół według przepisu Maggie nie zaszkodzi pacjentce. Wychodząc po godzinie wyglądał na zadowolonego z siebie.

- Dziękuję - powiedziała Byrony.

- Odwiedzę cię jutro, Byrony. A teraz śpij.

- Za chwilę będzie spała - odpowiedział za nią Brent. Gdy wrócił, odprowadziwszy na dół

Sainta, Byrony mocno spała. Przez jakiś czas stał przy łóżku, przyglądając się jej spokojnej twarzy. Co ja, do cholery, zrobiłem? Zaśmiało się cicho.

*

- Nie wierzę w to! Co za drań!

- Wygląda na to, że nie może się doczekać, żeby ona wróciła, i żeby mógł zatrzeć wszelkie ślady

- powiedział spokojnie Saint.

Maggie spojrzała na zamknięte drzwi sypialni. - Jak się o tym dowiedziałeś?

- Od Dela Saxtona. Powiedział mi, że Ira jest przerażony i opowiada wszystkim, że jego biedna żona cierpi na kobiece urojenia, innymi słowy jest szalona. Oferuje dużą sumę pieniędzy za informacje o niej. Mówi, że ta biedna dziewczyna musi być trzymana w zamknięciu dla własnego bezpieczeństwa. Daje do zrozumienia, że zdarzały się jej przypadki autoagresji i podobne bzdury. Powiedziałbym, że stary Ira całkiem sprytnie to wymyślił.

- Drań - powtórzył Brent.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedziała Maggie., Saint wzruszył lekko ramionami.

- No cóż, Brent - odezwała się Maggie, odwracając się w jego stronę - wygląda na to, że znalazłeś się w samym środku tego zamieszania. Co zamierzasz zrobić?

- Nie mam zielonego pojęcia. Macie jakieś pomysły?

- Po pierwsze - odparł Saint - Byrony musi poczuć się lepiej. Nie sądzę, żebyś chciał ją odesłać, za-; nim wyzdrowieje. Prawda, Brent?

Brent rzucił mu groźne spojrzenie. - Nie jestem potworem. - W rzeczywistości w ogóle nie zamierzał pozwolić jej odejść.

- Oczywiście, że nie jesteś - powiedziała Maggie, rzucając zaskoczone spojrzenie Saintowi. - Uratowałeś ją. To było bardzo szlachetne z twojej strony, Brent.

Saint wstał. - No cóż, mam innych pacjentów. Mam nadzieję, że uda się nam utrzymać w tajemnicy kryjówkę Byrony.

- Czy możesz wyobrazić sobie Irę, podejrzewającego, że jego żona śpi w łóżku nad barem, obok burdelu?

- Celna uwaga, Maggie. Brent, nakarm ją, gdy się przebudzi. Aha... Brent i bez kłótni, dobrze? - Zachichotał, widząc srogie spojrzenie przyjaciela. - Wiesz co - powiedział, stojąc w drzwiach - myślę, że Del Sa-xton może nam pomóc w tej sytuacji. Jak uważasz, Brent?

- Zgadza się, ale poczekajmy kilka dni, zanim mu o wszystkim powiemy.

*

Byrony spała głębokim snem dwanaście godzin i nic jej się nie śniło. Gdy się przebudziła, przeciągnęła się pod kołdrą i nie odczuła żadnego bólu.

- Dobrze. Wreszcie wróciłaś do świata żywych. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do Brenta. - Chyba czuję się świetnie - powiedziała. - Czy masz tylko tyle jedzenia? Umieram z głodu.

Usiadła na łóżku i zdała sobie sprawę, że ma straszny problem. - Brent - powiedziała zawstydzona - czy mógłbyś wyjść?

- Wyjść? - powiedział skrzywiony. - Dlaczego?

- Proszę, po prostu wyjdź. Muszę... to znaczy... proszę!

Zrozumiał i wyszczerzył zęby. - Cieszę się, że... normalnie funkcjonujesz. Będę w sąsiednim pokoju, gdybyś czegoś potrzebowała.

Nadal była trochę otępiała, ale udało się jej bez problemu wstać z łóżka. Przez chwilę

przyglądała się sobie w małym lustrze toaletki. - Byrony, wyglądasz jak jędza.

- Dobrze wyglądasz.

- Mogłeś zapukać. A gdybym...

- Mam doskonały słuch - powiedział, szczerząc zęby. - Wracaj do łóżka.

Zjadła wszystko, co jej przyniósł: ciepły, chrupiący chleb z masłem, rosół, gęste kakao.

Westchnęła z zadowoleniem i opadła na poduszkę. - Gdybym miała teraz umrzeć, to z uśmiechem na twarzy - powiedziała.

- Żadnego umierania. Zabraniam.

Uniosła brew. - Popsułabym to, co dla mnie zrobiłeś, prawda?

- Prawda.

- Dlaczego?

- Dlaczego co?

- Dlaczego mnie uratowałeś? Nie przypuszczałam, że ty... Nigdy nie dałeś mi powodów, żeby sądzić... do diabła!

- Saint mnie do tego zmusił. Przekonał mnie, że powinienem zacząć przygotowywać sobie drogę do nieba. Nie mogłem odmówić.

- Och...

Brent nie słyszał jeszcze, żeby w tak małym słowie mieściło się tyle rozczarowania. Pochylił się i owinał pukiel jej włosów wokół palca. Miała przyspieszony oddech i ogarnęło go tak silne pożądanie, że gwałtownie odskoczył, ciągnąc ją za włosy. Jęknęła i poczuł się, jak głupiec. - Przepraszam - powiedział i odwrócił się od niej. Było oczywiste, że jej pożałował, ale nie chciał, żeby uważała, że ocalił ją tylko po to, by zaciągnąć do łóżka. Dlaczego więc ją uratował? Brent potrząsnął głową i powiedział przez ramię: - Jeśli będziesz miała ochotę porozmawiać o tym wszystkim, to powiedz. A mówiąc szczerze, muszę wiedzieć, w co się wpakowałem.

Odwrócił się, ale miała spuszczone oczy i patrzyła na swoje dłonie. - W nic się nie wpakowałeś - powiedziała w końcu. - Wyjadę tak, jak planowałam. Nie będziesz w nic zamieszany.

- Nic z tego - powiedział miękko. - Już jestem zamieszany! Nie traktuj mnie, jakbym był nieznajomym człowiekiem, który przez przypadek wyniósł cię przez okno z domu!

- Przepraszam - powiedziała.

- I nie zachowuj się jak zbity pies! Po prostu powiedz mi prawdę, Byrony. Tylko o to proszę. Tej nocy, gdy znalazłem cię na deszczu... Co chciałaś zrobić? Co ci się stało?

- To ciebie nie dotyczy, Brent. Proszę. Jestem bardzo zmęczona. Chcę jutro wyjechać.

Patrzył na nią rozwścieczony i całkowicie bezsilny.

- Jak tylko poczujesz się lepiej, dostaniesz tęgie lanie - powiedział, potem odwrócił się i wyszedł.

ROZDZIAŁ 16

Tego wieczoru kolację przyniosła jej Maggie. Uśmiechnęła się. - Nie wiem, co powiedziałaś Bren-towi, ale znowu jest wściekły.

- Chce wiedzieć... różne rzeczy - powiedziała Byrony. Zmarszczyła nos, gdy Maggie zachichotała. - To nie jego sprawa.

- No cóż, nie będę pytać. Chcesz wstać z łóżka do kolacji? Domyślam się, że musisz być już znudzona.

- Byłoby wspaniale - odparła Byrony i wstała. -Saint powiedział, że według niego wszystko jest już w porządku.

- Proszę, włoż szlafrok Brenta. Jest trochę chłodno. Chciałabyś się wykapać po kolacji?

- O tak, bardzo - Byrony owinęła się szlafrokiem Brenta. Czowała się, jakby był obok niej. Aksamit przesiąkł jego zapachem, który przez moment głęboko wdychała z zamkniętymi oczyma.

Maggie przyglądała się jej uważnie z lekkim uśmiechem. Wydaje się, że to utrapienie, jak cierpko mawiał Brent w odniesieniu do Byrony Butler, jest obopólne. Przestała się uśmiechać. Dziewczyna zostanie skrzywdzona. Kobiety w przeszłości Brenta nauczyły go ostrożności, cynizmu i nieufności. Ale już dwa razy ją uratował. Musi coś do niej czuć.

- Co to znaczy, że jest znowu wściekły? - zapytała Byrony, przeżuwając miękki kawałek pieczonego kurczaka.

- Tak powiedziałam? Och, powinnam nauczyć się trzymać język za zębami.

Byrony zerknęła na nią w oczekiwaniu.

- No cóż, gdy odeszłaś stąd pierwszy raz, zachowywał się jak rozjuszony niedźwiedź. Chyba masz zdolność... wyprowadzania go z równowagi.

- Ale to nie moja wina, Maggie. On myśli, że jestem okropną osobą... Nie, on w to wierzy. obrażał mnie i atakował, od kiedy ponownie się spotkaliśmy.

- Ponownie?

- Pierwszy raz spotkałam go w San Diego. Właściwie nie zostaliśmy sobie przedstawieni, ale przez chwilę rozmawialiśmy. Uważałam, że jest bardzo miłym człowiekiem. - Westchnęła. - Tak wiele się wydarzyło od tamtej pory.

Brent zatrzymał się w salonie, obok sypialni. Powtarzał sobie, że nie powinien podsłuchiwać. Wyprostował się i wszedł do sypialni. - Moje panie - powiedział. - Maggie, masz klientów. Zostanę przez chwilę z panią Butler.

Maggie wstała i wygładziła aksamitną fioletową spódnicę. - Nie wypada kazać klientom czekać - powiedziała, przewracając oczami. - Byrony, przyślę Ca-esara z gorącą wodą na kąpiel. Brent staraj się zachować pozory grzeczności, dobrze?

- Dziękuję, Maggie - zawołała za nią Byrony.

- To bardzo miła osoba - odwróciła się do Brenta.

- Jest dla mnie taka dobra.

- Ale niewątpliwie potępiasz to, co robi? - Musiał trzymać się od niej z daleka, więc podszedł szybko do kominka.

Zignorowała jego wściekły ton i zajęła się jedzeniem. - Domyślam się - powiedziała w końcu - że mężczyźni bardzo różnią się od kobiet. W zasadzie nigdy wcześniej nie myślałam o tych sprawach.

- Dziwne, wydawało mi się, że to twoje podstawowe zainteresowania.

- Jesteś w złym humorze - zauważyła Byrony. Wzruszyła ramionami. - Chyba wolę, kiedy jesteś cyniczny i mnie obrażasz. Gdy jesteś miły, nie wiem co zrobić albo co powiedzieć.

Zaklął cicho, ale soczyście.

- Już ci lepiej? Myślałam, że tylko mój ojciec zna takie słowa. No i oczywiście mój brat.

Skrzywił się, wsuwając ręce do kieszeni spodni. -Sprawdzę, czy przynieśli już wodę na kąpiel. Potrzebujesz pomocy? - Pytanie było niewinne, dopóki nie wyobraził sobie jej nagiej w kąpielu i zeszywniał z pożądania.

- Nie, dziękuję. Poradzę sobie.

- Dobrze. Cieszę się, że wyglądasz tak zdrowo.

- Tak. Jutro będę mogła wyjechać.

- Wątpię, żebym miał tyle szczęścia. Czy następnym razem mam cię ratować w San Jose?

Zmarszczyła nos. - Mam do ciebie tylko jedną prośbę, panie Hammond. Nie mam pieniędzy...

- Cóż za brak przygotowania - przerwał jej kpiącym tonem. - Myślałem, że zdążyłaś już zaoszczędzić pokaźną sumkę w trakcie blisko rocznego małżeństwa. A więc Ira nie był aż takim głupcem.

- ...ale mam bardzo cenny naszyjnik, który będę musiała sprzedać - ciągnęła Byrony, nie zwracając uwagi na jego słowa.

- A więc udało ci się coś od niego wyciągnąć?

- Tak, prezent na Gwiazdkę. Byłabym wdzięczna, gdybyś go dla mnie sprzedał.

- Może sprzedam go twojemu mężowi. Mam lepszy pomysł. Może powinienem z nim porozmawiać. Zapytać go, dlaczego tak szybko znenawidził swoją młodą żonkę. Tak to przynajmniej wygląda. Chce twego powrotu tylko po to, żeby mógł cię odizolować od świata.

Wpatrywała się w niego. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Saint powiedział mi, że twój drogi mąż rozgłasza wszędzie bajeczkę o twoich urojeniach, kobiecej hysterii i podobnych dolegliwościach. Mówi, że jesteś zagrożeniem sama dla siebie i powinnaś zostać zamknięta dla własnego dobra.

Milczała przez dłuższą chwilę, wpatrując się w talerz z pieczonym kurczakiem. - Irene - powiedziała cicho. - To musi być sprawka Irene.

- Czy on ma rację? - spytał, zwracając na siebie jej uwagę.

- A jak myślisz?

- Myślę, że jesteś najbardziej szaloną kobietą, jaką miałem wątpliwą przyjemność spotkać! Zobaczmy się później, dużo później.

Wyszedł z sypialni, nie oglądając się za siebie. Usłyszała, jak zatraskuje drzwi do salonu.

*

Brent stał obok Nera, swojego asystenta, wielkiego Murzyna, któremu właściciel w Georgii obciął prawe ucho. Ufał Nerowi, tak jak Maggie ufała jego bratu, Caesarowi. Rok temu obu mężczyznom udało się uciec do Kalifornii.

Interes szedłdobrze. Ale czyż nie było tak zawsze? Zdarzyła się tylko jedna bójka, ale Nero od

razu wyrzucił dwóch rozrabiaków na zewnątrz. Brent chodził nerwowo po dużym pokoju. Nie miał ochoty na grę ani na alkohol. Pragnął kochać się z Byrony. Właśnie, wreszcie przyznał się przed sobą. Czy robiłoby jej to jakąś różnicę? Uratował ją. Chyba jest mu to winna.

Potrząsnął głową. Zachowywał się jak bezduszny łajdak. Nagle zeszywniał. Przez główne wahadłowe drzwi wszedł Ira Butler ze Stephanem Bannionem, swoim prawnikiem i współnikiem zarazem. Oczy Brenta rozblęskły. Podeszedł do stolika, przy którym usiedli dwaj mężczyźni.

- Dobry wieczór, panowie - powiedział. - Witam w „Dzikiej Gwieździe”. Jesteś tu po raz pierwszy, Butler. Przyszedłeś spróbować szczęścia?

Odpowiedział Bannion. - Stary Ira musi się zabawić. Może dasz nam trochę swojej whisky, Hammond?

Brent dał znak barmanowi, a potem odwrócił się do mężczyzn. Przyglądał się Irze Butlerowi, który wyglądał na bardzo przybitego. Spojrzał na jego blade, wąskie dłonie, dłonie arystokraty, pomyślał, i oczyma wyobraźni zobaczył, jak długimi palcami dotykał ciała Byrony. - W czym problem, Butler? - zapytał. - Ach, zapomniałem. Chodzi o twoją biedną żonę, prawda?

Ira był wściekły i całkowicie bezradny. Żałował, że pozwolił Stephanowi się tu zaciągnąć. Ciągle rozmyślał o jednym. Najwyraźniej uciekła przez okno swojej sypialni. Ale dokąd poszła? Nie zabrała swojej kłaczy. Ktoś musiał jej pomóc. Ale kto? Dlaczego? Wysłał jednego ze swoich ludzi do domu Santa, ale nie było jej tam. Czy Saint gdzieś ją ukrywa? Czy dopadły i zabiły ją jakieś miejskie bandziory? Potwornie bolała go głowa. Zdał sobie sprawę, że Hammond mówił o Byrony. - Moja żona? Ach, tak, moja żona.

- Biedna, obłąkana dziewczyna - odezwał się Stephan Bannion, potrząsając smutno głową. - Wszędzie jej szukamy. Nigdzie jej nie ma.

- Znajdę ją - powiedział Ira stanowczo. - Muszę ją znaleźć.

- Fatalna sprawa - stwierdził sucho Brent. - Jej choroba ujawniła się tak niespodziewanie. Bardzo to wszystko tajemnicze. Panowie, wasza whisky. - Odszedł, wiedząc, że gdyby został, prowokowałby Irę do granic wytrzymałości, a ten mógłby się czegoś domyślić. Trząśnięty ze złości i zaciskał pięści. Miał ochotę zabić Butlera gołymi rękami. Poszedł na górę, nie mogąc usiedzieć w barze. Zamknął drzwi biura i przeszedł przez salon do sypialni. Byrony po kąpieli wyglądała zdrowo i świeżo. Miała na sobie jego szlafrok, zarzucony na nocną koszulę i siedziała na łóżku, czytając jedną z jego książek.

- Wygląda na to, że jest ci wygodnie - powiedział wściekły. - Widzę, że sama się obsłużyłaś.

Byrony powoli zamknęła książkę, zbiór sztuk Moliera. - Przepraszam - powiedziała. - Staram się być bardzo ostrożna...

- Po prostu się zamknij - odparł, podchodząc do niej. - Na dole jest twój mąż, który wygląda jak kupka nieszczęścia, topi smutki w whisky i zaklina się, że cię odnajdzie.

Gwałtownie zbladła.

- Nie martw się - powiedział, przecinając ręką powietrze. - Nie powiedziałem mu, że jesteś na górze w mojej sypialni.

- Powiedział coś?

- Niewiele. Mówił za niego Bannion. Jesteś biedną, obłąkaną dziewczyną, a biedny Ira umiera ze zmartwienia.

Byrony przełknęła ślinę. Jest na dole! Boże, co robić? Brent znowu był wściekły, pewnie dlatego, że znalazł się w środku tego całego zamieszania. - Przepraszam - zaczęła.

- Jeśli powiesz to jeszcze raz, to cię uduszę!

- Dobrze - wrzasnęła na niego, rozzłoszczona. - Co mam powiedzieć? Czego ode mnie chcesz?

- To bardzo proste. Chcę, żebyś powiedziała mi prawdę.

Przez chwilę skubała kołdrę, walcząc z pragnieniem, by powiedzieć mu wszystko. - Nie mogę - odezwała się wreszcie, podnosząc ku niemu wzrok. - To ciebie nie dotyczy, Brent. Nie chcę bardziej cię w to mieszać...

- W co? - warknął. - Już jestem zamieszany po same uszy! - Zamilkł nagle, a jego oczy pociemniały.

- Wiesz co, Byrony - powiedział, uważnie się jej przyglądając - ani razu nie wspomniałaś o swoim dziecku. Czy zamierzasz je porzucić?

W jej oczach zobaczył - co to było, przerażenie? - zanim przymknęła powieki. Dalej na nią naciskał. - Widzę, że nie pomyślałaś o córce. Nie obchodzi cię, że wychowa ją ten głupiec, twój mąż? Czy to cię nie obchodzi, do cholery?

- Nie! To nie tak!

- Jak? Czy jesteś równie złą matką, jak żoną? Coraz słabiej się broniła, przytłaczała ją ta okropna sytuacja. - Proszę, Brent, nie...

- Nie co? Kobieto, widzę, że jesteś beznadziejną istotą.

Załkała żałośnie i zakryła dłońmi uszy, by nie słyszeć jego okrutnych słów. Ogarnęło ją takie przerażenie i ból, że wydawało się jej, iż za chwilę umrze. Z jej gardła wydobył się szloch. Patrzyła na niego, nieświadoma łez, które spływały jej po policzkach.

Brent zaklął, usiadł obok i przytulił ją do siebie. - Przestań płakać. - Ale nie mogła przestać.

Jego twarz wykrzywiła się z bólu, gdy próbował ją uspokoić. Przytulił twarz do jej szyi i głaskał ją po plecach, przyciskając mocniej do siebie. Czuł, jak jej piersi ocierają się o jego tors, czuł pod palcami jej delikatne kości. Boże, pragnął jej. Teraz. - Byrony - wyszeptał, całując jej skronie. - Cichutko, kochanie, cichutko.

Nadal drząc, uniosła głowę. Pocałował ją w usta. Poczuł smak jej łez i wyczuł jej zaskoczenie. Ale nie cofnęła się. Jego pocałunki stały się głębsze, wsunął język w jej usta. Myślał, że eksploduje z rozkoszy, gdy rozchyliła wargi. Była taka ciepła, słodka i przystępna.

Teraz jest jego, tylko jego. Przesunął dłońmi po jej ciele. Nie mógł się nią nacieszyć. Gdy sięgnął dłonią do jej piersi, dobiegł go jej stłumiony krzyk. Wygięła się pod jego dotykiem. Czuła jednocześnie ból, pożądanie, zadziwienie, ogarniające jej ciało. Pieścił dłońmi jej piersi. Dlaczego tak ją to podniecało?

- Proszę - wyszeptała, a on jęknął, oszalały z pożądania.

Brent usiłował się pohamować. Od tak dawna jej pragnął. Chciał, żeby przytulała się do niego, chciał zasmakować jej nagości. Chciał ją gładzić, całować i poznać każdy centymetr jej ciała. Chciał ją sobą wypełnić. Spróbował uwolnić się z jej objęć. - Moje ubranie - wydusił z siebie. - Muszę zdjąć ubranie.

Nie chciała go puścić. Był jej kotwicą. Był bezpieczeństwem i źródłem jej namiętności. Nieporadnie i chaotycznie zaczęła rozpinąć guziki jego kamizelki.

Brentowi udało się rozebrać mimo jej pomocy. Musiał wstać, żeby zdjąć spodnie i buty. Spojrzał na nią i pomyślał, że mógłby zatopić się w jej oczach, przymglonych pożądaniem. Gdy był już nagi, położył się obok niej i przyciągnął ją do siebie. - O cholera - przeklął i szarpnął jej nocną koszulę. Była zapięta na mnóstwo małych guzików. Mruknął coś sfrustrowany i po prostu zerwał z niej

koszulę.

Co ja robię? To pytanie pojawiło się nagle w jej głowie, ale zaraz odsunęła je od siebie, nie chcąc się nad tym zastanawiać. Obchodziła ją tylko ta chwila, to że miała tego mężczyznę, którego obraz nie dawał jej spokoju od czasu pierwszego spotkania w San Diego. Nie obchodziło jej, że on nadal będzie nią pogardzał. Dotknęła dłońmi jego owłosionej piersi. Był ciepły i miał gładką skórę. Poczula jego twardą męskość przy swoich zaciśniętych udach. Wejdzcie we mnie, pomyślała. Wypełni mnie sobą. Jej ciało zadrżało z oczekiwania i wyszeptała jego imię.

Nie mógł jej przytulić wystarczająco mocno. Gdy usłyszał swoje imię, wypowiedziane pośpiesznie i bezradnie, pomyślał, że nie może już czekać. Oderwał usta od jej ust i kilka razy głęboko, chrapliwie odetchnął. Nie pomogło. Od tak dawna jej pragnął. Przeciągnął dłonią po jej piersiach i płaskim brzuchu. Poczula na sobie jego ciężar, a jego palce zaczęły szukać, aż w końcu znalazły. Krzyknęła, wyginając się w łuk.

Była tak ciepła, wilgotna i delikatna. Pragnęła go. Drżał, nie mógł już dłużej czekać. - Byrony... - Wypowiedział jej imię, jak gdyby cierpiał. Rozsunął jej nogi i położył się na niej. Powinien poczekać... dać jej rozkosz... Ale spojrzał na jej twarz i zobaczył jej zamglone spojrzenie. Wyciągnęła do niego ramiona. Uniósł jej biodra i wszedł w nią powoli. Poczul jej ból, zanim zdał sobie sprawę z przyczyny. Bolesna żądza zaćmiła jego umysł, ale uświadomił sobie, że jest bardzo ciasna i że jej ciało się nie poddaje. Krzyknęła i spięła się jeszcze bardziej. Nie mógł w nią wejść, a potem poczul jej błonę dziewiczą.

Zamarł, a jego umysł nie chciał przyjąć tego, co było prawdą. Wpatrywał się w nią szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami.

Wykrzyknęła jego imię.

- Nie - szepnął. - O Boże, nie! - Pchnął mocniej i dotarł do najgłębszych zakamarków jej ciała. Czul, że przeszywa ją ból, że całe jej ciało drży. Wycofał się trochę, a potem eksplodował głęboko w niej. Przez długą chwilę leżał bez czucia. Nie ruszała się.

W końcu dotarła do niego skomplikowana rzeczywistość.

- Byrony - powiedział, unosząc się na łokciach, by uwolnić ją od swojego ciężaru.

Otworzyła oczy i patrzyła na niego. Zobaczył na jej rzęsach łzy. Jej oczy nie były już zamglone, a twarz miała nieodgadniony wyraz.

Nie wiedział, co powiedzieć. Posiadł dziewicę, dziewczynę, która była bezbronna, i skrzywdził ją bardzo.

- Nie możesz być... - wyrzekł powoli, jakby słowa mogły wymazać prawdę.

- Nie wiedziałam, że to tak bardzo boli - powiedziała, połykając łzy. - Myślałam, że to będzie bardzo przyjemne.

- To jest przyjemne, ale nie za pierwszym razem. Nie wiedziałem, Byrony.

- Skąd miałbyś wiedzieć? - powiedziała spokojnie, choć w jej głowie kołatało się mnóstwo myśli o tym, co między nimi zaszło. Czekala, aż jego poczucie winy przerodzi się w gniew.

- Dlaczego mnie nie powstrzymałaś? Dlaczego nie powiedziałaś mi, że nigdy wcześniej nie byłaś z mężczyzną?

- Nie chciałam cię powstrzymywać i powiedziałaś ci. Po prostu mi nie uwierzyłeś.

- Powiedziałaś, że nigdy nie miałaś kochanka, Byrony, ale miałaś męża i dziecko! - Ledwie zdążył wypowiedzieć te słowa, gdy uświadomił sobie wiele. Saint, badając ją, wiedział, że nigdy nie urodziła dziecka. Dziecko było Irene. Ira ożenił się z Byrony, żeby chronić swoją siostrę. Brent

spróbował wysunąć się z niej, ale zacisnęła wokół niego ramiona.

- Nie, proszę, nie zostawiaj mnie - wyszeptała, przytulając twarz do jego piersi.

Jej słowa sprawiły, że znowu był gotowy i zszokowany tym, jak bardzo na niego działała. -

Muszę - powiedział. - Jeśli zostanę w tobie, znowu cię będzie bolało. Nie.

Wycofał się powoli, czując, jak jej mięśnie napinają się z bólu, ściskając go i doprowadzając do szaleństwa. - Wszystko w porządku? - Przyciągnął ją do siebie, głaszcząc po głowie i ramionach.

- Tak.

- Musimy porozmawiać o wielu sprawach - rzekł, zastanawiając się, od czego zacząć, co powiedzieć.

Poczuł, że potakująco kiwa głową, a potem jej ciało zwiotczało. Zasnęła.

Brent przykrył ich oboje kołdrą i pochylił się, by zgasić lampę przy łóżku. Chciało mu się śmiać, ale powstrzymał się.

- Ty głupcze - powiedział cicho do siebie. - Właśnie posiadasz dziewicę. - Życie składało się z niespodzianek i niewątpliwie doświadczył ich wiele, ale ta przerastała wszystkie. Przypomniawszy sobie złośliwości, którymi ją obdarzał, niedwuznaczne seksualne propozycje. Uświadomił sobie, że nic o niej nie wiedział, zupełnie nic. A ona wiedziała tylko tyle, ile jej pokazał. Był bezdusznym lajdakiem i skończonym głupcem.

Co zrobić?

Jutro powie mu całą prawdę. A jeśli odmówi? Będzie się z nią kochał, aż oszaleje z rozkoszy.

Czy odepchnie go? Czy będzie się go bała, pamiętając ból? Przyciągnął ją do siebie. - Byrony - wyszeptał przy jej skroni - przepraszam.

Wymruczała coś przez sen i przytuliła się mocniej, opierając dłonie o jego tors.

ROZDZIAŁ 17

Byrony przebudziła się nagle, zdezorientowana, czując pieczenie między udami. Skrzywiła się lekko, usiłując sobie przypomnieć, co się zdarzyło. Czowała ciepło jego ciała, jego rękę na swoim biodrze. Brent przysunął się do niej i powoli odwróciła głowę, by na niego spojrzeć. Jego ciemne włosy były potargane, a policzki pokrywał zarost. Na ustach błąkał się lekki uśmiech.

Jestem z nim w łóżku i kochaliśmy się.

Jestem już kobietą, pomyślała i przełknęła ślinę, odsuwając się trochę. Skrzywiła się z bólu i poczuła dziwną lepkość. Zaniepokojona uniosła kołdrę. Na prześcieradle i jej udach była krew. Moja krew, pomyślała. Przypomniała sobie rozrywający ból, gdy w nią wszedł. Zastanawiała się, czy krew jest przepustką do kobiecości. Nigdy nikt z nią o tym nie rozmawiał. Zaczęła miesiączkować, gdy miała czternaście lat. Ciotka Ida ledwie pokiwała głową, gdy Byrony powiedziała jej o tym przerażonym głosem, a potem poinformowała ją, nie patrząc jej w oczy, że to jest coś, co będzie musiała znosić przez długie lata.

- Co, do diabła, stało ci się w plecy?

Przerzuciła gęste włosy przez ramię i nieświadomie zaczęła je rozplątywać palcami. Zesztywniała na dźwięk jego głosu.

- Byrony, odpowiadaj!

Czowała, jak delikatnie dotyka jej pleców i zadrzała. Złapała kołdrę i podciągnęła ją pod brodę, ale jej plecy nadal były odsłonięte. Powoli odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć. - To znaczy? - zapytała.

- Masz na plecach blizny. Wprawdzie zagojone, ale blizny. Kto cię bił?

Spodziewała się jego gniewu i była na to przygotowana. Jednak tym razem jego gniew skierowany był przeciwko komuś innemu. - To było dawno temu - powiedziała, drżąc pod jego dotykiem.

- Byrony, kto? Twój mąż?

- Nie, Ira nigdy mnie nie dotknął. Roześmiał się chrapliwie, co bardziej przypominało jęk. - Dobrze o tym wiem - z doświadczenia!

- Pada - powiedziała, patrząc na okna.

- Kto, Byrony?... Owszem, widzę, że pada.

- Mąż mojej matki.

- Twój ojczym?

- Ojciec.

Zaklął. - Cholerna świnią! Dlaczego?

- Nie mogłam pozwolić, żeby bił moją matkę - odparła spokojnie. - A przynajmniej nie w mojej obecności.

Poruszyło go pogodzenie z losem, które usłyszał w jej głosie.

- Tyle razy ją skrzywdził. Dlatego odesłała mnie do swojej siostry w Bostonie. Żeby mnie

chronić. Gdy cię pierwszy raz spotkałam, mieszkałam w San Diego dopiero od pół roku.

Rozmyślał o tym, co powiedziała. Położył się na plecach z głową opartą na ramieniu. Byrony nadal siedziała, włosy opadały jej na ramiona, miała kołdrę podciągniętą pod brodę i gołe plecy. Wyglądała tak pięknie, niewinnie i spokojnie, że miał ochotę krzyknąć. Na kogo?

Zacisnął dłonie. Gdyby ją dotknął, znowu by się z nią kochał. Jego męskość nabrzmiała pożądaniem. Zgiął kolana, żeby nic nie zauważyła. Nie była na to gotowa. A on nie miał zamiaru znowu sprawiać jej bólu.

- Pamiętam, gdy spotkaliśmy się w San Diego -odezwał się w końcu. - Rozmawiałem z tym starym człowiekiem, bo chciałem się dowiedzieć, jak masz na imię. Mówiłem ci o nim i o tym, co mi powiedział.

- Tak, pamiętam.

- To były kłamstwa.

- Oczywiście. Mówiłam ci to.

- Dlaczego ojciec kłamie na temat swojej córki, Byrony?

Machnęła dłonią w powietrzu i odpowiedziała z goryczą i gniewem: - To bydlę. Wyzywał mnie od dziwek i jeszcze gorszych. Miałam tylko jednego przyjaciela, młodego Kalifornijczyka Gabriela. Mój... ojciec oskarżył mnie o to, że z nim spałam, i że noszę w sobie jego bękart. Poszedł do ojca Gabriela i zażądał od niego pieniędzy. - Przerwała, ale zaraz mówiła dalej smutnym, cichym głosem: - Biedny Gabriel został wysłany do Hiszpanii. Był bardzo miłym chłopcem.

Uniosła się lekko, a potem zarumieniona pochyliła głowę.

- Co się stało, Byrony?

- Nie mam kogo spytać. Byłam zakrwawiona i przestraszyłam się. Czy to normalne?

Przełknął ślinę, czując ucisk w żołądku. - Tak, to normalne. To się już nie powtórzy. Chodź do mnie, Byrony. - Dostrzegł jej czujne spojrzenie i dodał szybko: - Nie będę się z tobą znowu kochał. Chcę cię tylko przytulić.

Nadal czujna, patrzyła na niego, kładąc się obok na plecach. Bardzo powoli, żeby jej nie przestraszyć, przyciągnął ją do siebie.

Nie wiedziała, co zrobić z ręką, więc ostrożnie oparła ją o jego pierś. Poczowała, jak delikatnie głaszcząc ją po włosach i odprężyła się, kładąc głowę na jego ramieniu.

Po jakimś czasie się odezwał: - Tak więc Ira Butler przyjechał do San Diego?

Poczuł, że zeszywniała, ale nadal trzymał ją blisko siebie. - Byrony, nadszedł czas na całą prawdę. Nie pozwolę, żeby cię znowu skrzywdzono. Obiecuję. Zaufaj mi.

Co miałaś na myśli, ty głupcze ?

Niemal czuł, jak rozważa powiedzenie mu prawdy, jaką walkę toczy ze sobą, jak przeciwstawia to, co powiedział przed chwilą, jego dotychczasowemu zachowaniu. - Tak, wtedy przyjechał Ira - odezwała się wreszcie, najwyraźniej podjąwszy decyzję. - Chciał się ze mną ożenić. Jest bardzo bogatym dalekim kuzynem mojej matki. Zgodziłam się, ponieważ podpisał zobowiązanie, że będzie wysyłał mojemu ojcu co miesiąc określoną sumę pieniędzy. Zrobiłam to dla matki. Szybko się zorientowałam, że mój ojciec nie jest taki brutalny, jeśli ma wystarczającą ilość pieniędzy. - Westchnęła i zamilkła. Brent nie odzywał się, po prostu czekał. - Nic mnie nie trzymało w San Diego. Błagałam matkę, żeby wyjechała ze mną, daleko od ojca, ale odmówiła. Tak więc przyjechałam oświadczyni Iry. Kiedyś powiedziałam ci, że nie miałam wyboru i to chyba jest prawda. Wydawało mi się, że będę miała spokojniejsze życie. Był dla mnie bardzo dobry. Już w czasie podróży do San

Francisco zdradził mi prawdziwy powód naszego małżeństwa. Powiedział, że Irene jest w ciąży z żonatym mężczyzną. Ożenił się ze mną, żeby chronić Irene przed skandalem. Jej dziecko miało być moje. Było mi żal Irene i byłam dumna z Iry, że tak dba o siostrę. Oczywiście zgodziłam się.

- A więc dlatego Butler trzymał was obie w Sa-cramento - powiedział Brent.

- Tak. Urodziła się Michelle i wróciłyśmy do San Francisco. No i zaczęły się problemy. Irene nie chciała, żebym zbliżała się do dziecka. Sytuacja stawała się napięta. Ira usiłował wszystko załagodzić, ale nie zawsze mu się udawało. Służba była lojalna w stosunku do Irene, nie do mnie. Byłam wyłącznie lokatorką.

A ja przy każdym spotkaniu obrażałem cię, wyśmiewałem, nienawidziłem, wierząc, że jesteś kolejną Laurel.

Zamilkła, a on drażył ostrożnie. - Czy tej nocy, gdy byłaś chora, a ja uratowałem cię z łap tych dwóch pijaków, pokłóciłaś się z Irene?

Ku jego zaskoczeniu, zaczęła się trząść. Zaciśnęła pięści, a jej oddech stał się płytki i urywany. Ułożył ją na plecach, oparł się na łokciu i patrzył na nią. - Powiedz mi co się stało, Byrony?

- Nie wiem, co zrobić!

- Powiedz mi, Byrony.

Czuła, jakby coś w niej pękło, i wyrzuciła z siebie: - Michelle jest córką Iry.

Nie zrozumiał w pierwszej chwili, ale ona mówiła dalej szybko i chaotycznie: - Kiedyś odwiedziłam Chauncey, ale nie czułam się najlepiej... grypa. Lucas odwiózł mnie do domu. Nikogo nie było i pamiętam, że byłam zaskoczona, że nie ma również służby. Usłyszałam jakieś odgłosy, dobiegające z pokoju Iry. Pomyślałam, że może Ira też ma grypę. Martwiłam się o niego. Ten hałas... O Boże, był w łóżku z Irene.

Kazirodztwo, pomyślał zaskoczony, coś, o czym się nigdy nie mówi. Przymknął oczy i w myślach zobaczył to, co ona musiała widzieć, i poczuł to, co ona musiała wtedy czuć. - Uciekłaś z domu i przybiegłaś do mnie.

- Tak - odparła - przybiegłam do ciebie.

- Przyszłaś do mnie świadomie, ponieważ mi ufałaś.

Rozbroiła ją łagodność w jego głosie. Rzadko miała okazję słyszeć ją u niego. W jej oczach pojawiły się łzy. - Tak - powiedziała bardzo cicho.

- Chociaż zawsze odnosiłem się do ciebie jak ostatni drań - dodał gorzko. - Rozmawiałaś o tym z Iry, prawda?

- Tak, powiedziałam mu, że znam prawdę i że chcę wyjechać. Żądałam jedynie, by nadal co miesiąc wysyłał mojemu ojcu pieniądze. Powiedziałam, że w przeciwnym wypadku go zrujnuję. Nie przyszedł mi do głowy żaden inny pomysł, jak chronić matkę. Wydawało mi się, że nie żądam zbyt wiele, zważywszy na to, co zrobił.

- Najwyraźniej - wtrącił Brent gniewnie - nie wierzył, że dotrzymasz swojej części umowy.

- Myślę, że to był pomysł Irene, nie Iry. Wtedy zaczęłam chorować.

- Saint cię uratował.

- Nie, ty. Zamilkli oboje.

Nagle Byrony zachichotała tak nieoczekiwanie, że Brent podskoczył. - Jestem w łóżku z tobą - wysapała. - Jestem naga i mogę cię czuć.

Nieświadomie pochylił się, żeby jej piersi dotykały jego torsu. Znowu poczuł niewyraźny ból w podbrzuszu. Zamknął oczy, żałując, że nie jest w stanie przestać myśleć. - Nie pozwolę mu zbliżyć

się do ciebie - powiedział. - Nigdy więcej.

Jej śmiech przeszedł w urywany szloch. - Nie wiem, co mam zrobić! Proszę, Brent, musisz sprzedać mój naszyjnik. Przysięgam, że wyjadę. Tak bardzo mi pomogłeś...

- Zamknij się!

Otworzyła szeroko oczy, zaskoczona jego wściekłością. - Wstaję - odezwał się spokojniejszym głosem. - Jeśli zostanę z tobą w łóżku, znowu będę chciał się kochać. - Mówiąc to, odsunął się od niej i wstał z łóżka.

Wiedział, że na niego patrzy, a jego ciało było napięte z pożądania. - Zamknij oczy - rzucił przez ramię.

Z jakiegoś powodu był zawstydzony. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się to przy kobiecie, ale teraz... - Do diabła - powiedział i chwycił szlafrok.

- Nie przypuszczałam, że mężczyzna... no, masz bardzo ładny... tył.

Uśmiechnął się, ale nie odwrócił się do niej. -A ty, moja droga, masz najpiękniejsze piersi, jakie widziałem. - Usłyszał, jak sapnęła i uśmiechnął się szerzej. Poruszyła się i szybko się odwrócił, by na nią spojrzeć. - Nigdzie nie pojedziesz, rozumiesz, Byro-ny? Zostaniesz tutaj, dopóki nie wymyślę, co zrobimy.

- Ale muszę wyjechać z San Francisco - odparła rezolutnie.

- Może - odparł. - Czekaj.

*

Pół godziny później wyszedł bez wyjaśnienia. -Niedługo wrócę. Nie chodzi o to, że ci nie ufam, ale Nero jest na dole. Poczytaj książki.

Zrobiłeś to, Hammond!

Mógł tylko pokiwać głową nad swoją głupotą. Poszedł od razu do domu Sainta. Lało jak z cebra. Czuł krople deszczu spływające mu po szyi. Dom Sainta mieścił się dziesięć minut drogi od baru. Jego gospodyni, Lydia Mullins, zaprowadziła Brenta do małego saloniku.

Saint wszedł w jaskrawożółty szlafroku. Stał w drzwiach i uniósł gęstą brew. - No i?

- Musisz mi pomóc - powiedział po prostu Brent.

- Ale najpierw muszę napić się kawy - odparł Saint. - Przez pół nocy asystowałem przy porodzie.

Dziecko zmarło, szlag by to trafił.

- Przykro mi - powiedział Brent.

- To nie była niczyja wina.

Czarna, mocna kawa podziałała na Brenta uspokajająco.

- Dobra - rzekł Saint, siadając wygodnie naprzeciwko Brenta - mów.

- Wiedziałeś, że Byrony nie urodziła dziecka -odezwał się Brent.

- Tak.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- To nie była twoja sprawa. Jestem lekarzem i obowiązuje mnie etyka zawodowa. Skoro już wyrzuciłeś to z siebie, powiedz mi, co się stało.

- Kochałem się z Byrony i okazało się, że jest dziewicą. Oczywiście już teraz nie jest.

- Aha.

- To dziecko Irene.

- Tyle to i ja wiem.

- Ojcem jest Ira. Nie sądzę, żebyś o tym wiedział. Saint sapnął. - Dobry Boże - odezwał się

cicho.

- A więc dlatego...

- Tak, dlatego - przytaknął Brent. - Trochę to trwało, zanim wyciągnąłem od Byrony całą historię. Chciała od niego odejść, przyrzekła, że nikomu nic nie powie, ale oczywiście ani Ira, ani Irene nie uwierzyli jej. Teraz pozostaje pytanie: co robić?

Saint wyciągnął nogi i skrzyżował je w kostkach. - Ciekawy problem - powiedział.

Brent odetchnął głęboko. - Ona nadal upiera się, że chce wyjechać.

- Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł - odparł Saint, przymykając oczy, jakby był śpiący.

- Nie jest. Prawdę powiedziawszy, to nie wchodzi w rachubę. Ta dziewczyna nie ma pojęcia, jak przetrwać w świecie.

- No i nie ma pieniędzy, prawda? Oczywiście, jest możliwe, że jest już w ciąży. - Saint uśmiechnął się do siebie.

Brent wpatrywał się w niego tępo. Nie pomyślał o tym nawet przez moment... - Cholera - rzucił krótko.

- A poza tym - dodał Saint - jest mężatką. Spory problem.

- Małżeństwo nie zostało skonsumowane. Może zostać anulowane.

- Hm... - odezwał się Saint. - Uważam, mój chłopcze, że najlepiej będzie, jeśli porozmawiamy z Dellem Saxtonem. Może takie trzy tęgie głowy jak nasze wymyślą jakieś rozwiązanie.

Gdy Brent chaotycznie opowiedział Delowi całą historię, ten odwrócił się do Sainta.

- Prawda jest taka, że małżeństwo powinno być anulowane. Byrony musi być wolna.

- Dlaczego? - zapytał Del.

- Żeby Brent mógł się z nią ożenić - odparł Saint, zadowolony z siebie.

Brent zerwał się z krzesła. - Ożenić się z nią! Boże, Saint, ja nigdy...

- To znaczy, że ta zdradliwa, podstępna kobieta cię uwiodła, Brent?

- Nie! Ja... Cholera! Nie chcę się żenić! - Krzycząc to, wiedział, że to nieprawda. Od tak dawna jej pragnął i nie było to wyłącznie pożądanie. Był przerażony uczuciami i emocjami, jakie w nim wzbudzała.

- Za późno, mój chłopcze. Wydaje mi się, że dobrze rozumiesz zagadnienia prokreacji. A teraz posłuchajcie mnie obaj. Mam bardzo wpływowego przyjaciela w Sacramento. Tam można będzie anulować małżeństwo. Oczywiście nie obejdzie się bez skandalu. Szkoda, że to Byrony będzie narażona na plotki jako zona porzucająca męża i dziecko. Chyba że...

- Chyba że - powtórzy! Brent - zmusimy Irę, żeby przyznał, że dziecko jest Irene. - Odwrócił się do Sainta. Nie widzę powodów, żeby wspominać o kazirodztwie, jeśli Butler zgodzi się na anulowanie małżeństwa. Sądysz, że ktoś się domyśli?

- Wątpię. Czy nie byłeś zszokowany, gdy o tym usłyszałeś? - zapytał Saint.

- Tak więc - odezwał się Del, rozpierając się na krześle - będzie skandal, ale ta para nie dostanie tego, na co zasługuje.

- Oczywiście - odparł Saint uprzejmie - Byrony może po prostu wyjechać z San Francisco i nie będzie zamieszana w skandal. Nie będzie jej tutaj.

- Nie!

- No cóż, Brent - Saint ciągnął rezolutnie - właśnie stwierdziłeś, że nie chcesz się z nią ożenić. Nawet jeśli nie jest w ciąży, to jak teraz wyjdzie za mąż? Wiesz, że kobiety są wrażliwe na tym punkcie. Wychowuje się je w przekonaniu, że muszą zachować dziewictwo do ślubu. Sędzę, że

mogłaby mówić, że jest wdową...

Brenta skręcało w środku z poczucia winy, choć posłał Saintowi nienawistne spojrzenie. Jednak chodziło o coś więcej, niż tylko o odebranie jej dziewictwa. Och nie, w końcu wpadł. Uśmiechnął się i wstał z krzesła. - Ona nigdzie nie wyjeżdża - powiedział stanowczo.

- Dobrze - odparł Saint. - Panowie, proponuję, żebyśmy nie marnowali dłużej czasu. Znajdźmy Irę Butlera.

ROZDZIAŁ 18

Eileen niechętnie wprowadziła trzech mężczyzn do salonu Butlera. Byli tam oboje, Ira i Irene. Brent zwrócił uwagę na twarz Irene. Jest przerażona, pomyślał. I obydwójce wiedzą, po co przyszliśmy.

- Panowie - odezwał się Ira cienkim, spokojnym głosem. - Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt?

Del Saxton zrobił krok do przodu i rzekł: - Ira, czy chcesz, żeby twoja siostra została?

Irene położyła rękę na ramieniu brata. - Zostanę, panie Saxton.

- Dobrze - odparł Del.

- Przyszliśmy w sprawie Byrony - powiedział Brent.

- A więc - odezwała się Irene, purpurowa z wściekłości - ta mała dziwka przybiegła do was! Jakie brudy wam opowiedziała?

- To nie ma sensu, Irene - odezwał się Ira. Wydawał się bardzo zmęczony.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - krzyknęła Irene. - Jezu, Ira, weź się w garść! Ci panowie nic nie wiedzą!

Widząc zachowanie Irene, Brent nabrał wyobrażenia, jak musiało wyglądać życie Byrony w tym domu. Ale zauważył również strach i desperację, malującą się na twarzy Irene Butler. Przez ułamek sekundy ogarnęło go współczucie dla niej i jej brata.

- Tak się składa, że wiemy o wszystkim - powiedział Brent. - Gdybyś nie próbował jej otruć, Butler, gdybyś jej tylko zaufał, nigdy nie powiedziałaby ani słowa. Nigdy.

- Uciekła do ciebie, swojego kochanka - odezwała się Irene, nie zważając na słowa Brenta. - Wiem co to za typ. Śmieć, tak samo jak jej głupia matka. Wiedziałam, że mnie zdradzi, ja...

- Wystarczy - powiedział miękko Brent. Spojrzał na Irene i Irę, a potem rzekł: - Czas już skończyć tę farsę. Jeśli nie zrobicie nic głupiego, wątpię, żeby ktokolwiek pomyślał, że Michelle jest owocem waszego... związku. Ale jeśli nie zrobicie tego, czego żądamy, zrujnujemy was.

- Czego chcecie? - zapytał Ira. Odwrócił się i podszedł do okna. Wyglądał, jakby cała sprawa nic go nie obchodziła.

Del przedstawił warunki. - Małżeństwo zostanie natychmiast anulowane. Nie wydaje się nam w porządku, żeby Byrony miała uchodzić za upadłą kobietę, porzucającą męża i dziecko, więc to na was spadnie cały skandal. Przyznasz, że dziecko jest Irene i jakiegoś mężczyzny, który zginął tragicznie. Jestem pewien, że jeśli pomyślicie razem, to wymyślicie całkiem przekonującą bajeczkę. Tak, jak powiedział Brent, nie sądzę, żeby ktoś domyślił się, że Michelle jest owocem kazirodztwa. Jestem przekonany, że jeśli zrobicie wszystko tak jak trzeba, śmietanka towarzyska San Francisco szybko wybaczy wam tę farsę.

Po raz pierwszy odezwał się Saint. - Ira, znam cię od kilku lat. To, co zrobiłeś - i nie chodzi mi o ciebie i Irene, bo to nie moja sprawa - ale to, co zrobiłeś Byrony, jest trudne do zaakceptowania. Bardzo ją skrzywdziłeś i to nie tylko tym, że próbowałeś ją otruć i opowiadałeś bajeczki o jej szaleństwie. Muszę przyznać, że po raz pierwszy w życiu mam ochotę udusić drugiego człowieka.

Zrobisz to, co ci powiemy, Ira.

- Tak - odparł Ira, nadal stojący do nich tyłem -zrobię to, o co prosicie. - Wtedy odwrócił się powoli. - Chciałbym coś wiedzieć - powiedział, patrząc na Brenta. - Nie miałem pojęcia, że Byrony cię zna, Hammond. Czy Irene ma rację? Czy jest twoją kochanką?

Brent patrzył na niego przez długą chwilę. Potem odchylił głowę i roześmiał się głośno. - Boże, człowieku, czy tak mało znałeś swoją... żonę? Gdybyś nie był tak żaloszny, powybiłbym ci wszystkie zęby!

- Brent, przestań - odezwał się Saint. - Ira ma zdrowe, proste zęby.

- A więc to przeklęty Brent Hammond! - wrzasnęła Irene. - Boże, tam jest właśnie jej miejsce! Uciekła z hazardzistą, którego partnerką jest dziwka!

Twarz Brenta wykrzywiła się z wściekłości, ale głos miał spokojny, a nawet lekko rozbawiony. - Śmiesz mnie pani, panno Butler, naprawdę. Tak bardzo pani zależy, żeby zrobić z Byrony dziwkę, a sądzę, że powinna pani raczej spojrzeć na siebie. Jeśli chodzi o Maggie, jest tak honorowa i lojalna, że nie zasługuje pani na to, by przebywać z nią w jednym pokoju. Wiedz, Butler - dodał - że twoja żona próbowała uciec od ciebie tamtej nocy. Miałem szczęście być w pobliżu, żeby jej pomóc.

Ira poczuł mdłości. Wyglądał tak blado, że Saint podszedł do niego szybko. - Nie - powiedział cicho Ira. - Życie w kłamstwie... no cóż, człowiek nie zawsze zachowuje zdrowy rozsądek. Żałuję tylu rzeczy... Zrobimy, jak chcecie. Nie odsyłajcie Byrony do jej rodziców. Jej ojciec jest... okrutny. Będzie ją niemiłosiernie bił.

- Kto wie? Może dla niej byłoby najlepiej, gdyby wróciła do domu. W końcu nic jej tutaj nie trzyma -odezwał się Del, rzucając Brentowi spojrzenie z ukosa.

- Jak tylko małżeństwo zostanie anulowane, ożenię się z nią - powiedział Brent wyraźnie.

*

Byrony siedziała na ulubionym krześle Brenta, z podwiniętymi pod siebie nogami i książką na kolanach. Raz zajrzał do niej Nero, jak się domyślała, żeby sprawdzić, czy nie szykuje się do ucieczki. Maggie zjadła z nią lunch. Teraz jednak była sama.

Czy kiedykolwiek nie byłam sama? - zastanawiała się. Niedługo znowu będzie sama. Potrząsnęła głową, by odgonić od siebie natłok pytań bez odpowiedzi.

Usłyszała, jak zamykają się drzwi biura, a potem dobiegły ją kroki Brenta, idącego w stronę sypialni. Zdziwiła się, że poznała jego kroki. Spojrzała mu w oczy, gdy wszedł do środka. Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa.

Brent patrzył na nią innymi oczyma. Nigdy nie zaprzeczał, że był nią oczarowany od pierwszego spotkania w San Diego, nie zaprzeczał już także, że niewyobrażalnie jej pożąda. Przyznał, że jest w niej zakochany i chce się nią opiekować. Inne, głębsze uczucia, które nim zawiązały, trzymał w ukryciu. Powtarzał sobie, że zauroczenie wystarczy. Że na tym się skończy.

- Jak się czujesz? - zapytał nagle, nie ruszając się. Byrony była spięta i bardzo zawstydzona. - Dobrze, naprawdę - odparła, cienkim głosem.

- Dobrze. Maggie powiedziała mi, że zjadłaś spory lunch.

- Mogłeś zapytać mnie, nie moją... strażniczkę.

- Byrony, nie bądź nieznośna. - Podszedł do niej, przesuwając palcami po włosach. - O co chodzi? Nie odsuwaj się ode mnie. Ja na pewno cię nie skrzywdzę. Bóg mi świadkiem!

Spuściła wzrok i zaczęła bawić się skórzaną zakładką w książce. - Wiem - powiedziała. - Tylko że wszystko jest takie... skomplikowane. Po prostu nie wiem, co robić.

- Już nie musisz się o nic martwić. Niedługo wszystko się wyjaśni.

Spojrzała na niego. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Saint, Del i ja spotkaliśmy się z twoim mężem i bratową. Del wyjeżdża dziś do Sacramento, żeby anulować twoje małżeństwo. A jeśli chodzi o Irę i Irene, to przyznają, że to dziecko Irene i jakiegoś wojennego bohatera, który zginął, zanim zdążył się ożenić z Irene. Nie będziesz o nic obwiniana.

Wpatrywała się w niego. - Ale to nie jest konieczne, Brent. Ja... nie zamierzam ponownie wychodzić za mąż. Wyjeżdżam z San Francisco. Nie ma powodu, żeby oni...

- Milcz, kobieto! - Skrzywił się, odwrócił i podszedł do kominka, opierając na nim rękę.

- Brent - powiedziała bardzo spokojnie - przecież wiesz, że wyjeżdżam z San Francisco. Dlaczego zmusiłeś Irę, żeby to zrobił?

- Nie wyjeżdżasz - stwierdził zwięźle, niemal ze złością. - Nie masz za grosz rozumu! Jak zamierzasz przeżyć? Pieniądze za naszyjnik nie starczą ci na długo.

Uniosła podbródek, gest, który już u niej rozpoznawał, tak jak wbijanie obcasów w ziemię. - Poradzę sobie. Nie zamierzam w przyszłości być dla nikogo ciężarem.

Wiedział, że ją rozzłościł. Nie miał takiego zamiaru! Od kogo usłyszała, że jest ciężarem? - Byrony, chciałbym, żebyś za mnie wyszła.

Książka z hałasem upadła na podłogę. Zerwała się z krzesła, przyciskając pięści do ud i patrząc na niego z niedowierzaniem.

To ci dopiero reakcja, pomyślał, patrząc, jak zaczerwieniła się na propozycję małżeństwa. - Tak - powtórzył - chcę, żebyś wyszła za mnie, gdy tylko twoje małżeństwo zostanie anulowane.

- Dlaczego?

- No cóż, krótko i treściwie. Muszę powiedzieć, że jest wiele powodów.

Czego się spodziewał? Że padnie na kolana i zacznie mu dziękować?

- To nie jest dobry pomysł - powiedziała wreszcie. - Nie lubisz mnie.

To go rozśmieszyło. - Nie lubię cię? Ledwie mogę się powstrzymać, żeby cię nie dotykać.

- To nie to samo, prawda?

Dostrzegł w jej oczach ból i potrzebę potwierdzenia. Boże, tak niewiele myślała o sobie. - Czy zależy ci na mnie, Byrony?

Ta cholerna łagodność w jego głosie! Posługiwał się nią dla zwiększenia efektu. - Tak - odpowiedziała.

- Pewnie jestem największą kretynką na świecie.

Nie zamierzał mówić jej, że może być z nim w ciąży. Mógł tylko wyobrazić sobie, jak by na to zareagowała.

Zdjął rękę z kominka i podszedł do niej. Bardzo delikatnie położył jej dłonie na ramionach. - Byrony - powiedział tym samym łagodnym głosem - wiesz, że mnie też na tobie zależy. Chcę, żebyś została moją żoną. Będę się starał być dobrym mężem.

Naprawdę tak myślał. Nie był pewien, czy uda mu się dotrzymać tej obietnicy, ale zamierzał spróbować. Gdy podniosła wzrok, zobaczył, że mu wierzy. - Jesteś taka śliczna - powiedział i pochylił się, by ją pocałować. Poczul, że zeszywniała. - Nie bój się mnie - rzekł cicho, gdy zacisnęła usta. - Przysięgam, że nie zrobię ci krzywdy.

Zaskoczona, pomyślała, że mówi prawdę. Nie miał powodów, żeby ją okłamywać. Chciała mu powiedzieć, że jej nie tylko na nim zależy. Nie wiedziała, kiedy to się stało, ale kochała go. Odsunęła

się troszkę, by móc na niego spojrzeć. - Czy nadal będziesz mnie obrażał?

Brent wziął jej twarz w dłonie, pieszcząc kciukami jej policzki i uśmiechnął się do niej zawadiacko. - A co zrobisz, jeśli nadal będę to robił?

- Nie wiem - odparła szczerze. - Mam niewielkie doświadczenie z mężczyznami. Jesteś taki nieprzewidywalny, ale nigdy byś mnie nie skrzywdził jak mój ojciec, prawda?

Poczuł ucisk w dołku i przez chwilę nie mógł mówić. Przyciągnął ją mocno do siebie, ale tym razem nie czuł pożądania. - Nikt cię już nigdy nie skrzywdzi.

- Naprawdę chcesz się ze mną ożenić?

- Tak, naprawdę. Wyjdiesz za mnie? Uśmiechnęła się promiennie i jego pożądanie wróciło ze zdwojoną siłą. - Tak - powiedziała. - Skoro pan tak ładnie prosi...

- Byrony... - warknął.

- Byrony co?

- Jeśli kiedyś będę chciał cię obrazić, to zamiast tego wezmę cię do łóżka.

- Może to nie będzie takie złe - odparła rezolutnie.

Spojrzał tęsknie na łóżko. Wyobraził ją sobie nagą, niemal poczuł gładkość jej skóry. Przełknął gwałtownie ślinę, ale nie poszedł za głosem pożądania. To nie byłoby wobec niej w porządku. Odezwał się chrapliwie: - Mam nadzieję, że Del Saxton wróci szybko z Sacramento.

*

Tydzień później wzięli ślub w domu Delaneya Saxtona. Byrony miała na sobie białą satynową suknię od monsieur Davida, obszytą przynajmniej dwoma kilogramami koronki. Jestem mężatką, prawdziwą mężatką, myślała, rozglądając się po jadalni Saxtonów. Byli tam Newtonowie, Saint Morris, Tony Dawson, Dan Brewer, Maggie i oczywiście Chauncey i Del. Wiedziała, że powinna być szczęśliwa, ale za każdym razem, gdy wychodziła z mieszkania Brenta, ludzie spoglądali na nią wymownie. Nie mówiła o tym Bren-towi. Prawdę powiedziawszy, rzadko go widywała.

- No i co, żono?

Drgnęła nerwowo, rozlewając trochę szampana. Obrzuciła go spojrzeniem. Wydał jej się taki przystojny. Miał na sobie perłowszary garnitur i śnieżnobiałą koszulę. - W porządku - odpowiedziała. - Wszyscy są tacy mili.

- A czego się spodziewałaś? Rzucania kamieniami o zachodzie słońca?

- Mój pierścionek jest piękny.

- Cieszę się, że ci się podoba - powiedział tak samo formalnie jak ona. - Należał do Chauncey. Odkupiłem go od niej.

- Od Chauncey, a nie od Dela?

- Niektóre kobiety mają pieniądze - odparł, nie mając nic złego na myśli.

A ja nie mam nic, pomyślała, patrząc, jak odwraca się, by porozmawiać z Danem Brewerem, współnikiem Dela.

- Cóż to, pani Hammond? Smętne myśli? - Maggie uśmiechnęła się do niej, poklepując ją po ramieniu.

- Och, Maggie! Nie wiedziałam... to znaczy, właśnie myślałam, że nie mam żadnych pieniędzy. Zastanawiałam się, jak by to było być bogatą i decydować o swoim życiu.

- Niewiele kobiet poznało to uczucie, kochanie - odparła cierpko Maggie. - Chyba że mąż umiera i zostawia im pieniądze, albo mają odwagę zacząć własny interes. Ale nie polecałabym tego, Byrony.

Maggie zadrżała w środku, gdy Byrony uniosła pełne smutku oczy i wyszeptowała: - A więc mam

siedzieć, nic nie robić i znosić humory tego męża, tak jak znosiłam humory poprzedniego?

- Och, Byrony, przestań. Zobaczysz, że wszystko się jakoś ułoży. Mogę ci zadać pytanie?

Byrony przytaknęła, patrząc na męża. Śmiał się pięknie i donośnie. Patrzyła, jak gestykułuje, coś opowiadając. Dotykał jej tymi rękami i głaskał. Tamta noc, kiedy się z nią kochał, wydawała się taka odległa.

- Kochasz Brenta?

- Tak - odpowiedziała tak cicho, że Maggie musiała się nachylić, żeby usłyszeć odpowiedź.

Która kobieta nie zakochałaby się w takim przystojnym łotrze? - zastanawiała się Maggie w myślach.

- Czy mogę włączyć się do rozmowy?

- Jedzenie jest wspaniałe, Chauncey - powiedziała z wdzięcznością Byrony.

Chauncey poklepała się po okrągłym brzuchu. - Junior to dopiero żarłok. Myślałam, że będzie już spał, ale on ciągle kopie. Saint kazał mi wypić kieliszek szampana, żeby go trochę uspokoić.

I po miłej rozmowie, pomyślała Chauncey, trochę urażona. Byrony wyglądała na zagubioną i przestraszoną.

- Dziękuję za diament, Chauncey. Brent powiedział, że kupił go od ciebie.

- Jest śliczny, prawda? Zawsze uważałam, że jest najpiękniejszy.

W tym momencie Delaney poprosił wszystkich o uwagę, bo właśnie wznosił toast. Byrony wypła duszkiem dwa kieliszki szampana.

- Czy będę miał pijaną pannę młodą?

- Och, Brent! - Jego postać była trochę rozmazana. - Oczywiście, że nie.

- Dobrze, powinniśmy już iść. - Odwrócił się szybko do Maggie. - Wracasz z nami. Nie ufam temu rozpustnikowi, Danowi Brewerowi.

- Ja? - odezwał się urażony Dan. - Jestem statecznym bankierem.

- Ha - powiedziała Maggie, posyłając mu wszystkowiedzący uśmiech. Dan zarumienił się.

Byrony wytrzymała natłok komplementów i gratulacji. W powozie położyła głowę na ramieniu Brenta i zamknęła oczy, żeby pozbyć się lekkich zawrotów głowy.

Przysłuchiwała się przyjacielskiej pogawędce Maggie i Brenta. Burdelmama i hazardzista. To dziwne, zdążyła jeszcze pomyśleć, zanim zapadła w sen.

- Dobry Boże - powiedział Brent, gdy powóz zajechał pod „Dziką Gwiazdę”. - Mam w swoich rękach nieprzytomną pannę młodą.

- Po prostu zanieś ją na górę, Brent - odezwała się Maggie. - Dziewczyna miała ciężki dzień.

- Być może - odparł sucho Brent - ale nie planowałem, że noc będzie równie ciężka.

- Znając twój apetyt, nie byłabym tego taka pewna!

Wziął Byrony na ręce i wniósł ją po schodach do swojego mieszkania. Zaczął nią potrząsać, gdy Maggie szepnęła: - Nie, pozwól jej trochę pospać.

*

Byrony gwałtownie się przebudziła. W pokoju było ciemno. Leżała na łóżku, przykryta kocem i nadal miała na sobie ślubną suknię. - O Boże - wymamrotała, potrząsając głową, by pozbyć się resztek działania szampana. Powoli postawiła stopy na ziemi i wstała. Gdzie jest Brent? Drzwi od sypialni były zamknięte. Dlaczego ją zostawił? Dlaczego pozwolił jej spać? Podeszła do drzwi i wolno przekreśliła klamkę. Zatrzymała się, gdy usłyszała głos Brenta.

- Do diaska, Maggie, nie pouczaj mnie o moich obowiązkach!

Dlaczego jest zły? O jakie obowiązki chodzi?

- Zapytałam tylko, czy rozmawiałeś z Celeste. Wiem, mój przyjacielu, że spędziłeś z nią kilka wieczorów przed ślubem. Pewnie uważałeś, że to bardzo szlachetne z twojej strony, że nie dotykasz Byrony przed ślubem.

Kim jest Celeste? Dlaczego Brent spędzał z nią wieczory?

- Celeste ma długi język - powiedział gniewnie Brent. - Czy kobiety nie umieją trzymać języka za zębami? Nie, nie rozmawiałem z Celeste, Maggie. Dlaczego miałbym to robić?

- Mężczyzna, który dopiero co się ożenił, nie potrzebuje kochanki, Brent - padła sucha odpowiedź. - Na pewno nie zamierzasz być niewiernym mężem, a może się mylę?

- Byrony jest moją żoną i będę ją traktował jak żonę. Ożeniłem się z nią, czyż nie? Nie miałem żadnego wyboru. Zamierzam się nią dobrze opiekować. A teraz, Maggie, jeśli skończyłaś swoje kazania, to zamierzam obudzić swoją pannę młodą i zacząć jej noc poślubną!

Byrony nie poruszyła się. Nie była w stanie. Oto nauczka za podsłuchiwanie, pomyślała. Głosy dobiegały ją teraz z oddali. Maggie wychodziła. Brent zaraz do niej przyjdzie.

Mój mąż.

Zaśmiała się cicho. Przynajmniej tę noc spędzał z nią, a nie ze swoją kochanką!

Brent potrząsał głową, gdy gasił lampy w salonie i zamykał drzwi mieszkania. Uważał, że Maggie nie powinna się wtrącać. Ze złością zacisnął szczęki. Oczywiście, że ma zamiar porozmawiać z Celeste! Nie potrzebował teraz kochanki. Cicho otworzył drzwi sypialni i wszedł do środka. Spojrzał na łóżko i na jego twarzy pojawił się uśmiech. Wyszeptał jej imię, ale nie usłyszał odpowiedzi. Zapalił lampę przy drzwiach; nie chciał jej gwałtownie obudzić. Gdy się wyprostował, zobaczył, że jego żona stoi na środku pokoju.

W następnej sekundzie dostrzegł porcelanową miskę, wycelowaną wprost w jego głowę.

ROZDZIAŁ 19

- Ty draniu!

W ostatniej chwili uchylił się przed miską. Rozbiła się o ścianę, rozsypując się na tysiąc kawałków pod jego stopami.

- Byrony, co u licha...

Mała lampka z szafki nocnej uderzyła go w ramię i pękła na dwa duże kawałki.

- Byrony, przestań! Tylko nie mój mosiężny świecznik!

Udało mu się złapać świecznik za nóżkę. W następnej chwili został trafiony w klatkę piersiową egzemplarzem „Dzieł” Arystofanesa, oprawionym w skórę.

- Usłyszał jej kroki i zobaczył, jak podnosi tom Woltera, żeby nim cisnąć. - Do jasnej cholery, dosyć! - Ruszył w jej stronę, uchylając się przed Wolterem. Upuścił świecznik i rzucił się na nią. Złapał ją za ramiona i przycisnął je do boków.

- Nienawidzę cię! - wrzasnęła, szarpiąc się z nim wściekle. - Ty żaloszny, kłamliwy...

Potrząsał nią, aż głowa odskoczyła jej do tyłu. -Przestań! Co się z tobą dzieje, do diabła?

Był dla niej za silny, mimo to usiłowała uwolnić się z jego uścisku. Brent się nie odzywał, po prostu czekał, aż się zmęczy. - A teraz - powiedział w końcu, bardziej zaskoczony niż zły - czy możesz mi zdradzić powód tego melodramatycznego przedstawienia?

- Puść mnie.

- Nie. Nawet jeśli tobie nie zależy na moich rzeczach, to mnie tak. - Potrząsał nią znowu, patrząc jej w twarz. W jej szeroko otwartych ciemnych oczach, przepełnionych gniewem i czymś jeszcze pojawiły się łzy. Trochę łagodniej powiedział: - Co się dzieje? Dlaczego jestem żaloszny, kłamliwym...

- Draniem.

- Dobrze, draniem. Ale... - Zamarł. A niech to, słyszała jego głupie słowa, rzucone do Maggie pod wpływem urażonej męskiej ambicji. - Jesteś moją żoną - powiedział, przytulając ją do siebie tak mocno, że niemal nie mogła oddychać. - Jesteś moją żoną -powtórzył.

- Dlaczego?

W tym krótkim słowie krył się bezkresny ból; jej gniew zamienił się w rozpacz.

Przymknął oczy, usiłując przypomnieć sobie wszystkie bzdury, które powiedział.

- To był błąd - zaczął. - Nie chciałem... Maggie prawiła mi kazanie i...

- Dlaczego się ze mną ożeniłeś? Dlaczego mnie oszukałeś i powiedziałeś, że... ci na mnie zależy? Miałeś wybór, Brent. To, co powiedziałeś Maggie, nie było prawdą. Miałeś wybór.

- Nie o to mi chodziło - odezwał się, zgrzytając zębami. - Słyszałaś naszą rozmowę - dodał z oskarżeniem w głosie.

- Tak. Czyż nie zachowałam się niekulturalnie, budząc się w środku nocy i podsłuchując? Chyba zasługuję na słowo prawdy po tym, co zrobiłam.

Do diabła, pomyślał, czując ogarniające go poczucie winy. Jeszcze tak niedawno obiecywał, że

nigdy jej nie skrzywdzi.

Zobacz, co zrobiłeś, ty ośle.

Oczywiście chodziło mu o to, że nigdy nie skrzywdzi jej, jak robił to jej ojciec, ale to wydawało się równie złe, a może nawet gorsze.

- Puść mnie - powtórzyła. - Obiecuję, że zostawię twoje rzeczy w spokoju.

Zacisnął szczęki. - Nie o to mi chodziło. Teraz to są także twoje rzeczy. Nawet mój Arystofanes - dodał z nadzieją, że powiedział coś zabawnego.

- A co z Celeste? Co jest jej?

Na nowo ogarnęła go wściekłość. Boże, czyżby była zazdrosna? Na pewno nie, głupcze, zakpił sam z siebie. Przypuszczał, że żony powinny być złe, słysząc mężów, rozmawiających o swych kochankach. A ona jeszcze nie była jego prawdziwą żoną. Była panną młodą. To była jej noc poślubna i słyszała, jak mówił o swojej kochance!

- Celeste - powiedział bardzo dobitnie - nie powinna cię zupełnie obchodzić. Ona nie ma z tobą nic wspólnego. Nic. Czy przestaniesz się zachowywać jak wariatka, jeśli cię puszczę?

- Tak - odparła.

Brent puścił ją. Odsunęła się od niego, pocierając ramiona. Zastanawiał się, czy będzie miała siniaki i skrzywił się.

- Dobrze - powiedział. - Teraz będziesz pamiętać, że jesteś damą i moją żoną.

Otępienie, które ją ogarnęło, znikło w jednej sekundzie. Spojrzała na niego błyszczącymi oczami. Miała zaciśnięte i blade usta. - A kim ty jesteś, Brent? Czy nie jesteś dżentelmenem i moim mężem? - Nie czekała na jego odpowiedź, była zbyt wściekła. - Dlaczego ty mogłeś oskarżać mnie o różne podłości? Dlaczego ja, kobieta, mogę zostać nazwana dziwką, ladacznicą, a ty, żaloszny mężczyzna, możesz mieć tyle kobiet, ile zechcesz, i nadal będziesz obrzucał mnie wyzwiskami? Dlaczego?

Zmarszczył brwi. Nigdy nie myślał w ten sposób o męskim pożądaniu. Nigdy wcześniej nie był żonaty. - Kobiety - zaczął, usiłując wymyślić logiczne wytłumaczenie - są inne. Nie chcą... to znaczy, są bardziej...

Ironicznie rzuciła: - Ach, więc jeśli jestem inna, to dlaczego uważasz mnie za taką samą ladacznicę jak ty i...

- Dosyć! Nie to chciałem powiedzieć. - Przeciągnął palcami po włosach. - Słuchaj, Byrony, myliłem się co do ciebie, całkowicie. Gdy byłem młody, pewna kobieta nauczyła mnie różnych rzeczy, które nie były całkiem właściwe.

- Ha! Czy chcesz mi powiedzieć, że zostałeś uwiedziony? Ale przecież kobiety nie lubią takich rzeczy, Brent. A może nawet jako młody człowiek płaciłeś za przyjemność?

- Nie - odparł. Usłyszała w jego głosie ból tamtych wydarzeń, a w jego oczach dostrzegła gorzkość. - To była moja macocha.

Byrony nie chciała mu współczuć. - Więc wszystkie kobiety oceniasz tą samą miarą, tak, Brent?

- Chyba tak - powiedział powoli. - Źle postępowałem. Zwłaszcza z tobą. Po prostu byłem tobą oczarowany od pierwszego spotkania, Byrony. Nie będę cię oszukiwał. Może chciałem wierzyć w kłamstwa tego starca w San Diego. Pozwalało mi to zachować zdrowy rozsądek. Nie dopuszczałem do siebie różnych uczuć.

Boże, co ja wygaduję? Dlaczego się tak wywnę-trzam ?

Nie mógł jednak przestać. - Gdy spotkałem cię znowu, piękną i słodką, pomyślałem... Nieważne, co pomyślałem, ponieważ to nie trwało długo. Wyszłaś za mąż za Butlera, bogatego człowieka, no i

byłaś w ciąży. A ja śmiałem się z siebie, ponieważ uwierzyłem, że jesteś inna.

- I raniłeś mnie.

- Wiem i nie miałem racji. - Nadal odnosiła się do niego z pewnym niedowierzaniem i złością. Pewnie pamiętała jego słowa w rozmowie z Maggie. Nie musiał się przed nią tłumaczyć. Był mężczyzną i jej mężem. Mógł robić to, co mu się podoba. Tyle że teraz dyskretnie.

- Dostyc tych nedorzecznosci - przerwał gwałtownie. - Chcę się kochać z moją panną młodą.

Wpatrywała się w niego, nie wierząc w to, co słyszy. - Idź do Celeste - odparła przez zaciśnięte usta. - Idź do swojej kochanki.

Odwrócił się od niej i zaczął ściągać ubranie. Słyszał, jak gwałtownie łapie powietrze, ale nadal rozbierał się bez słowa. Gdy był już tylko w spodniach, rzucił przez ramię: - Czy chcesz, żebym pomógł ci zdjąć suknię ślubną?

- Nie. Będę spała w salonie.

Odwrócił się z impetem. - Akurat! - Patrzył jej w oczy, rozpinając guziki spodni.

- Przestań - powiedziała, usiłując patrzeć na jego twarz.

- Nie. - Zdjął spodnie i starannie powiesił je na oparciu krzesła.

Wyprostował się i położył dłonie na biodrach. -Przyjrzyj się dobrze, Byrony. Mam nadzieję, że podoba ci się ciało twojego męża, ponieważ jestem jedynym mężczyzną, którego będziesz oglądała nago.

- Wyglądasz, jak owłosiona... małpa!

- W porównaniu z tobą pewnie tak. Wprawdzie, w przeciwieństwie do wielu mężczyzn, nie mam włosów na ramionach i plecach, ale skąd miałabyś o tym wiedzieć? - Przeciągnął się i zauważył, jak jej wzrok pada na jego krocze.

- Nie - powiedziała zdławionym głosem.

Jego cierpliwość zaczęła się wyczerpywać. - Byrony, jesteś moją żoną i zamierzam się z tobą kochać. Możemy zrobić to na dwa sposoby. Możesz ze mną walczyć, albo może ci być przyjemnie. Co wybierasz?

Pochyliła głowę i zgarbiła się.

Nic nie mówiąc, po prostu podszedł do niej od tyłu i zaczął rozpinąć niezliczoną ilość małych, obciągniętych satyną guziczków. Miał ochotę pocałować ją w kark. Gładka skórka, pokryta delikatnym meszkiem włosów. Nie chciał jej skrzywdzić. Chciał, żeby zapomniała o jego niewybrednych słowach, chciał...

- Gotowe - odezwał się, ściągając suknię. - Czy mam ci pomóc z resztą?

- Nie - odparła. - Proszę, Brent, zostaw mnie w spokoju.

Potrząsnął głową i głośno powiedział: - Nie, ale napiję się brandy, zanim się rozbierzesz.

Zmusił się, żeby się od niej odsunąć.

Byrony zastanawiała się, czy wszystkie kobiety urodziły się nieszczęśliwą gwiazdą, a potem pomyślała o Chauncey Saxton i westchnęła. Delaney Saxton jest przystojny, inteligentny i bardzo dobry. A jej, głupiej, zależało na łajdaku, który traktował ją jak swoją własność, z którą może zrobić, co zechce.

- Nie zamierzam pić brandy przez całą noc - usłyszała, jak mówi za jej plecami. - Masz pięć minut, Byrony.

Zgrzytnęła zębami i zdjęła z siebie koszulę, halkę i bieliznę. Sięgała po nocną koszulę, gdy poczuła jego rękę na ramieniu.

- Nie - powiedział. - Pragnę cię... teraz.

Coś się w niej załamało pod wpływem jego rozkazującego tonu. Odwrócił ją do siebie. Uniosła pięść i z całej siły uderzyła go w brzuch.

Brentowi zaparło dech w piersiach i sapnął bardziej ze zdziwienia niż z bólu. Kiedy poczuł paznokcie wbijające mu się w ramię, złapał ją wpół i przewrócił na łóżko. Rzucił się na nią i przytrzymał oba jej nadgarstki w swojej dłoni.

- Wystarczy - odezwał się, wpatrując się w nią. Zobaczył w jej oczach wściekłość i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Wygląda na to, że w noc poślubną będę ujeżdżał dziką klacz.

Byrony spróbowała mu się wysliznąć, ale szybko zdała sobie sprawę, że jej szarpanina podnieca go jeszcze bardziej.

- Nienawidzę cię - rzuciła mu w twarz.

Nadal się uśmiechał. - Sprawię, że zapomnisz o tych niemądrych słowach, żono. I nie zamierzam cię zgwałcić. A ponieważ jesteś całkiem zielona w tych sprawach, po prostu leż i pozwól, że cię nauczę. - Pochylił głowę i pocałował ją lekko w usta. - I będzie ci bardzo przyjemnie, Byrony, bardzo przyjemnie.

Czuła na sobie jego ciężar, jego nabrzmiałą męskość, przyciśniętą do jej brzucha, kępki czarnych włosów, ocierające się o jej piersi. - Nie - powiedziała - nie będzie.

To go zaskoczyło i przez moment tylko patrzył na nią. - A więc tak ma być - odparł cicho. - Zobaczmy, Byrony. Zobaczmy.

Ostrożnie uwolnił jej nadgarstki, ale leżała spokojnie i patrzyła w sufit. Stoczył się z niej i oparł głowę na łokciu. Przez dłuższą chwilę leniwie się jej przyglądał. - Ożywisz się - zażartował, mając nadzieję, że tak będzie. Lekko musnął jej piersi, delikatnie głaszcząc okolice sutków, ale ich nie dotykając. Powoli wziął jej pierś w dłoń, łagodnie ją ściskając i czując przyspieszone bicie jej serca. Uśmiechnął się. Ma takie piękne piersi, już jej to mówił. Pełne i okrągłe, z sutkami w kolorze ciemnego różu. Nadal ją głaskał, a jednocześnie spojrzał na całe jej ciało. To prawda, że jest bardzo szczupła. Boże, też byłby chudy, gdyby żył tak jak ona przez ostatnie tygodnie. Miała miękką, gładką skórę. Delikatnie nacisnął jej brzuch i poczuł, jak napina mięśnie. Lekko musnął opuszkami palców po miękkich, ciemnoblonde włosach. Usłyszał jej chrapliwy oddech i poczuł, że jej ciało sztywnieje.

- Masz ładne nogi - powiedział, myśląc, że to za mało powiedziane. Jej nogi były długie, białe i bardzo kształtne. Szybko ujął w dłoń jej pierś i serce znowu zaczęło jej bić jak szalone.

- Proszę - powiedziała Byrony. - Nie.

- Tak, kochanie. A teraz chcę, żebyś rozchyliła nogi.

- Nie - powtórzyła.

Wsunął dłoń pomiędzy jej uda i trochę je rozsunął.

Byrony zacisnęła powieki. Wiedziała, że się jej przygląda i oblała się rumieńcem. Palcami pieścił wewnątrz jej ud i przysuwał ją bliżej do siebie. Nie walczyła z nim. Czuła się dziwnie słaba, ale już nie sama. Była obok niego, czuła jego dotyk.

Brent oddychał chrapliwie. Widok jej miękkiej, różowej skóry rozpałił go. Gwałtownie jej zapragnął. Teraz. Szybko położył się między rozchylonymi udami i przycisnął do jej ciała swoją męskość.

Byrony uniosła się i zaczęła się szarpać.

- Nie - sapnęła. - Nie pozwolę ci! Ja... Przycisnął ją swoim ciężarem i zamknął jej usta pocałunkiem. Ocierał się rytmicznie o jej ciało i ogarnęło ją przerażenie na wspomnienie bólu

pierwszego razu. Czula jego ządze i zaczęła z nim walczyć, zapominając o wcześniejszej bierności.

- Byrony - powiedział jej prosto w usta - przestań! Kochanie, leż spokojnie.

- Nie! - wrzasnęła, kręcąc głową, by nie mógł jej całować. - Obiecałeś, że mnie nie skrzywdzisz!

Jesteś kłamcą, tak jak wszyscy mężczyźni, jesteś...

Zsunął się z niej i przyciągnął do siebie. - Cichutko - powiedział, głaszcząc ją po włosach. - Nie skrzywdzę cię. Nie jestem kłamcą. - Potrząsnął głową. Boże, stracił nad sobą panowanie. Nie chciał, żeby obawiała się z nim kochać. Przytulił ją delikatnie i zaczął szeptać czułe słówka, chcąc odgonić od niej strach. Gdy uspokoiła się trochę i tylko od czasu do czasu chlipała w jego ramię, odsunął się od niej i spojrzał na żonę.

- Chodźmy spać - odezwał się. - Dobrze? Mrugnęła, nie bardzo go rozumiejąc. Podniósł się i zgasił lampę, a potem wrócił do łóżka i przykrył się kołdrą. - Chodź tu, Byrony. Chcę cię przytulić, to wszystko. Pewnie, że to wszystko, mówiło jego ciało.

Przysunęła się do niego, wiedząc, że może ją zmusić, jeśli nie będzie posłuszna. Leżała napięta obok niego, przytulona policzkiem do jego klatki, rozmyślając smętnie. Ku zaskoczeniu Brenta oddychała szybko nawet przez sen.

Przeklął cicho, a potem uśmiechnął się w ciemności.

Było spokojnie i ciemno, gdy się przebudził z uśmiechem na twarzy. Leżała odprężona i zachęcająca, z dłonią na jego piersi. Bardzo powoli położył ją na plecach. Wymruczała coś przez sen, ale nie obudziła się. Leciutko pogłaskał ją po brzuchu i zanurzył palce w miękkie włosy, odnajdując ją. Była niesamowicie miękka i ciepła. Głaskał ją powoli, ale zdecydowanie. Wiedział, jak obudzić w kobiecie pożądanie. Czuł jej kobiecą wilgoć i miał ochotę krzyczeć z rozkoszy. Pieścił ją, delikatnie wsuwając palec w jej ciepłe ciało. Zaskoczyło go, że jest taka rozgrzana i ciasna. Zamknął na chwilę oczy, wyobrażając sobie, jak w nią wchodzi.

Powoli, bardzo powoli, pomyślał. Znowu zaczął ją pieścić i dobiegł go jej cichy jęk. O tak, Byrony, pozwól mi nawiedzić cię we śnie.

I nawiedził ją we śnie. Stała na szczycie wzgórza, u którego stóp roztaczała się zielona dolina. Narastały w niej nieznane, silne uczucia. Zaczęła się więc, tracić oddech i chciała podejść do krawędzi wzgórza. Poruszała biodrami, a we śnie patrzyła w dół na zieloną dolinę i płakała, nie wiedząc, co zrobić. Brent pieścił ją jeszcze głębiej, aż zakwiliła cicho i zacisnęła dłoń na jego ramieniu. Była na granicy jawy i snu. Pragnęła zatrzymać senną miękkość i niejasność, a jednocześnie jej ciało pragnęło być świadome nieopisanej rozkoszy. Nagle otworzyła szeroko oczy i wstrząsnęły nią konwulsje. Krzyknęła, nie rozumiejąc, co się z nią dzieje, a jednocześnie pragnąc, by to uczucie trwało wiecznie.

Brent widział jej twarz w bladym świetle poranka. Widział jej oszołomienie, gdy osiągnęła orgazm. Rozkoszował się tym. - O tak - powiedział, pieszcząc ją dalej, by przedłużyć jej rozkosz. Zanim skończyła, położył się między jej nogami i wszedł w nią. Jęknął, gdy poczuł, że zaciska wokół niego mięśnie i prowadzi go głębiej i głębiej. Pchnął mocno, nie mogąc się opanować.

Byrony gwałtownie ocknęła się z błogostanu. Spojrzała na niego, czując go głęboko w sobie. Krzyknęła pod wpływem silnych doznań, miotających jej ciałem i objęła go ramionami. Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy umrze z rozkoszy.

Brent czuł, że jej pożądanie jest równie silne, że niemal oplata się wokół niego. Była gotowa dawać i brać. Wszedł w nią cały i wystrzelił nasieniem głęboko. Opadł napięty i zdyszany.

Zamknął oczy, zdając sobie sprawę, że jej rozkosz była większa niż jego. Poczul, że ogarnia go

głęboko zakorzenione uczucie przynależności, potrzeba, którą pogrzebał w sobie tak dawno temu, że zapomniał o jej istnieniu. Dotarłem do domu, pomyślał oszołomiony.

- Byrony - powiedział miękko, a jej imię było muzyką dla jego uszu.

Ucałował jej twarz, wsunął język między jej wargi, czuł, jak nadal mocno go obejmuje. - Byrony - powtórzył i zasnął, spokojny i nasycony, nadal pozostając głęboko w niej.

Byrony była oszołomiona. Nie poruszyła się. Był ciężki, ale nie chciała go z siebie zrzucić. Czowała go w sobie i kontemplowała to uczucie. Sprawiono ci umiejętnie rozkosz, ty głupia, pomyślała i zamknęła oczy. Nigdy nie przypuszczała, że takie uczucia istnieją. Tak silne, tak wszechogarniające, że wszystko inne przestawało się liczyć. Poczwała, jak rozluźniają się mięśnie jego gładkich pleców. Powoli przesunęła po nich dłońmi w górę i w dół. Tak inne od jej pleców, przyszło jej do głowy. Poruszył się lekko i niemal podskoczyła pod wpływem budzącej się w niej rozkoszy. Zamrugowała powiekami, usiłując ją od siebie odgonić. Ale nadal ją odczuwała. Pragnęła go. Znowu, choć dopiero po raz pierwszy. Wydawało się, że jej ciało wie, co należy robić. Poruszyła się pod nim i poczuła, jak w niej nabrzmiewa.

Brent zdał sobie sprawę z jej ruchów. Jego ciało zareagowało natychmiast, ponieważ od tak dawna bardzo jej pragnął. Uniósł się na łokciach, niemal się z niej wysuwając, a potem zanurzył się głęboko. Włożył palce pomiędzy nich, odnalazł jej czułe miejsce i zaczął pieścić. Zaszlochała, z twarzą przyciśniętą do jego szyi. Niemal zrzuciła go z siebie.

Gdy poczuł, że jej ciało napina się i wije w orgazmie, pocałował ją głęboko i wybuchnął na jej brzuchu. Był poza nią, a jednocześnie z nią we własnej rozkoszy.

- Ach, Byrony - wyszeptał i przyciągnął jej drżące ciało do siebie.

ROZDZIAŁ 20

Byrony odsunęła nos od drapiących włosków na jego piersi. Bardzo powoli uniosła głowę i spojrzała na jego twarz we śnie. Miał potargane włosy, a jeden gruby kosmyk opadał mu na czoło. Szczęki pokrywał ciemny zarost. Wyglądał wspaniale. Podziwiała nawet jego uszy. Uświadomiła sobie, że zarzuciła nogę na jego krocze. Nawet we śnie obejmował ją mocno ramieniem, a dłoń trzymał na jej pośladku.

Mój mąż, pomyślała. On jest moim mężem. Starła się nie poruszać, pamiętając ostatnią noc - nie, rano, poprawiła się w myślach. Wiedział, że będzie... bardziej chętna do współpracy we śnie. I była. Nadal była oszołomiona swoją reakcją. Nie miała pojęcia, że takie uczucia istnieją. Nigdy nie usłyszała na ten temat słowa od ciotki Idy ani od matki. Byrony uśmiechnęła się, wyobrażając sobie wyraz pociągłej twarzy ciotki Idy, gdyby powiedziała jej: - Tak, ciociu, a potem krzyczałam i wiałam się, nie chcąc, by kiedykolwiek przestał mnie dotykać. O tak, ciociu, mieć głęboko w sobie mężczyznę, który cię czuje, porusza się nad tobą, całuje cię... - Przez chwilę zastanawiała się nad tym, zanim znowu zaczęła trzeźwo myśleć. Teraz musiała się od niego uwolnić fizycznie, ale bała się poruszyć. Pewnie obudziłby się i znowu by się z nią kochał. Kochać się. Dziwnie brzmi, ale tak właśnie nazywał dzikie spółkowanie. Poczula lekkość między udami i zarumieniła się. Jego nasienie. Wewnątrz niej. Nigdy wcześniej nie czuła swej kobiecości tak jak teraz. Teraz wiedziała, czego mężczyźni chcą od kobiet i - dodała w myślach nadal zadziwiona - czego kobiety chcą od mężczyzn. Przełknęła ślinę. Uniosła nogę, odsuwając się od niego. Wymruczał coś niezrozumiałego i mocniej ją przytulił.

- Byrony - powiedział nagle, otwierając oczy. Spojrzał na jej twarz i rozpromienił się. - Dzień dobry, żono. Przysuń się bliżej, jesteś taką ciepłą i miękka.

Znowu położył jej nogę na swoim udzie.

- Dobrze spałaś? - W jego pytaniu pobrzmiwała radosna satysfakcja. Czowała jego ciepły oddech na skroniach.

- Tak - odpowiedziała.

Odwrócił się do niej twarzą i przytulił się do niej. Poczula, że jego członek znowu nabrzmiewa i zaskoczona złapała haust powietrza. - Z pewnością... - zaczęła, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia.

- Z pewnością co? - Zaczął pieścić jej ucho. Był szczerze rozbawiony. Wiedział, że wygrał, ale nagle przyszło jej do głowy, że być może ona również wygrała. Chciała go zapytać, co z wydarzeniami ostatniej nocy? Czy coś się zmieniło?

- Nie wiem.

- Czyżby odebrało ci mowę? - Jego uśmiech był zaraźliwy i również się uśmiechnęła. Poczula, jak przesuwa dłoń po jej brzuchu.

- Och, Brent, na pewno masz...

- Taka ciepła - powiedział, błyskając pożądliwie zębami.

- I klejąca! Przez ciebie - powiedziała groźnie i była zaskoczona, gdy zamknął oczy i poszukał jej palcami.

- Tak - odparł miękko - przeze mnie. Zadrżał i przez ułamek sekundy wiedziała, jaką ma władzę nad tym mężczyzną. Po chwili leżała już na plecach, a on w nią wchodził. Sapnęła, czując go w sobie, a on zamarł. - Czy to cię boli, Byrony? Czy czujesz pieczenie?

Spojrzała mu w oczy, widząc w nich troskę i zagubienie. - Nie - wyszeptała, wyginając się, by mieć go głębiej w sobie.

Ale on się skrzywił i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów troska o kogoś zwyciężyła z jego potrzebami. Bardzo powoli zaczął się z niej wysuwać, ale objęła go ramionami i przytrzymała.

- Dobrze - powiedział, patrząc na nią - ale tym razem zrobimy to delikatnie, Byrony. Jesteś nieprzy-zwyczajona do mężczyzny. - Pochylił głowę i pocałował ją. - Cieszę się, że... się mną rozkoszujesz.

Zamrugła, czując narastające niepohamowane pożądanie. - Przecież wiedziałeś, że tak będzie. Czyż nie jest tak ze wszystkimi?

Miał ochotę się roześmiać z jej uroczej naiwności, ale nie zrobił tego. - Nie - powiedział - nie ze wszystkimi. Jesteśmy całkiem niezli razem.

Przytulał się do niej, nawet gdy wchodził w nią głębiej. Pisnęła cicho, naprężając się. - Brent - sapnęła - proszę.

Przyglądał się jej twarzy, jej pięknym oczom, pociemniałym z pożądania, i zaczął szybciej się poruszać. Gdy wsunął dłoń między ich napięte ciała, by ją odnaleźć, krzyknęła i zatopiła się w niemal bolesnej rozkoszy. Powstrzymywał się, dopóki spazm nie osłabł. Wtedy położył ją na boku i pozwolił, by rozkosz owładnęła jego ciałem.

- Teraz dopiero jesteś lepka - powiedział, przytulony do jej szyi.

- Tak - odparła, a on uśmiechnął się, słysząc zadowolenie w jej głosie.

Zza drzwi biura dobiegło pukanie. Byrony zeszywniała i zarumieniła się zawstydzona.

Leciutko uderzył ją palcem po nosie i odsunął się od niej. - Nie ostygnij, zaraz wracam. To pewnie nasze śniadanie.

Obserwowała, jak zrywa się nagi z łóżka i wkłada szlafrok. - Nie ruszaj się, Byrony - rzucił przez ramię. Dlaczego to powiedział, pomyślała przez moment, marszcząc brwi. Czy obawiał się, że wyskoczy z łóżka i będzie próbowała uciec?

Zatrzymał się na chwilę w drzwiach i niemal nieświadomie odwrócił się, by spojrzeć na łóżko. Jej ciemnoblonde włosy były w nieładzie, miała zaróżowioną twarz i wyglądała tak uroczo, że pragnął tylko wrócić do łóżka. Pożądliwy drań, zakpił z siebie. Zrobisz jej krzywdę.

Gdy wrócił do sypialni, niosąc tacę ze śniadaniem, siedziała na łóżku i nieporadnie naciągała na siebie szlafrok.

Na ułamek sekundy skrzywił się rozczarowany. Wolałby widzieć jej białe ramiona i piersi, ale przecież nie była przyzwyczajona, żeby mężczyzna oglądał ją nagą, nawet jeśli tym mężczyzną był jej mąż.

- Kuchnia jest na dole - powiedział od niechcenia. - Gdy nie mam ochoty jeść na mieście, Caesar przynosi mi jedzenie na górę. Chcesz kawy?

Skinęła głową.

- Nie bądź przy mnie spięta, dobrze? Proszę. Wzięła dymiącą filiżankę kawy i zaczęła pić małymi łydkami. Była to najlepsza kawa, jaką w życiu piła.

Łóżko ugięło się pod ciężarem Brenta.

- Rogalik z piekarni Pierre'a.

- Dziękuję.

- Nie możesz się teraz wstydzić - powiedział ciepłym, rozbawionym tonem. - W końcu posiadałaś moje biedne ciało... ile... trzy razy w mniej niż... ile godzin?

- Twoje biedne ciało, ha!

- Tak lepiej - odparł i zatopił zęby w puszystym rogaliku. - Byrony, nie rozmawialiśmy o tym, dokąd pojedziemy na nasz miodowy miesiąc.

- Tylko nie do Sacramento - rzuciła gorzko.

- Oczywiście, że nie. - Zamilkł i przyglądał się jej. - Myślę, że byłoby jednak rozsądnie, gdybyśmy gdzieś pojechali. Powstaną plotki i nawet jeśli Irene i Ira będą trzymać język za zębami, to jest prawdopodobne, że niektórzy ludzie będą cię traktować nieodpowiednio.

- Wiem - odparła i poczuła ucisk w żołądku.

- Przyszło mi również do głowy - ciągnął zamyślony - że jako żonaty mężczyzna powinienem zbudować nam jakiś dom. Mieszkanie nad barem, obok burdelu nie jest uważane za odpowiednie lokum.

- Podoba mi się tutaj - powiedziała. - Naprawdę, Brent, nie chcę, żebyś robił coś, czego nie chcesz. A Maggie jest dobrą przyjaciółką.

Patrzyła mu poważnie w oczy. Coś w nim drgnęło. - Nie chcę, żebyś więcej cierpiała - powiedział szorstko.

- To... bardzo miłe z twojej strony - odparła, ale myślała o Celeste, jego kochance.

- Dziękuję - powiedział oschle.

- Czy mogę ci zadać pytanie?

Uniósł czarną brew.

- Jestem raczej nieświadomiona - zaczęła, nerwowo skubiąc rogalika.

- Ale bardzo pojętna.

- Czy mężczyźni chcą się kochać cały czas? - wyrzuciła z siebie.

- Nie częściej niż co godzinę - odpowiedział ironicznie.

Otworzyła szeroko oczy i nie mógł się nie roześmiać.

Opuściła skromnie rzęsy i powiedziała: - Czy już minęła godzina?

Nigdy jeszcze nie widział jej flirtującej. Był jednocześnie zaintrygowany i zauroczony. - Prawie - odparł, zdając sobie sprawę, że jego ciało reaguje na nią z entuzjazmem. Przez moment zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie w stanie się nią nasycić. Myśl, że ma żonę, przyprawiała go o zawrót głowy. Małżeństwo wymagało również poświęcenia i odpowiedzialności, nad czym się wcześniej nie zastanawiał, i to go przerażało. Pochylił się nad nią, zachwycony, że ona również go pragnie, i zdjął tacę z jej kolan.

- A teraz, kochanie - powiedział - moja godzina minęła i możesz mnie znowu wykorzystać. - Wziął jej twarz w dłonie i zaczął ją całować. Szybko zapomniał o miesiącu miodowym, o budowie domu i nieznannej przyszłości, wypełnionej odpowiedzialnością. Chciał również porozmawiać z nią o ich nieudanej dyskusji z ostatniej nocy, ale nie teraz. Nie teraz.

*

- Wyglądasz cudownie, Byrony - powiedziała Chauncey Saxton, uśmiechając się do przyjaciółki. - Widzę, że małżeństwo ci służy.

- Och, Brent jest... - Byrony umilkła na moment. - Jest... och, nie wiem! Dziękuję, że poszłaś ze mną na zakupy, Chauncey.

- Przyjemność po mojej stronie. Dzięki Bogu, że nie pada! Chodź, kochanie, napijemy się herbaty, a ja chwilę odpocznę. - Poklepała się po coraz większym brzuchu. - Ten mały dzikus okropnie dokazuje i Saint powiedział mi, że herbata, ale tylko miętowa, trochę go uspokoi.

Byrony szybko przytaknęła. Weszły do małej cukierni „U Mortimera”. Uśmiechnięty, bardzo zaokrąglony Timothy Mortimer zaprowadził je do małego stolika.

Gdy złożyły zamówienie, Chauncey rozparła się wygodnie na krześle i westchnęła z zadowoleniem. - Saint, oczywiście, nie ma pojęcia, jak uspokoić moje nieokrzese dziecko, ale cieszy mnie jego zalecenie picia miętowej herbaty, naturalnie z cytryną. Musisz mi coś poradzić, Byrony. W przyszłym tygodniu wypada nasza pierwsza rocznica ślubu i zupełnie nie wiem, co mu dać.

Byrony jednak milczała z pobladłą twarzą.

Chauncey uniosła głowę i dostrzegła w drzwiach cukierni panią Stevenson i Penelopę. - Nie zwracaj na nie uwagi - powiedziała. - Poza tym - dodała lżejszym tonem - nie wiem, której z nas nie akceptują bardziej. - Przywołała na twarz uprzejmy uśmiech i skłoniła się obu kobietom.

- Nasza herbata. Dziękuję, Timothy.

- Proszę bardzo, pani Saxton. Proszę powiedzieć Delowi, że nowy piec działa wspaniale.

Widząc pytające spojrzenie Byrony, Chauncey wyjaśniła cicho: - Dei pożyczył mu pieniądze na ten sławetny piec.

- Przynajmniej wydał je na piec, a nie roztrwonił w barze Brenta.

Chauncey roześmiała się i uniosła filiżankę w stronę Byrony.

- Jak się czuje młoda mężatka?

Byrony powoli odstawiła filiżankę na spodeczek i spojrzała na Penelopę. - Witam, panno Stevenson - powiedziała.

- Młoda mężatka wygląda na nieopisanie szczęśliwą - odpowiedziała Chauncey - prawda, Penelopo?

Penelope rozważała to przez chwilę. - Czy zawsze wygląda pani na nieopisanie szczęśliwą, gdy wychodzi pani za mąż, pani Butl... pani Hammond? A przynajmniej przez jakiś czas?

Byrony zeszywniała i wbiła wzrok w biało-niebies-ki obrus.

- Ostatnio widziałam pani dziecko. Jak to biedne stworzenie ma na imię? Michelle?

- Biedna Penelopa - powiedziała ze smutkiem Chauncey, potrząsając głową - to musi być takie trudne ignorować fakty i nurzać się w fikcji.

- Muszę powiedzieć, że większość pań w San Francisco uważa, że to odrażające, że kobieta porzuca dziecko i męża, by wyjść za swojego kochanka! Proszę nie oczekiwać, że będzie pani mile widziana, pani Hammond!

Oczywiście Brent ją ostrzegał. Jednak łatwiej znieść zimne spojrzenia niż bezpośredni atak. Nie mogę pozwolić, by Chauncey mnie broniła, pomyślała Byrony i uniosła wzrok na Penelopę. - Sądzę, panno Stevenson - powiedziała bardzo powoli i dobitnie - że nie powinna już pani dodawać cytryny do herbaty. Pani usta są tak mocno zaciśnięte, że może pani dostać od tego zmarszczek jak wysuszona śliwka.

- Śliwki i cytryny - odezwała się rozbawiona Chauncey. - Rzeczywiście, Penelopo, wynoś się i uracz swoją matkę tymi podłymi bajkami. A najlepiej będzie, jak znajdziesz sobie męża. Będiesz

wtedy zbyt zajęta, by rozsiewać nieprawdziwe plotki o innych ludziach.

- Jest taka śliczna - powiedziała Byrony, patrząc na Penelopę odchodzącą od ich stolika. -

Wydaje się, że ma wszystko, czego mogłaby chcieć dziewczyna. Dlaczego jest taka okropna?

- Saint uważa, że należy jej co rano spuścić lanie. Wybić jej z głowy fochy, jak powiada.

- Och nie, nie to!

Chauncey skrzywiła się na wybuch Byrony. - To tylko żart, kochanie. A teraz musimy zaplanować małe przyjęcie. Nie przechwalam się, ale wydaje mi się, że mam tyle samo wpływów w towarzystwie, co pani Stevenson i jej wąskie grono znajomych. No i oczywiście Agatha Newton mogłaby rozpętać wojnę. Nigdy nie zapomnę...

Byrony przysłuchiwała się nieuważnie paplaninie Chauncey, zastanawiając się nad tą idiotyczną sytuacją. Nadal nie wiedziała, co zrobić z matką. Ojciec dalej będzie dostawał pieniądze. Ira to obiecał. Domyślała się, że powinna napisać do niej i wyznać przynajmniej część prawdy.

Droga mamo, mam nowego męża, ale tak naprawdę wcześniej nie miałam męża, a tym bardziej dziecka. Nie jesteś więc babcią...

- Wszystko się ułoży.

Byrony mrugnęła i usiłowała się uśmiechnąć. - Tak, oczywiście. - Wzruszyła ramionami. - Chyba powinnam była wyjechać z San Francisco. Brent tak naprawdę nie chciał się ze mną żenić, jak pewnie wiesz. Może powinnam po prostu...

- Przestań, Byrony. Zachowujesz się jak głuptas. Brent Hammond nie robi niczego, czego nie chce, wierz mi. Chciał się z tobą ożenić.

- Ma kochankę.

To zaskoczyło Chauncey, ale powiedziała od niechcienia: - Delaney też miał kochankę. Miała na imię Marie.

To z kolei zaskoczyło Byrony. Uśmiechnęła się do Chauncey gorzko. - Chyba nigdy nie zrozumie, jak to działa. Od mężczyzn oczekuje się, że będą romansować, ale jeśli robi to kobieta, uważa się ją za okropną, nieporządną...

- Tak, właśnie! To nie ma żadnego sensu, prawda? Skąd wiesz o kochance Brenta?

- Słyszałam, jak rozmawiał z Maggie... w naszą noc poślubną. Gdy zapytałam go o to, raczej gwałtownie, powiedział mi, że to mnie nie dotyczy. Krótko mówiąc, to nie moja sprawa.

Chauncey skrzywiła się. Lubiała Brenta Hammonda, uważała, że jest czarujący, a poza tym uratował jej życie. Ale wyglądało na to, że nie najlepiej postępuje ze swoją żoną. U licha, co się z nim dzieje? Byrony jest uroczą dziewczyną o równie uroczym usposobieniu. Wiedziała, że wiele kobiet po prostu ignoruje takie zachowanie mężów, ale Byrony jest inna. - To jest twoja sprawa - powiedziała głośno. - Jest twoim mężem.

- A ja jestem jego żoną, o czym nie omieszkał mnie grzecznie poinformować. Tak, jakbym była jego własnością. Nie podoba mi się to.

Chauncey pochyliła się i poklepała Byrony po dłoni. - Kochasz go, Byrony? Byrony zamarła.

- Wybacz mi, nie powinnam o to pytać.

- Nie, chodzi o to, że nigdy tak naprawdę nie myślałam o miłości.

Kłamczucha! Całe życie pragnęłaś być kochana, należeć do kogoś!

- Wiem tylko, że miałam ochotę go zabić, kiedy... No cóż, jestem głupia, prawda? Och, Chauncey, myślę, że go kocham. Ale to nie ma żadnego sensu.

- Dobrze - odparła Chauncey wesoło. - On oprzytomnieje, zobaczysz. - Była tego pewna. Del

mówił jej, że Brent jest typem kobieciarza i samotnika. „Ale - powiedział Del, szczerząc zęby - myślę, że po raz pierwszy w życiu Brent wpadł po uszy”. Chauncey wierzyła mężowi. - Idziemy do monsieur Davida?

- Dziwne - dodała Chauncey, gdy wyszły z cukierni - muszę powiedzieć Saintowi, że mięta z cytryną działa.

*

Noc była mglista i wilgotna. Byrony zadrżała i podeszła do ognia. Brent był na dole w barze. Maggie odwiedziła ją wcześniej i podziwiała jej dwie nowe suknie.

Gdzie jest Brent? Północ dawno minęła. Jestem od trzech dni mężatką, pomyślała i uśmiechnęła się. Od trzech dni mężatką po raz drugi. Zamknęła dzieła Woltera i zapatrzyła się w ogień. Westchnęła. Musi napisać do matki. Jest tchórzem.

Uniosła głowę, słysząc odgłos otwieranych drzwi biura.

- Jeszcze nie w łóżku?

Odwróciła się do męża i zachłysnęła się jego widokiem. Jego płaszcz i spodnie były czarne jak jego włosy, a koszula nieskazitelnie biała. - Nie - odparła lekko drżącym głosem.

Wstała z krzesła i podeszła do niego szybko. - Cieszę się, że już jesteś - powiedziała i zarzuciła mu ręce na ramiona.

- Ja też - odparł, pieścąc ją przez suknię. Wdychał jej specyficzny zapach, czuł, że się w nią zapada. To było przerażające uczucie i wcale mu się nie podobało. Nagle złapał ją za ramiona i delikatnie odsunął od siebie. - Przykro mi, Byrony, ale muszę znowu wyjść, na krótko. Muszę iść do „El Dorado” i spotkać się z Jamesem Corą.

Zastanawiała się, czy gdyby kochał się z nią, to nadal miałby siłę i chęć kochać się ze swoją kochanką. Ani przez chwilę nie wierzyła, że idzie spotkać się z Jamesem Corą. - Mogę iść z tobą?

Brent zaśmiał się. - Raczej nie, skarbie - powiedział oschle. Odsunął jej zbłąkany kosmyk włosów za ucho.

Głupio rozczuliła ją ta pieszczota. To nic dla niego nie znaczyło. Do diabła z nim, Celeste też pewnie nazywa swoim skarbem.

- Masz takie jedwabiste włosy - powiedział, owijając sobie pukiel wokół palca.

- Umyłam je dziś po południu - odparła. Złapał włosy w garść, przyłożył je do nosa i wdychał ich zapach. - Co to za zapach?

- Gardenia.

Cofnął się, a jego oczy nabrały lodowatego wyrazu. Laurel używała gardenii. Dolewała jej do kąpieli i spryskiwała nią obficie całe ciało.

- Niezbyt mi się podoba - powiedział. - Wolałbym, żebyś używała innego zapachu, może jaśminu, albo róży. Kupię ci inny.

Drgnęła, jakby ją uderzył.

Jednak Brent tego nie zauważył. Szybko wymazał Laurel z pamięci i zaczął się zastanawiać, co zrobić, żeby zostać z Byrony. - Och, do diabła - mruknął. Pochylił się, żeby ją pocałować. - Wrócę najszybciej, jak będę mógł - powiedział i wyszedł.

Położyła się w końcu do łóżka i leżała przez dwie godziny, nie mogąc zasnąć. Gdy zasypiała, jeszcze go nie było.

Brent tymczasem zakończył interesy z Corą - wspólny zakup stołów do pokera - ale zaczepiła go Maggie. Wyglądał na zniecierpliwionego, ale nie zważając na to, poprowadziła go do siebie.

- Musisz ją stąd zabrać - powiedziała Maggie bez zbędnych wstępów. - Ludzie nadal będą plotkować, jeśli twoja żona tu zostanie.

- Byrony powiedziała, że jej się tu podoba - odparł Brent, jakby na usprawiedliwienie.

- Nie zachowuj się jak dupek - powiedziała Maggie. - Czy wiesz, że dwie z moich dziewcząt, Felice i Nora, poszły dziś po południu ją odwiedzić? Oczywiście, że nie wiesz. Nawet nie chcę wiedzieć, o czym rozmawiały. Nora jest niezbyt mądra, a Felice rozmawia tylko o mężczyznach i ich... upodobaniach. Czy tego właśnie chcesz dla swojej żony?

- Niech to diabli! - skwitował to Brent.

- Właśnie. Nie zrozum mnie źle, Brent, będę za nią tęsknić. Za tobą też. Ale to nie w porządku. Druga sprawa. Byrony poprosiła mnie, żebym jutro z nią wyszła. Wyobrażasz sobie te plotki? Pani Hammond w towarzystwie burdelmamy! Odmówiłam jej oczywiście i było jej przykro! Ona naprawdę tego nie rozumie, Brent.

- Daj mi brandy, Maggie.

- Głupi facet - mruknęła Maggie pod nosem. Podając mu brandy, zapytała: - Co zamierzasz? Trzymać ją tutaj, aż zajdzie w ciążę?

Zakrzuszył się brandy. W ciążę! - Na miłość boską, nie jestem przygotowany na to, by być ojcem!

Maggie skrzywiła się, słysząc jego oburzenie, Och - odparła sarkastycznie - a więc ona nadal jest dziewicą? Nie tknąłeś jej palcem, ani żadną częścią swojego męskiego ciała? A może wytłumaczyłeś jej, co robić, by nie zajść w ciążę?

- Nie, kochałem się z nią, dopóki oboje nie mieliśmy dosyć.

- Taki inteligentny mężczyzna - powiedziała z niedowierzaniem. Trochę złagodziła ton głosu, widząc zaskoczenie na jego twarzy. - Posłuchaj, Brent, do tej pory zadawałeś się z innym rodzajem kobiet. Celeste, Felice, Nora, wszystkie znają reguły gry. Same je ustaliły i czerpią całkiem niezłe zyski z napalonych facetów w tym mieście. Co ma Byrony?

- Ma męża - odpowiedział sztywno.

- Taka szczęściara! Co według ciebie ona ma robić? Może haftować, podczas gdy ty grasz na dole? Jest jak cholerny więzień, Brent. Zabierz ją stąd.

Brent wychylił resztę brandy, odstawił z impetem szklanekę i wstał.

- Powiem ci jeszcze jedno, Brent - odezwała się Maggie. - Saint również uważa...

- Do jasnej cholery! Czy wszyscy troszczą się o moje sprawy? Może jutro dorwie mnie Del ze swoimi radami? - Podniósł rękę, gdy Maggie otworzyła usta, zapewne po to, by dalej wiercić mu dziurę w brzuchu.

- Dobrze, pomyślę o tym. - Uniósł w górę oczy. -Boże, życie jest takie cholernie proste.

- Nadal może takie być, jeśli nie będziesz upartym głupcem - rzuciła Maggie, gdy już wychodził.

ROZDZIAŁ 21

Brent przyglądał się zamyślony jej śpiącej twarzy, a potem powoli i ostrożnie się odsunął. Zaczęła się wiercić, mrużąc jego imię, i zastygł bez ruchu. Poczuł, jak jej ciepła dłoń zsuwa się w dół i złapał gwałtownie oddech. - Nie - powiedział, łapiąc ją za rękę. Byrony ocknęła się i zamrugowała powiekami, ale nadal była leniwie senna. - Tęskniłam za tobą - powiedziała, ocierając się o niego.

- Muszę iść - odparł, odwracając się od niej.

- Och nie, jeszcze nie. Jest jeszcze wcześnie, a czy nie chcesz zawsze... - Przerwała, gdy dotarł do niej jego ostry ton. Chciała mu powiedzieć, że cieszyły ją wspólne poranki, że lubiła, gdy, tak jak pierwszego ranka, budził ją pieszczotami. Co jest nie tak?

Pewnie jest zmęczony po tylu godzinach, spędzonych z kochanką.

Przebudziła się już całkowicie. - Nie słyszałam, kiedy wróciłeś ostatniej nocy - odezwała się. - Czy było bardzo późno?

- Wystarczająco późno - odparł krótko, a jego ciało walczyło z rozsądkiem. Zanim zasnął, przez dobrą godzinę roztrząsał to, co powiedziała Maggie. Cięża! Małżeństwo było dla niego zbyt świeże, by zastanawiać się nad spłodzeniem syna lub córki. Prawdę powiedziawszy, przerażało go to. A jeśli ona już jest w ciąży? Głupio zrobił, ignorując sugestię Santa, że Byrony mogła być w ciąży już przed ślubem. Odsunął tę myśl od siebie, bo tak mu było wygodniej. W końcu kochał się z nią tylko ten jeden raz. Oczywiście, że zignorował Santa. Jednak nie było żadnego wytłumaczenia, żadnej logiki w tym, co robił po ślubie. Potrzebny był ostry sarkazm Maggie, żeby coś do niego dotarło. Przeszedł go dreszcz, więc szybko odsunął się od Byrony i wstał. W pokoju panował chłód, zadrżał więc, podchodząc do swojego ulubionego fotela i wkładając szlafrok.

- Brent?

Nie odwrócił się, dopóki mocno nie zawiązał paska szlafroka. - Tak?

- Nie rozumiem.

Pewnie nie, chciał jej powiedzieć. Przyzwyczaiłaś się, że co rano się z tobą Kocham, prawda? Ale nie zrobię tego, dopóki nie dowiem się, jak można zapobiegać ciąży.

- Nie ma nic do rozumienia - odparł od niechcienia. - Mam dzisiaj dużo pracy i chcę wcześnie zacząć. - Nie zamierzał na nią patrzeć, a przynajmniej dopóki nie weźmie się w garść, jednak zerknął przez ramię, podchodząc w stronę umywalki po brzytwę. Musiałby być ślepy, żeby nie widzieć bólu i zagubienia w jej oczach. Zaklął po cichu.

- Byrony - zaczął i wydawało mu się, że jego głos brzmi rozpaczliwie - proszę, skarbie, ja... Czy chciałabyś pojechać dziś ze mną konno nad ocean? Jeśli mgła opadnie, będzie śliczny dzień i moglibyśmy zatrzymać się w ogrodach Russa, a może wpaść na tor wyścigowy...

- Pewnie będziesz zbyt zajęty - powiedziała beznamiętnie. - Może Maggie mogłaby...

- Nie! - Znowu zaklął. - Nie - ciągnął spokojniej, mając w głowie słowa Maggie - nie będę zbyt zajęty. Chcę jechać. Dobrze?

- Jeśli tego chcesz.

- Chyba już ci powiedziałem, że niespecjalnie mnie wzrusza twoje mina zbitego szczeniaka - powiedział, krzywiąc się, gdy spuściła głowę. Zobaczył, że koldra nieznacznie się osunęła i rozważał kochanie się z nią ten ostatni raz. Lubieżny łajdak. - Nie pasuje do twoich dumnych małych ramion - dodał ostro.

Drgnęła i uniosła brodę. - Dobrze. Kiedy chcesz wyruszyć?

Myślał szybko. Celeste zwykle spała do późna, oczywiście jeśli noc spędzała z nim. Nie widział jej od czasu ślubu z Byrony. Pewnie mógłby zapytać o antykoncepcję Maggie, ale odsunął od siebie ten pomysł. Raczej nie byłby w stanie znieść pobłażliwego uśmiešku, którym niewątpliwie by go obdarzyła. Ty, Brent Hammond - niemal słyszał, jak mówi z ironią -ty, który dotarłeś na Zachód, nie wiesz, jak zapobiegać ciąży? Nie miał wątpliwości, że zaczęłyby go pouczać o odpowiedzialności i egoizmie...

- Może po lunchu?

Przytaknęła. Widziała, jak na jego twarzy malują się różne uczucia. A więc, pomyślała otępiała, już jej nie pragnie, pragnie swojej kochanki.

Byrony przyglądała się, jak wykonuje zwyczajowe poranne czynności. - Powiem Caesarowi, żeby przyniósł ci śniadanie - powiedział, pochylając się i całując ją lekko w policzek. - Może jeszcze pośpisz?

Wydała z siebie dźwięk, który uznał za potaknięcie.

- Byrony - powiedział -jak się czujesz? Spojrzała na niego, najwyraźniej zaskoczona. Założył kosmyk włosów za lewe ucho i chrząknął.

- To znaczy... Kiedy miałaś ostatni okres?

- Wpatrywała się w niego, jakby zapytał ją, kiedy ostatni raz była na księżycu.

- Kiedy, Byrony?

- Tuż przed naszym ślubem - odpowiedziała, nie patrząc mu w oczy.

Brent na chwilę zamknął oczy. Żałował, że o to zapytał. - Spij - powiedział i wyszedł z pokoju.

Po jego wyjściu Byrony poprawiła poduszkę i położyła się. Co powinna zrobić?

Wyjechać z San Francisco. Jednak coś głęboko w niej buntowało się przeciw temu. To byłoby tchórzostwo. A Brent powiedział, że nie lubi jej postawy zbitego szczeniaka. Dobrze. Niedługo przekona się, jak naprawdę jest uległa! Odrzuciła koldrę i wstała z łóżka. Kąpiąc się, pomyślała, że pewnie zje śniadanie, zanim odwiedzi swoją kochankę. Wykrzywiła usta i wlała do wanny więcej olejku z gardenii. Dlaczego spytał ją o okres, zastanawiała się. Nigdy go nie zrozumie.

Czterdzieści pięć minut później Byrony stała za rogiem baru, czekając aż pojawi się Brent. Powietrze było wilgotne od mgły i szcелniej owinęła się płaszczem. Czy się myliła?

Oczywiście, że się nie mylisz, głupia!

Nadal była roztrzęsiona i niepewna. Wtedy usłyszała jego głos. Przelknęła ślinę i patrzyła, jak wychodzi z baru i idzie ulicą.

Ruszyła za nim, przeciskając się przez tłum dostawców, woźniców, robotników i sprzedawców. Szedł szybko i skręcił w ulicę Clay. Patrzyła, jak wchodzi na schody wąskiego, drewnianego domku na rogu Clay i Kearny.

Odczekała kilka minut, a potem bezszelestnie weszła po schodach. Ku jej zaskoczeniu drzwi frontowe nie były zamknięte. Otworzyła je po cichu i zajrzała do środka. Weszła do małego korytarza. Na wprost znajdowały się schody, prowadzące na piętro; po prawej stronie był salon, a po

lewej jadalnia. Chwilę stała niezdecydowana. Usłyszała kobiecy głos, dobiegający z góry, i głos Brenta!

- Do diabła z tobą, Brencie Hammond! - syknęła przez zaciśnięte zęby.

Ruszyła schodami w górę, podsycając w sobie gniew, by zagłuszyć tchórzostwo. Zatrzymała się przed uchylonymi drzwiami sypialni i nasłuchiwała.

- Po co tu przychodzisz o świcie?

- Celeste, posłuchaj, przepraszam, że ci przeszkadzam, ale to ważne - dobiegł ją zniecierpliwiony głos Brenta. - Zresztą od świtu minęło już dużo czasu.

- Mam zostać w łóżku?

Jego kochanka mówiła tak uwodzicielsko. Byrony zacisnęła pięści.

Znowu podśluchuję.

Ale nie była w stanie się poruszyć.

- Nie masz ochoty się przyłączyć, Brent? Minęło już tyle czasu.

Tyle czasu, ha! Od zeszłej nocy!

- Posłuchaj, Celeste, potrzebuję twojej rady w bardzo ważnej sprawie.

Usłyszała, jak przechodzi przez pokój. Zamierzał położyć się z nią do łóżka! Byrony poczuła, jak ogarnia ją wściekłość. Pchnęła drzwi na oścież i weszła do środka. Gwałtownie się zatrzymała. Brent stał przy kominku, całkowicie ubrany, z ręką opartą o półkę. Za to jego kochanka przyciągnęła uwagę Byrony. Celeste leżała w dużym łóżku, bladożółtą koszulę miała niedbale zsuniętą z ramienia. Zgrabna noga była zgięta w kolanie i całkowicie naga. Byrony widziała kępkę czarnych loków w miejscu, gdzie spotykały się jej uda. Była piękna, uwodzicielska i Byrony miała ochotę powyrywać jej te błyszczące czarne włosy z głowy. Dlaczego rano nie mogła wyglądać jak jędrza? Dlaczego nie miała papilotów na włosach, a twarzy pokrytej białym kremem?

- Byrony! Co do licha!

Brent wpatrywał się w swoją żonę, stojącą w drzwiach sztywno jak posąg i wpatrzoną w Celeste.

- A kogóż my tu mamy? Czy to nie twoja żoneczka, Brent?

- Zamknij się, Celeste. Byrony, co ty tu robisz?

Byrony spojrzała pustym wzrokiem na męża. -Śledziłam cię - powiedziała nienaturalnie spokojnym głosem. - Chciałam mieć pewność, że pójdziesz... do niej. No i oczywiście poszedłeś.

- Natychmiast wracaj do domu, Byrony. - Czuł się, jak skończony głupiec. Miał ochotę ją udusić, a sobie dokopać. - Niedługo przyjdę i porozmawiamy.

- Niedługo, Brent? - Ironicznie uniosła brew. -Ależ nie musisz się spieszyć z mojego powodu. Obawiam się, że nie dałam ci czasu, żebyś poczuł się... swojsko. - Odwróciła się i rzuciła przez ramię: - Proszę wybaczyć, że przeszkodziłam.

Doskoczył do niej w trzech susach, złapał ją mocno za ramiona i odwrócił twarzą do siebie. Potrząsnął, aż jej głowa odskoczyła do tyłu. - Dosyć - powiedział. - Nie przyszedłem tutaj, żeby... figlować, do cholery!

- Kochać się. To najdziwniejsze określenie na to. Puść mnie, Brent, natychmiast.

- Nie. - Znowu nią potrząsnął. - Mówię ci prawdę, Byrony. - Do licha, dlaczego się tłumaczy?

Śledziła go, nie ufała mu. - Idziemy do domu, razem.

- Ale, Brent - odezwała się rozbawiona Celeste -jaką miałeś do mnie sprawę?

- Później - warknął Brent. - Idziemy, Byrony. Byrony sapnęła. - Później! Ty żaloszny... łobuzie!

Nie pojechałabym z tobą do... Sacramento!

- Zrobisz to, co ci powiem. - Potrząsnął nią znowu. - Mam dosyć scen. - Wyciągnął ją z sypialni Celeste, słysząc śmiech kochanki. - Nie mogę w to uwierzyć - mruczał pod nosem, wyprowadzając ją z domu. Czuł, jak się z nim szarpie. - Zachowuj się przyzwoicie albo przysięgam, że dostaniesz!

Byrony była zbyt wściekła, żeby zareagować na jego groźbę. - Tylko spróbuj, Brencie Hammond! Po-drapię cię i zastrzelę!

- Zamknij się! Myślałem, że ożeniłem się z damą! Okręciła się i uderzyła go pięścią w brzuch. Mruknął zaskoczony.

- Nie jestem damą - wrzasnęła do niego. - Jestem twoją żoną!

Brent kątem oka widział, że ludzie zatrzymują się, żeby na nich popatrzeć. Zaciśnął szczęki i mocniej złapał ją za ramię. Gdy dotarli na zaplecze baru, Byrony była milcząca i blada.

Co narobiłaś, ty idiotko?

Zawstydziła go, to właśnie zrobiła. Doprowadziła go do wściekłości. Sprawiała, że wyszedł na głupca. Wylizwała w myślach różne rzeczy, dopóki Brent nie otworzył drzwi mieszkania i nie wepchnął jej do środka. Stała w milczeniu, masując ramię.

- Nie zbiję cię - powiedział, bardzo spokojnie zamykając drzwi - ponieważ obiecałem ci, że nigdy cię nie skrzywdzę. Ale zasługujesz na lanie, Byrony. A teraz powiedz mi, co tam robiłaś?

Brent miał wrażenie, że go nie usłyszała, więc odezwał się ostro: - Mówiłem ci, że Celeste to nie twoja sprawa. Ona nie ma nic wspólnego z tobą.

- Jutro już mnie nie będzie - powiedziała, nie patrząc na niego. - Nic od ciebie nie chcę, Brent. Mam naszyjnik, który dał mi Ira. Mam zamiar go sprzedać. Będę miała pieniądze na początek w jakimś innym miejscu.

Zazgrzytał zębami, czując narastającą bezsilność. - Nigdzie nie jedziesz.

Przechyliła głowę, najwyraźniej zbита z tropu. - Nie chcesz mnie. Ożeniłeś się ze mną tylko dlatego, że... no cóż, nie bardzo wiem dlaczego. Może z poczucia winy, ponieważ mnie uwiodłeś. Nie ladacznice, za którą mnie uważałeś, ale dziewicę. A może litowałeś się nad bezdomną kobietą?

- Ożeniłem się z tobą, ponieważ mi na tobie zależy, kretynko! - Widział, że mu nie uwierzyła. Nawet jemu samemu te słowa wydawały się bełkotem skołowanego faceta. Na pewno chodziło o litość, poczucie winy, ale nie tylko, na Boga. Było coś jeszcze, znacznie więcej. Miał wrażenie, że pragnął jej od zawsze.

- Ale zależy ci również na Celeste.

- To nie to samo. - Bezwiednie przeciągnął ręką po włosach, zdając sobie sprawę, że sam się wkopuje. Jak ona śmie tak go wypytywać!

- A jak przestanie ci zależeć na Celeste, pojawi się inna kobieta, prawda?

- Nie! Do cholery, Byrony! Nie poszedłem tam, żeby... się z nią przespać!

- Och? Więc poszedłeś do niej na śniadanie? A może pogadać o codziennych sprawach? Może chciałeś ją poprosić, żeby pojechała z tobą na przejażdżkę konną, może jutro, gdy będziesz wolny?

Zmierzył ją wzrokiem, a potem rzucił przez zaciśnięte zęby: - Nie, poszedłem zapytać, jak zapobiegać ciąży.

Byrony zamarła. - Zapobiegać ciąży - powtórzyła głupio. - Nie rozumiem.

- Ponieważ nie chcę, żebyś zaszła w ciążę! Jezu! Jest jeszcze za wcześnie, Byrony, o wiele za wcześnie. Jesteś za młoda i ja... no, ja...

- Ty co, Brent? - rzuciła, gdy nagle umilkł. Pobladła, gdy dotarła do niej cała prawda. Bardzo

powoli powiedziała: - Gdybym zaszła w ciążę, byłbyś do mnie uwiązany, prawda? Przepadłaby twoja męska wolność.

- To nie tak - odparł. - Potrzebujemy czasu, żeby się poznać, żeby...

- Żebyś mógł się przekonać, czy się mną znudzisz? - przerwała mu. - A jak już się znudzisz, to będziesz miał nadzieję, że nadal mam do sprzedania ten nieszczęsny naszyjnik, żebym mogła zniknąć z twojego życia?

- Przestań się zachowywać jak wariatka! Uniosła brew. - Ja wariatka? Jestem po prostu twoją kolejną kochanką, co Brent? Kochanką, która nawet nie śmie spojrzeć na innego mężczyznę, ponieważ prawnie należy do ciebie. Masz rację, jestem głupia. Myślałam... no cóż, to już nieważne. - Byrony odwróciła się, nie mogąc dłużej na niego patrzeć. Czowała, jak po policzku płyną jej łzy i gwałtownie otarła je wierzchem dłoni. Usłyszała, jak ruszył ku niej i szybko przeszła na drugą stronę łóżka. - Nie zbliżaj się do mnie, Brent. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

Był zły, rozdrażniony i napięty. Jak śmiała go śledzić, a potem oskarżać o takie idiotyczne rzeczy? Odezwał się lodowatym głosem: - Nie ma znaczenia, czego chcesz, żono. Tak, jak powiedziałas, prawnie należysz do mnie. Zrobisz to, co ci powiem. A skoro masz taką wybujałą wyobraźnię i ostry język, to myślę, że naprawdę dam ci powody do gderania.

Spojrzała na niego i dostrzegła zdecydowanie w jego oczach. - Co masz na myśli? - Jej głos był cienki i płaczliwy.

- Rozbieraj się - powiedział kpiąco. - Jak chciałaś powiedzieć dziś rano, bardzo lubię kochać się po przebudzeniu. I dobrze o tym wiesz, prawda? Być może ty lubisz moje ciało równie mocno, jak ja twoje.

- Nie - odpowiedziała, kuląc ramiona i wysuwając brodę do przodu. - Nie chcę cię.

Wzruszył ramionami. - To nie ma znaczenia. Słyszałem, że seks rzadko sprawia żonom przyjemność. Zazwyczaj zmuszają się, żeby to znosić. Mężowie to zwierzęta, jak to się mówi, więc żony są szczęśliwe, gdy dają upust swoim żądzom gdzie indziej. Ale ja jestem wiernym mężem, Byrony, wbrew temu co sobie ubzdurałaś w tym swoim nieufnym mózdzku. Zdejmuj ubranie.

Przez krótką chwilę przyglądała się jego twarzy. Tym razem dostrzegła w jego oczach coś innego. Pożądanie. - Nie! - Ruszyła w stronę drzwi. Zatrzasnął je, gdy tylko je otworzyła. Stał za nią, trzymając rękę na drzwiach, ponad jej głową. Słyszała jego oddech, czuła ciepło jego ciała.

W oczach Byrony znowu pojawiły się łzy. Chciała go błagać, żeby jej nie upokarzał, ale nie zamierzała być słabym, zbitym szczeniakiem. Bardzo powoli odwróciła się do niego. Przywołała na twarz chłodny uśmiech. - Dobrze - powiedziała. - Czy mam się położyć na łóżku naga, czy może chcesz, żebym włożyła peniuar i leżała w wyzywającej pozie jak Celeste?

Zaskoczyła go; widziała to w jego oczach. Nie spodziewał się tego. Do diabła z nią! Chciał, żeby błagała i płakała! No cóż, już nigdy tego nie zrobi.

- Tak - odezwał się w końcu. - Chcę, żebyś leżała naga na plecach. Rozchylę ci nogi, gdy będę miał na to ochotę.

Nie mam tyle doświadczenia, żeby się z nim zmierzyć, pomyślała. Ale nie zamierzała się poddawać, nie teraz. Wzruszyła ramionami z przesadną obojętnością. - Proszę bardzo. Dziwne, prawda, Brent? Czuję się teraz wyjątkowo płodna. Myślisz, że zajdę w ciążę?

Zmrużył oczy, ale tylko po tym mogła poznać, że znowu go zaskoczyła. Zaśmiał się. Drań, miał czelność śmiać się z niej! - Skarbie - powiedział od niechcienia, przesuwając palcami po jej włosach - musisz się jeszcze wiele nauczyć. Nie próbuj ode mnie uciekać. Po prostu posłuchaj. Domyślam się,

że wiesz, iż to z mojego nasienia powstaje w tobie dziecko. Ale nie muszę mieć wytrysku w twoim ciepłym, małym ciałku. Oczywiście, jest to przyjemniejsze, ale mogę się bez tego obejść.

Była tak zmieszana, że pochylił się i lekko pocałował jej wydęte usta. - Jestem niecierpliwy, kochanie - powiedział, ocierając się ustami o jej policzek. - Chodź i rób, co ci każe.

Miał ochotę się roześmiać, widząc jej zaskoczenie, ale nie zrobił tego. Błysnął tylko zębami w ironicznym uśmiechu. - Jesteś inteligentną dziewczyną, Byrony, i być może, ale tylko być może, w przyszłości uda ci się mnie pokonać. W odległej przyszłości.

- Nienawidzę cię - szepnęła.

- Ależ nie. Po prostu przegrałaś. - Palcami odnalazł guziki z tyłu jej sukni.

Proszę, chciała powiedzieć, proszę, nie rób mi tego. Jednak milczała. Czowała, jak z wprawą rozpina guziki. Myśl, że miał tyle wprawy w rozbieraniu kobiet, sprawiła, że zapomniała o uległości i bierności.

- Nie! - Odskokczyła od niego, dysząc ciężko. - Nie pozwolę ci, Brent!

Zatrzymał się na moment, pocierając szczękę długimi palcami. Potem odwrócił się i zamknął na klucz drzwi sypialni. Słyszał jej przerażony oddech. - Nauczę cię, kochanie - powiedział bardzo spokojnie, odwracając się do niej. - Nauczę cię wszystkiego. Ależ nie, Byrony, nie zgwałcę cię, chociaż założę się, że mogłoby ci to w perwersyjny sposób sprawić przyjemność, utwierdzić w przekonaniu, że jestem łajdakiem, tak jak twój ojciec i twój żalony brat.

- Jesteś. Wszyscy mężczyźni tacy są! Nie zbliżaj się do mnie, Brent!

Ale się zbliżył. Trzymał ją mocno i zdjął z niej suknię i halkę. Została tylko w koszuli i pończochach i poczuła ogarniającą ją słabość.

- Będę krzyczeć - ostrzegła.

- Jeśli tak, to cię zaknebluję. - Pociągnął ją w stronę łóżka, uniósł i położył na plecach. W jej oczach dostrzegł zmęczenie i gniew. W milczeniu zdjął z niej resztę ubrania. - A teraz - powiedział spokojnie, robiąc krok w tył - nie ruszaj się, Byrony. Jeśli chcesz, możesz się przykryć.

Byrony naciągnęła na siebie koc i wpatrywała się w sufit. Słyszała, że się rozbiera, ale nie zwracała na niego uwagi. Pokonam go jeszcze, pomyślała bez przekonania. Nie będę reagować.

Brent patrzył na jej profil, kładąc się obok. A więc w taką grę zamierza teraz grać, pomyślał z lekkim uśmiechem. Głuptas! Nie miała pojęcia, że kobieta, która poznała rozkosz, nie będzie mogła być bierna i obojętna. Wsunął rękę pod koc i odszukał jej piersi. Natychmiast zeszywniała i spróbowała się od niego odsunąć. Ściągnął koc i położył się na niej, trzymając ją mocno pod sobą. Uniósł się na łokciach i przyglądał jej twarzy.

- Jestem twoim mężem - powiedział - mężczyzną, którego chętnie zgodziłaś się poślubić. To ja odebrałem ci dziewictwo i nauczyłem rozkoszy. Dotknij mnie, Byrony. - Czowała na zaciśniętych udach jego twardą, nabrzmiąłą męskość.

- Nie - odezwała się, odwracając głowę. Zaciśnęła zęby. - Nie zrobię tego.

- Zachowujesz się jak dziecko - powiedział miękko i zaczął ją całować. - Bądź dla mnie kobietą, Byrony.

Usiłowała nie dopuścić do siebie żadnych uczuć; usiłowała skoncentrować się na jego przewrotności, na jego kochance. Poczuła, jak przesuwają się w dół jej ciała, poczuła jego wilgotne i gorące usta w okolicy sutka. Zadrżała, nie mogąc się pohamować. Drażnił ją, lizał, pieścił jej piersi, głaszcząc ją jednocześnie po brzuchu.

- Nie - wyszeptała, bardziej do siebie niż do niego, ale jego dłonie, jego magiczne palce i

wprawny język przesuwały się po jej ciele. Czowała narastające pożądanie, czuła swoje ciepło i otwartość. - Nie! - krzyknęła znowu, pragnąc, by głos zagłuszył rodzące się w niej uczucia.

Rozchylił jej nogi i poczuła jego gorący oddech na brzuchu. - Jesteś taka biała i miękka - powiedział i wiedziała, że na nią patrzy, przygląda się jej, i poczuła jeszcze większe podniecenie, którego nie mogła pohamować. - I te jedwabiste kędziorki, tak przyjemne dla mężczyzny. - Jednak nie dotknął jej tam, a tylko lekko muskał palcami.

Jęknęła. - Nienawidzę cię! - wykrzyknęła, nieświadoma, że dłońmi przesuwa po jego ramionach, w stronę włosów.

- Ależ oczywiście, kochanie. - Zaczął całować wewnątrz jej ud, mówiąc między pocałunkami, jaka jest śliczna, cudownie wrażliwa. Jednak nie pocałował jej, gdy zaczęła szlochać z rozkoszy.

Być może z początku Brent zamierzał ją ukarać, doprowadzić do kresu wytrzymałości i zostawić. Ale nie mógł. Boże, pragnął jej i pragnął dać jej rozkosz.

Hamując się, poczekał, aż zaczęła się ku niemu unosić. Wreszcie przykrył ustami różową miękkość między jej udami i pomyślał, że oszaleje z rozkoszy, delektując się jej słodkim smakiem, jej otwartością, nieprawdopodobną delikatnością. Przytrzymał ją za biodra, czując, że szczytuje. Słyszała swój jęk. Przerwał pieszczotę, a potem szybko położył się na niej i wszedł w nią. Krzyknęła, drżąc i oplótła go udami.

Nie możesz, powtarzał sobie, nawet gdy nie był już w stanie trzeźwo myśleć, ale nie chciał się powstrzymać. Wydawało mu się, że nie będzie w stanie z niej wyjść. Zaciśnął zęby i z okrzykiem wściekłości wysunął się z niej, strzelając nasieniem na jej brzuch.

Byrony czuła na sobie jego ciężar, słyszała jego nierówny oddech. Jej ciałem ciągle wstrząsał dreszcz rozkoszy.

- Zostawiłeś mnie - dobiegł ją jej własny smutny głos.

- Tak - odpowiedział. Odsunął się od niej, słaby i niezdarny. Pragnął wziąć ją w ramiona, całować i pieścić aż zaśnie, wtulona w niego. Odetchnął głęboko, żeby się uspokoić, i jego nozdrza wypełnił jej zapach, zapach gardenii Laurel. Podniósł się i stanął obok łóżka, patrząc na nią.

- Wzięłaś pożyteczną lekcję, Byrony. Nigdy więcej nie próbuj mi odmawiać. Przegrasz. - Jednak wygrała, pomyślał. Przyciągnęła go do siebie, sprawiła, że pragnął się w niej zatracić. Zesztywniał i zmrużył oczy. - Nie było gwałtu, prawda? - rzucił leniwie.

Rzuciła mu czujne, pozbawione złudzeń spojrzenie. - Nie, nie było gwałtu. - Powoli naciągnęła na siebie koc i przekręciła się na drugi bok. Miała wrażenie, że jest pusta, zużyta, otępiała. Na brzuchu czuła jego lepkość. Zwinęła się, podciągając kolana pod brodę i wtulając głowę w ramiona.

- Do diabła z tobą - cicho powiedział Brent. Musi od niej uciec, musi odzyskać panowanie nad sobą. Ubrał się pospiesznie, nie patrząc na nią. Jednak gdy stanął przy drzwiach, nie mógł się powstrzymać i się obejrzał. Nie poruszyła się i nie płakała.

Znowu zaklął pod nosem i zdecydowanie zamknął za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 22

- Byrony! Co tu się dzieje! Dlaczego jeszcze jesteś w łóżku?

Jak przez mgłę Byrony uświadomiła sobie, że jest już wieczór. W sypialni panował mrok. Zamrugła, oślepiąca światłem z salonu, i dostrzegła Maggie.

- Co się dzieje? Czy jesteś chora?

Tak, czuła się chora, ale nie potrzebowała Santa. Siłą woli wyprostowała zeszywniałe ciało i powoli uniosła się na poduszkach. Podciągnęła koc pod brodę i wpatrywała się smętnie w Maggie. - Nie - powiedziała - nie jestem chora. Tylko zmęczona.

Maggie zmrużyła oczy i weszła do sypialni. Zapaliła lampy, a potem spytała: - Czy jesteś w ciąży?

To bezpośrednie pytanie poruszyło Byrony. Nagle zaczęła chichotać. - W ciąży? - sapnęła. - Ja? Jestem za młoda, żeby być w ciąży.

- Przestań, Byrony! - Maggie zastanawiała się, co się dzieje. - Gdzie jest Brent? - zapytała.

- Brent? Jaki Brent? - Znowu zaczęła chichotać. Ostry, schrypnięty śmiech przerwała czkawka. - Spytałaś Celeste?

- Gdzie masz suknię? - zapytała Maggie, ignorując jej słowa. - O, tutaj. Włóż ją. Nie powinnaś się przeziębici. I uczesz się. Powiem Caesarowi, żeby przyniósł ci kolację.

Gdy Maggie wróciła do sypialni, Byrony nadal była w łóżku. Nawet nie ruszyła sukni rzuconej na koc, a włosy wciąż miała rozczochrane. Co tym razem zrobił ten głupiec, Brent? - pomyślała Maggie, patrząc na Byrony.

- Nawet jeśli jesteś w ciąży - powiedziała Maggie -jeszcze za wcześnie, żebyś miała jakiegokolwiek objawy. Dlaczego więc leżysz tu w ciemności? - Właśnie tak, Maggie, powiedziała sobie, bądź rzeczowa i spokojna.

- Powiedziałam ci. Jestem po prostu zmęczona.

- Pewnie pokłóciłaś się z Brentem.

- Och, nie. Chciał tylko udowodnić, że to on jest panem, jak to ujął. Udowodnił. Jest. Nie ma co do tego wątpliwości.

Maggie usłyszała pukanie Caesara do drzwi biura. - Zjesz teraz coś - powiedziała i wyszła z sypialni.

Gdy wróciła, Byrony miała na sobie szlafrok. Maggie położyła jej tacę na kolanach. Na talerzu leżały grubo pokrojone kawałki pieczonej wołowiny w brązowym sosie, ziemniaki i świeży groszek. Byrony wpatrywała się w talerz, jakby był wypełniony robakami. - Nie jestem głodna - powiedziała.

- Nie obchodzi mnie to. Jedz.

Maggie przysunęła do łóżka ulubiony fotel Bren-ta i usiadła, splatając dłonie i stukając palcami. Nie odzywała się, tylko obserwowała, jak żona Brenta niechętnie zjada kilka kęsów. Odezwała się: - Spotkałam dziś po południu panią Saxton. Pytała o ciebie. Oczywiście nie miałam pojęcia, że zagrzebałaś się w łóżku jak kret. To miła kobieta. Jedz. Jeśli chodzi o pana Sa-xtona, to wydaje mi

się, że jest na dole w barze, pewnie na prośbę żony przyszedł sprawdzić, jak się czujesz. Weź jeszcze kawałek wołowiny. Dobrze.

- Gdzie jest Brent? - spytała przytomnie Byrony.

- Nie wiem. Nie widziałam go.

- Idź na ulicę Clay. Tam mieszka Celeste.

- Twój mąż, Byrony, od waszego ślubu nie odwiedził Celeste.

Widelec Byrony opadł na talerz. - Był u niej dziś rano - powiedziała, a sarkastyczny śmiech przeszedł w szloch. - Śledziłam go.

- Och, nie - powiedziała bardzo miękko Maggie. Przez głowę przebiegło jej kilka możliwych wersji wydarzeń, jedna gorsza od drugiej.

- Nic nie robił, Maggie, a może przyszedł za wcześnie. Przyciągnął mnie tu z powrotem.

- I?

Byrony mocno zacisnęła usta.

Maggie westchnęła. To naprawdę nie jej sprawa. Pewnie Brent był wściekły, skoro zachował się jak dominujący samiec i wyładował się na swojej młodej żonie. A co potem? Maggie nagle wyczuła w pokoju różne zapachy. Zapach obiadu, słaby zapach gardenii i seksu. A więc ten idiota wziął ją siłą, ukarał ją i uciekł.

- Maggie?

- Tak, kochanie?

- Jestem nieciekawą osobą, prawda?

- Do licha, co masz na myśli?

- Nie jestem dobra ani silna. - Maggie patrzyła, jak wbiła wzrok w talerz, splatając i rozplatając palce. Nie podobał jej się skrajnie nieszczęśliwy wyraz twarzy Byrony. Był przygnębiający.

- To bzdury - powiedziała ostro - i dobrze o tym wiesz, Byrony.

- Przepraszam, Maggie. Zanudzam cię. I zachowuję się jak płaczliwe dziecko. Zawsze pogardałam ludźmi, którzy obnosili się ze swoimi kłopotami i zanudzali nimi innych. Uważałam, że należy działać. Bóg mi świadkiem, że dawałam sobie radę z Irą, może niezbyt rozsądnie. A teraz, proszę, zachowuję się jak roztrzęsiona... - Byrony oparła się o zagłówek i zamknęła oczy. - Dziękuję za kolację, Maggie. Jesteś dla mnie bardzo dobra.

- Nie jesteś płaczliwa - odezwała się spokojnie Maggie. - Felice jest taka. Ty z pewnością działałabyś, gdybyś wiedziała jak.

Byrony zaśmiała się krótko. - Chyba jest w tym dużo prawdy.

- Sądzę jednak, że w obecnej sytuacji jesteś bardzo zagubiona i nieszczęśliwa. Brent potrafi być okropnie uparty i zarozumiały. Ale jest też dobry i lojalny. Przyzwyczał się do samotności, Byrony, do tego, że nie okazuje uczuć. Ma dwadzieścia osiem lat i przez dziesięć lat był samotny. Długo musiał polegać tylko na sobie. Nie bronię go, ale musisz go zrozumieć. Poznałam go od najlepszej i od najgorszej strony. Chyba wszyscy jesteśmy i dobrzy, i źli zarazem. Chcesz mi o tym opowiedzieć? Podobno umiem słuchać.

Po twarzy Byrony popłynęły łzy i nie była w stanie ich powstrzymać, nawet gdyby od tego zależało jej życie. Głos miała jednak spokojny, niemal monotony.

- Żałuję, że spotkałam go w San Diego, że tak bardzo mnie zauroczył. Ale to już przeszłość. Wysłałam za mąż za człowieka, który mnie nie kocha, który się boi, że zajdę w ciążę i będzie do mnie uwiązany. - Odwróciła się twarzą do Maggie, blada i opuchnięta od łez.

- Chcę tylko, żeby komuś na mnie zależało. Czy to tak wiele, Maggie? Chcę mieć życiu chociaż odrobinę szczęścia i przekonania, że jestem dla kogoś ważna. Och, do licha, to idiotyczne! Obiecałam sobie, że nie będę już płakać i spójrz na mnie! Fontanna! Głupia, słaba kobieta, która wypłakuje oczy, ponieważ jest zbyt niedojrzała, by zapanować nad swoim życiem. Spójrz na siebie, Maggie. Jesteś silna, niezależna, pewna siebie. Chciałabym być taka jak ty.

A to dopiero nowina, pomyślała Maggie, wzruszona i jednocześnie rozbawiona. - Dobrze - powiedziała - chcesz wiedzieć, co ja bym zrobiła?

- Tak, proszę.

- Kupiłabym sobie pejcz i gdyby słowa zawiodły, przemówiłabym do jego twardego zadka. Zdążyłam się przekonać, że czasami trudno jest zwrócić na siebie uwagę mężczyzny.

Byrony wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami. - Nie wyjechałabyś?

- Gdybym nienawidziła tego mężczyzny, wyjechałabym, nie oglądając się za siebie. Gdybym jednak uważała, że mogę go uratować, gdybym chciała go uratować, starałabym się wbić mu trochę rozumu do zakutego łba.

To wydaje się takie logiczne, pomyślała Byrony, takie jasne i... łatwe. Jednak Brenta nie było w pobliżu. Przez moment wyobraziła sobie siebie jako nauczycielkę, która ciągnie go za ucho, żeby wreszcie zaczął się porządnie zachowywać. Roześmiała się głośno.

Maggie spadł kamień z serca. Jest w niej siła, ogień i determinacja, pomyślała. Do diabła z Brentem! Dlaczego jest takim ślepym idiotą? - A teraz - powiedziała wesoło Maggie - czeka na mnie praca. Czy mam poprosić Caesara, żeby przyniósł ci wodę do kąpieli?

- Tak, proszę. - Byrony odrzuciła koc i wyskoczyła z łóżka. Mocno przytuliła Maggie. - Dziękuję!

- Spraw sobie ten pejcz, kochanie. Gdyby przyjmowano zakłady, to postawiłabym na ciebie.

Byrony zachichotała, tym razem radośnie.

- Boże, ale tu bałagan! Muszę posprzątać. Maggie zostawiła ją, krzątającą się po pokoju, przepelnioną potrzebą działania. Znacznie później Maggie dowiedziała się, że Brent grał w karty z Jamesem Corą w „El Dorado”, upijał się na umór i szukał zaczepki, którą zresztą znalazł. Przyniesiono go pod drzwi Maggie zakrwawionego, pijanego i z głupawym uśmiechem na ustach.

- Nie chcieliśmy, żeby w takim stanie zobaczyła go jego młoda żona - wytłumaczył Limpin Willie.

A kim ja jestem? - miała ochotę zapytać ironicznie Maggie. Jego matką?

- Wnieście go do środka, chłopcy.

Stała nad Brentem z rękami na biodrach i zaciśniętymi ustami. Gdy kobieta płacze, mężczyzna się upija, przyszło jej do głowy. No cóż, może to dobry znak. 'Nie poszedł do Celeste.

Brent śpiewał sprośną piosenkę o hazardziście i dziewczynie z baru. Między zwrotkami wlała w niego trochę kawy.

- Mam wezwać Santa? Kiepsko wyglądasz, Brent.

Uniósł brew i wyszczerzył zęby w krzywym uśmiechu. - Powinnaś zobaczyć tamtego faceta.

- Jasne, założę się, że mu dołożyłeś.

- Pewnie, że tak - odparł Brent. Czuł się jak zbity pies i potrzebował napić się whisky. Nagle ogarnęło go takie zmęczenie, że zasnął na kanapie Maggie, głośno pochrapując.

- Idiota - mruknęła i przykryła go kocem. Posłała po Santa.

- Czyżbyś wreszcie mu dołożyła, Maggie? - zapytał na wstępie Saint, gdy przyjechał czterdzieści pięć minut później.

- Wygląda na to, że muszę się ustawić w kolejce - odparła. - Przepraszam, że niepokoję cię tak późno, ale jego twarz wygląda, jak kawałek siekanej wołowiny.

- Gdzie jest Byrony?

- Mam nadzieję, że śpi. Chłopcy przynieśli go tutaj, bo chcieli oszczędzić tego widoku jego żonie.

Saint zaczął zmywać krew z twarzy Brenta. - Nie jest tak źle - powiedział. - Jego przystojna facjata jest nienaruszona. Nie trzeba zszywać. Nic nie mogłoby się równać z tą jego romantyczną blizną.

- Przestań, Byrony - zaprotestował Brent, usiłując odepchnąć Sainta. - To boli.

Saint uśmiechnął się, słysząc pijacki bełkot Bren-ta i odepchnął jego rękę. - Musisz wiedzieć, przyjacielu, że przerwałeś mi w bardzo nieodpowiednim momencie. To nieuprzejme z twojej strony.

- Byrony - wymamrotał Brent - Nie rób tego, kochanie. Chcę cię pocałować. Boże, jesteś taka piękna...

- Teraz sobie przypomniał, że ma żonę - powiedziała Maggie z oburzeniem. - Głupiec!

- Ależ Maggie, to tylko mężczyzna - odparł Saint. - Bardzo zagubiony mężczyzna. Niedługo zda sobie sprawę, że ma coś, o czym większość mężczyzn może tylko pomarzyć.

- Nieważne kim jest, jutro będzie czuł się bardzo podle.

I tak było, lecz Byrony, pełna energii i szczęśliwa, że nie był u kochanki, powiedziała tylko: - Wypij kakao, Brent. Saint powiedział, że cukier dobrze ci robi. Łypnął na nią z ukosa i wypił kakao.

- Saint powiedział również, że powinieneś zjeść obfite śniadanie. Dużo jajek...

- Byrony, pozwól mi umrzeć w spokoju - warknął Brent.

Położyła mu na czole wilgotną szmatkę, delikatnie głaszcząc go po włosach. - Dobrze. Odpoczywaj. Jestem tutaj, gdybyś czegoś potrzebował.

Zasnął, a Byrony stała nad nim i przyglądała się jego nieogolonej twarzy i równomiernie poruszającej się klatce piersiowej. Gdy kilka godzin temu Maggie i Saint wnieśli go do pokoju, Byrony myślała, że coś mu się stało.

- Nie, kochanie - powiedziała Maggie - jest po prostu w trupa zalany. Chyba na razie nie będziesz potrzebować pejcza.

- Niech śpi, a jak się obudzi, trochę mu pomatkuj - poradził Saint. - Tobie także przydałby się odpoczynek - dodał, przyglądając się jej uważnie. - Nie zamartwiaj się, Byrony.

Gdy wyszli, Maggie zwróciła się do Sainta. - Domyślam się, doktorze Morris, że wracasz do swoich przyjemnych zajęć.

- Niestety nie - odparł smutno Saint. - Biedna Jane była taka smutna, gdy Limpin Willie po mnie przyszedł.

- Ożeń się, Saint.

Saint powiedział coś, czego Byrony nie usłyszała. Potem dobiegł perlisty śmiech Maggie. - Więc obudzmy Felice. Ona się w tobie kocha.

Byrony zamknęła drzwi sypialni. Już nigdy w życiu nie będzie podsłuchiwać. Spojrzała na śpiącego męża, pokiwała głową i usadowiła się z „Korsarzem” Byrona na kolanach.

Dzięki Bogu, że jestem młody, silny i mam twardą głowę, pomyślał Brent. Nie miał kaca, ale był niemiłosiernie obolały. Wyprostował dłonie, zerkając na poobijane palce.

- Saint powiedział, że nie jesteś połamany - odezwała się Byrony. - Dałeś im w kość?

Brent nie zastanawiał się nad tym, jak Byrony powinna się zachowywać, ale ta uśmiechnięta dziewczyna nie pasowała do wyobrażenia mężczyzny o żonie, która wygłasza mu kazanie po

całonocnym pijaństwie i bójce. - Tak - powiedział.

- Ilu ich było?

- Czterech, może pięciu. Potem wszyscy zaczęli się bić. Jestem winien Corze jakieś sto dolarów za zniszczenia. Chyba byłbym splukany, gdyby większość bójek nie przytrafiała mi się na ulicy.

Nie podjęła tematu pieniędzy i zamiast tego wskazała wannę w rogu pokoju. - Kąpiel gotowa. Za jakąś godzinę Smiley przygotowuje powóz. Zabieram cię na przejażdżkę nad ocean. Saint twierdzi, że świeże powietrze dobrze ci zrobi.

Brent skinął głową i wstał z łóżka. Byrony przyglądała się okropnemu siniakowi na żebrach. - Naprawdę nic ci nie jest?

Posłał jej krzywy uśmiech. - Nikt mnie nie skopał, jeśli o to ci chodzi.

Wszystko wraca do normy, pomyślała Byrony. - Wyjdę na jakiś czas. Niedługo wrócę.

- Gdzie idziesz?

Uśmiechnęła się do niego. - Idę kupić pejcz - odpowiedziała i wyszła, zostawiając go osłupiałego na środku pokoju.

*

Popołudnie było pochmurne i mgliste. Gdy zbliżali się do oceanu, Brent się odezwał:

- Za chwilę nie będę cię widział. Po co ci ten pejcz?

Zaskoczyło go, że rzeczywiście go kupiła.

- Dla spokoju ducha - odparła Byrony łagodnie. - Jak się czujesz?

- Trochę poobijany. Jakiego spokoju ducha?

- Pan Hobbs powiedział, że jest całkiem skuteczny, ale nie należy go używać przy wałachach.

Tylko przy... ogierach.

- Rozumiem - powiedział Brent. - Myślałem, że nienawidzisz przemocy.

- To prawda. - Wzruszyła ramionami. - Trzeba się jednak dostosowywać do sytuacji.

- Mgła jest zbyt gęsta - wtrącił Brent, zawracając konia. - Wynośmy się stąd. - Silny wiatr unosił w powietrzu drobinki piasku.

- Jak chcesz - odparła Byrony.

- Byrony - powiedział, patrząc na jej profil - nie podoba mi się twój ton.

- Zanim zaczniesz się uganiać za klaczą, dopilnuj ogiera.

Kpiła z niego! Nie podobało mu się to. Warknął ostro: - Zamierzam poskromić klacz, kochanie. Bez uzdy, oczywiście, może tylko kilka uszczypnięć.

Roześmiała się, a on zacisnął zęby. - Chyba chcesz, żeby klacz cię zrzuciła. A może jeśli klacz pozwoli ci się dosiąść, ty ukarzesz ją i zsiądziesz?

Pożądanie dawało o sobie znać bólem w kroczu. - Nie - odparł, patrząc przed siebie - żadnego zsiadania. Będę na niej jeździł, aż zmęczona i spocona, przyzna, że jestem jej panem.

- Życzę szczęścia - powiedziała lekko Byrony - z twoją klaczą.

- Nie potrzebuję szczęścia, tylko okazji.

- Czy mógłbyś mnie przy okazji wysadzić pod domem Saxtonów? Obiecałam Chauncey, że wpadnę.

- Nie ma mowy. Nie wiedziałaś, że ogier zawsze pilnuje swoich klaczy?

- Naprawdę? No cóż, może ogier powinien zdać sobie sprawę, że czasami trafia się klacz, która nie chce się nim dzielić z innymi klaczami. Znasz takiego ogiera, Brent?

Dosyć tego, pomyślał. - Może gdyby klacz była prawdziwą... klaczą - odparł ostro - umiałaby

zadowolili ogiera.

- A może - odezwała się Byrony rozbawiona -gdyby ogier był prawdziwym... ogierem, byłby zadowolony na własnym pastwisku. Założę się, że są klacze równie zaborcze, co ich ogiery. Czy słyszałaś kiedykolwiek o klaczy, która podszczypywała ogiera?

- Dobra - ryknął, płosząc konia - dosyć tych bzdurnych wymysłów. Jeśli kiedykolwiek podniesiesz na mnie ten pejcz, pożałujesz.

- Dlaczego, jeśli wolno spytać? - powiedziała z powagą. - My, klacze, lubimy wszystko wiedzieć dokładnie.

Zazgrzytał zębami. - Nie wiem - odparł w końcu - ale możesz być pewna, że coś wymyślę!

- Do tego czasu będę robiła swoje.

- To znaczy?

- Będę trzymać swojego ogiera przy sobie - powiedziała - wszelkimi możliwymi sposobami.

- Ogiery również lubią wiedzieć dokładnie.

- A nie wiesz? - zapytała od niechcienia, głaszcząc go po udzie. Czowała, jak napina mięśnie i gwałtownie wciąga powietrze. - Być może - powiedziała bardzo cicho - ten ogier wkrótce będzie zbyt zmęczony, żeby wyjść poza swoje pastwisko.

- Będę robił to, co zechcę, Byrony!

- Ja też, Brent.

- Lepiej weź rękę, albo rzucę się na ciebie. Roześmiała się i poprawiła czepek. Spojrzał na nią z ukosa, gdy zaczęła od niechcienia nucić.

Brent naprawdę zamierzał się z nią kochać po powrocie, ale nie było mu to dane.

Na zewnątrz czekał Caesar. - To ważne, Brent - powiedział.

Brent wziął od niego zmiętą kopertę. - Jezu - powiedział cicho.

- Co to jest, Brent? - spytała Byrony.

- List. Tym razem nie od mojego brata, Drew, lecz od prawnika mojego ojca z Natchez. - Nie mógł opanować drżenia rąk. Rozerwał kopertę i wyciągnął dwie kartki, zapisane starannym pismem.

Byrony widziała, jak zmienia się wyraz jego twarzy. Zaklął soczyście.

Odwrócił się od niej i zamierzał odejść, ale chwyciła go za ramię. - Co się stało, Brent? - zapytała znowu.

- Mój ojciec nie żyje i z jakiegoś nieznanego powodu uczynił mnie swoim spadkobiercą!

ROZDZIAŁ 23

- Dlaczego nie miałbyś być spadkobiercą swojego ojca?

Byrony poszła za mężem do salonu i zamknęła za sobą drzwi. Był zamyślony, powtórzyła więc pytanie.

- Spadkobiercą? Nie powinienem być, chociaż jestem najstarszy. Dziesięć lat temu wyrzucił mnie z plantacji i ze swojego życia.

- Napijesz się brandy?

- Tak.

Podala mu szklanke i odwróciła się, by zdjąć pelerynę i czepek. - Dlaczego? - rzuciła przez ramię.

- Ponieważ przyłapał mnie w łóżku ze swoją żoną. Byrony miała wrażenie, że dostała pięścią w brzuch. Spojrzała na niego zszokowana. - Co takiego? - wydusiła z siebie.

Brent roześmiał się nieprzyjemnie. - Miałem osiemnaście lat, Laurel dwadzieścia dwa. Pragnęła mnie i dostała to, czego chciała. Nieoczekiwanie zjawił się mój ojciec. - Nieświadomie potarł bliznę na policzku.

A więc to ojciec go ukarał, pomyślała. Maggie powiedziała jej, że przez dziesięć lat zdany był tylko na siebie.

- Przecież miałeś tylko osiemnaście lat! Czy wyrzucił również twoją macochę?

Brent zaśmiał się, machając listem. - Na tym polega dowcip, kochanie. Już jako osiemnastolatek byłem dżentelmenem i wziąłem winę na siebie. Może gdybym tego nie zrobił, zaoszczędziłbym ojcu późniejszych przykrości. Najwyraźniej ten biedny głupiec w końcu zdał sobie sprawę, że wyszła za niego za mąż wyłącznie dla pieniędzy i pozycji. Zostawił mi plantację Wakehurst i fundusz powierniczy Laurel. Tak więc kontroluję wszystko. Zastanawiam się, co ona o tym sądzi.

- A co z Drew, z twoim bratem?

- Ojciec zostawił mu pokaźną sumę pieniędzy, poza tym odziedziczył sporo po matce. Drew ma teraz dwadzieścia sześć lat i jest artystą. Od dwóch lat mieszka w domku obok głównego domu. Gdy ojciec mnie wyrzucił, Drew właśnie szykował się do wyjazdu do Paryża, żeby studiować sztukę. Listy od niego były moim jedynym kontaktem z domem. Nie wiem, co on o tym wszystkim sądzi. - Brent przerwał nagle, wypił resztkę brandy i rozparł się wygodnie w fotelu. - By-rony, muszę tam jechać. Prawnicy nic bez mnie nie zrobią.

Byrony zagryzła dolną wargę. - A więc pojedziemy razem - powiedziała pogodnie. Brent uniósł brew. - My?

- Oczywiście. Chyba że nie chcesz jechać.

- Wygląda na to, że nie mam wyboru. Ale zamierzam sprzedać plantację. - Jednak Byrony wydawało się, że się waha.

- Przez osiemnaście lat to był twój dom, Brent. Westchnął i przesunął palcami po włosach. - Wiem. Skłamałbym, gdybym powiedział, że przez te lata nie tęskniłem. To piękny, stary dom, Byrony,

na południe od Natchez, niedaleko Missisipi i na północ od granicy Luizjany. Mój dziadek zbudował go chyba w 1784 roku. Oczywiście widać tam dużo hiszpańskich wpływów. Cholera!

- Co? Opowiedz mi więcej.

- Niewolnicy. Gdy wyjeżdżałem dziesięć lat temu, w Wakehurst było ponad pięciuset niewolników.

- Co tam robili? Przecież to niemal cała armia!

- Większość pracowała w polu, od świtu do nocy, zaharowując się na śmierć na polach bawełny. Byli też rzemieślnicy: kowale, bednarze, murarze, cieśle, no i oczywiście służba domowa, ponad dwunastu biedaków, usługujących do stołu. Niania Bath, stara i pomarszczona jak jabłuszko, była dla mnie jak matka. Ich życie w Wakehurst było lepsze niż życie niewolników na innych plantacjach. Dostawali dwa posiłki dziennie, mieli coś w rodzaju szpitala, a za nieposłuszeństwo dostawali tylko dwanaście batów od nadzorca albo woźnicy, także niewolnika, lecz zaufanego. Pewnie nie przejmowałbym się tym, gdybym tam został. Tak się tam żyje i takie są wymogi rynku. Ale teraz... chyba nie zniósłbym tego widoku. - Zaśmiał się. - Teraz ja jestem panem, a ty, moja droga, jesteś panią.

- Uwolnij ich - powiedziała Byrony bez ogródek.

- Po co? Są głupi i obrzydliwie lojalni wobec białych. Do diabła, może masz rację. A co do Laurek..

- Cokolwiek by powiedzieć, Laurel ma doskonały gust w kwestii mężczyzn. Jednak nie zachowała się w porządku, uwodząc osiemnastolatka.

Przez co stałeś się nieufny wobec kobiet. I wobec mnie.

Byrony nie mogła się doczekać spotkania z Laurel. Zacisnęła usta.

- Pewnie masz rację, ale byłem napalonym byczkiem. Poznałem smak seksu, gdy miałem czternaście lat, nim skończyłem siedemnaście, byłem postrachem hrabstwa. Przespałem się nawet z dwiema Murzynkami. Robili tak wszyscy biali mężczyźni. Panie nazywały mnie okropnym dzieckiem, a ja śmiałem się za ich plecami. Mój ojciec był ze mnie całkiem dumny, aż do tamtego dnia. Znasz już moją niechlubną przeszłość, Byrony.

Uśmiechnęła się do niego. - W drodze do Na-tchez będziesz mógł mi opowiedzieć o tym, co robiłeś przez ostatnie dziesięć lat. Czy panie nazywały cię okropnym mężczyzną?

- Niektóre pewnie tak. Ale teraz nie ma to znaczenia. Naprawdę chcesz jechać ze mną, Byrony?

- Przecież obiecałeś mi miesiąc miodowy.

- A co z pejczem?

- Jedź ze mną - odparła. - Przykro mi z powodu śmierci twojego ojca, Brent.

- Mnie również. Nie wiem, dlaczego nie napisał do mnie przed śmiercią. Pojechałbym do niego.

- Myślę, że z powodu dumy.

Odwrócił się i spojrzał na nią. - Jesteś całkiem bystra.

- Przecież kupiłam pejcz.

*

Następnego wieczora Hammondowie, elegancko ubrani, pojechali do domu Saxtonów na kolację. Byli tam również Horace i Agatha Newtonowie, Saint Morris i Tony Dawson.

- Ślicznie wyglądasz, Byrony - powiedziała Chauncey. Westchnęła i uśmiechnęła się łobuzersko do męża. - Del bardzo się cieszy, że przyszłaś. Powiedział mi, że zapomniał, jak powinna wyglądać normalna kobieta. Myślę, że chce mnie umieścić na liście swoich statków.

- Wyglądasz nobliwie, Chauncey - odezwał się Brent - jak żaglowiec z błękitnymi, jedwabnymi żaglami.

- Nie zapominaj o koronkach, Brent.

- Czy Tony będzie koło mnie siedział? - spytał poirytowany Saint, wchodząc do jadalni.

- Przykro mi, stary. Musisz jakoś wytrzymać. Tony potrafi być czasami bardzo zabawny.

- Zastanawiam się dlaczego w ogóle mnie zaprosiłeś, skoro Chauncey rodzi dopiero w przyszłym miesiącu.

- Jest tak obszerna, że zapomniałem o tym - odparł wesoło Del. - Wybacz mi, Saint, ale nie możesz konkurować z moją sąsiadką. - Del odwrócił się do Byrony, siedzącej po jego prawej stronie. - Do twarzy ci w złotych jedwabkach, kochanie. A jeśli chodzi o wioskowego głupka - ciągnął, spoglądając z ukosa na Brenta - cieszę się, że nikt nie rozkwasił mu nosa. Słyszałem o twojej bójce.

- Tylko mała różnica zdań - powiedział beztrąsko Brent. - W zasadzie nie pamiętam nawet, żeby doszło do wymiany zdań, równie dobrze mógłby mieć takie samo zdanie co ja.

- Nic tak nie potwierdza twojej męskości jak bójka - powiedziała pod nosem Byrony do Chauncey i Agathy.

Agatha spojrzała z miłością na męża. Jeszcze nie tak dawno Horace upijał się do nieprzytomności i wszczynał awantury.

- Biedny Saint - odezwała się Byrony - jesteś za wielki, żeby ktoś chciał się z tobą bić.

- Misjonarze mówili mi, że Bóg zawsze ma wszystko wyważone. Wielki facet jest łagodny jak owieczka. Tylko ci mali i chudzi, jak Brent, muszą ciągle się sprawdzać.

- Misjonarze? - zapytał Brent, marszcząc brwi. - A gdzie do cholery ich spotkałeś?

- Na malej wyspie Maui. Należy do Hawajów. Byłem lekarzem na statku wielorybniczym. Gdy pojechałem do stolicy Maui, Lahainy, postanowiłem zostać przez jakiś czas. Tam trwa wieczna wojna między misjonarzami a marynarzami.

- Muszę powiedzieć, Saint, że nie słyszałem o tym. To świetna historia do „Alty”. Ze wszystkimi krwawymi szczegółami.

- Później, mój chłopcze. Tu są damy.

Byrony odwróciła się do Chauncey, ale ta była pogrążona w myślach.

- Kochanie, jak dacie na imię waszej księżniczce albo księciu? - pytanie Agathy wyrwało Chauncey z zadumy.

- Może Beauregard Saxton - zaproponował Tony.

- Albo Percival? - zakpił Brent. - Po facecie, który miał być moim barmanem, ale się nie pojawił. Nie możemy zapominać, że dziecko będzie pół-Ang-likiem.

- Mówią szczerze - powiedziała Chauncey, posyłając mężowi złośliwy uśmiech - nie możemy dojść do porozumienia w tej kwestii. Del jest strasznie uparty.

- Del, jakie imię ci się podoba? - zapyta! Saint. Delaney potrząsnął głową i dalej jadł pieczonego kurczaka.

- Czuję imbir - odezwał się Brent, a gdy Delaney skinął głową, dodał: - Niesamowite. W tym domu niczego nie da się przewidzieć. - Spojrzał na swoją żonę. - Chyba zaczyna mi się podobać, gdy nic nie jest takie, jak oczekujemy.

- I tak już będzie - odparła spokojnie Byrony.

- Ona chce, żeby był szczęśliwy - powiedział Brent.

- A, więc o to jej chodzi - odezwała się Agatha. Później, gdy goście siedzieli w salonie Saxtonów.

Chauncey podskoczyła nagle i upuściła filiżankę z kawą. - O Boże - powiedziała, patrząc ponuro na męża. Saint z uśmiechem wstał z krzesła. - Cieszę się, kochanie, że pozwoliłaś mi zjeść kolację.

- Zaczęło się?

Agatha roześmiała się, widząc zaskoczoną minę Dela. Saint nachylił się nad Chauncey i położył wielką dłoń na jej brzuchu. Gdy poczuł, że ma skurcze, delikatnie poklepał ją po ramieniu. - Od jak dawna masz bóle, Chauncey?

- Od rana. Ale do teraz były znośne.

- Chauncey - Del niemal krzyknął na żonę - dlaczego mi nie powiedziałaś? Jezu, ty uparta...

- Gdybym ci powiedziała, panikowałbyś przez cały dzień. - Poczula kolejny skurcz i sapnęła, uśmiechając się słabo. - Teraz możesz zacząć panikować.

- Nie ma potrzeby - powiedział spokojnie Saint. - Chodźmy na górę, kochanie. No proszę, miesiąc wcześniej. Maluchowi spieszno na ten świat.

- Poczekaj! Czy ja nie powinienem czegoś zrobić?

- Del, już zrobiłeś wystarczająco dużo - odparł Saint. - W końcu zaprosiłeś mnie na kolację. Agatho, możesz pójść z nami? Pomożesz Chauncey włożyć nocną koszulę. Del, napij się czegoś. A wy - zwrócił się do reszty gości - nie pozwólcie mu się za bardzo denerwować.

Byrony zerwała się na równe nogi. - Pomogę ci - powiedziała.

- Nie, kochanie. Zostań na dole.

- Ale...

- Byrony - odezwał się ostro Brent - siadaj.

Delaney pomógł Chauncey wstać i przytrzymał ją, gdy nadszedł kolejny skurcz. - Nie martw się, skarbie. Będę z tobą.

- Tylko tego mi trzeba - odezwał się Saint - męża, który nie będzie mnie słuchać.

Tony, Byrony, Brent i Horace zostali sami w salonie. Brent poczuł, jak Byrony ściska go za ramię.

- Czy nie powinnam być z nią? W końcu jestem kobietą.

- Nie rodziłaś dziecka - odpowiedział.

- A co ty możesz o tym wiedzieć? - zapytała, rozzłoszczona jego protekcjonalnym tonem.

Ku jej zaskoczeniu Brent pobladł. - Niestety, o wielu rzeczach niewiele wiedziałem. Gdybym wiedział, to może Joyce Morgan nadal by żyła. A tak, pochowałem ją i dziecko.

- O czym ty mówisz, Brent? - zapytał Horace Newton, pochylając się na krześle.

- To stara historia - odparł Brent. - Zdarzyła się na bezdrożach Kolorado. Jechałem do Denver i w pewnym momencie zobaczyłem powóz. Powoziła samotna młoda kobieta, która właśnie zaczęła rodzić.

- Brent przerwał, czując na czole krople potu. - To wszystko. Próbowalem, ona próbowała, ale nic nie pomagało.

- Gdzie był jej mąż? - spytała Byrony.

- W Denver, na targu bydła. Gdy go odnalazłem, wdał się w bójkę i został zabity. Może to i lepiej. Byłem na niego tak wściekły, że sam chętnie bym go zabił. Zostawił ją samą tuż przed rozwiązaniem.

Wróciła do niego wściekłość i bezsilność, którą wtedy czuł. Wstał i zaczął przechadzać się po

pokoju.

- Chauncey nic się nie stanie - powiedział, patrząc przez chwilę w górę.

- Oczywiście - odezwał się Horace.

Brent zatrzymał się na moment i otarł pot z czoła. Przyszło mu do głowy, że być może dlatego właśnie nie chciał, żeby Byrony zaszła w ciążę. Mogła przecież i umrzeć. Odgonił od siebie wspomnienie tamtej kobiety i jej dziecka. Spojrzał na Byrony; siedziała z pochyloną głową, zapatrzona w swoje splecione dłonie. Wszyscy poczuli ulgę, gdy Tony zaczął opowiadać o Davidzie Brodericku. - Ma coraz większe wpływy. Kalifornia to naprawdę stan nieograniczonych możliwości. Broderick, nowojorczyk, właściciel baru i zwolennik Tammany'ego, zostaje senatorem.

- Ostrożnie, Tony - odezwał się Horace Newton. - Broderick chyba wszędzie ma swoich szpiegów. Mam tylko nadzieję, że Delowi nie przyjdzie do głowy z nim walczyć.

- Del nie jest głupi - odparł Tony. - Nasz drogi burmistrz Garrison na bieżąco informuje Dela, co można, a czego nie można.

Rozległ się krzyk. Wszyscy zamarli.

*

- Tak, kochanie, krzycz - powiedział Del do żony - jak głośno chcesz.

Chauncey z całej siły ścisnęła go za rękę. - Bardzo boli - wyszeptała.

- Wiem - odparł, choć nie wiedział. Spojrzał zmartwiony na Sainta.

- Odsuń się na chwilę, Del. Muszę porozmawiać z twoją żoną.

Chauncey nie chciała go puścić, ale w końcu udało mu się odsunąć dwa kroki w tył.

Saint usiadł obok niej. - Dobrze ci idzie, Chauncey. Dziecko nie jest duże, zwłaszcza że to wcześniak.

Sądzę, że do północy powinno być po wszystkim. A tak przy okazji, kolacja była wyśmienita. Zauważyłem, że niewiele jadłaś, i dobrze.

- Do północy! - prawie krzyknął Delaney. - To jeszcze trzy godziny!

- To twoje pierwsze dziecko - ciągnął Saint głaszcząc Chauncey po rękę. - To wcale nie tak długo. Oddychaj tak, jak cię uczyłem. O właśnie, dysz i nie walcz z bólem. - Saint wstał i umył rękę.

- Zobaczymy teraz, gdzie jest malec.

Chauncey poczuła, jak wsuwa w nią palce, w momencie, gdy jej ciałem wstrząsnął kolejny skurcz. - Oddychaj, Chauncey!

*

Prawie godzinę później Agatha weszła do salonu. - Przyszłam wszystkich uspokoić. Z Chauncey wszystko w porządku. Delaney również żyje, chociaż ledwo. Horace, nalej wszystkim whisky. Byrony, mogę cię prosić na chwilę? Chciałam z tobą porozmawiać.

Byrony poszła za Agathą do holu. - Czy z nią wszystko w porządku?

- Tak, kochanie. Saint opowiada jej teraz dowcipy. Ona się uśmiecha, ale biedny Delaney wygląda słabo. Cieszę się, że ty i Brent wyjeżdżacie na jakiś czas z San Francisco. Pod koniec tygodnia? - Gdy Byrony przytaknęła, ciągnęła dalej: - To sprawka Irene. Nie wymyśliła tych plotek, ale nie zaprzeczyła im. Niezbyt dobrze wychodzi jej rola pokrzywdzonej, ale Sally Stevenson i jej denerwująca córeczka lubią taplać się w brudach. Możesz być pewna, że podczas twojej nieobecności postaramy się z Chauncey przywrócić ci dobre imię. Jak wrócisz, nikt już nie będzie pamiętał o całej historii. Może ktoś inteligentny udusi Penelopę Stevenson!

- Dziękuję, Agatho.

Starsza kobieta uśmiechnęła się łagodnie i poklepała Byrony po ręce. - Zobaczysz, kochanie, że wszystko się ułoży. Wracam na górę. Zawsze uważałam, że to głupie, że rodząca kobieta jest otoczona głównie przez mężczyzn. Boże, co oni mogą o tym wiedzieć?

*

Chauncey poczuła dłoń Sainta na brzuchu. - Podejdz, Del i poczuj swoje dziecko.

Delaney ostrożnie położył rękę na brzuchu żony. Poczul skurcz i skrzywił się. - Czy nie możesz złagodzić bólu, Saint?

Saint potrząsnął głową. - Jeszcze nie teraz. Nie możemy spowalniać ani przyspieszać skurczów. Dziecko powinno urodzić się jak najszybciej. W odpowiednim momencie podam jej chloroform.

Chauncey krzyknęła przeraźliwie i Delaney zadrżał. - O cholera - odezwał się wystraszony.

- Chyba się zaczyna - powiedział Saint. - Dziecko wychodzi, Chauncey. Przyj. O tak. Del, pomóż mi i nie mdlej tutaj. Nie ma czasu, żeby jej coś dać.

Delaney dostrzegł jasne włoski. Saint szybko odsunął się na bok i z zadowoleniem przyglądał się, jak dziecko wpada w oczekujące ręce ojca.

- O mój Boże!

- Śliczna, prawda? - Przeciął pępowinę i nie przestawał mówić. - Del, daj ją Agacie i Lin. Ależ ma płuca.

Delaney Saxton miał wrażenie, że właśnie skończył bieg maratoński. Stał bez ruchu, patrząc jak Saint rozmawia z Chauncey i pomaga jej urodzić łożysko, jak Agatha i Lin obmywają jego córeczkę i zawijają ją w miękki kocyk.

Zegar na dole wybił północ.

- Czy ty nigdy się nie mylisz, Saint? - zapytała Chauncey ze słabym uśmiechem.

- Nigdy, jeśli chodzi o dzieci. Powiedz coś swojemu biednemu mężowi. Wygląda, jakby zaraz miał zemdleć.

Ale Chauncey spojrzała na Sainta zranionym wzrokiem. - Zapomniałam cię zapytać, skąd wzięło się twoje imię. Teraz już pewnie nigdy mi nie powiesz.

Saint zaniósł Alexandrę Aurorę Saxton na dół.

*

- Kamień spadł mi z serca - powiedziała później Byrony do swojego męża, kładąc się obok niego. - Takie śliczne dziecko. Wygląda, jak kobiecy odpowiednik Dela.

- Na szczęście poród był krótki - odparł jakby trochę zaskoczony Brent. - Miała przy sobie lekarza i męża - dodał.

Przytulił ją do siebie. - A cóż to? Moja żona w nocnej koszuli?

- Jest zimno.

- Zapewniam cię, że za chwilę będziesz spocona.

- A więc ogier jest gotów pokryć swoją klacz? Zastygł w bezruchu. Nie zostawię w niej swojego nasienia, pomyślał Brent. Nie mogę.

Puścił ją gwałtownie i położył się na plecach z rękoma pod głową.

- O co chodzi? - zapytała Byrony, unosząc się na łokciu. - Czy chcesz, żeby klacz pokryła ogiera?

- Jestem zmęczony - odparł Brent, nie patrząc na nią. - Śpijmy. Jutro czeka nas dużo pracy, jeśli chcemy wyjechać w piątek do Nowego Orleanu.

Przysunęła się bliżej i poczuł jej miękki biust. Zacisnął zęby. - Nie, Byrony.

Patrzyła na niego zaskoczona. Po chwili zrozumiała, o co mu chodzi. Bał się, że zajdzie w ciążę.

Bał się, że umrze, a on będzie za to odpowiedzialny. Ta świadomość przyniosła jej ulgę. - Dobrze - powiedziała cicho. Powoli, delikatnie zaczęła palcami pieścić jego tors. - Jesteś taki futrzasty i ciepły. - Nie poruszył się. Jej palce powędrowały niżej i wstrzymał oddech.

- Nie, Byrony. - Brzmiało to jak głos tonącego.

- Dlaczego, Brent? Rozumiem, że boisz się, że zajdę w ciążę. Ale dlaczego nie miałabym dać ci rozkoszy?

Zadrżał, gdy wzięła go w dłonie. Czują, jak jego członek nabrzmiewa.

- Felice powiedziała mi, że mężczyźni to lubią. - Poczł jej ciepły oddech na brzuchu. Muskała włosami jego tors i krocze, aż w końcu poczuł, jak bierze go do ust.

Jęknął i wypchnął biodra do góry.

- Felice powiedziała mi również, że mężczyźni są okropnie... wrażliwi. Jesteś taki duży, Brent, taki ciepły i twardy. Uwielbiam twój smak.

Zanurzył palce w jej włosach, myśląc, że za chwilę eksploduje. Podniecał go jej brak doświadczenia i ciekawość. - Byrony - jęknął znowu. - O Boże!

Zacisnął zęby, żeby odzyskać panowanie nad sobą. Jego ciało rozpalało pożądanie. - Przestań, Byrony! - Dyszał ciężko, gdy odsunął ją od siebie i położył na plecach. Poczł, jak oplata nogami jego biodra. Zadrżała, gdy odnalazł ją palcami. - Uwiodłabyś nawet świętego - rzucił, wchodząc w jej ciepłe, ciasne wnętrze. Nie panował nad sobą, a gdy chciał się z niej wysunąć, mocniej zacisnęła uda wokół jego bioder.

- Nic ci nie dam, Byrony - wyrzucił. - Nie jesteś dziwką, tylko moją żoną!

W jego głosie była władczość, która tylko rozpałiła pożądanie Byrony. Do tej chwili delectowała się władzą, jaką nad nim uzyskała. Teraz zatopiła się w rozkoszy. Objęła go ramionami i krzyknęła, gdy jego męskość wdarła się w jej ciało. Zamknął jej usta pocałunkiem i zatracił się w swojej żonie, jej i swojej rozkoszy.

- Czy mogłabym uwieść również naszego Świętego? - powiedziała Byrony.

Zachichotał. - Tego nigdy się nie dowiemy. Jesteś bardzo niesforna, żoneczko.

- Jeśli to ma być narzekanie, to zaraz cię kopnę! Usłyszała jego śmiech i pocałowała go. Wtuliła się w niego i powiedziała sennie: - Tyle jest jutro do zrobienia, jeśli chcemy wyjechać w piątek.

- A to ci dopiero - powiedział bardziej do siebie niż do niej. - Uwiedziony przez przyzwoitą damę.

- Uwiedziony przez własną żonę - odparła.

ROZDZIAŁ 24

Laurel Hammond wdychała słodki zapach magnolii, wchodząc do ogrodu z pokoju muzycznego. Cudowny dzień, pomyślała. Nie jest ani gorąco, ani wilgotno. Wolno podeszła do krzaków gardenii. Chciała zebrać kwiaty, żeby niania Bath, stara władca baba, zrobiła jej perfumy. Już dawno skończył jej się skromny zapas, który Drew przywiózł z Paryża. Na myśl o Drew zmarszczyła brwi. Był dorosłym mężczyzną, ale jednocześnie był taki... wykrętny... nie, nieodgadniony, przyznała przed sobą. Gdy zaczynała go strofować, mówił do niej ironicznie „maccho”.

Gdy zrywała kwiaty gardenii i układała je w koszyku, zaczęła rozmyślać o Brencie. Nie odzywał się. Minęło już ponad pół roku od śmierci jego ojca. Zakładała, że prawnicy go poinformowali. Drew wiedział, że mieszka w San Francisco. Dlaczego nie napisał? Tyle razy zastanawiała się, na jakiego mężczyznę wyrósł. Co o niej myślał? Czy jej nienawidził? Po tylu latach? Oczywiście, że nie mógł jej nienawidzić! W końcu to on ją uwiódł. To nie była jej wina. Była samotna i nieszczęśliwa przy boku zimnego, władczego męża.

Testament, ten okropny dokument! Laurel zadrżała. Drew, ten drań, śmiał się, gdy głupi i nadęty pan Jenkins odczytywał testament w bibliotece dwa dni po pogrzebie. Była zbyt zaskoczona, żeby się odezwać, i zbyt przerażona. Upuściła gardenię na trawę. Nadal się bala.

- Musisz bardziej uważać, Laurel.

Drew pochylił się z gracją i podniósł gardenię. Wyglądał jak esteta i dobrze wychowany dżentelmen z Południa, który nigdy nie skalał rąk pracą - smukły, o jasnej karnacji i brązowych włosach zaczesanych do tyłu. W niczym nie przypominał swojego brata, pomyślała. Ale też nie bardzo pamiętała, jak wyglądał Brent. Jedyne, co utkwilo jej w pamięci, to jego ciemne, przenikliwe oczy. Drew wyprostował się i podał jej kwiat.

- Dziękuję - powiedziała. - Dlaczego nie malujesz?

- Zwabiła mnie piękna pogoda - przerwał na moment, marszcząc brwi - i przecucie.

Laurel uniosła brew. - Ty i ta wiedźma Sinda jesteście tacy sami.

- Och, nie - odparł niedbale Drew. - Ja nie ukrecam szyi kurczakom i nie tańczę wokół ognia, przepowiadając koniec świata.

- To było coś, prawda? - Laurel potrząsnęła głową i uśmiechnęła się na tamto wspomnienie. - Nigdy tego nie zapomnę. Boże, co za historia! Niewolnicy nie chcieli pracować, ponieważ nadchodził dzień sądu. Bardziej bali się gniewu Bożego, niż bata pana Simmons.

- Ojciec i pan Simmons bardzo dobrze sobie poradzili. Biedna Sinda. Gdy ziemia się nie otworzyła, została wychłostana.

- A jakie ty masz przecucie?

- Nie jestem pewien - powiedział wolno Drew. -Dziś stanie się coś niezwykłego. - Wzruszył ramionami. - Nie przejmuj się mną, chyba mózg mi się zagrzał. A może moje obrazy pozbawiły mnie reszty zdrowego rozsądku.

- Musisz częściej stąd wyjeżdżać, Drew. W okolicy jest tyle ładnych, młodych panien, które tylko

czekają na oświadczenia pana Drew Hammonda z Wake-hurst. Kilka dni temu Melinda Forrester mówiła mi, jak bardzo podziwia twoje obrazy...

Drew uniósł smukłą dłoń. - Oszczędź mi tego, Laurel. Melinda Forrester jest... no cóż po prostu mnie nie interesuje. - Zamyślił się. - Tęsknię za Paryżem - powiedział krótko. - Tutaj jest pięknie, ale posiadłość nie należy do mnie.

- Teraz wszystko należy do Brenta.

Drew spojrzał na piękną twarz macochy. - Dlaczego jesteś taka rozgoryczona, Laurel? Nie wiem, dlaczego Brent wyjechał z Wakehurst dziesięć lat temu, ale to on jest spadkobiercą ojca. To oczywiste, że plantacja musi być jego. Pytanie tylko, co z nią zrobi?

- A ja byłam żoną twojego ojca! Jak mógł uczynić Brenta nadzorcą mojego funduszu powierniczego? Dlaczego nie zostawił pieniędzy do mojej dyspozycji, tak jak tobie?

Drew nie odpowiedział. Wrócił do domu dwa lata temu i nie był ślepy. Odkrył, że miała romans z właścicielem sąsiedniej plantacji, Johnem Lattimerem. Jeśli on o tym wiedział, wiedział również jego ojciec. Dowodził tego fakt, że ojciec nie zostawił jej pieniędzy do dyspozycji. Oczywiście Laurel była piękna i młoda, a ojciec stary i niedołężny. Niemniej...

Schylił się i urwał kawałek hiszpańskiego mchu z pnia wiązu.

- Może - odezwał się - powinnaś zastanowić się nad ponownym zamążpójściem, oczywiście po okresie żałoby. O ile mi wiadomo, pan Elias Standford jest tobą zauroczony.

Laurel wzruszyła ramionami. - Jest stary i nudny. A jego dzieci mnie nienawidzą. Nie, dziękuję.

- O ile pamiętam, to my z Brentem nie byliśmy specjalnie szczęśliwi, gdy ojciec cię sprowadził. Ale to było dawno temu, prawda? Może pojedziesz na jakiś czas do Nowego Orleanu? To dobry teren łowiecki.

- Nie bądź niegrzeczny, Drew! Lizzie!

Na wezwanie Laurel pojawiła się młoda murzyńska dziewczyna.

- Tak, pani Hammond? - Zasapana dziewczyna wpatrywała się w swoje gołe, brudne stopy.

- Weź koszyk i zanieś go niani Bath.

- Tak, pani Hammond.

- Powiedz jej, żeby zrobiła perfumy.

- Tak, pani Hammond.

- No i co, Drew, przespałeś się już z tą małą dziwką?

- Na litość boską, Laurel, ona nie ma więcej niż trzynaście lat! - Spojrzał za dziewczyną, wiedząc, że słyszała słowa Laurel.

- Wiesz, jakie one są - odparła Laurel, wzruszając ramionami. - Zauważyłam, że woźnica Josh bardzo się jej przygląda.

- To dziwne, że wiesz wszystko najlepiej - powiedział Drew kpiąco. - Gdyby było tak, jak mówisz, Liz-zie w ciągu roku urodziłaby dziecko i została babcią przed trzydziestką. Czy ty chciałabyś być babcią, Laurel? W końcu jesteś już dobrze po trzydziestce, prawda?

Laurel wzdrygnęła się nieznacznie, ale głos miała zdecydowany. - Daruj sobie tę europejską wrażliwość, Drew. Poza tym nie jestem już dobrze po trzydziestce!

- Jestem w domu od dwóch lat i ani razu nie obchodziłaś urodzin.

- Drew, może pojedziesz do Nowego Orleanu?

- Dobrze, Laurel. Przeszanuj się. Niedługo zrobi się gorąco - ciągnął. - Nie wiem, jak wy, kobiety, możecie wytrzymać w tych ciężkich sukniach.

- Mówiąc szczerze - odparła Laurel słodko - są bardzo niewygodne. Ale cóż można poradzić? Nie mogę spacerować w bryczesach i rozchełstanej koszuli jak ty.

- Roześmiał się. - To dopiero byłby widok!

- Popijali lemoniadę w cieniu cedru, gdy do ogrodu wpadła niania Bath, krzycząc i wymachując rękami. - Pani! To pan! Wrócił, mój mały chłopiec wrócił!

Laurel zamarła. - Twoje przeczucie, Drew - powiedziała bardzo cicho.

- Chyba posiadam zdolności, o których nie wiedziałem. No cóż, moja droga, minęło dziesięć lat. Mój szalony, nieokrzesany brat wreszcie wrócił do domu.

- Sądzę, że już czas, żebym spotkała się z administratorem moich pieniędzy - powiedziała Laurel.

Jaki jest? Czy nadal będzie uważał, że jestem piękna? Oczywiście, że tak! Już tego dopilnuję. A gdyby było inaczej...

Brent pomógł Byrony wysiąść z odkrytego powozu. - Wakehurst - powiedział.

- Jest tak pięknie, jak opisywałeś. Ale drzewa i kwiaty, Brent, są takie stare i wspaniałe. To chyba azalie? A to drzewa magnolii? I gardenie? Wszystko jest takie zielone, bujne!

Brent uśmiechnął się, rozbawiony jej podnieceniem, i położył palec na jej ustach. - Tak, tak, i tak, i zgadzam się - powiedział. - Czy jesteś gotowa na spotkanie z mieszkańcami?

Pierwsza była niania Bath. Zbiegła ze schodów domu prosto w ramiona Brenta. - Moje dziecko! Moje dziecko wróciło do domu! Och, ty przystojny chłopaku! I taki duży! - Głaskała go po twarzy i odsłaniała w uśmiechu zdrowe, białe zęby.

- Nianiu przestań, bo ta śliczna dama będzie zazdrosna. Poznaj moją żonę, Byrony Hammond.

- Boże, masz żonę! Co za alabastrowa buzia! Gdzie znalazłeś to śliczne dziecko?

Byrony była zbyt zaskoczona, żeby się ruszyć czy powiedzieć cokolwiek. Mała kobieta przytuliła ją mocno i głaskała tak jak Brenta.

- Niania to instytucja - wyjaśnił Brent, gdy Murzynka przestała. Podniósł głowę i napotkał wzrok Laurel. Boże, jest piękna, pomyślał w pierwszej chwili. Wyobrażał sobie, że po tylu latach będzie zmęczoną staruszką. Jakim był głupcem! A Drew! Dorosły mężczyzna. Brent oderwał się od niani Bath i ruszył w ich stronę.

Mężczyźni spotkali się na schodach werandy.

- Bracie - powiedział Drew - a więc jednak istniejesz! Boże, ale jesteś wielki!

- A ty dorosły. Pamiętam chudego dzieciaka wiecznie umorusanego farbami.

Obejmowali się i śmiali na przemian.

Laurel stała w milczeniu z boku, patrząc na kobietę, która została z nianią Bath na podjeździe. Żona Brenta! Twarz Byrony była ukryta pod czepkiem, jej suknia wymięta po podróży, a ręce splotła przed sobą jak zakonnica. Wyglądała żałośnie. Laurel uśmiechnęła się i z gracją zeszła po schodach. Wszystko po kolei, pomyślała, machając radośnie dłonią.

- Witamy w Wakehurst! - zawołała. Uściskała żonę Brenta. - Wyglądasz na zmęczoną, biedactwo. Mogę ci mówić Byrony? Dziękuję. Mów do mnie Laurel. W końcu nie ma między nami takiej wielkiej różnicy wieku. Pewnie mieliście długą i okropną podróż z San Francisco. Czy zatrzymaliście się na jakiś czas w Nowym Orleanie? Takie piękne, niezwykle miasto. A podróż statkiem po Missisipi? Tydzień, prawda?

Byrony czuła się jak głupie dziecko. Oczekiwano od niej tylko potakiwania lub przeczenia głową.

- Brent! - zawołała Laurel. - Twoja żona niemal pada z nóg ze zmęczenia. Później będziecie mogli z Drew pożartować, obrażać się nawzajem i wspominać. Otello! Lloyd! Zabierzcie bagaże

pana! Nianiu, może zaopiekujesz się żoną Brenta. Chcesz osobny pokój, kochanie? Nie? Dziwne, no cóż. Nianiu, zaprowadź ją do sypialni pana. Oczywiście zwolniłam ją, gdy umarł mój drogi mąż. - Gdy to mówiła, poczuła dreszcz. Nie mogła się doczekać, żeby wynieść się z ciemnego, okropnego pokoju, przesiąkniętego zapachem choroby. - Teraz to pokój Brenta. Chodź.

- Dziękuję - Byrony udało się w końcu odezwać i poszła za piękną kobietą.

Laurel czuła narastającą w niej złość. Dziewczyna była młoda i urocza! Boże, co zrobić?

Gdy weszli do olbrzymiego holu, otoczył ich tłum krzyczących Murzynów. Tłoczyli się wokół Brenta. Zewsząd słyszała jedno słowo: - Panie! Panie!

Zaskoczyła ją prostota elewacji domu. Proste linie, białe smukłe kolumny i urocze galeryjki, otaczające dom z trzech stron. Jednak w środku widać było hiszpańskie wpływy, o których mówił Brent. Ściany pomalowano na blad różowy kolor, a w górę prowadziły schody z czarnymi, metalowymi poręczami. Wszędzie znajdowały się cięte kwiaty. Czuła się przytłoczona. Dom Iry w San Francisco był elegancki i bogaty, ale nie miał w sobie nic z przepychu Starego Świata. W porównaniu z tym wyglądał nowobogacko i brzydko. Zastanawiała się, o czym myśli Brent. Czy ich mieszkanie nad barem wydawało mu się teraz norą?

- Byrony, poznaj służbę.

Brent przedstawił jej kilku starszych służących, a potem pozwolił Laurze przedstawić młodszych niewolników.

- Otello, Desdemona, Portia, Lear i tak dalej. Boże, pomyślała Byrony, to wygląda jak festiwal Szekspirowski! Zastanawiała się, jakie są ich prawdziwe imiona. Wszyscy się do niej uśmiechali i nazywali Małą Panią. Nikt nie miał na sobie butów.

Nagle niania Bath klasnęła w dłonie. - Dostyc tego! Uciekajcie stąd, leniwe czarnuchy! Panienska pójdzie ze mną. Przygotujemy ci miłą kąpiel.

Byrony uśmiechnęła się nieśmiało do Brenta, a on pokiwał głową. - Idź na górę, ja niedługo przyjdę.

Idąc po schodach, obejrzała się przez ramię. Brent rozmawiał z Laurel. Wyglądała tak krucho i delikatnie, a jej czarujący śmiech wydawał się niemal poufały. Przecież łączyła ich poufałość, pomyślała Byrony i ogarnęła ją zazdrość. Przestań, głupia! Napotkała wzrok Drew i ogarnęło ją uczucie, że czyta w jej myślach. Mrugnął do niej i niemal zachichotała.

Długi korytarz na drugim piętrze pokryty był grubym, wzorzystym dywanem. Niania Bath nie przestawała mówić, dopóki nie dotarli do końca korytarza. Otworzyła podwójne dębowe drzwi.

Byrony zadrżała. Cóż za okropny pokój! Meble były ciężkie, ciemne i toporne, w oknach wisiały zalatujące stęchlizną złote zasłony. Byrony szybko podeszła do okien i odsłoniła je. Pokój zalało światło słoneczne. Niania Bath posłusznie otworzyła szklane drzwi i Byrony wdychała świeże, słodkie powietrze.

- Tak lepiej - powiedziała. Wyszła na galerię i przechyliła się przez balustradę z białego drewna. - Tak pięknie - odezwała się, oddychając głęboko i patrząc na zadbane ogród.

- Stary pan miał chore oczy i słońce go razilo. Teraz wszystko się zmieni, paniensko. Pozbędziemy się tych mebli, oddamy je Joshowi. Niech poczuje się ważny. To woźnica, miły chłopak.

Niania Bath pokazała dwóm niewolnikom, gdzie mają postawić bagaże. W ciągu dwudziestu minut Byrony leżała zanurzona po szyję w olbrzymiej cedrowej wannie, wypełnionej wodą z olejkiem jaśminowym. Umarłam i poszłam do nieba, pomyślała, delektując się pierwszą kąpielą od czasu wyjazdu z Nowego Orleanu.

Oparła głowę i zamknęła oczy. Biorę kąpiel w Missisipi, pomyślała. Pełno tu bosych niewolników, którzy należą do Brenta. W myślach przypomniła so-bie wielotygodniową podróż, w czasie której bardziej interesowało ją zachowanie męża niż miejsca, które odwiedzili. Gdy zaczynała myśleć, że już go rozumie, zmieniał się i wycofywał. Dużo czasu spędzał na grze i do Nowego Orleanu przybyli bogatsi o tysiąc dolarów. Większość z tego wydał na nią. Przypomniła sobie nowe suknie, wiszące teraz w dębowej szafie w rogu sypialni. Czy bał się, że przyniesie mu wstyd? Ale przecież sobie również sprawił nowe ubrania. Czowała się teraz przy nim trochę nieswojo. W ciągu ostatnich tygodni zmienił się w eleganckiego południowca. Zaczął mówić z innym akcentem i nabrał niesamowitego uroku. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek uda jej się go zrozumieć. A teraz jeszcze Laurel i Drew. Piękna Laura, która patrzyła na niego wzrokiem, który sugerował zażyłość.

Usłyszała głos Brenta.

- Witaj, syrenko. Wygląda na to, że kąpiel daje ci tyle samo przyjemności, co ja.

Otworzyła oczy i zobaczyła na jego twarzy lubieżny uśmiezek. Westchnęła cicho, co rozpromieniło go jeszcze bardziej.

- Mała wiedźma - powiedział. - Czy mam się przyłączyć?

- Niewątpliwie kąpiel by ci się przydała, ale jesteś taki duży, że lepiej poczekaj. - Zaczęła myć włosy i siląc się na obojętny ton, powiedziała: - Twoja macocha wydaje się czarująca, twój brat również.

- Spodziewałaś się przekleństw i gniewnych wrzasków? Kochanie, to jest Południe. Damy są damami, przynajmniej na zewnątrz. Laurel będzie czekać na stosowny moment. - Zamilkł na chwilę. - To był pokój mojego ojca. Drew twierdzi, że zabronił Laurel zmieniać cokolwiek. Przygnębiający. Czy chciałabyś tu coś zmienić?

- Czy zostaniemy tu aż tak długo?

Wzruszył ramionami. - Przebyliśmy długą drogę. Chciałbym, dla odmiany, trochę pochodzić po ziemi.

- Nowy Orlean to najbardziej niezwykle miasto, jakie widziałam - powiedziała Byrony w zamyśleniu.

- Poczekaj, aż pokażę ci Natchez.

- To na pewno będzie lepsze od Panamy!

- Prawda. Może do czasu naszego powrotu dokończą budować kolej.

- Żaden z niewolników nie nosi butów - powiedziała nieoczekiwanie.

- Są przynajmniej czyści i odpowiednio ubrani. To oczywiście zasługa Laurel. Pamiętam, że gdy byłem dzieckiem, wszyscy byli okropnie brudni. Przy stole usługiwał nam lokaj, który miał najbardziej brudne paznokcie pod słońcem. To odbierało apetyt.

- Najwyraźniej nie traciłeś całego apetytu - odparła ostro Byrony.

- Na szczęście nie - powiedział Brent, uśmiechając się do niej. Byrony ponownie namydliła włosy i patrzyła, jak Brent zdejmuje surdut. Przez ramię powiedział: - Wygląda na to, że Laurel... trochę zmiękła.

- Jest urocza - odparła Byrony, chcąc być choć przez chwilę obiektywna.

- O tak, w rzeczy samej - zgodził się Brent. Rzucił na podłogę koszulę i usiadł na ohydny krześle, żeby ściągnąć buty. Zastygł na moment w bezruchu. - Drew stał się mężczyzną. To bardzo niepokojące.

- Czujesz się przez to stary?

Brent uśmiechnął się do niej i wstał, rozpinając guziki spodni. - Chcesz zobaczyć, jaki jestem stary?

- Brent! Przestań! Rozlewasz wodę!

*

Bogato, przyszło Byrony do głowy. W jadalni mogło się pomieścić osiemnaście osób. Ściany pomalowano na bladzielony kolor, draperie ściągnięto z boku okien złotymi sznurami. Nawet Byrony poznała, że meble są francuskie. Stół nakryto eleganckim białym obrusem, ustawiono białą porcelaną ze złotą otoczką.

- Co to? - zapytała Brenta szeptem, wskazując na duży, ręcznie rzeźbiony w drewnie przedmiot w kształcie dzwonka.

- To wachlarz...

- Wiatrak to wiatrak, Brent - odezwał się Drew. - Już niedługo będziesz za niego wdzięczna, Byrony. W czasie posiłku służący porusza wiatrakiem za pomocą długiego sznura. To chłodzi twarz i warzywa. Na Południu wszyscy jesteśmy bardzo elegancy. Nie należy do dobrego tonu pocić się przy stole.

- Pamiętam, że jako dziecko w lecie pocilem się jak prosię. Byrony, będziesz się czuła, jakbyś miała uschnąć - powiedział Brent, marszcząc brwi.

- Jaka jest pogoda w San Francisco? - zapytał Drew.

- Na szczęście jest chłodno - odparł Brent. Spojrzał z ukosa na Byrony i dodał: - Oczywiście poza pewnymi chwilami.

Drew roześmiał się, widząc rumieniec na twarzy Byrony. - Zawsze był nieznośny, Byrony. Nie przejmuj się nim.

- To bardzo trudne, Drew!

- Opowiedz mi o Paryżu, braciszku - powiedział Brent. - Unikałeś kłopotów i nie narażałeś na szwank swojego dobrego imienia?

- Na ogół. Tam jest zupełnie inaczej, Brent. Wszystko jest bardzo stare i ustabilizowane, poza różnymi zrywami politycznymi. Można tam tyle przeżyć, namalować.

- Tęsknisz za tym - odezwała się Byrony, widząc zamyślane spojrzenie Drew.

- Tak, ale...

Zamilkł, słysząc szelest sukni. Do jadalni weszła Laurel w cudownej bladuróżowej jedwabnej toalecie, która odsłaniała jej białe ramiona i zaokrąglone piersi. Byrony nagle poczuła się nijako w swojej sukni z ciemnoniebieskiego jedwabiu. Kupiła ją w Nowym Orleanie, ponieważ była w kolorze oczu Brenta, a teraz czuła się przy Laurel jak uczennica. Na dodatek nadal miała wilgotne włosy. Czuła się jak sponiewierany pies w porównaniu ze zjawiskiem, które właśnie wkroczyło do jadalni. Miała ochotę warknąć.

Uśmiech nie zniknął z twarzy Laurel. Rozpromieniła się jeszcze bardziej, gdy zerknęła na Byrony. Jakim cudem Brent dał się usidlić temu czemuś? Natomiast Brent działał na nią równie mocno jako mężczyzna, jak wtedy, gdy był chłopcem. Jest taki przystojny. Ma ciemne, błyszczące włosy i taką mocną, pięknie zarysowaną twarz. Nawet blizna na policzku wydawała się romantyczna i ponętna. Spojrzała mu w oczy, ale nie mogła w nich nic wyczytać.

- Frank nie będzie nam dziś towarzyszył. Frank Paxton jest naszym nadzorcą - dodała Laurel. - Mam nadzieję, że jesteście zadowoleni.

- Oczywiście - odparł Brent. - Byrony, kochanie - ciągnął z lekkim uśmiechem - usiądź u szczytu

stołu. Jesteś panią w Wakehurst.

Byrony nagle przypomniało się okropne przyjęcie, gdy Irene zajęła jej miejsce przy stole. Zastanawiała się, czy Brent również to pamiętał i dlatego nie chciał, żeby coś podobnego zdarzyło się tutaj. Uśmiechnęła się do męża, gdy odsunął jej krzesło.

Laurel nie zaprotestowała, pozwalając, by Drew pomógł jej usiąść. - Glasgow, możesz podawać do stołu - rzuciła lekko.

Glasgow? Byrony wpatrywała się w wysokiego czarnego mężczyznę, który miał na sobie dziwną liberię, czarne wełniane spodnie i żółtą koszulę. Na głowie nosił potarganą białą perukę.

- Tak, proszę pani - odparł i klasnął w dłoń.

Dwóch innych służących wniosło do jadalni srebrne tace. Mieli na sobie takie same spodnie do kostek, gołe torsy przykrywały wełniane marynarki. Byrony niemal czuła, jak ich swędzi skóra.

- Typowa potrawa na Południu - powiedział do niej Brent i wziął kolbę słodkiej kukurydzy. - Kurczak, czarna fasola, kukurydza i nasz specjalny kukurydziany chleb.

- Wszystko wygląda wspaniale - powiedziała nieszczercze Byrony. Wszystko wyglądało tłusto i ciężko. Jak Laurel udawało się nie przytyć? - Mówiłeś o swojej pracy - zwróciła się do Drew.

- Tak - odparł - bardzo chciałbym cię namalować, oczywiście jeśli mój brat nie ma nic przeciwko temu.

- Musimy pomyśleć o innym uczesaniu - powiedziała Laurel tonem, który wskazywał, że nie wydawało jej się to możliwe.

- To moja wina - rzucił Brent.

Jego słowa zawisły w powietrzu i Byrony wyrzuciła z siebie: - Nie pozwalał mi wyjść z wanny!

Drew odłożył ostrożnie widelec, odchylił do tyłu głowę i roześmiał się głośno.

Byrony, zawstydzona, pochyliła głowę, czując, że płoną jej policzki. Słyszała, jak Brent chichocze ze swoim bratem. Nie tylko nie chciał jej wypuścić z wanny, ale przyłączył się do niej, rozlewając wodę po całej podłodze sypialni. Leżała oparta o jego tors, a on gładził ją po włosach i pieścił jej kark.

- Skoro jesteś syreną - powiedział żartobliwie - nie muszę się martwić o twoje piękne nogi, tylko o twój piękny ogon.

- Jesteś okropny - sapnęła, chichocząc.

- Jeśli ja jestem okropny, to jaka ty jesteś, moja pani? Czy wiesz, jakie myśli przychodzą mi do głowy, gdy to robisz?

- Myśli? To nie twoja głowa myśli, Brent!

- Prawda - powiedział, unosząc ją do siebie. Jęknął, a Byrony przytuliła twarz do jego piersi.

Ostry głos Laurel wyrwał Byrony z zadumy. - Proszę, Drew, Brent! - Miała ochotę wyrwać Byrony włosy z głowy. - Wystarczy, nie chcę, żeby służba to słyszała.

- Sądzę, że niektóre rzeczy się zmieniają - powiedział Brent, cedząc słowa. Jego akcent był ciężki jak miód. - Nie martw się, Laurel, gdy Drew będzie malował Byrony, dopilnuję, żeby się dobrze prezentowała.

Nagle Byrony ogarnęło nieprzyjemne uczucie, że Brent kochał się z nią tylko po to, by teraz poniżyć Laurel. Nie, zachowywała się nierozsądnie. Nadal słyszała jego jęki i czuła jego ramiona.

- No nie wiem. Może mógłbym być świadkiem narodzin nowej Wenus - odezwał się Drew.

- Muszę wam pokazać mój portret, który namalował Drew - powiedziała Laurel. - Oczywiście wisi w salonie. Goście uważają, że to jedna z jego najlepszych prac. Od jak dawna jesteście

małżeństwem?

- Trzy miesiące - automatycznie powiedziała Byrony. - Podróż tutaj trwa bardzo długo.

- Jak się poznaliście? - drążyła Laurel. Trzy miesiące. To żaden staż małżeński. Brent wkrótce się nią znudzi.

- W San Diego - odparł od niechcienia Brent, popijając wino.

- Gdzie to jest? Nigdy nie słyszałam o tym mieście.

- Na południu Kalifornii. Sądzę, że słyszałaś o Kalifornii.

- Twoje informacje są wyczerpujące, Brent. Dziękuję. Myślałam, że byłaś jedną z... dziewcząt w barze Brenta.

Cóż za ostry języczek, pomyślała Byrony.

- Ależ nie - odezwał się z uśmiechem Brent - na szczęście moja żona nie ma nic wspólnego z dziewczyną z baru.

Pewnie nie, pomyślała Byrony. Czowała, że przez chwilę Brent się jej przyglądał, i uniosła głowę. Dostrzegła w jego oczach rozbawienie.

- Ale przecież w San Francisco jest tak niewiele dam - ciągnęła Laurel.

- Założę się, że jest więcej dam niż dżentelmenów - odezwał się Drew.

- To prawda, braciszku. Mężczyźni w Kalifornii mają chęć pracować. Ale tam przynajmniej wiesz, że żyjesz. Żadnej stagnacji, przywiązania do bzdurnych tradycji, jak tutaj na Południu. - Przestał być uszczypliwy. - Sami tworzymy nasze wartości i sposób życia. Mężczyzna jest kimś, jeśli ma coś w głowie, a nie dlatego, że przypadkiem urodził się w odpowiedniej rodzinie.

- Nie wiem, co by na to powiedział twój ojciec - odezwała się Laurel.

- Pewnie znowu by mnie wykopał - odparł Brent. Ich oczy spotkały się i Brent posłał jej uśmiech.

Uniósł kieliszek w uszczypliwym toaście.

Byrony ugryzła kawałek kurczaka. Niemal czuła jego ciężar w żołądku. Zaczynała wyobrażać sobie życie tutaj jako nieustanne rozgrywki między Laurel a Bren-tem. Nie zapominaj o sobie i Laurel, dodała w myślach.

Drew patrzył na Brenta i Laurel, ale nie odzywał się. Nie wie, pomyślała Byrony. Zastanawiała się, czy Brent powie mu kiedykolwiek. Z niechęcią myślała o podróży przez Panamę, upale i owadach. Chciałaby już wracać.

ROZDZIAŁ 25

- Gdzie, u licha, byłaś?

Słyszając gniew w głosie Brenta, Byrony zastygła na chwilę, ściskając szpicrutę. - Pojechałam na przejażdżkę z Drew - powiedziała opanowanym głosem. - Dlaczego pytasz?

- Szukałem cię wszędzie.

- Mogłeś zapytać Laurel. Wiedziała, gdzie jestem.

- Laurel bierze kąpiel. Chyba nie byłoby stosowne, żebym się do niej przyłączył. Gdzie jest Drew?

- W stajni. Jego koń zgubił podkowę. Pomaga mu jeden z niewol... służących.

Brent przyglądał się żonie ze splecionymi na piersiach ramionami. - Dlaczego nie powiedziałaś mi, że chcesz jechać na przejażdżkę?

Byrony uderzyła szpicrutą o nogę. Dlaczego zachowuje się jak wściekły mąż? - Nie wiedziałam, gdzie jesteś - odparła. - Nie przyszedłeś zeszłej nocy do łóżka. Rano też nigdzie cię nie było.

Wydawało mu się, że jest trochę zła. A może zazdrosna? Cieszyło go to. - To prawda - rzekł przewrotnie.

Mierząc go wzrokiem, zapytała: - Dlaczego więc obchodzi cię, gdzie ja byłam? Gdy płynęliśmy na „Connecticut” musiałeś trzymać się blisko mnie. - Obojętnie wzruszyła ramionami. - Na łodzi chcesz znowu... uciec. Dlaczego więc nie miałabym robić tego, co mi się podoba?

- Ponieważ jesteś moją żoną - rzucił przez zaciśnięte zęby. - I... - przerwał gwałtownie, widząc obojętny wyraz jej twarzy. - Dosyć tego! Masz mi zawsze mówić, że chcesz gdzieś wyjść. I nie będziesz wychodzić z innymi mężczyznami.

Byrony pohamowała się. Miała ochotę go zdzielić, żeby poczuł ból, który ona czuła przez całą noc. Zamiast tego powiedziała nagle: - Kwatery niewolników są w opłakanym stanie. Spotkałam również twojego nadzorcę, pana Paxtona, był bardzo miły... dla mnie.

- Jesteś tu ledwie dobę i już coś ci się nie podoba - powiedział Brent, schodząc po schodach werandy.

- To, co widziałam, było ohydne - powiedziała Byrony spokojnym głosem. - I to były kwatery służby domowej. Z tego, co mówił Drew, wywnioskowałam, że niewolnicy pracujący w polu mieszkają jak zwierzęta.

- Przebierz się w coś bardziej stosownego - powiedział, ignorując jej słowa. - Jedziemy do Natchez na kolację do Forresterów.

Tylko on był w stanie ją rozzłościć. Wsunęła szczękę i spytała ostrym tonem: - Gdzie byłeś ostatniej nocy?

- To nie twoja sprawa, skarbie. Tak jak Celeste, czy ta plantacja. Idź się przebierz. Lizzie ci pomoże. Aha, i uważaj co robisz ze szpicrutą - dodał, gdy koło niego przechodziła.

Nie odpowiedziała i weszła do domu. Brent patrzył za nią w milczeniu. Jak śmiała pojechać z Drew? Oczywiście, że widział się z Laurel, ale nie powiedziała nic istotnego poza tym, że Drew jest

najwyraźniej zauroczony Byrony. Dlaczego jej nie powiedziałeś, że spędziłeś większą część nocy, rozmawiając z Jo-shem, przyjacielem z dzieciństwa, któremu chcesz dać wolność? Brent potrząsnął głową. Więcej się dowiedział o sytuacji w Wakehurst od Josha, niż byłby w stanie mu powiedzieć Frank Paxton, oślizły drań. W rzeczywistości nie był gorszy od innych nadzorców. Cholera, co powinien zrobić?

Z czym, głupcze? Z Byrony czy Wakehurst?

Brent westchnął, przesuwając palcami po włosach. Zrobił przynajmniej jedną dobrą rzecz. Josh powiedział mu, że Frank Paxton kręci się koło Lizzie, więc Brent przydzielił ją Byrony. Będzie bezpieczna z jego żoną w dużym domu.

Zobaczył idącego drogą ubranego na czarno Franka Paxtona. Był w Wakehurst od prawie dwunastu lat i ojciec ufał mu bezgranicznie. A przynajmniej tak było, zanim Brent stąd wyjechał. Josh mówił, że gdy ojciec był chory, Paxton kupił od niego kilku niewolników i sprzedał ich z ogromnym zyskiem w Nowym Orleanie. Wymuskany elegancik, pomyślał Brent, gdy Paxton pomachał do niego dłonią.

- No, chłopcze, witaj w domu! Minęło sporo czasu.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. - Witaj, Frank.

Albo ja urosłem, albo on zmałał, pomyślał Brent, patrząc z góry na nadzorcę.

Twardy łajdak, pomyślał Frank Paxton, nie przestając się uśmiechać. - Przygotowałem dla ciebie wszystkie dokumenty, Brent, gdybyś miał ochotę je przejrzeć. Spotkałem dziś rano twoją żonę. Urocza kobieta. Nie bardzo rozumie, jak się tu żyje, ale... -Zawahał się na moment, ponieważ znał testament Avery'ego Hammonda. Co Brent Hammond zamierza zrobić z Wakehurst?

- Niedługo wyjeżdżamy do Natchez - powiedział Brent. - Zapomniałem, że na Południu spotkania towarzyskie są ważniejsze od pracy.

- Szczera prawda - odparł Frank z wymuszonym śmiechem.

- Czy pasuje ci jutro rano, Frank?

- Oczywiście, chłopcze. A tak przy okazji, szukam małej Murzynki, Lizzie. Chcę, żeby coś zrobiła.

Jasne, założę się, że chcesz, żeby coś zrobiła, pomyślał z obrzydzeniem Brent.

- Została pokojówką mojej żony - powiedział od niechcienia. Przez moment wydawało mu się, że Pa-xton zaprotestuje. Zacisnął usta i zmarszczył siwe brwi. Jednak powiedział tylko: - Ta dziewczyna jest za młoda, żeby usługiwać twojej żonie.

Mogłaby być twoją córką, pomyślał Brent. Była nawet za młoda dla Josha, ale ten przynajmniej ją kochał i chciał się z nią ożenić.

- A więc do jutra - powiedział Brent i odwrócił się.

Dwie godziny później wszyscy Hammondowie pojechali do oddalonego o kilkanaście kilometrów Na-tchez. Droga wiodła przez urwisko nad rzeką.

- Czy przejażdżka z Drew się udała, kochanie? -Laurel zapytała Byrony.

- Była bardzo pouczająca - odparła Byrony.

- Och? - rzuciła Laurel bez specjalnego zainteresowania.

- To prawda - odezwał się Drew. - Chciałem pokazać Byrony przyrodę, ale ona uparła się, żeby zobaczyć kwatery niewolników. Witano ją jak królową, skoro jest panią w Wakehurst. - Drew dostrzegł, że Laurel zaciska usta i mówił dalej, zwracając się do brata. - Podobno spędziłeś noc na wspominkach z Jo-shem.

Brent uśmiechnął się krzywo do Byrony, która otworzyła szeroko oczy. - Tak, wspominaliśmy i rozmawialiśmy o ostatnich wydarzeniach. Josh ma głowę na karku. Razem dorastaliśmy - dodał na użytek Byrony. - Josh był zafascynowany moimi opowieściami o Kalifornii. Mam nadzieję, że on i Lizzie pojedą z nami do San Francisco.

- Kiedy wracasz do San Francisco? - spytała ostro Laurel.

- Myślałem, że Kalifornia to wolny stan - odezwał się skrzywiony Drew.

- To prawda.

- Chyba nie zamierzasz go uwolnić, Brent - powiedziała Laurel. - Jest wart co najmniej trzy tysiące dolarów.

- Z pewnością - odparł Brent.

- I Lizzie! To silna dziewczyna i nadal dziewica...

- Mam taką nadzieję. Ma dopiero trzynaście lat.

- Ależ, Brent - ciągnęła Laurel, a w jej głosie słyhać było gniew - chociaż nie było cię przez dłuższy czas, to chyba wiesz, że plantacja nie może istnieć bez niewolników! No i Frank Paxton ma ochotę na Lizzie, jeśli Drew nie weźmie jej pierwszy!

Oczy wszystkich zwróciły się na Byrony, która gwałtownie sapnęła.

- Nie - powiedziała. - Chyba nie mówisz poważnie, Laurel. Frank Paxton jest biały i stary! On nie...

Przerwał jej protekcyjny śmiech Laurel. Poklepała Byrony po kolanie. - Kochanie, musisz się jeszcze dużo nauczyć o tym, jak tu się żyje. Z niewolnikami można robić, co się chce.

- Laurel ma rację, Byrony - odezwał się Brent. - I postąpiłem z Lizzie, jak chciałem. Zostanie twoją pokojówką do czasu naszego wyjazdu albo do czasu, aż zdecyduję inaczej. Na pewno nie będzie dzielić łóża z Paxtonem.

Brent dostrzegł wdzięczne spojrzenie Byrony. Czy uważała, że tylko ją oburza ta sytuacja? Z łatwością mógł sobie wyobrazić, jak rano witali ją niewolnicy. Petycje, prośby o ubrania, jedzenie, lżejszą pracę. Zastanawiał się, czy czuła się wtedy jak łaskawa pani.

Laurel roześmiała się nieprzyjemnie. - Czy na pewno chcesz tę małą dziwkę zachować dla Josha? A może dla siebie, Brent? Twój ojciec opowiadał mi o tych wszystkich murzyńskich dziewczynach, które wzięłeś do łóżka.

Brent poczuł, jak Byrony zeszywniała. Złapał ją za rękę. - Chłopcy zawsze pozostaną chłopcami, prawda Laurel? - powiedział szyderczo. - Wystarczy już. Byrony, czy wiedziałaś, że te ziemie do 1795 roku były własnością Hiszpanii? Chyba ci o tym wspominałem. Stąd wzięły się hiszpańskie wpływy w Wakehurst.

- Tak - odparła cicho Byrony - wspominałeś mi o tym.

Brent opowiadał spokojnym, uprzejmym tonem o różnych miejscach, które mijali. Znowu miała wrażenie, że ją od siebie odsuwa. Dlaczego nie powiedział jej po prostu, że spędził noc z przyjacielem? Czy nigdy nie będzie w stanie go zrozumieć? Rozumiała, że przez Laurel nie ufał kobietom. Może były też jakieś inne, zanim go spotkała. Ale przecież musiał wiedzieć, że nie wyszła za niego za mąż z wyrachowania. Usłyszała, jak Brent kieruje do Drew pytanie:

- Zamierzasz zostać w Wakehurst, czy wrócić do Europy?

- Prawdopodobnie wrócę do Paryża. Nie mogłem jednak wyjechać bez pożegnania z tobą, braciszku.

- Cieszę się, że zostałeś. A więc chcesz nadal zajmować się sztuką i nie zamierzasz zostać

plantatorem?

Drew zamyślił się na chwilę. - Już dłużej nie mogę znieść niewolnictwa. Wieloletnia nieobecność zmieniła mój punkt widzenia. Niedobrze mi się robi, gdy widzę, jak chłoszczą się kobiety i mężczyźni bez specjalnego powodu. Dziwne, że nie oburzało mnie to, gdy byłem chłopcem.

- Mam nadzieję, że żaden z was nie podzieli się tymi poglądami z Forresterami - odezwała się ostro Laurel. - Nadal chciałabym się spotykać ze swoimi znajomymi. Rozmowy o zniesieniu niewolnictwa nie przysporzą wam przyjaciół!

- Wiem - odparł poważnie Brent. Pochylił głowę i westchnął. Co miał zrobić?

Dobrze wiedział co. Jedynym problemem była Laurel. Zerknął spod przymkniętych powiek na żonę. Wiedział, że czuje się zagubiona i niepewna. Niewątpliwie dał jej do tego wiele powodów, od kiedy przyjechali do Wakehurst. Wiedział, że się od niej odsuwa, ale jak miał jej wytłumaczyć swoje zachowanie, skoro sam nie umiał go zrozumieć? Czuł, że Laurel na niego patrzy. Jeśli w ogóle znał dobrze jakąś kobietę, to właśnie swoją macochę. Bawił się z nią w kotka i myszkę. Być może nie było to zbyt honorowe, ale nie mógł się powstrzymać. A Byrony znajdowała się pośrodku tej gry.

*

- Cieszę się, że cię widzę, Brent - powiedziała pani Amelia Forrester przy kolacji. - Minęło tyle lat. Nigdy nie dowiedziałam się, dlaczego tak nieoczekiwanie wyjechałeś z Wakehurst. Twój ojciec chyba mówił coś o żądzy przygód.

Brent spojrzał na gospodynię, zastanawiając się, czy mówi szczerze. Chyba jednak tak było. A więc ojciec zachował wszystko w tajemnicy. Brent nie mógł go za to winić. W ciągu dziesięciu lat wiele razy żałował tamtego dnia, żałował, że dał się ponieść młodszej żądzy i głupocie. Na miejscu ojca nie ograniczyłby się raczej do smagnięcia szpicrutą. Wiele razy zastanawiał się również, co by się z nim stało, gdyby nie wyjechał z Wakehurst. Pewnie byłby teraz leniwym, żonatym dżentelmenem z gromadką dzieci, troskliwie pielęgnującym tradycje Południa. Zmusił się do uśmiechu. - Powodem była różnica zdań między mną i ojcem, no i oczywiście również żądza przygód. O ile wiem, to się często zdarza. Młodzi mężczyźni chyba chcą osiągnąć coś sami.

- Żałuję, że nasz Stacy nie ma twoich poglądów, choć może nie tak radykalnych... - powiedział David Forrester. - Chłopak pewnie właśnie przegrywa w Nowym Orleanie ostatnią koszulę.

Byrony przysłuchiwała się rozmowie. Uznała, że Forresterowie są przemiłymi, dobrymi i wrażliwymi ludźmi. Jednak ich córka, Melinda, nie wywarła na niej dobrego wrażenia. Wydawało się, że w jednej chwili uwodzi Drew, a w drugiej posyła rozmarzone spojrzenie Brentowi. Byrony musiała przyznać, że była całkiem ładna. Miała kruczoczarne włosy i ciemnobrązowe oczy, ale takie... puste. Zastanawiała się, czy wszystkie kobiety na Południu są takie blade i powolne. Może przy panujących tu upałach jest to całkiem zrozumiałe.

- Co porabiasz, mój chłopcze? - spytał David Forrester.

- Jestem właścicielem baru w San Francisco. „Dzika Gwiazda”.

Pan Forrester wydawał się lekko zakłopotany, ale szybko to ukrył. - Nietypowe zajęcie, ale teraz jesteś w domu i musisz poprowadzić plantację. Jak wiesz, mój chłopcze, pańskie oko konia tuczy. Ja sam kupiłem kilku niewolników od Paxtona tuż przed śmiercią twojego ojca. Mój nadzorca był bardzo zadowolony z zakupu, ale zastanawiałem się, dlaczego Paxton i twój ojciec sprzedawali takich wartościowych niewolników.

- Jestem pewien, że niedługo się tego dowiem - odparł Brent, choć doskonale wiedział dlaczego. Stary Frank wił sobie gniazdko na niepewną przyszłość. Czyżby ojciec był zbyt chory, żeby zdawać

sobie sprawę z tego, co się dzieje? A Laurel?

- „Dzika Gwiazda” - zadumała się Amelia Forrester. - Niezwykła nazwa dla baru, prawda, Brent?

Brent uśmiechnął się grzecznie. - Trochę fantazyjna. W młodości wydawało mi się, że gwiazda, za którą podążam, jest wolna i dzika. - Nie była to do końca prawda.

- Za dwa tygodnie urządzamy bal, panie Hammond - powiedziała radośnie Melinda Forrester. - Przyjdzie pan, prawda? No i oczywiście pańska żona.

- Z przyjemnością - odparł Brent i wbił widelec w plaster szynki.

*

Lizzie zerwała się na równe nogi, gdy trochę po północy Byrony i Brent weszli do sypialni. Jak dziecko przetarła oczy pięściami. W końcu jest dzieckiem, pomyślała Byrony i wzdrygnęła się na myśl o tym, że Frank Paxton mógłby zaciągnąć tę biedną dziewczynę do łóżka.

- Lizzie - powiedziała ostro Byrony - zmykaj do łóżka! Dlaczego jeszcze nie śpisz?

- Ale niania Bath powiedziała...

- Lizzie, rób, co mówi pani. Jestem w stanie sam rozpiąć te wszystkie guziki. - Brent zatrzymał dziewczynę w drzwiach sypialni. - Jeszcze jedna rzecz, Lizzie. Będiesz spała w domu, na trzecim piętrze. Jutro możesz zabrać swoje rzeczy z kwatery.

Byrony zobaczyła w oczach dziewczyny ulgę.

- Tak, panie. Dziękuję, panie.

- To miłe z twojej strony - powiedziała cicho Byrony.

- Może nie chcę, żeby Paxton ją zgwałcił. Byrony zatkało. - Nie wierzę, żeby mógł zrobić coś tak okropnego.

- Uwierz, Byrony. Jednak ty, moja kochana żono, to zupełnie inna sprawa. Pozwól, że ci pomogę.

- Podeszła do niego i odwróciła się tyłem. Czowała, jak rozpina guziki jej sukni. - Zastanawiam się - powiedział zamyślony - czy Lizzie nie jest przypadkiem córką Pa-xtona. To możliwe. Ma jaśniejszą skórę niż inni. Pamiętam, że Paxton zaciągnął do łóżka Millie, matkę Lizzie. Słyszałem, że z nim walczyła. To pewnie prawda, ponieważ okropnie ją potem wychłostał. Ojciec był trochę niezadowolony, że przez jakiś czas nie mogła potem pracować.

- To niewiarygodne! Przecież to barbarzyństwo!

- Nie ruszaj się. Tak, na to wygląda. - Brent powoli zsunął suknię z jej ramion. Czowała, jak muska wargami jej kark.

Jak to możliwe, że w jednej chwili kpił z niej, a w drugiej jej pożądał? Odsunęła się od niego. Jestem jego żoną, a nie jakimś podręcznym kobiecym ciałem, pomyślała z rozzaleniem.

- Czy naprawdę jestem panią Wakehurst? - zapytała nagle, odwracając się do niego.

Brent skrzywił się. - Jesteś żoną pana - odparł.

- Czy jestem odpowiedzialna za prowadzenie domu i służbę?

- Proszę, proszę - powiedział i uśmiechnął się. -Czyżby nadchodziły domowe kłopoty?

- Brent, czy musisz ze wszystkiego kpić? Czy nie widzisz, że...

- Pamiętaj, kochanie, że to ja jestem panem. Na Południu pan rządzi wszystkim. Rozumiesz?

Przysłoniła się suknią, ale on spoglądał na jej ramiona i piersi.

- Rozumiesz? - powtórzył.

Nie ugięła się. - Jesteś napalonym kocurem - powiedziała.

Brent gapił się na nią przez moment, potem odchylił głowę i roześmiał się głośno. - A wszystkie

kotki wyglądają w nocy tak samo? - spytał.

- Nie, myślę, że lubisz porównywać swoje kobiety. A ja jestem tylko nową kotką, której udało się wślizgnąć do domu tylnymi drzwiami. Niedługo znowu zapragniesz zapolować, prawda?

- Twoja metafora jest mało logiczna, Byrony. Chyba wolę, żebyś porównywała mnie do ogiera. To bardziej szlachetne niż wściekły kocur. - Jego głos stał się nieprzyjemny, a w oczach nie było już rozbawienia. - Ale ponieważ z mocy prawa jesteś moją małą kotką, musisz się podporządkować kocurowi. Zdejmij ubranie, kochana żono. Jest późno i chcę iść do łóżka.

Ze złością zrobiła, co kazał. Czy rozkazuje jej dlatego, że nie może rozkazywać Laurel? Zawilości jego rozumowania przyprawiły ją o ból głowy. Położyła się na miękkim łóżku, przykryła prześcieradłem i patrzyła, jak Brent się rozbiera. Zgasił wszystkie lampy i nagi wyszedł na balkon zapalić cygaro. W świetle księżycy widziała muskularny zarys jego ciała. Dlaczego jest taki piękny?

- Szkoda, że ja nie mam porównania! - zawołała. - Nie wiadomo, czego mogłabym się nauczyć.

Gwałtownie wyrzucił cygaro i wszedł do sypialni. - Jeśli kiedykolwiek poczujesz taką potrzebę - powiedział, stając nad nią - związę cię i zamknę.

- Dlaczego? - spytała prowokacyjnie. - Dlaczego kotki nie mogą robić tego samego, co kocury?

- Niektóre kotki tak robią, ale nie ty, skarbie. Ty jesteś moja. Myślę, że to przypomina naszą poranną rozmowę.

- Czy to nie obowiązuje w obie strony? Czy w związku z tym ty nie jesteś mój?

Uśmiechnął się i podrapał palcem po torsie. - Ależ dziś jesteś zaczepna. - Patrzył na nią i zachwycał się jej błyszczącymi oczami i pięknymi włosami, okalającymi twarz. Poczul ogarniające go pożądanie i wiedział, że zdawała sobie z tego sprawę. Spojrzała na jego nabrzmiały członek i oczy jej pociemniały. - Chyba - powiedział bardzo cicho - dziś w nocy nie wyjdę z twojego pięknego ciała. Wypełnię cię swoim nasieniem i będę patrzył na twoją twarz. Zostanę w tobie nawet podczas snu.

Zanim zdążyła pomyśleć, powiedziała: - A więc mnie kochasz? Chcesz mieć ze mną dziecko?

Idiotko! Przecież wcale nie chcesz znać prawdy!

Zachichotał tylko. - Jestem pewien, żono, że moje uczucia dorównują twoim.

Nie, pomyślała zdesperowana i miała ochotę się rozplakać. - Nie znasz moich uczuć - powiedziała.

Brent ściągnął z niej prześcieradło. Spojrzał na jej ciało, lekko rozchylone uda, miękką kępkę ciemno-blond włosów. - Może mi powiesz - powiedział, kładąc jej rękę na brzuchu. Zadrżała pod jego dotykiem. Obserwował jej twarz, gdy przesuwał palce niżej. - Powiedz mi, Byrony.

Położył się obok niej i uniósł na łokciu. - Powiedz - powtórzył, pieszcząc ją palcami. - Nie masz nic do powiedzenia? Sądzę, moja droga, że twoje uczucia są teraz równie ciepłe, jak twoja skóra. - Zaczął ją mocniej pieścić i Byrony jęknęła. - Ten kocur wie, co robi, prawda? Wielu mężczyzn nie wie. To znaczy może wiedzą, ale to ich nie obchodzi. Jesteś szczęściarą, żoneczko. Zawsze lubiłem dawać kobietom rozkosz.

- Nie lubię cię - wysapała, gdy zamknął jej usta pocałunkiem. - Jesteś okrutnym, nieczułym...

- Ja? Kochanie, musisz tylko mnie dotknąć.

Chciała go dotknąć. Przekręciła się na bok i wzięła go w dłoń. Był twardy, ciepły i pulsujący. Przesunęła palcami po całej długości. - Brent - wyszeptwała miękko. - Proszę.

Poczula w sobie jego palce i zacisnęła dłoń na jego członku. Uniósł jej nogę, przyciągnął ją do siebie i wszedł w nią. Delikatnie i powoli. Patrzył na jej twarz, gdy się w nią zagłębiał, a potem

wysunął się z niej. Jej oczy błyszczały w świetle księżycy. Znowu zanurzył w nią palce i wygięła się ku niemu. - O tak, kochanie - wyszeptał. - Chcę, żebyś płonęła z rozkoszy, gdy będę w tobie. Chcę, żebyś przyznała, że żaden mężczyzna nie jest w stanie tak cię rozpalić.

Chciała go zapytać, czy przyzna, że żadna kobieta nie da mu takiej rozkoszy jak ona, ale nie była w stanie o niczym myśleć, gdy jej ciałem wstrząsnął orgazm. Czuł, że zeszywniała. - Byrony - wyszeptał. Szybko położył ją na plecach i wszedł w nią głęboko.

- Czuję cię - wydyszała Byrony. - Czuję, jak we mnie pulsujesz. Kocham cię, Brent.- Wygiął się i jęknął głośno. Poczowała, jak eksploduje nasieniem głęboko w niej.

Objęła go mocno, przytulając twarz do jego ramienia.

Brent czuł, że nadal w niej pulsuje. Jej słowa doprowadziły go niemal do szaleństwa. Nagle przypomniał sobie, co jeszcze powiedziała. Powiedziała to w chwili rozkoszy, pomyślał. Położył się na boku, ale nie wysunął się z niej. Odgarnął włosy z jej twarzy, powtarzając sobie w myślach, że to, co powiedziała, nie jest prawdą. - Byrony - zapytał - czy to prawda?

Przytuliła się do niego i oparła policzek o jego ramię.

Położył dłonie na jej pośladkach. - Czy to prawda? - powtórzył.

Spała.

Odetchnął głęboko. Jestem głupi, pomyślał. Jak mogłaby go kochać? Jest dla niej wyłącznie odskocznią. Nauczył ją rozkoszy. Namiętność sprawia, że ludzie mówią rzeczy, które nie są prawdą. On najlepiej o tym wiedział. Nie, nie mogła mówić poważnie. Nie mogła go kochać. Jezu, na pewno nie dał jej powodów, żeby go kochała. Wcale nie chciał jej miłości. Poczował, jak zarzuca mu nogę na brzuch i zeszywniał. Do diabła z nią, nie potrzebował jej miłości.

Jednak to nie była prawda.

ROZDZIAŁ 26

Brent usadowił się za dużym dębowym biurkiem ojca, które tak dobrze pamiętał z dzieciństwa. Ojciec wydawał się większy, gdy siedział za tym biurkiem, przed stosem ważnych dokumentów, kałamarzem z czarnego onyksu, złotym francuskim zegarem. Na chwilę zamknął oczy i rozparł się wygodnie w starym skórzanym fotelu. W jego głowie pojawiły się wspomnienia.

- Ufam, mój chłopcze, że ty i twój brat będziecie z szacunkiem traktować waszą nową matkę.

- To nie jest moja matka, ojciec - odpowiedział posepnie Brent. - Moja matka nie żyje.

Co mógł powiedzieć, skoro ojciec chciał mieć żonę tylko o cztery lata starszą od swojego najstarszego syna. Miał ochotę zapytać, dlaczego ojciec żeni się z tym podlotkiem, ale rozsądek mu podpowiedział, żeby tego nie robił.

- Tak, twoja matka nie żyje. Już od pięciu lat. - Avery Hammond westchnął i zaczął skubać swoje grube wąsy. - Byłem bardzo samotny, Brent. Możesz to zrozumieć?

Nie mógł, ale przytaknął. Chciał jechać na polowanie z Russellem Longstonem z sąsiedniej plantacji.

Pukanie do drzwi biblioteki wyrwało go ze wspomnień i szybko wstał zza biurka. - Proszę - powiedział. Zastanawiał się teraz, jak mógł być taki nieczuły na potrzeby ojca. A teraz było za późno, by to naprawić, o dziesięć lat za późno. Miałeś głupka za syna, ojciec, a jednak uczyniłeś go swoim spadkobiercą. Co mam zrobić?

Frank Paxton wszedł pewnym krokiem do pokoju. Pracował tu, zanim Brent Hammond wrócił do domu. Siadywał za biurkiem pana. Uśmiechnął się i podał Brentowi księgi. - Proszę, Brent. Rachunki zakupów, wydatki i zyski z ostatnich pięciu lat.

- Usiądź, Frank - powiedział grzecznie Brent - i zobaczymy, co tu mamy.

*

Byrony rozmawiała z nianią Bath w salonie. Laurel z obojętną miną siedziała wdzięcznie w bujanym fotelu.

- Chcę, żeby rozdano bawełnę całej służbie domowej, nianiu. To idiotyczne, że nasi ludzie muszą przez cały rok nosić wełniane ubrania.

- A więc - odezwała się Laurel ze źle skrywanym ziewnięciem - niewolnicy ci się skarżyli. Zrobią to samo nawet jeśli dasz im jedwab na ubrania. Oni...

- Musimy również - ciągnęła Byrony, ignorując Laurel - zatrudnić szwaczkę. Niewol... służba nie ma pojęcia o szyciu. Poza tym nie mają na to czasu. Porozmawiam z panem Hammondem o tkaninie także dla tych, którzy pracują w polu.

- Z pewnością to zrobisz! To leniwe, skamlące... no cóż, to wyrzucanie pieniędzy w błoto. Mój mąż nigdy nie zgodziłby się na takie marnotrawstwo. Brent nie jest głupi i jestem pewna, że on również się nie zgodzi.

Niania Bath nie odezwała się słowem. Pomyślała tylko: Co się stanie, gdy wyjedziesz, panienko? Wszystko zagrabi Paxton. Pani Laurel nic nie powie, a pan Drew, no cóż, on żyje w świecie swoich

obrazów.

- Nianiu, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym również spotkać się z kucharką. Jak ma na imię?

- Mile, panienko.

- Mile? Dziwne imię. No cóż, pójdę z nią porozmawiać.

Niania Bath spojrzała z ukosa na Laurel. Wyglądała tak, jakby miała ochotę kogoś zabić. - Tak, panienko - powiedziała niania Bath do Byrony.

Laurel wstała nagle, szeleszcząc żółtym jedwabiem. - Nianiu, czy zrobiłaś już moje perfumy?

- Tak, proszę pani, są w pani pokoju.

- Najwyższy czas. Możesz odejść. Chciałabym porozmawiać z... panią Hammond.

Byrony chciała coś powiedzieć, ale powstrzymała się. Niania Bath wyszła, zostawiając otwarte drzwi.

- Słucham, Laurel?

Zanim Laurel zdążyła cokolwiek powiedzieć, z biblioteki dobiegł je podniesiony głos.

- Żądam odpowiedzi, Paxton, i to natychmiast. - Brent mówił spokojnie, ale wrzała w nim złość.

Cholerny, kłamliwy drań!

- Posłuchaj, Brent - powtórzył Frank Paxton, zniżając głos - nie jestem przyzwyczajony, żeby mnie tak przepytywano. Sprzedałem tych niewolników Forresterowi, ponieważ prosił o to twój ojciec.

Transakcja została starannie zapisana w księgach. Brent uświadomił sobie, że powinien porozmawiać z panem Milsomem, bankierem ojca, zanim oskarżył Paxtona.

- Jaka jest twoja pensja, Frank?

Paxton wymienił sumę. Nie była specjalnie wysoka.

Kolejna sprawa, którą należy sprawdzić z Milsomem.

Brent zamknął księgi. - Przejrzę to później. Po południu chciałbym pojechać na pola.

- Proszę bardzo - odparł Frank Paxton. Nie robił niczego, czego nie robili inni sprytni nadzorcy.

Wstrzymał oddech. Nie zamierzał okazywać gniewu. Do diabła, jeśli zechce, po prostu wyjedzie z Wakehurst; miał wystarczająco dużo pieniędzy, żeby kupić własną plantację.

Po kilku chwilach Laurel zwróciła się do Byrony: - No cóż, wygląda na to, że Brent chce wycisnąć z posiadłości trochę więcej pieniędzy. Wątpię, żeby w tej sytuacji zaaprobował rozdawanie materiału niewolnikom.

- Zobaczymy - powiedziała Byrony obojętnym tonem.

- Tak, zobaczymy, prawda? Jak bardzo jesteście biedni, ty i Brent? - Lekko wzruszyła ramionami.

- Nie mogę uwierzyć, że Brent upadł tak nisko, żeby zostać właścicielem baru. Nie wyobrażam sobie, co powiedziałby jego ojciec.

Byrony wstała z krzesła i stanęła pod kandelabrem z brązu. - Brent wcale nie jest biedny, Laurel. Oboje jesteście bardzo dumni z „Dzkiej Gwiazdy”. Zainwestował także w inne przedsięwzięcia.

- A więc dlatego za niego wyszłaś? Dla pieniędzy?

- Nie, nie dlatego za niego wyszłam, ale dlatego ty wyszłaś za ojca Brenta, prawda?

- Myślę, Byrony, że... - Umilkła.

A co miałam zrobić? Uschnąć w zapomnieniu w rozwalającym się dworze rodziców?

- Nie wiesz o czym mówisz, panienko!

Byrony westchnęła, unosząc rękę w geście przeprosin. - To nie moja sprawa, Laurel. Również

nie swoją sprawą jest, dlaczego wysłałam za Brenta.

Brent zatrzymał się w drzwiach. Uśmiechnął się mimowolnie, słysząc spokojną odpowiedź Byrony. Ostatniej nocy nie była taka spokojna, pomyślał, i uśmiechnął się szerzej, a potem przypomniał sobie to, co krzyknęła w chwili orgazmu. Wyszedł, zanim się obudziła, choć wcale nie miał na to ochoty. Ale musiał, dla własnego spokoju. Nie chciał zobaczyć w jej oczach zawstydzenia czy fałszu. O ile w ogóle pamiętała, co mówiła.

Wszedł do salonu. - Gotowe do lunchu, moje panie?

Byrony nie mogła spojrzeć mu w oczy. Jak ostatnia idiotka powiedziała, że go kocha. Dała mu nad sobą nieograniczoną władzę. Czy jestem taka, jak moja matka? Kocham mężczyznę, który tylko bierze i rani?

On przynajmniej cię nie bije, gdy jest zły albo pijany.

- Oczywiście, Brent - powiedziała Laurel, podchodząc do niego z gracją. - Jak udało się spotkanie z Frankiem? Czy plantacja przynosi wystarczające zyski?

- Zobaczymy - odparł.

Laurel ciągnęła: - Frank Paxton to doskonały nadzorca. Szkoda, że wy dwaj niespecjalnie się dogadujecie. Słyszałyśmy waszą kłótnię.

- Wielu rzeczy szkoda - powiedział wymijająco Brent. - Idziesz, Byrony?

- Tak - powiedziała. Ich oczy spotkały się na moment. W jej wzroku było coś, czego Brent nie mógł rozszyfrować.

- Masz wielbicielkę, Brent - powiedział Drew podczas lunchu. Gdy Brent uniósł brew, Drew dodał z uśmiechem: - Lizzie. Niania Bath mówi, że buzia jej się nie zamyka.

Brent uśmiechnął się.

Laurel przez chwilę bawiła się masłem na nożu. - Jeśli chcesz tę małą dziwkę trzymać z dala od Franka, to może dasz ją Joshowi?

- Żeby mogła urodzić następnego niewolnika? - spytała Byrony. - Żeby zwiększyć zyski?

- Wystarczy, Byrony - powiedział Brent. - Drew, po lunchu jadę z Paxtonem na pola. Masz ochotę pojechać?

Drew skrzywił się. - Braciszku, pojedę z tobą, jeśli nie dasz sobie beze mnie rady. Ale mówiąc szczerze, chciałem pojechać do Natchez. Muszę kupić farby do portretu Byrony.

- Pomysł godny pochwały - odparł Brent. - Postaram się dać sobie radę bez ciebie.

- Mogę jechać z tobą, Brent?

- Dama nie ugania się po polach - odezwała się z niesmakiem Laurel. - To bardzo niestosowne, a także niezdrowe i nieskromne.

- Nieskromne? - spytała grzecznie Byrony.

- Niewolnicy mają na sobie wyłącznie krótkie spodnie, a niektórzy tylko przepaski. Nie wyobrażam sobie, żeby Brent chciał, żebyś na to patrzyła.

Ale Brent zastanawiał się na tym, że to niezdrowe. Dobrze pamiętał warunki w polu. Łatwo było o infekcję i nie zamierzał narażać Byrony.

- Nie, Byrony - powiedział. - Zostaniesz tutaj albo pojedziesz z Laurel odwiedzić miejscowe damy.

Spojrzała na niego pytająco, ale przestał zwracać na nią uwagę i dalej rozmawiał z bratem.

Gdy po lunchu wychodzili z jadalni, Byrony nieśmiało chwyciła Brenta za rękaw. - Czy możemy porozmawiać, zanim wyjedziesz?

- Dobrze. W bibliotece? - Ponieważ nie odezwała się, dodał rozbawiony: - A może wolałabyś w sypialni? Może masz dla mnie kolejną niespodziankę.

- W bibliotece - powiedziała sucho.

Gdy wchodziła do pokoju, spojrzał pożądliwie na jej biodra. - Czego pragniesz, kochanie?

Chrząknęła. - Czy nie powiedziałeś, że jestem odpowiedzialna za prowadzenie domu?

- A powiedziałem? No cóż, wydajesz się tak pewna, że pewnie powiedziałem. W jej oczach dostrzegł frustrację. - Tak, Byrony, jesteś panią Wakehurst. Nie musiałaś o to pytać.

- Chcę wydać trochę pieniędzy na materiał na ubrania. Służba ma tylko jedną zmianę odzieży na cały rok, Brent. I do tego wełnianą! To musi być dla nich okropne, nosić takie ubrania w lecie. I chciałabym zatrudnić szwaczkę. Nie wiedziałam, czy potrzebuję twojej zgody, ale Laurel powiedziała, że tak.

- Potrzebujesz mojej zgody - odparł.

- Czy ją dostanę?

Strzepnął pyłek z rękawa. - Twoja prośba wydaje się rozsądna.

Odetchnęła z ulgą.

- Dziękuję, Brent.

- Jeszcze jedna sprawa, Byrony. Na Południu wydatkami z reguły zajmuje się nadzorca. Chcę jednak, żeby wszystko ustalać ze mną. Nie życzę sobie, żebyś kiedykolwiek rozmawiała z Frankiem Paxtonem o pieniądzach. Rozumiesz?

- Nawet mi to nie przyszło do głowy. Dlaczego nie mogę pojechać z tobą?

- Bo tak postanowiłem. - Wiedział, że jest szorstki, ale nie chciał jej martwić. - Jeśli nie masz już do mnie żadnych spraw, skarbie, to cię pożegnaj. - Otworzył drzwi i zatrzymał się na chwilę. - Aha, Byrony, jeśli będziesz po południu odpoczywać, to myśl o mnie, dobrze?

Zamilkł i przyglądał się jej uważnie. - Może zastanowisz się, co chciałabyś mi powiedzieć... w chwilach namiętności. Naprawdę chciałbym wiedzieć, co myślisz.

Stała na środku pustego pokoju, usiłując odgadnąć, o co mu chodzi.

To mężczyzna, głuptasie, mężczyźni nie muszą być logiczni.

Byrony nie udało się zdrzemnąć po południu, choć o tym marzyła. Wśród niewolników rozeszła się wieść, że nowa pani rozdaje ubrania. Przyszło do niej kilka niewolnic w takim stanie, że Byrony miała ochotę się rozplakać. Onieśmiały ją komplementy o jej urodzie i dobroci. Przygięta niemal do ziemi Ofelia błagała o jedzenie dla szóstki swoich dzieci. Nieśmiała Sabilla była w ciąży. Bardzo bolał ją krzyż od pracy w polu i bała się, że straci dziecko. To była jej pierwsza ciąża, a miała dopiero piętnaście lat. Stara Die, która prosiła o lżejszą pracę, całe ciało miała pokryte wrzodami. Wydawało się, że lista potrzeb nie ma końca. Byrony czuła się bezsilna. Wszystkim powtarzała, że porozmawia z panem. Teraz leżała wygodnie w wannie, rozmyślając tęsknie o San Francisco i swoich przyjaciółkach. Co by powiedział Saint, gdyby zobaczył tyle nieszczęścia? Opowie mu o tym, gdy wrócą z Brentem do domu. Tak, dom to Maggie, Saxtonowie, Newtonowie...

Do sypialni weszła leniwie Laurel.

- Czy na Południu się nie puka? - spytała Byrony, odgarniając z czoła mokry kosmyk włosów.

- Mówiłam ci, co się stanie - powiedziała Laurel, ignorując słowa Byrony. - Nie sądzę, żeby Brent był zadowolony, że mieszasz się w jego sprawy.

- Laurel, ci ludzie to obraz nędzy i rozpacz. Nie mogę znieść, że ludzi traktuje się gorzej niż zwierzęta.

- Co Brent zamierza zrobić z Wakehurst?

- Nie wiem. Może jego o to spytasz.

- Z pewnością to zrobisz. Gdzie dorastałaś, że jesteś taka święta?

- W Bostonie.

- Ach - Laurel spojrzała na nią, a potem odwróciła się do wyjścia. W drzwiach rzuciła przez ramię: -Zdajesz sobie chyba sprawę, że kilku niewolników, którzy dziś z tobą rozmawiali, pracuje w polu. Każdy musi codziennie wykonać określoną normę. Jeśli ktoś jej nie wykona, dostaje chłostę.

Byrony wyskoczyła z wanny, a jej serce biło mocno. Lizzie gapiała się na nią, gdy szybko wytarła się ręcznikiem i pospiesznie wkładała strój do jazdy konnej.

- Panienko - pisnęła Lizzie - powinna mnie pani zawołać.

- Następnym razem cię zawołam, Lizzie - Dziesięć minut później Byrony wybiegła z domu.

Oliver, stary stajenny, osiodłał klacz, mrużąc pod nosem, że pan pojechał z panem Paxtonem na pole.

Wskazał na północ. Byrony skierowała klacz w tamtą stronę. Boże, co narobiła. Jechała pod grubymi gałęziami wiązów i dębów, przez które przebijało się popołudniowe słońce. Podczas przejażdżki z Drew widziała ścieżki, prowadzące na pole. Pojechała tą, która wydawała się prowadzić na północ. Pola bawełny były płaskie i ciągnęły się w nieskończoność. Już zaczynała się zastanawiać, czy stary Oliver dobrze ją skierował, gdy ujrzała grupkę niewolników.

Słońce zachodziło, gdy dostrzegła Franka Paxtona, jedyne białego człowieka, który związał bat. Niewolnicy w postrzępionych ubraniach stali wokół dębu. Poczuli, że robi się jej niedobrze i skierowała klacz w tamtą stronę. Do jednej z gałęzi przywiązana była Sabilla, ciężarna niewolnica, która prosiła o zmniejszenie czasu pracy w polu. Była naga do pasa. Jej plecy pokrywały krwawe ślady bata Franka Paxtona. Byrony słyszała jej ciche pojękiwanie.

- Co pan zrobił! - Zeskoczyła z konia i podbiegła do Paxtona. - Proszę ją natychmiast odciąć!

- Pani Hammond - powiedział Frank Paxton, kładąc jej rękę na ramieniu - ta kobieta zasłużyła na karę. Proszę się nie wtrącać w sprawy, które pani nie dotyczą.

- Nie dotyczą! - Zrzuciła jego dłoń ze swojego ramienia. - Ta kobieta jest w ciąży, panie Paxton! Natychmiast proszę ją odciąć!

- Nie, proszę pani - powiedział w końcu. - Zostanie tutaj aż do zmroku. Takie są zasady.

- Te zasady ustalają zwierzęta! - Ruszyła w stronę Sabilli.

Frank Paxton szybko zagroził jej drogę. Odezwał się niepokojuco spokojnym głosem: - Proszę mnie posłuchać, pani Hammond. Niech pani wsiada na konia i wraca do domu. Nie zamierzam pozwalać na to, żeby pani się wtrącała. Biali nie kłócą się przy niewolnikach, rozumie pani?

Byrony usłyszała szmer wśród niewolników. Nie wiedziała, co zrobić. O Boże, to jakiś koszmar.

- Co tu się dzieje?

Byrony niemal krzyknęła z radości, słysząc głos Brenta. Patrzyła, jak z gracją zsiada z konia.

- Zupełnie nic, Brent - powiedział od niechcienia Frank Paxton. - Właśnie mówiłem twojej żonie, że powinna wrócić do domu.

- Brent - odezwała się cicho Byrony - on wychłostał Sabillę. Muszę jej pomóc, to moja wina. Ona jest w ciąży.

Na chwilę zapadło milczenie, a potem Brent powiedział spokojnym, beznamiętnym tonem: - Nie, Byrony, już nie jest.

- Nie! - Byrony spojrzała na strużkę krwi, spływającą po nogach Sabilli. Na resztkach jej ubrania

pojawiły się rdzawe plamy.

- Wsiadaj na konia i wracaj do domu. Uniosła wzrok. - Ale, Brent...

- Rób, co ci każe. Obiecuję, że się nią zajmę, Jedź. Byrony powoli podeszła do swojej klaczy. Brent chwycił ją w pól i posadził w siodle. Koń pogalopował w stronę domu.

*

Lampa zamigotała i w pokoju zajaśniało światło.

- Wstawaj i ubieraj się. Musisz zejść na kolację. Byrony wpatrywała się w męża, ale się nie poruszyła. - Sabilla? - szepnęła.

- Porozmawiamy o tym później. - Odwrócił się i podszedł do drzwi, wołając: - Lizzie! Chodź tu i pomóż pani!

Gdy tylko to powiedział, stwierdził, że jest głupcem. Nie mógł przecież się wykapać i przebrać, gdy dziewczyna była w pokoju. Gdy stanęła przed nim, powiedział ostro: - Nieważne. Każ przynieść na górę wodę do kąpieli.

- Jeszcze przez jakiś czas możesz ukrywać się w łóżku. Muszę się wykapać - rzucił przez ramię.

- Nie ukrywam się!

- Och? Więc jesteś chora?

- Nie, nie w takim sensie, jak myślisz. Proszę, Brent, co z Sabillą?

- Wszystko w porządku. Oczywiście jest bardzo słaba, ale nic jej nie będzie.

- To przeze mnie ją wychłostano. Przyszła do mnie prosić o zmniejszenie godzin pracy. To było jej pierwsze dziecko, Brent. Bardzo cierpiała. To straszne! Boże, nie wierzę, że takie rzeczy się zdarzają.

Brent starannie złożył płaszcz i przewiesił go przez oparcie krzesła. - Byrony, przestań się obwiniać. To, co się stało, to nie twoja wina. Uwierz, że rozmawiałem z Paxtonem. Nie będzie już żadnej chłosty.

Westchnęła ciężko i patrzyła, jak się rozbiera. Do tej pory nie zwracała uwagi, jak bardzo się różnią. Ale teraz to zauważyła. Jego ciało było umięśnione i silne. Jednak nawet gdyby był niski i gruby, pomyślała, wracając do tego okropnego wypadku, i tak panowałby nad wszystkimi i wszystkim w swoim małym królestwie. Ma władzę, ponieważ jest mężczyzną, a ona jako kobieta jest tylko żebraczką. Może jedynie prosić i błagać, może jeszcze płakać, żeby cokolwiek uzyskać. Chciała zażądać, żeby wychłostał Paxtona. Pomyślała o swoim ojcu. Nie miał swojego królestwa, a mimo to miał władzę nad swoją żoną. Mógł ją bić i przeklinać, kiedy tylko przyszła mu na to ochota.

- Nie zamierzam w tym uczestniczyć - powiedziała.

Brent odwrócił się do niej. - Mogłabyś to wyjaśnić?

Do sypialni weszło dwóch czarnych chłopców z drewnianą wanną, pełną gorącej wody. Byrony wsunęła się pod prześcieradło.

W milczeniu obserwowała, jak jej mąż wchodzi do wanny. Kolana wystawały mu ponad krawędź. Miała ochotę się roześmiać na ten widok.

- Czekam.

- Chcę wyjechać. Wreszcie to powiedziała.

Brent nie odezwał się, dopóki nie skończył kąpieli. Gdy wyszedł z wanny, powoli zaczął się wycierać. - Trochę śmierdziałem - powiedział. - Odradzam ci kąpanie się w mojej wodzie.

- Kąpałam się wcześniej.

- Więc wylóż z łóżka i ubierz się.

- Mam również dosyć twoich rozkazów. Nie jestem jedną z twoich niewolnic, zostanę w łóżku, jeśli zechcę.

Roześmiał się. Do diabła z nim, roześmiał się! Złapała mały zegar, stojący na stoliku i rzuciła w niego. Zegar uderzył go w ramię i upadł na podłogę.

Nagle przestał się śmiać. Rozmasował ramię zamyślony. - A więc chcesz zostać w łóżku?

- Nie, Brent, nie mam ochoty! Jestem zła i czuję się winna... i... Nie!

- Mężczyzna ma prawo do jednej rzeczy: posłuszeństwa swojej żony. Czy nie wspominałem ci już o tym wcześniej?

- Nie zamierzam zaspokajać twoich... - Nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa, które oddawałoby, jej uczucia.

- Zaspokajać? - zadumał się, pocierając dłonią policzek. - To ciekawe słowo. - Wzruszył ramionami.

- Skoro jestem panem, kolacja może poczekać. - Ruszył w stronę łóżka.

ROZDZIAŁ 27

- Do diabła, nie! Nie pozwolę, żebyś mnie wykorzystywał i karał!

Byrony przeturlała się na drugą stronę łóżka, owijając szczelnie prześcieradłem.

- Wyglądasz jak prezent gwiazdkowy, zoneczko. Mój własny prezent, który mogę rozwinąć i cieszyć się nim.

Stęknęła, gdy złapał ją za biodra i przyciągnął z powrotem do siebie. Przewrócił ją na wznak i pochylił się nad nią z uśmiechem.

- Puść mnie, Brent - powiedziała zdyszana.

- Ależ nie - odparł od niechcenia. - Czy już ci mówiłem, że z rozpuszczonymi włosami wyglądasz jak mała dzikuska? Nie? No to mówię ci teraz, skarbie.

- Nie jestem twoim skarbem! - Wyrzuciła z siebie, nienawidząc ironii w jego głosie.

- A teraz odprawiasz swój cudowny rytuał pogardliwej małej damy. - Zamilkł i usiadł na piętach.

- Mam problem, ale myślę, że po prostu rozwinę cię jak flagę.

- Nie! - Szarpała się, gdy ciągnął ją na bok łóżka.

- Nie ruszaj się, Byrony. Tylko niepotrzebnie się zmęczysz. Wolałbym, żebyś zachowała swoją... dzikość dla mnie.

Ściągnął z niej prześcieradło i przewrócił na plecy.

- Tak jest lepiej - powiedział z zadowoleniem. - Gdybym był malarzem, tak jak Drew, namalowałbym cię właśnie taką: nagą, z falującym biustem, leżącą na plecach - zerknął w dół. - Myślę, że trochę rozchyliłbym ci uda i może zgiął jedną nogę w kolanie.

Byrony mocno zacisnęła nogi.

Wyszczrzył do niej zęby. - Czy to nie szczęście, że nie możesz ukryć swojego podniecenia między nogami? - Położył na niej dłoń.

- Obiecałeś, że nigdy mnie nie skrzywdzisz.

- Na miecz Damoklesa - powiedział, wsuwając w nią palce - czy można to uznać za krzywdę?

- Tak!

- Więc dlaczego robisz się taka wilgotna? Zamknęła oczy ze złości i zażenowania. - Nie jestem wilgotna.

Uniósł palec i przyłożył jej go do ust. - Nie jesteś? - Poczwała smak swojego ciała. Otworzyła szeroko oczy.

- Gdybyś tylko mogła leżeć spokojnie, sam z chęcią bym cię posmakował. - Pochylił głowę i pocałował ją. Czują jego język na swoich wargach. Uniósł głowę i powiedział miękko: - To na dobry początek, ale chcę się w tobie zatopić. Pachniesz tak słodko, Byrony. Uwielbiam zapach róż. Niania słynie ze swojego olejku różanego.

- Dodałam go do kąpieli - powiedziała. - Przestań, Brent. Sprawiasz, że zapominam...

- O czym, żono? - Jego palce znowu ją odnalazły i miała ochotę krzyknąć. - Najwyraźniej to jedyny sposób, żeby zamknąć ci usta.

Nie poruszyła się, gdy zniżył głowę i pocałował ją. Jestem słaba i głupia, pomyślała. Całe ciało reagowało na jego wprawne palce. Gdy puścił jej nadgarstek i położył dłoń na piersi, chciała go uderzyć, ale zamiast tego objęła go i wplotła palce w jego włosy.

Uśmiechnął się z satysfakcją, gdy jęknęła. - Do diabła z tobą - wysapała, usiłując zwalczyć ogarniającą ją rozkosz.

- Czy powiesz mi jeszcze raz, że mnie kochasz, Byrony? - Uniósł głowę i zamarł, widząc w jej oczach rozpacz. - Powiedz mi, Byrony - powiedział ochryplym głosem - powiedz, że mnie kochasz.

Położył się na niej i poczuła jego siłę, władzę i ciepło. Zadrżała pod wpływem jego pocałunku. Gdy w nią wszedł i zawładnął jej ciałem, ogarnęła ją niemal bolesna rozkosz. Czuł, jak napinają się jej mięśnie i jak całe jej ciało drży, gdy wstrząsnęła nią fala orgazmu. Wbił się w nią głęboko. Teraz, pomyślała, ja władam nim. Potem zatopiła się w rozkoszy i świat wokół przestał istnieć.

Brent zamknął jej usta pocałunkiem. Nie wiedział, że go obserwowała. Gdy wygiął się i zajęczał, usłyszał cichy szept: - Kocham cię.

Przez moment nie był w stanie się poruszyć, więc leżał na niej wyczerpany.

- Jestem zbyt ciężki.

Byrony nie poruszyła się, gdy Brent zsunął się z niej i położył na swojej stronie łóżka. Bawił się kosmykiem włosów nad jej uszami. - Jesteś moja, Byrony - powiedział, a zaborczość w jego głosie przywróciła ją do rzeczywistości.

Tak, pomyślała, jestem jego.

- Nigdy więcej nie mów o wyjeździe. Jeszcze nie teraz.

- Brakuje mi zapachu whisky z baru - odparła. -Prześlątko nim nasze mieszkanie. Pamiętam, że gdy pierwszy raz obudziłam się w twoim łóżku, poczułam dziwny ostry zapach. A teraz mi go brakuje. Chcę wrócić do domu, Brent.

Cholera, on też tego chciał. Położył się na plecach i przykrył ręką oczy. Oparła policzek na jego torsie, a on głaskał ją delikatnie po włosach i plecach.

- Kochasz mnie - powiedział zadowolonym i rozbawionym głosem. Poczuł, że zeszywniała. Zmrużył oczy. - Och, kobiety - odezwał się, łapiąc ją za włosy. - Powiecie wszystko, żeby dostać to, co chcecie, prawda? Wybacz mi, kochanie - ciągnął szyderczo - przecież jesteś damą. Laurel również jest damą, a przynajmniej ona tak uważa. O ile dobrze sobie przypominam, jest bardziej namiętna niż ty.

Byrony przełknęła ślinę. Bardzo powoli odsunęła się od niego i usiadła.

- Oczywiście między wami było w moim życiu tyle kobiet, że trudno mi to sobie przypomnieć.

Przez ułamek sekundy żałowała, że była dziewicą. Mogłaby teraz mówić mu o wszystkich mężczyznach, których знаła.

- Dlaczego jest w tobie tyle nienawiści?

- Widzę, że możesz nawet sprawić, żeby twój słodki głosik zadrżał. Bardzo poruszające. Bez względu na to, co naprawdę o mnie myślisz, Byrony, należysz do mnie. Tylko do mnie. Nie próbuj zasłaniać swojego ciała. Chyba trochę za późno na panięską skromność.

- Tak - odparła - za późno. - Opuściła ręce wzdłuż ciała, wygięła się w łuk i potrząsnęła włosami, pozwalając im opaść do pasa. Oddychał chrapliwie. -Czy tak właśnie zachowują się twoje damy, Brent? -Wysunęła piersi do przodu. - A może tylko twoje kochanki? Na przykład Celeste?

Zaskoczony, poczuł ogarniające go pożądanie, ale szybko się opanował. - Piersi Celeste są pełniejsze i cięższe - powiedział obojętnym tonem. - Ma ciemniejsze sutki, prawie w kolorze róży.

No i ma od ciebie szersze biodra. Mężczyzna ma za co złapać.

Chciała go ośmieszyć, odpłacić mu, ale przegrała. Czowała się poniżona. Zsunęła się szybko z łóżka i chwyciła suknię. Gdzie się podziała jej cholerna duma?

- Kłamałam, tak jak sądziłeś - odezwała się zimnym głosem. - Nienawidzę cię.

Wpatrywał się w nią, czując ból w podbrzuszu. -Dlaczego więc powiedziałaś, że mnie kochasz?

Ponieważ to prawda, ale ty nie kochasz mnie i nie mogę ci dać takiej władzy nad sobą.

Zmusiła się, żeby obojętnie wzruszyć ramionami. - Sam to powiedziałeś, Brent. Żeby dostać to, czego chcę.

- A czego chcesz?

Przymknęła oczy, żeby nie mógł dostrzec w nich bólu. Chciała coś powiedzieć, ale nie była w stanie wydusić z siebie słowa.

- Jestem pewien, że wkrótce się dowiem - powiedział i wstał z łóżka. - Ubieraj się, Byrony. Już jesteśmy spóźnieni na kolację.

*

- Brent! Słyszałem, że wróciłeś. Witaj, synu.

Brent uściskał dłoń Jamesa Milsoma. Przez krótką chwilę przyglądał się człowiekowi, który był jednym z najbliższych przyjaciół ojca i jego rówieśnikiem. Wyglądał staro, miał pomarszczoną twarz i przerzedzone siwe włosy. Czy ojciec wyglądał równie staro, gdy umierał? Przełknął ślinę. Dziesięć lat to kawał czasu.

- Tak, przyjechałem do Wakehurst w zeszłym tygodniu. Muszę z panem porozmawiać, panie Milsom.

- Czekałem na ciebie, Brent. Siadaj.

Brent usiadł w dużym skórzanym fotelu po drugiej stronie mahoniowego biurka i rozejrzał się po ciemnym biurze. - Pamiętam pańskie biurko i te obrazy -odezwał się. - Czy nadal wystawia pan konie na wyścigach?

- Tak. Mam nowy obrazek w kolekcji... - Milsom wskazał na obraz deresza. - Nazywał się Bullet. Biedak zakończył żywot kilka lat temu. Cieszę się, że mam jego obraz. Chyba tak było lepiej, złamał nogę na wyścigach. Ale dosyć tego.

- Natchez również się zmieniło - powiedział Brent. - Nowe budynki, więcej ruchu w dokach i więcej łodzi na rzece.

- To prawda. - Potrząsnął siwą głową. - Na tym statku parowym, na którym przez jakiś czas pływałeś, pięć lat temu nastąpił wybuch. Kapitan kretyn zrobił sobie wyścigi. Zginęło kilkoro ludzi. Słyszałem, że jesteś żonaty. Moje gratulacje.

- Dziękuję.

James Milsom rozparł się w fotelu i przyglądał młodemu człowiekowi, siedzącemu naprzeciwko. To już dojrzały mężczyzna, pomyślał, odsuwając od siebie wspomnienia o dawnym przystojnym, aroganckim młodzieńcu. Nagle powiedział bez ogródek: - Twój ojciec żałował tego, co się stało, Brent. Oczywiście nie od razu, był zbyt wściekły. - Brent dotknął palcem blizny na policzku.

- Rozumiem, że o wszystkim panu powiedział?

- Tak, ale tylko ja wiem, co się stało. Wybacz, jeśli otwieram stare rany, Brent. Ale przyjechałeś, żeby porozmawiać ze mną o ojcu, prawda?

- O nim i o innych sprawach. - Brent westchnął. - Na miejscu ojca pewnie bym zabił takiego syna. Byłem okropnym synem, prawda?

- To już przeszłość, Brent.

- Tak, on nie żyje i za późno, żebym mógł mu to wynagrodzić.

- Czy wiedziałeś, że czytał twoje listy do brata? Śledził twoje postępy. Cieszył się, gdy otworzyłeś bar w San Francisco. Pamiętam, jak mi mówił, że wreszcie się ustatkowałeś, pogodziłeś sam ze sobą.

Brent pamiętał ten list, ostatni, który napisał. Był pełen satysfakcji, nadziei i podniecenia. I ojciec to czytał.

- Szkoda, że nie zdążył się dowiedzieć o twoim małżeństwie. To by go dopiero ucieszyło.

- Naprawdę? Wątpię. Może oczyma wyobraźni widział mego syna w łóżku z moją nową młodą żoną. Ostateczna ironia, ostateczna sprawiedliwość.

- Nie sądzę, żeby twoja młoda żona miała zamiar umrzeć - odparł sucho James Milsom.

- Mnie trudno sobie wyobrazić, że umarła moja matka.

Milsom skrzywił się i oparł w fotelu. - Chyba czas pogrzebać poczucie winy, Brent. Ja na pewno cię nie obwiniam, a twój ojciec przestał cię winić zaraz po twoim wyjeździe. Laurek. - Zamilkł na chwilę, uważnie dobierając słowa. - Sądzę, że to bardzo nierozsądne, gdy mężczyzna żeni się ze znacznie młodszą od siebie kobietą. Twój ojciec bardzo szybko uświadomił sobie swój błąd. Po prostu nie mógł się do tego przed sobą przyznać, dopóki nie nakrył cię w łóżku z Laurel. Później nigdy nie zbliżył się do niej jak do żony.

- Dlaczego? Ponieważ ją zbrukałem?

- Nie, ponieważ nie mógł znieść własnej głupoty i ślepoty. Posłuchaj, Brent, twój ojciec nie spędził tych ostatnich lat w samotności. Znalazł sobie kogoś i był szczęśliwy.

Brent pochylił się do przodu.

- Nie powiem ci, jak nazywa się ta dama. Wystarczy, jeśli powiem, że był dyskretny i wiem o niej tylko ja.

- To dobrze - powiedział Brent. - Zasługiwał na odrobinę szczęścia. Gdybym nie był wtedy takim samolubnym łajdakiem, z pewnością zrozumiałbym.

- Jeszcze nie spotkałem świętego osiemnastolatka, Brent. Muszę ci jeszcze coś powiedzieć. Byłem z twoim ojcem, gdy umierał. Chciał napisać do ciebie list... żeby ulżyć swojemu i twojemu sumieniu. Ale zabrakło mu czasu. Szkoda. Jeśli chodzi o jego testament, to wydziedziczył cię tylko na krótko. Ponownie uczynił cię swoim spadkobiercą jakieś osiem lat temu. List. Tak, rozmyślał Brent, zaciskając dłonie, szkoda. - Na miejscu ojca zostawiłbym wszystko Drew.

- Twojego brata obchodzi jedynie malarstwo, wiesz o tym. A jeśli chodzi o Laurel, to ciekawe, że oddał jej los w twoje ręce.

- Jeszcze nie postanowiłem, co z tym zrobić. - Brent przerwał na moment, a potem ostrożnie powiedział: - Jest jeszcze jeden powód, dla którego tu jestem. Chodzi o Franka Paxtona.

- A tak, oczywiście.

- Wydaje mi się, że nadzorca Wakehurst przez wszystkie te lata napychał sobie kieszenie, zwłaszcza gdy ojciec zachorował.

- To pewnie prawda, ale nie mogę tego dowieść. Wiesz przecież, że choroba albo nieobecność pana zawsze się tak kończy. Na twoim miejscu, Brent, po prostu bym go zwolnił.

A kto wtedy będzie zarządzał Wakehurst?

- Najpierw powinienem mu skrócić kark. Czy prowadzi pan interesy Paxtona?

- Nie, on nie jest taki głupi. Czy twoja żona pochodzi z Południa?

Ja również nie jestem głupi, pomyślał Brent, uświadamiając sobie, do czego zmierzał pan Milsom. - Dzieciństwo spędziła w Bostonie, a w zeszłym roku wróciła do Kalifornii.

- A więc nie rozumie, jak się tutaj żyje.

- Zupełnie. A mówiąc szczerze, ja również nie. Nie mam pojęcia co zrobić.

- Z Wakehurst?

- Z Wakehurst i Laurel.

- Oczywiście mogę ci pomóc znaleźć nowego zarządcę.

Brent machnął ręką. - Nie, nie o to chodzi. Jak już mówiłem, w pewnym sensie stałem się abolicjonistą. Zapewne pan wie, że Kalifornia przyłączyła się do unii jako wolny stan. Nie mogę dłużej znosić tego, co tu się dzieje.

- Wiesz równie dobrze jak ja, Brent, że nic się nie zmieni bez przemiany gospodarczej. To proste, Południe nie może istnieć bez niewolnictwa.

- Nie zamierzam brać w tym udziału.

- To stwarza pewien problem. Nie wiem, co ci doradzić, synu. Ponieważ jestem bankierem, mój majątek nie jest bezpośrednio związany z niewolnictwem, dlatego też nie będę ci prawil kazania o tym, co jesteś winien swoim przodkom i innym plantatorom. Może gdybyś sprzedał plantację?

- Nie poprawiłoby to sytuacji niewolników.

- Rozmawiałeś o tym z Laurel?

Brent przecząco potrząsnął głową i wstał. - Muszę wiele rzeczy przemyśleć. Dziękuję, że zechciał się pan ze mną zobaczyć.

James Milsom serdecznie uściśnął dłoń młodego mężczyzny. - Gdybyś chciał ze mną jeszcze porozmawiać, to wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Brent przejechał zamyślony przez miasto i skierował konia w stronę Missisipi. W odludnym zakątku zsiadł z konia i przywiązał go do drzewa. Powoli podszedł do brzegu rzeki i wpatrywał się w jej brązową toń. Usiadł, oparł plecy o pień wiązu i wyciągnął nogi.

Co miał zrobić?

Był tak zamyślony, że nie zauważył jeźdźca, który się do niego zbliżał. Podniósł głowę i wtedy dopiero zobaczył niebieski aksamitny kostium do jazdy konnej i miedziane loki pod jeździeckim kapelusikiem.

- Proszę - powiedział od niechcienia, nawet nie wstając - moja droga Laurel. Jak ci się udało mnie znaleźć?

ROZDZIAŁ 28

Laurel wpatrywała się w niego z końskiego grzbietu i poczuła taki sam niepohamowany pociąg jak wtedy, gdy przyjechał do Wakehurst. Nie, poprawiła się w myślach, tym razem nie niepohamowany, tym razem mogła nad nim zapanować. Patrzyła na niego bez słowa. Jej uwagę przykuły jego mocne, umięśnione uda. W końcu spojrzała mu w oczy i zaskoczył ją sarkazm, który w nich ujrziała. Powoli zsiadła z klaczy i przywiązała ją obok ogiera Brenta.

Mógłby przynajmniej wstać. Wszyscy panowie, których знаła, już prawiliby jej słodkie komplementy. Podeszła do niego z gracją, uderzając szpicrutą o spódnicę.

- Na twoim miejscu nie przywiązywałbym klaczy obok niego, Laurel - odezwał się leniwie. - To nieźła źrebica, a on, no cóż... - przerwał i wyszczerzył do niej zęby.

- Zobaczyłam twojego konia - powiedziała szorstko. - I zatrzymałam się. Byłeś w Natchez?

- Tak.

- Po co?

Uniósł brew. - Czy to przesłuchanie?

- Pojechałeś więc spotkać się z kobietą? I boisz się, że powiem twojej żonce?

- Czy znasz kogoś, kto mógłby mnie zadowolić, Laurel?

- Przestań, Brent!

- Pojechałem spotkać się z panem Milsomem. Powiedział mi wiele ciekawych rzeczy.

- Na twoim miejscu, Brent, nie słuchałabym tego starca. Twój ojciec nie ufał mu. Mówiąc szczerze, prawie ze sobą nie rozmawiali przez ostatnie kilka lat.

Nawet uśmiechając się do niej, zastanawia! się, dlaczego kłamie na temat Jamesa Milsoma. Czyżby nie był jednym z tych głupców, którzy się kolo niej kręcili? - Ależ jesteś porywcza. Nie martw się, Laurel. Pan Milsom jest dżentelmenem, a dżentelmen nigdy nie wyraża się niepochlebnie o damie.

- W przeciwieństwie do ciebie?

- W przeciwieństwie do mnie - zgodził się. - Chcesz ze mną o czymś porozmawiać, Laurel? Czy jedziesz dalej?

Laurel zamilkła na chwilę, widząc, że spojrzał na jej piersi. Nadal mnie podziwiał, pomyślała, nadal mnie pragnie. Ona również go pragnęła, zawsze tak było, ale tym razem musi być ostrożna. Zawsze posługiwała się swoją urodą i ciałem, żeby dostać to, co chciała. Cóż innego mogła zrobić kobieta? Przypomniała się jej wczorajsza kolacja, podczas której panowała bardzo napięta atmosfera. Najwyraźniej Brent i jego mała słodka żoneczka pokłócili się. Byrony skupiła uwagę na Drew, a ten głupiec traktował ją jak najcenniejszy klejnot. Odezwała się w końcu miękkiem i niskim głosem: - W zasadzie nie mieliśmy czasu, żeby porozmawiać na osobności.

- Rozumiem - odparł Brent.

- Byrony pozuje Drew. Najwyraźniej nie zależało im na moim towarzystwie, więc pojechałam na przejażdżkę.

Brent przypomniał sobie, jak mówił Byrony, w jakiej pozie najchętniej by ją widział. Nagą, z rozchyłonymi nogami. Ale tylko dla niego. Rozzłościł się na siebie. - O czym chcesz rozmawiać, Laurel? - spytał ostro. - Czy zamierzasz tak stać nade mną, czy może usiądziesz?

Usiadła obok niego z gracją, układając fałdy obfitej spódnicy.

- Wiesz, myślałem, że będziesz staro wyglądać - odezwał się rozbawionym głosem. - W końcu, gdy wyjeżdżałem, miałem tylko osiemnaście lat, a od tamtej pory minęło dziesięć lat. Teraz jesteś piękniejsza niż wtedy.

- Dziękuję.

Zastanawiał się, czy za dziesięć lat Byrony będzie wyglądała piękniej niż teraz. Nie wydawało mu się to możliwe.

- O czym chcesz rozmawiać? - powtórzył. Wzruszyła ramionami, ale wpatrywała się w niego intensywnie. - Martwię się o swoją przyszłość. Testament twojego ojca jest taki dziwny. Chciałabym wiedzieć, co zamierzasz zrobić.

- To się nazywa konkretna rozmowa - powiedział. - Cieszę się, gdy kobieta tak rozmawia, Laurel. - Spojrzał na rzekę. - Przychodziłem tu, gdy byłem chłopcem, zwłaszcza po śmierci matki. Bardzo za nią tęskniłem.

Laurel przezornie się nie odezwała. Odwrócił się do niej. - Powiem ci prawdę, Laurel. Jeszcze nie zdecydowałem, co mam zrobić.

- Mógłbyś tu zostać. Tutaj się urodziłeś i wychowałeś. Tego oczekiwał i chciał twój ojciec.

Czyżby, pomyślał Brent, przypominając sobie, że James Milsom mówił, iż ojciec cieszył się, że Brent kupił bar i odnalazł siebie. Jeśli ojciec naprawdę w to wierzył, to dlaczego uczynił go swoim spadkobiercą? Przecież wiedział, że Brent będzie musiał wrócić.

Lekko dotknęła jego ramienia. - Jest tu wiele możliwości, Brent.

Musiałby być ślepy, żeby nie zauważyć w jej oczach propozycji. Pomyślał o Byrony, pozującej dla Drew, żartującej z nim.

- Niewątpliwie masz rację - powiedział i podniósł się szybko. - Czy mam jechać z tobą do Wakehurst?

Przytaknęła. Wziął ją za rękę i pomógł wstać. Natychmiast puścił jej dłoń.

Spojrzała na niego. - Dziesięć lat temu ja również byłam bardzo młoda, Brent - powiedziała niemal szeptem. - Młoda i głupia, tak jak ty.

Brent nie odezwał się. Złapał Laurel wpół i posadził w siodle. Czuł jej wzrok na plecach, gdy wsiadał na konia.

*

Byrony i Drew siedzieli na werandzie, popijając specjalny napój miętowy niani Bath, gdy na podjeździe pojawiła się Laurel w towarzystwie Brenta. Byrony widziała, jak Brent pochyła się nad mówiącą coś Laurel i się śmieje. Była gotowa go teraz zastrzelić. Odwróciła się do Drew i zaczęła coś mówić nienaturalnie radosnym głosem. Ledwie zaczęła, gdy Laurel jej przerwała: - Czy skończyliście... pracę na dzisiaj?

Złośliwa suka! Zanim Byrony zdążyła cokolwiek powiedzieć, odezwał się Drew: - Tak. Na dworze jest zbyt ładnie, żeby siedzieć w domu. Brent, musisz zobaczyć szkice. Chciałabym wiedzieć, czy ci się podobają.

Brent rzucił Byrony takie spojrzenie, że oblała się rumieńcem. Chciała krzyknąć, że miała na sobie tyle ubrań, iż nawet pruderyjna ciotka Ida byłaby zadowolona. Zamiast tego zerwała się

niezdarnie z fotela i wygładziła spódnicę. - Tak, może je obejrzysz. Ja chyba się przebiorę i wybiorę na przejażdżkę. - Spojrzała na męża. - Zawiozę jedzenie i ubrania niewolnikom.

- Nie - powiedział cicho Brent - nie zawieszysz. Ach, więc pan przemówił, pomyślała, zagryzając dolną wargę. - Dlaczego nie?

- Ponieważ, kochanie, to bezsensowne wyrzucanie pieniędzy, tak jak ci mówiłam - odezwała się Lau-rel.

Brent nie mógł się pohamować i uśmiechnął się szeroko do żony. Najwyraźniej miała ochotę natrzeć mu uszu. - Powiem ci, jak zrobimy, Byrony. Przebierz się, a potem pojedziemy razem i porozmawiamy o twoich... planach.

Uwielbia się ze mną drażnić, pomyślała, idąc po schodach. Lizzie już czekała, żeby pomóc jej się przebrać. Dziewczyna, która zazwyczaj paplała jak najęta, była dzisiaj dziwnie cicha. Byrony jednak za bardzo pochłaniały własne myśli, by mogła zwrócić na to uwagę.

Gdy wróciła na werandę, Brent siedział obok Lau-rel ze szklanką napoju miętowego w dłoni.

- Jestem gotowa, Brent - powiedziała ostro.

- Już? No cóż, niegrzecznie z mojej strony byłoby kazać czekać damie, zwłaszcza mojej żonie.

Chwilę później jechali na pola. Byrony nagle odwróciła się w siodle i powiedziała: - Brent, zeszłej nocy spytałeś mnie, czego chcę.

- To prawda. To było bardzo nierozważne z mojej strony. No więc, czego chcesz? Chcesz wrócić do Bostonu? Z biżuterią i furą pieniędzy? Furą moich pieniędzy.

Gwałtownie szarpnęła za uzdę i przez chwilę musiała uspokajać konia.

- Nie - odparła, nie patrząc na niego. - Chcę jedzenia i ubrań dla niewolników.

- Moja żona samarytanka - zaczął. Pochylił się i wydawało się jej, że w jego oczach dostrzega kpinę.

- Brent - powiedziała całkiem spokojnie - dosyć tych bzdur.

- Jakich bzdur? - spytał, ale dostrzegła, że był zaskoczony. Nie miała zamiaru pozwolić mu się obrażać.

- Dlaczego - powiedziała - nie porozmawiamy o dręczących cię demonach przeszłości?

Zmrużył oczy.

- Maggie powiedziała mi kiedyś, że trzeba czegoś specjalnego, żeby zwrócić na siebie uwagę mężczyzny. Dlatego kupiłam pejcz.

- Chyba czas, żebyśmy wrócili do domu - powiedział Brent.

- Jeszcze nie. Czy naprawdę wierzysz, że wszystkie kobiety są nieuczciwe i podstępne? Że wszystkie kobiety czegoś chcą?

- Dosyć, Byrony.

- Wierzysz? Dziesięć lat utwierdzania się w tym przekonaniu wystarczy, Brent. Gdyby Laurel wiedziała, jaki wywarła na ciebie wpływ, chyba by zaniemówiła. Uwiodła zdrowego, młodego chłopca i zamieniła go w nieufnego, zgorzkniałego mężczyznę.

Zaklął soczyście.

- Brent, proszę, posłuchaj mnie! Maggie jest kobietą i twoją przyjaciółką, prawda? Czy jej również nie ufasz?

- Zamknij się, Byrony. Nie wiesz, o czym mówisz.

- A może wiem - powiedziała, patrząc na niego. - Myślę, że boisz się... być dla mnie miły. Boisz się, że zaczniesz mi na mnie zależeć, że mogę cię zranić. - Złapała go za rękaw. - Czy to prawda?

Zrzucił jej rękę i zacisnął dłonie na uździe.

- Brent, poczekaj! Co z jedzeniem i ubraniami dla niewolników?

- Tak, jak powiedziałaś, Byrony, wszystkie kobiety czegoś chcą. Dziś wydajesz się samarytanką.

Ale jutro, kto wie?

- Brent, proszę!

- Może sprzedasz naszyjnik Iry Butlera? Wystarczy ci, żeby udawać miłosierną panią.

Zawrócił konia i wkrótce znikł jej z oczu.

Byrony stała w bezruchu, patrząc za nim. Oczywiście, że miała rację. Po prostu nie zdawała sobie sprawy z rozmiaru poczucia winy i zdrady i z roli, jaką odegrała w tym kobieta. Nigdy by sobie tego nie uświadomiła, gdyby nie przyjechali do Wakehurst. Był taki zamknięty w sobie! I uparty. I stawał się nieznośny, gdy za bardzo się do niego zbliżała. Wyprostowała się i skierowała klacz w stronę domu.

Co teraz robi jej mąż?

- Dowiedziała się tego podczas kolacji. Był bardzo uprzejmy i grzeczny. I bardzo odległy, pomyślała Byrony, przeżuując kęs pieczonej szynki.

- Ten smażony piżmian jest doskonały - odezwał się Brent. - Zapomniałem, jak pyszne jest jedzenie na Południu.

- Masz rację - odparła Byrony, uśmiechając się pogodnie do wszystkich. - W Bostonie przez cały czas jadaliśmy ryby. W pewnym momencie myślałam, że wyrosną mi skrzela.

- Czy ciotka Ida nie mówiła ci o życiu? - spytał Brent. - W tym wieku pewnie wyrastały ci ciekawsze rzeczy niż skrzela.

Przez ułamek sekundy miała ochotę rzucić w niego fasolą. Zdołała się jednak ograniczyć do odpowiedzi. - Ciotka Ida nigdy nie wyszła za mąż. Ona nie...

to znaczy, nie rozmawiała... - Umilkła, słysząc perlisty śmiech Laurel.

- Jesteś bardzo zabawna, Byrony - powiedziała Laurel, ocierając usta płócienną serwetką. - Sądzę, że każda dziewczynka ma taką krewną.

- Niezameżną i przez to nieświadomą i pruderyjną? - spytał Brent.

- Ty sam do niedawna nie byłeś żonaty, bracie - odezwał się Drew - ale jakoś takie określenie do ciebie nie pasuje.

- Nie sądzę, żeby takie określenie pasowało do większości kobiet - odparł Brent i spojrzał na żonę. - Oczywiście, jeśli kobieta nie jest na tyle ładna i pociągająca, żeby zwrócić uwagę mężczyzny, musi się zadowolić pracą charytatywną. Panie przy tym stole mają wiele szczęścia, nie sądzisz, Drew?

- Czy mężczyzna, który nie ma odpowiedniego wyglądu, też musi zadowolić się czymś innym?

- Chcesz powiedzieć, czy staje się zgorzkniałym starym kawalerem? - powiedział lekko Brent. - Och nie, kochanie, jeśli ma pieniądze, może sobie kupić to, co chce.

- Nie byłoby tak, gdyby kobiety miały choć trochę władzy - powiedziała Laurel.

- Dzięki Bogu, że kobiety nie mają takiej władzy, jak mężczyźni - odparł Brent, potrząsając głową. - My, mężczyźni, stalibyśmy się wtedy pieskami pokojowymi, proszącymi się o smaczny kąsek.

Byrony rzuciła spojrzenie na Laurel. Oczywiście miała rację. Gdyby Laurel miała władzę, a władza to pieniądze, czy wyszłaby za mąż za ojca Brenta? Gdybym ja miała pieniądze, nigdy nie wyszłabym za Iry.

A za Brenta? Potrząsnęła głową, nieświadoma, że mąż jej się przygląda. Pragnęła go. Mimo wszystko nie miała wyboru.

Usłyszała, jak mówi: - Zastanawiam się, ile pań by nam uległo, gdyby nie zmuszała ich do tego sytuacja?

Mówi o nas, pomyślała Byrony. A może o wszystkich kobietach, którym płacił. O swoich kochankach.

- Braciszku - odezwał się Drew - nie bądź taki cyniczny. Istnieje coś takiego jak miłość. Dziwny stan emocjonalny.

- Miłość, Drew? Chyba chodzi ci o niezaspokojone pożądanie. Jeśli raz zostanie zaspokojone, co pozostaje? - Wzruszył ramionami.

- Troska? Zaufanie? Dzieci? - wyrzuciła z siebie Byrony, zanim zdążyła się zreflektować.

Brent roześmiał się. - No cóż, dzieci niewątpliwie przywiązują mężczyznę. Podcinają mu skrzydła.

Byrony zamknęła na sekundę oczy, te słowa ją ubodły. Położyła rękę na brzuchu. Dlaczego ten okropny mężczyzna nie zmierzy się sam ze sobą.

- A więc dlaczego mężczyźni się żenią? - spytała od niechcienia Laurel. - Czyżby znowu chodziło o niezaspokojone pożądanie?

Brent milczał przez chwilę. Napił się wina, a potem ostrożnie odstawił kieliszek. - Owszem albo znajdują się w sytuacji bez wyjścia.

- Chodzi ci o uwiedzenie damy?

- Ach, Laurel - powiedział Brent - nadal się zastanawiam, czy coś takiego jak dama w ogóle istnieje.

Byrony rzuciła serwetkę na stół. Chciała go obrzucić przekleństwami, ale opanowała się. Nie przy Laurel i Drew. Uśmiechnęła się sztucznie i wstała. - Jeśli mi wybaczyacie - powiedziała nienaturalnie spokojnym tonem - to pójdę się położyć.

Wyszła z jadalni, nie oglądając się za siebie. Gdy weszła do sypialni, spojrzała tęsknie na drzwi, żałując, że nie ma w nich zamka.

Była tak zamyślona, że w pierwszej chwili nie zwróciła uwagi na dziwny dźwięk, dobiegający z rogu sypialni obok balkonu.

- Lizzie?

Rozległo się kolejne chlipnięcie. Byrony szybko podeszła do szklanych drzwi i zobaczyła skuloną w rogu Lizzie.

- Lizzie - powiedziała, kucając obok dziewczyny - co się stało? Dlaczego płaczesz?

Lizzie przetarła dłońmi oczy. Słyszała, że pan zabronił panience dawać niewolnikom jedzenie i ubrania. Zabronił tego także Frank Paxton. Złapał ją koło domu i powiedział, że wkrótce będzie jego. Ale panienka nie mogła nic na to porazić. Paxton jest biały i jest nadzorcą. - Nic, panienko - wymamrotała, nie patrząc Byrony w oczy.

Byrony usiadła na piętach i zmarszczyła brwi. - Jesteś pewna, że nie chcesz mi powiedzieć, co cię trapi?

Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową.

- Dobrze, Lizzie - powiedziała w końcu. - Pomóż mi się rozebrać, a potem idź spać. Jeśli jutro zechcesz ze mną porozmawiać, będę tu.

Koło północy Brent wszedł cicho do sypialni. Przez odsłonięte okna wpadało światło księżyca.

Byrony leżała na boku, z twarzą przytuloną do dłoni. Podszedł do łóżka i przyglądał się jej. Targały nim silne emocje i roześmiał się cicho. Pożądanie, pomyślał. Nadal jej pożądał. Pochylił się i wziął w dłonie kosmyk jej włosów. Na chwilę przymknął oczy. Poruszyła się, ale nie obudziła. Rozmyślał o tym, co powiedziała. Oczywiście miała rację. Ale to, że ktoś ma rację, nie zawsze oznacza, że coś się zmieni. Wiedział tylko, że w tej chwili jej pragnie.

Rozebrał się i położył obok. Podciągnął jej koszulę do pasa i przewrócił ją na plecy. Rozchylił jej nogi i delikatnie w nią wszedł.

Zaparło mu dech w piersiach, gdy poczuł ciepło jej ciała.

Byrony obudziła się, czując go w sobie. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, co się dzieje.

- Nie! - Zaczęła z nim walczyć, ale przygniótł ją swoim ciężarem i nie przestawał się w niej poruszać.

- Leż spokojnie - powiedział chrapliwym głosem. - Boże - jęknął i pchnął mocniej, tracąc panowanie nad sobą.

Widziała nabrzmiałe żyły na jego szyi, gdy odchylił głowę i jęczał z rozkoszy. Poczula w sobie jego nasienie.

Brent opadł na nią, sapiąc.

Byrony nie poruszyła się. - Czy już ze mną skończyłeś?

Uniósł się na łokciach i spojrzał na jej pobladłą twarz. Jej głos był taki beznamiętny.

- Może - odparł. - A może nie. Lubię być w twoim ciele. Jesteś ciepła i miękka.

- I nie musisz mi płacić.

Coś w nim zadrżało. Zraniła go.

- Oczywiście piłeś. To tłumaczy każde zachowanie mężczyzny, prawda Brent? No i teraz, gdy zaspokoiliś swoją żądzę, już nic nie pozostało.

Ból przerodził się w nim w gniew. - Następnym razem postaram się zaspokoić i twoje żądze, żono. Zawsze po tym jesteś taka rozkoszna i czuła.

I mówisz mi, że mnie kochasz.

Wyszedł z niej, na chwilę przykucając pomiędzy jej udami.

- Nie warto, Brent - powiedziała beznamiętnie. - Chciałabym teraz zasnąć. Proszę, zostaw mnie w spokoju.

Zaklął cicho i odsunął się od niej. Bardzo powoli złączyła nogi.

Odwrócił się do niej plecami.

Nie poruszyła się. Usłyszałby, gdyby się poruszyła. Wyobraził ją sobie, leżącą na plecach, z koszulą nocną podciągniętą do pasa. Pragnął wziąć ją w ramiona, przytulić i powiedzieć...

Co powiedzieć, ty głupcze ?

ROZDZIAŁ 29

Byrony podała naszyjnik utyskującemu panu Dubois. Wiedziała, że naszyjnik mu się podoba, ale oczywiście nie mógł jej tego powiedzieć, skoro chciała go sprzedać.

Głośno pan Dubois powiedział: - Wykonanie nie jest takie, jak się spodziewałem, ale pasuje do tych kamieni.

Nie odezwała się, przekrzywiła tylko głowę i czekała. Miała nadzieję, że zaoferuje jej więcej niż inni.

Pan Dubois wciąż przyglądał się perłom i diamentom w naszyjniku, a potem westchnął ciężko. - Obawiam się, że nie mogę pani zaproponować więcej niż trzysta dolarów, pani Hammond. Zapotrzebowanie na...

- Nie, dziękuję, panie Dubois - powiedziała Byrony i wyciągnęła rękę po naszyjnik. - Czy mogę prosić o mój naszyjnik?

Zobaczyła, że chciwie ścisnął klejnot.

- Może mógłbym dać odrobinę więcej - powiedział. - Powiedzmy, czterysta dolarów?

- Nie, dziękuję, panie Dubois - powtórzyła Byrony.

- Ile pani chce? - spytał w końcu trochę jękliwie.

- Nie mniej niż pięćset dolarów.

Zrzędził przez dłuższą chwilę, ale Byrony doświadczyła już tego u trzech innych jubilerów.

- Nie, szanowna pani, po prostu nie mogę... Przecież nie sprzedam go za więcej niż...

Przerwała mu. - To pańska decyzja. Czy mogę prosić o naszyjnik?

Zaklął pod nosem i miała ochotę tańczyć z radości.

Dziesięć minut później siedziała już w powozie z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Gdzie teraz, panienko? - spytał Oscar. Byrony wzięła głęboki oddech, nadal nie mogąc uwierzyć w swoje zwycięstwo. - Do sklepu z odzieżą.

*

- Gdzie się podziewałaś?

Byrony spojrzała na męża, stojącego na ostatnim stopniu werandy z rękoma na biodrach i nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Więc? Niania Bath powiedziała mi tylko, że pojechałaś rano z Lizzie do Natchez. A teraz jest już wieczór. Gdzie się podziewałaś, Byrony?

W tym momencie przestała być pewna, że powinna mu powiedzieć. Czy był w stanie powstrzymać sklep od przesłania bawełnianych spodni, koszul i spódnic? Beczki z solonym mięsem jechały właśnie do kwater niewolników, a więc przynajmniej z tym nie mógł nic zrobić. Ale czy na pewno?

Uświadomiła sobie, że nie tylko mógł wszystko powstrzymać, ale także, jako pan, mógł wszystko skonfiskować. Czy byłby tak okrutny?

Oblizwała suche wargi. - Powiem ci - odezwała się, wiedząc, że nie ma wyboru. Wkrótce i tak się

dowie.

- Czekam.

- Sprzedałam naszyjnik od Iry i kupiłam ubrania i mięso dla niewolników.

Brent miał wrażenie, jakby dostał cios w brzuch od człowieka rozmiarów Sainta Morrisa. Do głowy mu nie przyszło, że Byrony pojedzie sprzedać naszyjnik. Najpierw nie zwracał uwagi na jej nieobecność, myśląc, że pewnie jest na niego wściekła za zeszłą noc, potem zaczął się martwić, aż w końcu ogarnęła go wściekłość, że odeszła od niego bez słowa. Doświadczył wszelkich możliwych uczuć.

- Rozumiem - wydusił z siebie.

- Przecież powiedziałaś mi, że sama powinnam zdobyć pieniądze.

Oczywiście, że pamiętał każde szyderstwo, którym ją uraczył. Ale wcale tak nie myślał.

- Cholera, Byrony - przerwał i przesunął palcami po włosach. Nagle zobaczył, jak cała sytuacja musiała wyglądać dla kogoś postronnego. Idiotyczna kłótnia o nic. Odchylił głowę i zaśmiał się głośno.

- Co tu się dzieje? Brent, dlaczego się śmiejesz? - Laurel patrzyła to na Brenta, to na Byrony.

- Panienska go rozbawiła - wyjaśniła niania Bath, drapiąc się po głowie.

Brent opanował się i odezwał się do żony: - Może pójdziesz ze mną do biblioteki? Chyba powinniśmy porozmawiać o tym na osobności.

Usiadł na biurku i patrzył na Byrony. Zdjęła czepek i trzymała go za wstążki. Żałował, że wyraz jej twarzy nie jest równie ujmujący, jak wygląd. Rozbierał ją w myślach, przypominając sobie, jak podciągnął jej w nocy koszulę, rozchylił uda i wszedł w nią. Przymknął oczy, zaskoczony ogarniającą go falą pożądania.

- O czym chcesz rozmawiać, Brent?

Jej wyzywający ton przywołał go natychmiast do rzeczywistości. Uśmiechnął się. - Chciałem ci po prostu powiedzieć, że nasi ludzie będą najlepiej ubranymi niewolnikami na Południu. Dziś po południu był u mnie pan Cranford. Pod koniec tygodnia ma przywieźć różne ubrania. Nie tylko dla niewolników, pracujących w polu, ale także dla rzemieślników i służby domowej, no i oczywiście dla dzieci.

Byrony wpatrywała się w niego zaskoczona. - Dlaczego mi nie powiedziałaś? Dlaczego pozwoliłaś, żebym myślała, że nic cię to nie obchodzi?

Spojrzał na nią przeciągle. - O ile sobie przypominam, byłaś pochłonięta prawieniem, co jest ze mną nie w porządku. A ja... No cóż, kochanie, lubię pewne sprawy zachować dla siebie.

- Tak, mówiłam, co jest z tobą nie w porządku. Zastanawiam się, czy to coś dało.

Ruszył w jej stronę, ale powstrzymał się, gdy zrobiła krok do tyłu z czujnym wyrazem twarzy. - Dlaczego ode mnie uciekasz?

- Nie uciekam - powiedziała, zaciskając zęby. Poglaskał ją po twarzy. Spojrzała mu w oczy i zobaczyła, że stały się niemal czarne.

- Znowu niezaspokojona żądza, Brent? - Usiłowała być ironiczna, ale nie udało się jej.

Odsunął się od niej z obojętnym wyrazem twarzy i wymownie spojrzał na drzwi. Odwróciła się i złapała za klamkę, ale ręką przytrzymał drzwi.

- Nie ma w tobie nic niezaspokojonego, Byrony. I nie zamierzam cię dotknąć, przynajmniej nie teraz.

Odwróciła się do niego powoli, wbijając wzrok w guziki jego białej koszuli. - Nie - powiedziała

- nie sądzę... To nie ma znaczenia. Po prostu tak bardzo mnie złości.

- A może cię uszczęśliwiam? Spojrzała mu w oczy. - Nie rozumiem.

- Moja droga Byrony, myślę o tych wszystkich słodkich głupstwach, które mi prawisz, gdy... jesteś szczęśliwa.

Spokojnym głosem odparta: - Miłość można zniszczyć, Brent. Kiedyś wierzyłam w romantyczne bzdury, że gdy raz pokochasz, to na zawsze. Ale może to nie zawsze jest prawda.

- Najpierw musiałabyś pokochać - powiedział sarkastycznie, ale był niepewny siebie i jej.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, pójdę się wykąpać przed kolacją.

Odsunął się odruchowo i pozwolił jej wyjść z biblioteki. Przez chwilę przysłuchiwał się jej krokom na marmurowej posadzce.

Lizzie odzyskała humor, zauważyła Byrony, gdy dziewczyna pomagała jej się rozebrać, plotąc trzy po trzy.

- Josh jest taki męski w nowym stroju - powiedziała Lizzie, wyjmując wieczorową suknię Byrony.

- A ty będziesz wyglądać ślicznie w nowej sukience - odparła Byrony. W kilku nowych sukienkach, jeśli wierzyć Brentowi. Nagle zasmuciła się. Co się stanie, gdy oni wyjadą? Nawet wszystkie ubrania świata nie sprawią, że coś się zmieni. Pięćset osób pozostanie własnością Wakehurst. Czy Brent zostawi wszystko pod nadzorem Franka Paxtona? Drżała na samą myśl o tym. Tak bardzo nienawidziła tego okropnego człowieka! Gdyby ona była właścicielką Wakehurst, co by zrobiła? Przez głowę przemknęło jej tysiąc pomysłów. Dlaczego życie nie jest tak proste, jak wtedy, gdy jest się dzieckiem?

*

Byrony obudziła się nagle i usiadła na łóżku. Przez moment jej oczy przyzwyczajały się do ciemności. Brenta nie było obok. Poduszka i prześcieradło były gładkie. Nie kładł się.

No i dobrze, pomyślała, zaciskając usta. Niech robi, co chce. Niech uwodzi każdą kobietę w okolicy. Niech... - Do diabła!

Zaskoczona własnym głosem położyła się na wznak, ale sen nie nadchodził. Dobiegały ją odgłosy nocy: szum gałęzi, cykanie świerszczy. Gdzie jest Brent? Czy nadal jest z Laurel? Przestań! Kogo to obchodzi?

Było ciepło. Byrony wstała z łóżka i nałożyła szlafrok. Podeszła do drzwi balkonu i otworzyła je. Powietrze przesycone było słodkim zapachem magnolii, gardenii i róż. Stała boso na balkonie i oparła się o balustradę. Ogród w świetle księżyca wyglądał tajemniczo i mistycznie. Przez chwilę zastanawiała się, czy Drew jeszcze maluje o tej porze. Z balkonu nie mogła dostrzec jego domku. Kochany Drew, pomyślała. Trzymał jej stronę podczas kolacji, gdy Laurel wybuchła gniewem na wiadomość o zakupach dla niewolników.

Nagle zamarła. Usłyszała coś albo kogoś w ogrodzie. Wpatrywała się w mrok. Czy to zduszony płacz? Męski głos?

Byrony uniosła szlafrok i wybiegła z sypialni na dół. W domu panowała zupełna cisza. Na sekundę zatrzymała się przy drzwiach wejściowych, zastanawiając się, czy przypadkiem jej się nie przywidziało, ponieważ chciała zobaczyć Brenta.

Potrząsnęła głową i szybko otworzyła drzwi. Serce jej biło jak oszalałe. Już wolniej ruszyła w stronę ogrodu. Ciepły letni wiatr rozwiewał jej włosy. Stała przy drzewie magnolii i nasłuchiwała. Nic. Nie zawróciła jednak do domu. Szła przez ogród w stronę stajni. Uderzyła nogą o kamień i

syknęła. Zachowuję się jak wariatka, powiedziała do siebie w myślach, ale zamarła, gdy usłyszała płacz kobiety i przekleństwa mężczyzny. Zaczęła biec w stronę, z której dobiegały głosy. Bała się, a jednocześnie ogarnęło ją podniecenie.

Zatrzymała się na drugim końcu ogrodu. Zobaczyła mężczyznę, który usiłował wciągnąć na konia kobietę. Kobieta walczyła, ale mężczyzna przerzucił ją przez siodło.

To był Frank Paxton. Gapiła się, nie rozumiejąc, co się dzieje, dopóki nie zszedł z konia szpicrutą. W ostatnim momencie kobieta odwróciła się i Byrony rozpoznała Lizzie.

- Stój! - wrzasnęła, biegnąc za nimi. Potknęła się i upadła. Przez krótką chwilę leżała zaskoczona na ziemi, czując ból w rękach.

Zmusiła się, żeby wstać. Paxton jej nie usłyszał. Teraz już nie widziała konia. Nigdy nie była w domku Paxtona, położonym na niewielkim wzgórzu niedaleko kwater niewolników. Czy tam właśnie zamierzał zabrać Lizzie?

Co robić? Do diabła, gdzie jest Brent? Wzięła się w garść. Nie było nikogo oprócz niej. Pięć minut później Byrony gnała do biblioteki po broń. Wyciągnęła strzelbę z szafy, odbezpieczyła i wtedy uświadomiła sobie, że nie ma żadnych nabożów. Zagryzła wargi. Otworzyła szerzej pokrowiec i znalazła dwa naboje.

Popędziła do stajni. Powinna zajrzeć do domku Drew. Szybko osiodła klacz i przejechała obok jego domku. W oknach było ciemno. Zeskoczyła z konia i z całej siły zaczęła walić do drzwi. Wołała go po imieniu.

Nikt nie odpowiedział.

Przez chwilę stała niezdecydowana, ale nie miała wyboru. Musiała coś zrobić, a poza tym miała broń.

Kierując klacz w stronę domu Paxtona, zastanawiała się przez moment, czy ten człowiek nie jest przypadkiem szalony. Czyżby Brent nic mu nie powiedział? Czy nie przeniósł Lizzie do domu, żeby ją chronić? I co Lizzie robiła w ogrodzie?

Dom Franka Paxtona wyglądał jak typowy dom białego człowieka - dobrze utrzymany i świeżo pomalowany na biało. Widać było, że właścicielowi dobrze się powodzi. W oknie paliło się światło.

Zatrzymała klacz i zeskoczyła na ziemię. Nie, Frank Paxton nie jest szalony, dotarło do niej, gdy biegła w stronę domu. Zauważył, że Brent nie chce się mieszać do jego obowiązków. Pewnie nie wie, że Brent zamówił nowe ubrania dla niewolników. I czuje, że znowu może robić, co mu się podoba.

Miała ochotę obedrzeć go ze skóry. Zwolniła, wchodząc po schodach i zajrzała przez okno do środka. Paxton właśnie zdierał z Lizzie sukienkę. Lizzie szamotała się, ale unieruchomił ją i przycisnął do podłogi.

Byrony zapomniała o strachu, był tylko gniew, że drań chce skrzywdzić tę dziewczynę. Z impetem otworzyła drzwi wejściowe. To, co ujrzała, wydałoby się jej śmieszne, gdyby nie była tak wściekła.

- Przestań, ty parszywy draniu!

Frank Paxton klęczał między rozchylonymi nogami Lizzie. Miał rozpięte spodnie, jedną ręką przytrzymał Lizzie, a drugą wyciągał z rozporka nabrzmiały penis. Dziewczyna była naga, a jej podarta sukienka leżała obok. Paxton odwrócił się i z otwartymi ustami patrzył na Byrony.

- Panienko! - krzyknęła Lizzie. - Proszę mi pomóc!

- Zamknij się, ty mała brudna dziwko! - warknął Paxton i uderzył ją w twarz.

- Proszę ją natychmiast puścić, panie Paxton!

- Proszę się stąd wynosić, pani Hammond! Nie ma pani prawa...

Urwał, gdy Byrony uniosła strzelbę i wymierzyła w niego.

- Złaż z niej, ty świniu.

Frank Paxton czuł, jak jego męskość kurczy się. Zwolnił uścisk i Lizzie odskoczyła od niego.

Powoli zapiął rozporek i wstał. Przeklęta suka! Jak śmie... Odetchnął głęboko, usiłując odzyskać panowanie nad sobą. Wiedział, że kobiety boją się broni. Musi jej odebrać strzelbę, zanim wyrządzi sobie krzywdę albo zrobi coś głupiego.

Na przykład zastrzeli cię, ty głupcze.

- Sugeruję, pani Hammond, żeby odłożyła pani strzelbę, zanim zrobi sobie krzywdę. A potem sugeruję, żeby pani wyszła. - To powinno przywrócić do porządku tę sukę, pomyślał.

- Strasznie dużo pan sugeruje, panie Paxton.

Jej chłodny, kpiący głos na nowo go rozwścieczył. Zamachał jej pięścią przed twarzą. - Proszę posłuchać, nie ma pani prawa się wtrącać. Ona jest niczym, to tylko niewolnica!

- A pan jest obleśną świnią.

- Mogę robić z niewolnikami, co mi się podoba! Dziewczyna czekała na mnie w ogrodzie! Sama chciała!

- Nie, panienko, nie! Czekałam na Josha! Byrony zignorowała łkanie dziewczyny i dalej wpatrywała się w Paxtona. - Teraz ja chciałabym panu coś zasugerować. Ma się pan do rana wynieść z Wake-hurst.

Wyprostował się. - Pani mi rozkazuje, pani Hammond? Kobiety nie rozkazują. A z tego, co słyszałem, pani i pani drogi mąż niespecjalnie się dogadujecie.

Sądzę, że pan Hammond może mi dać tę małą jako rekompensatę za kłopoty. Prawdopodobnie będzie chciał ją dostać pierwszy. Pewnie dlatego przeniósł ją do domu.

- Nie, głupcze. Dlatego, że to jeszcze dziecko i jak większość mężczyzn, którzy mają choć za grosz honoru, chronię dzieci.

Byrony odwróciła się i w drzwiach zobaczyła wściekłego Brenta. Odetchnęła z ulgą.

- Do cholery, Hammond, to niewolnica! Zawsze wybierałem sobie jakąś. Wiesz, jakie są gorące i gotowe...

Byrony usłyszała wściekłe sapnięcie. Zza pleców Brenta wyłonił się Josh.

- Cholera, Josh, stój!

Brent złapał olbrzyma za ramię z taką siłą, że ten okręcił się na pięcie. Przez sekundę wydawało się, że Josh uderzy Brenta, żeby tylko dobrać się do Paxtona, ale stał w miejscu z wykręconym ramieniem i ciężko dyszał.

- On nie jest tego wart, przyjacielu - Brent powiedział cicho do Josha. - Załatwię to, obiecuję.

- Brent odwrócił się do Paxtona. - O ile słyszałem - warknął - moja żona coś ci zasugerowała. - Zamilkł na moment, a potem ciągnął spokojnie: - Uznaj to za rozkaz. Wyniesiesz się do rana z Wakehurst, albo cię zabiję. Rozumiesz, łajdaku?

- A gdzie znajdziesz innego nadzorcę? Nie bądź głupi! Ta dziwka nic nie znaczy!

- Nie, Josh - Brent powiedział cicho do przyjaciela, wyczuwając jego gniew. - Mówiąc szczerze, Pa-xton, rozczarowała mnie twoja głupota. Właśnie zacząłem szperać w twoich... poczynaniach. Wolałbym, żebyś wylądował w więzieniu za malwersacje. Ale to bez znaczenia. Wystarczy, że dłużej nie będę oglądał twojej parszywej gęby. Byrony celuj w niego, dopóki nie dam Lizzie

swojego okrycia.

Brent podszedł do dziewczyny i okrył ją. Bardzo łagodnie powiedział: - Już nie musisz się bać, Lizzie. Wszystko będzie dobrze.

- Jesteś głupcem, Hammond! Co to za mężczyzna, który pozwala rządzić kobiecie?

Brent uśmiechnął się. - Wiesz co, Paxton, robisz się nudny. Coś ci poradzę: zamknij gębę i zacznij się pakować. Zostanę tu, dopóki się nie wyniesiesz.

- Brent, ja... - Byrony zamilkła, gdy jej oczy napotkały wzrok męża.

- Wracaj do domu z Lizzie i Joshem. Zobaczymy się za kilka godzin. Idź już, Byrony.

Wydawał się taki ostry i rozgniewany, zupełnie tego nie rozumiała. Była jednak zbyt wdzięczna, żeby się tym teraz martwić.

- Tak, Brent - oparła tylko. Lizzie przysunęła się do niej, ale Byrony patrzyła na Josha. - Pojedziesz z nami, Josh. Potrzebuję twojej... ochrony.

Olbrzym wyglądał na niezdecydowanego i cały czas łypał wrogo na Paxtona.

- Proszę, Josh - powtórzyła Byrony. - Brent zajmie się wszystkim.

*

Sypialnia zalana była porannym światłem. Byrony zgasila lampę i usiadła w fotelu. W nocy budziła się co chwila, nasłuchując, czy Brent nie nadchodzi.

Gdy wreszcie usłyszała w korytarzu jego kroki, zerwała się na równe nogi i przycisnęła ręce do boków.

Brent wszedł do sypialni i zatrzymał się gwałtownie na widok żony.

- A cóż to? - spytał. - Czekałaś, żeby sprawdzić, czy dotrzymałem umowy? Tak, Paxton się wyniósł. Już po wszystkim.

Widziała, że jest zmęczony - sterany, jak powiedziałyby ciotka Ida. Choć zmroziły ją jego słowa, podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu. -Dziękuję, Brent. Doceniam to, co zrobiłeś... co robisz. Jesteś porządnym człowiekiem.

Zrzucił z ramienia jej rękę i odsunął się od niej. Rozebrał się bez słowa, włożył szlafrok i usiadł w fotelu. Odchylił głowę i zamknął oczy. - Może będziesz tak miła i powiesz mi, co robiłaś w domu Paxtona?

- Obudziłam się i nie było cię przy mnie. Nie mogłam zasnąć, więc wyszłam na balkon. Wydawało mi się, że kogoś usłyszałam i zeszłam do ogrodu sprawdzić. Zobaczyłam, jak Paxton wciąga Lizzie na konia.

- Słucham, mów dalej.

- Ubrałam się i wzięłam jedną z twoich strzelb. Poszłam sprawdzić, czy Drew mógłby mi pomóc, ale go nie było. Musiałam sama jechać do domu Paxtona. Usiłował zgwałcić Lizzie.

Brent uniósł brew i otworzył oczy. - Rozumiem. Taka z ciebie bohaterka, kochanie. Jednak nie przyszło ci do głowy, że Paxton mógł ci wyrwać strzelbę. Ciebie także mógł zgwałcić. Nie. Widzę, że logiczne myślenie jest ci obce. No cóż, w końcu jesteś kobietą. Jak mógłbym oczekiwać od ciebie logiki?

Byrony tylko wpatrywała się w niego. Nie wiedziała, czego oczekiwać po jego powrocie, ale na pewno nie tego chłodnego ataku. Nie chciała czuć się zaszczuta. - Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

- Wyborne pytanie. Widzisz, skarbie, Josh jest mężczyzną i dlatego myśli logicznie. Faktycznie czekał na Lizzie, ale najwyraźniej Paxton pojawił się wcześniej i ją dopadł. Wracałem z Drew z

Natchez, gdy go spotkałem. Nie trzeba było wielkiej inteligencji, żeby domyślić się co się stało, zwłaszcza gdy zobaczyłem, że ciebie nie ma, a twoja klacz znikła.

- Próbowałam znaleźć pomoc, Brent - powiedziała głucho - ale oczywiście nie było cię w pobliżu. Zajmowałeś się męskimi sprawami. Naprawdę nie potrzebowałam twojej męskiej pomocy. Po prostu zabrałabym Lizzie i opuściła jego dom.

- Już mogę sobie wyobrazić co stałoby się dalej. Gdyby udało ci się wyjść cało z jego domu, wściekły Paxton poskarżyłby mi się następnego dnia. I wcale nie jestem pewien, że kazałbym mu się wynosić. Ale skoro byłem świadkiem jego głupoty, nie miałem wyboru.

- Głupoty! Tak właśnie nazywasz usiłowanie gwałtu? Głupotą?

Brent wstał nagle i przeciągnął się. Przez chwilę przyglądał się jej zamyślony, aż w końcu powiedział: - Posłuchaj, Byrony. Nie znasz tutejszych zwyczajów. To pewnie prawda, że Paxton brał sobie każdą czarną dziewczynę, którą chciał. A nie przyszło ci przypadkiem do głowy dlaczego jest tylu jasnych niewolników?

- To wstrętne! Nie obchodzą mnie wasze okropne zwyczaje. To, co tu się dzieje, jest naganne! Ty nigdy byś...

Umilkła, gdy roześmiał się chrapliwie. - Nie oszukuj się, Byrony. Ja również używałem sobie z niewolnicami, gdy byłem młody. Czy nie wspominałem ci o tym kiedyś? No ale oczywiście, one wszystkie były chętne.

- W przeciwieństwie do mnie - mruknęła. Zesztywniał, słysząc jej słowa. - Wystarczy, żono.

Jestem potwornie zmęczony. I nie uciekaj przede mną. Jestem zbyt zmęczony, żeby na siłę rozchyłać twoje szczupłe nogi. To, co zrobiłaś, było beznadziejnie głupie. A teraz zostaw mnie w spokoju. Idę spać.

ROZDZIAŁ 30

Brent stał przed portretem, nie mogąc oderwać od niego oczu. Był niemal naturalnych rozmiarów, w kolorach tak ciepłych i żywych, że chciało się go dotknąć. Byrony siedziała na marmurowej ławce pod krzakiem róży. Od razu rozpoznał wieczorową blado-fioletową suknię, przymarszczoną lawendowymi wstążkami. Loki opadały jej luźno na ramiona. Lecz jego uwagę przykuła jej twarz. Była w niej jakaś słodycz. Kiedyś widział już ten szelmowski uśmieszek na jej ustach, ale było tak to dawno. Drew nie oddał koloru jej oczu, ale widział w nich znajomy błysk. Wygląda cudownie, pomyślał. Moja prywatna słodycz. Wykrzywił usta w autoironicznym uśmiechu. Jak to możliwe, że ta sama słodycz popędziła na koniu ciemną nocą, by ratować Lizzie? I zmierzyć się z Paxto-nem, dzierżąc w dłoniach strzelbę, dodał w myślach. Powoli odwrócił się i napotkał pytające spojrzenie brata.

- Ładny, Drew - powiedział - bardzo ładny. Czy Byrony już go widziała?

- Nie, najpierw chciałem pokazać go tobie, chociaż ona nie daje mi spokoju, odkąd skończyłem malować. To prezent na twoje urodziny, Brent. Wszak niedługo staniesz się dwudziestodziewięcioletnim starcem.

Brent wyszczerzył zęby. - Dokładnie za cztery miesiące, ale nie wymawiaj słowa „starzec” przy Laurel. Mogłaby zdzielić cię czymś ciężkim.

- Drew? Jesteś tam?

Obaj mężczyźni odwrócili się i zobaczyli wchodzącą Byrony. Zatrzymała się gwałtownie, wpatrując się w portret.

- O Boże - powiedziała. - Chyba nie wyglądam tak w rzeczywistości, Drew?

- Mówiąc szczerze, Byrony - odparł Brent - wyglądasz lepiej, ale nie będę grymasić. W końcu Drew jest początkującym malarzem.

Drew złapał brata za ramię, a potem odwrócił się i Byrony rzuciła mu się w objęcia. - Jest taki śliczny! Dziękuję, Drew! Nie byłam pewna, czy ta sukienka będzie odpowiednia! Myślałam, że będę wyglądać jak blady kurczak. Ale portret jest śliczny!

Uścisnął ją i pocałował w policzek, czując ogarniające go ciepło.

- Sprawileś, że na obrazie wyglądam tak... do przyjęcia!

Byrony nie zauważyła, jak jej mąż zaciska usta, nie zdawała sobie również sprawy, że nadal obejmuje Drew. Wreszcie wziął jej rękę i delikatnie odsunął ją od siebie.

- Cieszę się, że ci się podoba, siostrzyczko. To dla twojego męża.

Byrony odwróciła się powoli i spojrzała Brentowi w oczy. - Podoba ci się, Brent? Naprawdę?

- Tak - powiedział ostro. - Już powiedziałem Drew, że jest ładny. Ale co ty tutaj robisz?

- Laurel powiedziała, że musisz załatwić jakieś sprawy - powiedziała.

- Idźcie - odezwał się Drew. - Zaraz przyjdę do domu. Niewątpliwie, bracie, będziesz potrzebował mojej pomocy.

Wyszli z domu Drew. Byrony skierowała się w stronę domu.

Brent złapał ją za ramię. - Chwileczkę, Byrony. - Odwróciła się do niego. - Chodźmy w tę stronę. Najpierw chciałbym ci pokazać pewne śliczne i wyjątkowe miejsce.

Przekrzywiła głowę, ale poszła za nim. - Jedna z twoich chłopięcych kryjówek? - spytała.

- Tak - odparł, patrząc przed siebie. Chłopięce kryjówki, jasne. - Czy doszłaś już do siebie po ostatniej nocy?

Byrony zerknęła na jego profil. Dlaczego na nią nie patrzy? Oczywiście nadal jest wściekły. W końcu, pomyślała marszcząc oczy, głupia kobieta nie powinna kraść mężczyźnie strzelby i uganiać się z nią samotnie. - Tak - odparła sucho - doszłam do siebie. Prawdę powiedziawszy, nie miałam po czym do siebie dochodzić. Nie nadszarpnęłam swoich delikatnych nerwów, Brent.

Oczywiście wyobraźni zobaczył ją taką, jak na portrecie Drew. - Masz w oczach coś niemal... diabolicznego.

- Słucham?

- Na portrecie. Jak Drew udało się przywołać to spojrzenie?

Zarumieniała się i spuściła głowę. Myślała o pewnej nocy z Brentem, spędzonej na pokładzie statku parowego na Missisipi. Drażnił ją, pieścił i kochał się z nią, aż myślała, że umrze z rozkoszy. A potem ona uwiodła jego. Przyszło jej do głowy, że może zaczynał ją kochać. Ale przyjazd do Wakehurst ukrócił te mrzonki. - Nie wiem - odparła.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. - Brent, jesteśmy już całkiem daleko od domu.

- Wiem. Bądź cierpliwa.

W zamyśleniu kopnęła kamień i patrzyła, jak się toczy. - Co zrobisz z Lizzie i Joshem?

- Rozmawiałem z Joshem dziś rano. Nie chciał mi powiedzieć, jak mu się udało umówić z Lizzie, ale domyślałem się, że była w to zamieszana niania Bath. Josh jest jej wnukiem.

- Nie wiedziałam.

Brent westchnął. - Co mogę zrobić? Josh ją kocha i chce się z nią ożenić. Domyślałem się, że Lizzie czuje to samo do Josha.

- Ale przecież ona ma dopiero trzynaście lat!

- Czternaście, od dwóch dni. Josh pomyślał, że już czas.

- A co ty myślisz?

- Oczywiście może się z nią ożenić. Prawdę powiedziawszy, jeśli nasze zamknięte społeczeństwo pozwoli, chciałbym go uczynić nadzorcą Wakehurst.

- Och, nie!

Zatrzymał się gwałtownie, słysząc niepokój w jej głosie. - Czyżbyś nie lubiła Josha? - spytał od niechcenia, doskonale wiedząc, że nie chodzi o Josha.

- Ludzie nadal pozostaną niewolnikami, twoją własnością, Brent. To nie w porządku. - Widząc, że się zmarszczył i zmrużył oczy, przygarbiła się. - Co z Paxtonem? - spytała.

- Sądzę, że ten głupiec jest w Natchez. Upija się i opowiada wszystkim, jakim jestem draniem. Bóg raczej wie, co mówi o tobie.

Byrony zastanawiała się nad tym samym, ale się nie odezwała. - Kiedy dotrzemy do twojej kryjówki?

- Jesteśmy prawie na miejscu.

Chłopięca kryjówka była odludnym, cichym miejscem. Zwyczajna polanka, otoczona wiązami i kasztanami. Zasłona z gęstych liści odcinała ją od świata zewnętrznego.

- Ślicznie tu, Brent - powiedziała Byrony, rozglądając się wokół.

- Tak, bardzo.

Oblizwała usta. - Mówię o polance, Brent - dodała.

- To również.

- Dlaczego mnie tu przyprowadziłeś?

- Żeby się z tobą kochać.

- W biały dzień?

- Tak, chociaż liście ledwie przepuszczają światło, to i tak będę w stanie cię widzieć. Każdy centymetr twojego ciała.

Mówił miękkim, uwodzicielskim głosem. Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale przykrył je dłonią. - Cichutko, kochanie, pragnę cię. A jeśli przypomnisz sobie, jak to między nami było, za chwilę również mnie zapragniesz.

- Ale przecież jesteś na mnie zły za ostatnią noc. Chcesz tylko znowu mnie ukarać i... i to nie w porządku.

Uśmiechnął się do niej i wziął ją za rękę. - Prawdę powiedziawszy, mój gniew poszedł w niepamięć, gdy ujrzałem twój portret.

A gdy zaspokoisz żądzę, twój gniew powróci.

Byrony poczuła, jak ją obejmuje i przyciąga do siebie. Przez moment przylgnęła do niego i otarła policzek o jego ramię. Tak długo, pomyślała, wdychając jego zapach. Delikatnie ujął ją za brodę. - Nie odmawiaj mi, Byrony - powiedział i pochylił głowę.

Jakże mogła mu odmówić. Kochała go, pragnęła go równie mocno, jak on jej, bo przecież to właśnie on nauczył ją rozkoszy. Objęła go i z westchnieniem rozchyliła usta.

Całował ją i pieścił, aż była gotowa oddać mu wszystko, czego zażąda. Sprawnie rozpiął guziki jej sukni.

- Będziemy musieli poświęcić twoją halkę - powiedział, gdy jej suknia opadła na ziemię. - Nie chcę, żebyś poobcierała swój śliczny tyłeczek i plecy.

- Więc ty połóż się na plecach - powiedziała.

- Dobrze. - Rozbierał ją i śmiał się cicho, rozkładając na ziemi jej białą halkę.

Patrzyła, jak szybko, ale z wdziękiem ściąga z siebie ubranie. Po chwili wyprostował się przed nią. Spojrzała na jego nabrzmiały, sterczący penis. Na moment zamknęła oczy i przypomniała sobie, jakie to uczucie mieć go w dłoni, w ustach, w środku. Miękki jak atlas i twardy jak stal. Wtedy pociągnął ją na siebie.

- Jak wyglądam pośród twoich damskich fatalasz-ków?

- Głupio - odparła głośno. - Jesteś taki wielki, twardy i owłosiony.

- Dosiądź mnie, Byrony.

Uniosła nogi, czując pod pośladkami jego brzuch. Była cicha i spokojna, gdy ją podniósł. - Zostaw pończochy. Strasznie mnie podniecają.

Byrony spojrzała na jego piękną twarz, odnajdując w jego niebieskich oczach pożądanie. Objął ją w talii i zadrżała.

- Nie ruszaj się przez chwilę. Chcę na ciebie popatrzeć.

Niemal czuła na ciele jego wzrok i wygięła lekko plecy. Zachłysnął się powietrzem, gdy wypięła piersi. Delikatnie muskał je opuszkami palców.

- Wydają się większe - powiedział, przesuwając palcami w stronę nabrzmiałych sutek. - I jakby ciemniejsze. Już nie bladoróżowe.

- Brent - krzyknęła, odpychając jego palce.

- Pochyl się, Byrony.

Posłuchała go ochoczo i poczuła, jak językiem pieści jej sutek. - Takie piękne - wymruczał, a jego ciepły oddech rozpalił ją jeszcze bardziej.

Zaczął ją ssać i miała wrażenie, że rozkosz ją rozsadzi. Oddychała chrapliwie, przesuając się nad nim, pragnąc go poczuć głęboko w sobie.

- Spokojnie, kochanie - powiedział i uśmiechnął się, widząc jej zamglone oczy. - Dam ci wszystko, czego pragniesz, ale powoli.

Delikatnie ją wyprostował, przesunął dłonią po jej brzuchu i odszukał ją palcami. - Ach - powiedział z wielkim zadowoleniem.

Uniósł ją, a ona wzięła w dłoń jego członek i wprowadziła go w siebie. - Powoli - powtórzył, tym razem cichym, schrypniętym głosem.

Byrony odrzuciła do tyłu głowę, czując jego męskość głęboko w sobie.

- Rób, co chcesz, Byrony, ale powoli, kochanie, inaczej wyjdę z ciebie.

Oparła dłonie na jego torsie. Wyciągnął szpilki z jej włosów i jej ciężkie loki opadły swobodnie na ramiona i plecy. Powoli i ostrożnie zaczęła poruszać się nad nim, czując jak napina mięśnie i wypycha do góry biodra. Przeszyła ją niemal bolesna rozkosz, gdy jego palce ją odnalazły. Magiczne palce, pomyślała.

Brent obserwował jej twarz, gdy szczytowała, patrzył, jak jej piękne białe ciało wygina się i drży. Przez ułamek sekundy spojrzała na niego dzikim, błędnym wzrokiem, wtedy uniósł biodra i wbił się w nią głęboko, chwytając ją za pośladki, gdy poczuł, że wybucha w niej nasieniem. Przez dłuższą chwilę głaskał ją po plecach i włosach, a ona leżała na nim zmęczona. Powoli wyprostowała mokre od potu nogi. Zaśmiał się.

- Nie wiem, czy jeszcze żyję - powiedziała, całując go w policzek.

Kiedy uniosła się lekko, jej włosy opadły jak welon na jego twarz. - To było bardzo miłe, Brent.

- Tylko miłe? Jesteś mistrzynią w oszczędzaniu słów, Byrony.

Zachichotała i zobaczył w jej oczach figlarne ogniki. Ogarnęła go tak wielka czułość, że na chwilę zamknął oczy, żeby ją pohamować. Poruszyła się i ciało od razu zareagowało.

- Cholera, nie! - jęknął, ale było za późno. Położył ją na plecach i wszedł w nią mocno.

Przestał nad sobą panować, gdy oplotła go nogami. Przeklinał nawet podczas orgazmu.

- Minęło tak dużo czasu - powiedział ochryple. -Przepraszam.

- Za co? - spytała Byrony, przytulając go mocno do siebie.

- Jestem za ciężki.

- Ależ nie, Brent. Zamierzam zatrzymać cię tu na zawsze.

Uniósł się na łokciach i przyglądał się jej roześmianej twarzy. - Wyglądasz na zadowoloną z siebie.

- Bo jestem - odparła i uniosła brew. - Dosłownie rzuciłam cię na kolana.

- Zuchwała dziewczyna.

Pocałowała go w pierś i przytuliła mocno, sycąc się tą chwilą. Chciała mu powiedzieć, że go uwielbia, że zrobiłaby dla niego wszystko, ale podejrzewała, że wykorzystałby to później przeciwko niej. Poza tym nigdy nie powiedział jej, że ją kocha. Zastanawiała się, czy w ogóle jest zdolny do takiego uczucia, skoro przez dziesięć lat odpychał je od siebie. Westchnęła i odwróciła głowę.

- Kochasz mnie, Brent? - rzuciła bezwiednie. Poczuła, że zeszytywniał i odsunął się od niej. -

Jesteś moją żoną - powiedział gwałtownie.

Przełknęła ślinę. - Ale czy mnie kochasz? Wszedł z niej i podniósł się. Wpatrywała się w niego i jego nadal nabrzmiałą, wilgotną męskość.

- Daj spokój, Byrony - powiedział ostro, schylając się po ubranie. Szlag by to trafił! Czego od niego chce? Ale dobrze wiedział czego... o tak, dobrze wiedział.

Spojrzała na niego rozzalona. Był wspaniałym kochankiem, tak przynajmniej uważała, oceniając po rozkoszy, jaką jej dawał. Pewnie taką samą rozkosz, jaką przez lata dawał wszystkim swoim kochankom. Kim więc jest żona? Kimś, na kim można się wyładować w przypływie złego humoru, kogo można obwiniać za niepowodzenia.

Kątem oka Brent obserwował, jak się podniosła i zaczęła ubierać. Tyle strojów, pomyślał bez związku, halek, wstążek i tasiemek. Nagle uświadomił sobie, że nie ma na sobie gorsetu. Chciał, ją zapytać dlaczego, ale odeszła od niego w milczeniu.

- Byrony! - zawołał za nią.

Odwróciła się wolno i wzięła od niego białą chusteczkę.

Skończył się ubierać i czekał na nią, oparty o kasztan.

*

Byrony słyszała, że się kłóca, ale nie mogła rozróżnić słów. Drew wyjechał jakieś pół godziny wcześniej, a służba poszła już spać. Skrzywiła się i cicho podeszła do drzwi biblioteki.

- Do diabła, Brent, mówię ci, że twój ojciec nienawidził tego człowieka!

- Ależ, Laurel, mówisz tak, bo pewnie nie uległ twoim wdziękom.

Jaki człowiek? - zastanawiała się Byrony.

- Jesteś głupcem, Brent - dobiegł ją zde gustowany głos Laurel.

- Głupcem tylko dlatego, że niekoniecznie ci wierzę? - odparł Brent kpiąco. - Może powiesz mi wreszcie, o czym naprawdę chciałaś ze mną rozmawiać.

Przez dłuższą ciszę panowała martwa cisza.

- Chcę wiedzieć, co zamierzasz zrobić z Wake-hurst. Teraz, kiedy odszedł Frank Paxton i nie mamy innego nadzorcy, nikt nie zmusi tych leniwych niewolników do pracy.

Byrony miała ochotę zostać, ale w przeszłości podsłuchiwanie źle się dla niej skończyło. Już i tak zgrzeszyła, podsłuchując do tej pory. Wolno odeszła spod drzwi i poszła na górę. Przynajmniej się kłóca, a nie kochają, pocieszała się w myślach.

Lizzie wreszcie się położyła. Byrony nie zniosłaby dłużej jej zachwyków na temat Josha. Włożyła szlafrok i wyszła na balkon. Noc była gorąca i cicha. Nie tak gorąca jak namiętne popołudnie w lesie, przyszło jej do głowy.

Zarumieniała się na wspomnienie jego pieścizot i swojego krzyku, gdy jego palce umiejętnie doprowadziły ją do rozkoszy. Zaczęła zastanawiać się, czy ciotka Ida kiedykolwiek kochała się z mężczyzną. Głupi pomysł. Byrony nie mogła sobie nawet wyobrazić, że ciotka Ida rozbierała się przed lustrem. Ale przecież ciotka musiała mieć jakieś uczucia. Byrony potrząsnęła głową, czując się nagle bardzo zmęczona. Przez chwilę patrzyła na puste łóżko. Tak bardzo chciała, żeby Brent spędził z nią tę noc. Brakowało jej jego ciepła, sporadycznego chrapania, gdy musiała dawać mu kuksańca w bok, i jego delikatnych pocałunków, które budziły ją do seksu.

Zasnęła sama i obudziła się rano również sama. Przy łóżku stała Lizzie, plotąc trzy po trzy. Byrony była bardzo zmęczona, ale nie mogła dłużej spać. To był dzień ślubu Lizzie. Brent zapłacił wielebnemu Flet-cherowi okrągłą sumkę za przyjazd do Wakehurst i poprowadzenie ceremonii.

Uśmiechnęła się, ziewnęła i szybko wypięła filiżankę herbaty, a potem wybrała suknię.

*

Podczas ceremonii Lizzie stała przy Joshu, milcząca jak posąg. Byrony przez cały czas czuła na sobie wzrok Drew. Odgoniła muchę i usiłowała skupić się na ceremonii. W ogrodzie tłoczyło się co najmniej pięćdziesięciu niewolników, którzy chcieli zobaczyć ślub. Do Byrony podbiegła kobieta z szóstką dzieci i usiłowała ucałować jej stopy. - Niech Bóg panią błogosławi, panienko - powtarzała w kółko. Byrony czuła się mocno zażenowana tą sytuacją. Żaden człowiek nie powinien znaleźć się w takim położeniu.

Z ulgą powitała chwilę, gdy ceremonia dobiegła końca i niewolnicy wrócili do swoich kwater. Brent rozmawiał z Joshem, Laurel i Drew. Byrony wycofała się niezauważona i poszła na górę przebrać się w strój do jazdy konnej.

Pół godziny później jechała drogą, czując na twarzy ożywczy powiew wiatru. Nagle usłyszała za sobą tętent końskich kopyt. Odwróciła się, zobaczyła Bren-ta i od razu się rozpromieniła.

Brent podjechał do niej, ale nie odwzajemnił uśmiechu. - Nie będziesz jeździć sama - powiedział. - Myślałem, że to rozumiałaś.

I już po sielance i ciepłe, pomyślała. - Nie zamierzałam jechać daleko - odparła. - Byłeś zajęty z Joshem, a reszta niewolników poszła uczcić ślub Lizzie.

- Najwyraźniej Josh miał inne rzeczy na głowie. Na razie zamieszkają z Lizzie w domu Paxtona. Nie mógł się doczekać, kiedy rozdziewiczy pannę młodą.

- Ona jest taka młoda - powiedziała Byrony. - Oby nie zrobił jej krzywdy.

- Przecież nie jest zwierzakiem - rzekł Brent.

- Nie to chciałam powiedzieć!

- Och? Nie ma zbyt wielkiej różnicy między czternastoletnią a dziewiętnastoletnią dziewicą. A o ile pamiętam, ciebie niezbyt bolało.

Miała ochotę się roześmiać. Z błyszczącymi oczami powiedziała: - Cały ból był wart widoku twojej zmartwionej twarzy.

Wyszczrzył do niej zęby. - Muszę przyznać, że mnie zaskoczyłaś.

- Ile dziewic doświadczyłaś wcześniej, Brent?

- Doświadczyłaś? Ładnie to ujęłaś. Nie więcej niż tuzin.

- Nie wierzę - powiedziała. Uniósł tylko brew. - Czy mogę cię o coś zapytać, Brent?

- Tak jakbyś potrzebowała mojej zgody!

- Dlaczego uważasz, że kobieta, która nie jest dziewicą, to latawica?

Gwałtownie zacisnęła dłonie na uździe. - Cóż za głupie stwierdzenie. To nieprawda.

- Uważałaś, że ja jestem latawicą. Co więcej, gdybym nie była dziewicą, nadal uważałbyś mnie za upadłą kobietę.

- Nie bądź niemądra - odparł ostro. - Lepiej pogalopujmy trochę.

- Jesteś najbardziej upartym, nieobliczalnym i aroganckim człowiekiem, jakiego znam! - wrzasnęła za nim, ale nawet się nie odwrócił.

Gdy wjechali na drogę, prowadzącą do domu, Brent wyszczrzył zęby w uśmiechu i powiedział: -Chcesz się ściagać? Zobaczymy, czy twoja klacz jest równie gorąca, jak jej pani.

- Cham!

Pędzili drogą łeb w łeb. Byrony wiedziała, że Brent powstrzymywał konia, żeby się z nią drażnić. Jak było do przewidzenia, gdy tylko byli w pobliżu domu, popędził ogiera, zostawiając ją daleko z

tyłu.

Gdy Byrony ze śmiechem i krzykiem zajechała pod dom, Laurel i Drew siedzieli na werandzie. Nagle klacz pośliznęła się i Byrony poczuła, że spada.

- Byrony! - krzyknął Drew, zrywając się z krzesła i biegnąc w jej stronę.

Ale Brent pochwycił ją z łatwością i usadził w siodle. - Spokojnie, moja pani, nie chcę, żebyś gryzła ziemię.

- Cholera, co ty robisz, Byrony!

Brent i Byrony odwrócili się zaskoczeni w stronę Drew.

- Nic jej nie jest, braciszku - powiedział Brent, pytając unosząc brew.

- Ścigaliśmy się tylko - dodała Byrony, nadal zaskoczona wybuchem Drew.

- Boże! - wrzasnął Drew. - Obydwoje jesteście nienormalni! Byrony, mogłaś stracić dziecko!

Brent zaniemówił. Spojrzał na żonę, a potem na brata. - Dziecko? - powiedział głucho.

- Oczywiście - warknął Drew. - Byrony jest w ciąży. Brent z wielką ostrożnością złapał Byrony wpół i zсадził z konia. - Czy jesteś w ciąży? Przymknęła, nie patrząc mu w oczy.

- Idź do środka. Zaraz z tobą porozmawiam. Schyliła głowę i nie patrząc na Laurel, weszła do domu. Tak jak przypuszczała, Brent był wściekły. Nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za dziecko i nie chciał się do niej przywiązywać. Może martwił się trochę, że może umrzeć. Jak Drew się dowiedział? Przecież to dopiero kilka dni. Była zmęczona bardziej niż zwykle, ale nie miała porannych nudności.

- Co się z tobą dzieje, Brent? - rzucił ostro Drew, łapiąc brata za ramię.

- Czy mogę spytać, skąd wiesz, że Byrony jest w ciąży? - Brent spytał niskim głosem.

ROZDZIAŁ 31

Drew potrząsnął głową. - Jestem artystą, Brent. Widzę rzeczy, których inni ludzie nie zauważają. To chyba część mojego talentu. Chcesz mi powiedzieć, że nie wiedziałeś?

- Nie, moja żona nie uważała za stosowne poinformować mnie o tym. Domyślam się, że możesz mi również powiedzieć, który to miesiąc.

- Mniej więcej drugi.

Brent poklepał konia po nozdrzach. Miał wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Wiedziałeś, że to się może stać, mówił sobie. To normalne, gdy uprawia się seks bez zabezpieczenia. Będzie ojcem.

Poczuł rękę Drew na ramieniu. - Słyszałem, że kobiety często nic nie mówią o ciąży na początku, żeby nie zapeszyć i nie poronić...

- Byrony nie poroni - powiedział Brent.

- Pewnie nie, ale musi zacząć o sobie dbać.

- Na przykład nie pędzić na pomoc Lizzie?

- Posłuchaj, Brent - zaczął Drew, ale przerwał, widząc zimne spojrzenie brata. Brent spojrzał w stronę okien sypialni i zacisnął pięści.

*

Byrony stała pośrodku pokoju, zastanawiając się, gdzie jest Brent. Usłyszała, że otwierają się drzwi i odwróciła się do męża. Ale to była Laurel.

- Cóż za niespodzianka, moja droga synowo! Szkoda że Drew nie mógł utrzymać języka za zębami.

- I tak by się wydało - powiedziała Byrony. - Kobiety w ciąży tyją, Laurel.

- Dzięki Bogu, że nie dane mi było przekonać się o tym. Zastanawiam się, co Brent z tobą zrobi. Szkoda że przyszedł tatuś nie mógł pohamować wzburzenia.

Byrony wpatrywała się w nią bez słowa.

- A ja już zaczynałam cię lubić, Byrony. Pomimo wszystko. Zastanawiam się, czy świadomie próbowałaś wywołać poronienie?

Byrony splotła ręce na brzuchu. - Cóż za bzdura, Laurel! Czego ty chcesz? Jestem zmęczona, spocona i chcę się wykąpać.

- Ale najpierw, moja droga, musisz porozmawiać z mężem. Jeszcze jeden miesiąc i może udałoby ci się przekonać Brenta, że to jego dziecko.

Byrony zaśmiała się. - Gdybyś kiedykolwiek była w ciąży, wiedziałabyś, jakie bzdury wygadujesz! Przecież jesteśmy w Wakehurst dopiero od miesiąca!

- Możesz już iść, Laurel.

Obie kobiety odwróciły się i zobaczyły stojącego w drzwiach Brenta.

Jest taki blady, pomyślała Byrony. Miała ochotę wyśmiać swoją troskę.

- Tak, pójdę już - powiedziała Laurel. - Sądzę, że masz dużo do powiedzenia, Brent.

Wyprostował się i wszedł do pokoju, a Laurel przemknęła obok niego. Wolno zamknął za nią drzwi. - Nie powinno się robić intymnych wyznań, gdy ktoś może podsłuchać.

- To, co powiedziała, nie było zbyt intymne. Raczej idiotyczne.

- To prawda. Tak jak jej powiedziałaś, niemożliwe jest, żebyś nosiła w sobie dziecko innego mężczyzny.

- No cóż, Laurel już taka jest - odparła Byrony.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, Byrony? - Podeszedł do niej szybko i złapał ją za ramiona. Spojrzała na niego ze spokojem.

Spuściła wzrok, a on nią potrząsnął. - Dlaczego? Czy nie uważasz, że mam prawo wiedzieć?

- Bałam się powiedzieć ci o tym. Nie byłam pewna, czy będziesz tego chciał.

- Tego? Co to znaczy „tego”?

- Dziecka. Wiem, że nie chcesz dziecka. Ale masz rację, bez względu na to, co sądzisz, powinnam powiedzieć ci, gdy tylko się dowiedziałam. Przepraszam.

Me chcę własnego dziecka!

Zamknął na moment oczy, nie mogąc sobie poradzić z bólem, jaki sprawiły mu jej słowa.

Mówiła dalej, spokojnym, cichym głosem: - Wiem, że mnie nie kochasz, Brent. Wiem również, że nie ufasz kobietom, że chcesz być wolny. Ale mówiąc szczerze, nie żałuję, że jestem w ciąży. Jeśli nie chcesz tego dziecka, ono będzie tylko moje. Wyjadę. Decyzja należy do ciebie.

- Jakaż jesteś szlachetna - powiedział zimno i wrogo. - Ale ja wiem, że kobiety nie są szlachetne, Byrony. Jeśli nauczyłem się czegokolwiek, to tego, że kobiety biorą od mężczyzn to, co chcą. Jestem jednak twoim mężem. W świetle prawa należysz do mnie. Nigdzie nie zabierzesz mojego dziecka.

Spojrzała na niego z wyrzutem. - A kiedy już, gruba i niezgrabna, nie będę mogła dłużej cię zaspokajać, będę zmuszona patrzeć, jak prowadzasz się z innymi kobietami. Chyba masz rację, Brent. Nie jestem szlachetna. Nie pozwolę się skrzywdzić w ten sposób. Jestem bardzo zmęczona. Czy mógłbyś mnie teraz zostawić?

Miotają nim sprzeczne uczucia. Kiwnął tylko głową i bez słowa wyszedł z sypialni.

W wannie Byrony podjęła decyzję.

Brent nie mógł zapomnieć jej twarzy ani słów. Nie chciał własnego dziecka! A co miała myśleć, zastanawiał się. Na przemian ją obrażał, złościł się, a za chwilę zamykał się przed nią. No cóż, to wystarczyło. Jesteś głupcem, powiedział sobie. Przypomniało mu się, jak kupiła ten pejcz i uśmiechnął się. Tak, moja droga żono, wreszcie udało ci się zwrócić na siebie moją uwagę.

Przed kolacją wszedł do sypialni i zamarł. Byrony się pakowała.

- Co ty robisz? - spytał.

- Pakuję swoje rzeczy - odparła spokojnie Byrony, nawet na niego nie patrząc.

- Mogę spytać dlaczego?

Byrony westchnęła. Nie chciała na niego patrzeć, było to zbyt bolesne, ale spojrzała. - Odchodzę, Brent. Nie zniosę już dłużej twojej nieufności i cynizmu. Myślałam, że podczas tej podróży zaczniesz ci na mnie naprawdę zależeć. Ale wszystko się zmieniło, gdy przyjechaliśmy tutaj i musiałeś zmierzyć się z swoim chłopięcym występkiem, z własną zdradą. Skoro ty nie umiesz sobie z tym poradzić, to jak możesz oczekiwać, że ja sobie poradzę? - Czekwała wyprostowana.

- Nie, Byrony, nie odejdziesz. Należysz do mnie. Moje dziecko do mnie należy. Posłuchaj, pasujemy do siebie i wiesz o tym.

- Nie, Brent, to ty posłuchaj. Dziecko powinno być wychowywane przez kochających się

rodziców. Wiem, ponieważ sama zostałam odesłana do Bostonu i wychowywała mnie siostra matki. Moje dziecko będzie przynajmniej miało miłość matczyną.

Odetchnął głęboko. Wiedział, że mówi poważnie. - Nie masz pieniędzy - powiedział.

- Sądzę, że Laurel chętnie da mi pieniądze. Pewnie sprzeda biżuterię, żeby tylko się mnie pozbyć.

- Odetchnęła, nie patrząc na niego. - Znajdę pracę, gdy dziecko się urodzi. Jestem młoda i zdrowa. Poradzę sobie - powiedziała.

Zaklął. Byrony odwróciła się i dalej składała ubrania.

Podszedł do niej, objął ją i przyciągnął do siebie. - Proszę, Byrony, wysłuchaj mnie. Pragnę cię.

Pragnę naszego dziecka. Chcę, żebyśmy byli razem.

Poczuł, że zadrżała. - Nie, nie wierzę ci - powiedziała.

- Czy uwierzysz mi, gdy ci powiem, że cię kocham? Że prawdopodobnie kocham cię od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem z twarzą umorusaną mąką?

Nie odpowiedziała. Westchnął ciężko. - Muszę ci tak wiele wynagrodzić, skarbie. Tak wiele rzeczy, które nie zdarzyłyby się, gdybym nie był taki ślepy. Oczywiście masz rację. Przyjazd tutaj był pomyłką, a ja zachowywałem się jak drań. Wszystko, co powiedziałaś jest prawdą. Trudno jest wybaczać. Naprawdę cię kocham, Byrony.

Odwrócił ją do siebie i spojrzał jej w twarz. W oczach Byrony błyszczały łzy. - Kocham cię - powtórzył, sycąc się tymi słowami. - Nieraz to mówiłem - ciągnął, jakby sam do siebie - kobietom, które chciały to usłyszeć, ale to były tylko słowa. Spróbuj mi wybaczyć, Byrony. Zostaniesz ze mną? Możesz nawet zatrzymać swój pejcz, na wypadek gdybym coś prze-skrobał.

Przez krótką chwilę zastanawiała się, czy ojciec powiedział kiedyś coś takiego matce, ale zaraz odsunęła od siebie tę myśl. Brent w niczym nie przypominał jej ojca. - Dlaczego? - spytała bardzo cicho. - Bardzo sobie cenisz wolność, Brent. Jeśli tak właśnie chcesz żyć, to ja nie zamierzam cię zmieniać. Nie chcę, żebyś był nieszczęśliwy.

Słyszając to, roześmiał się. - Jestem nieszczęśliwy, odkąd sięgnę pamięcią. Zawsze mi czegoś brakowało. Ciebie, oczywiście, i tych uczuć, które mnie przepełniają. Jesteś samą radością, Byrony. Chcę, żebyś była ze mną, zawsze.

Wpatrywała się w jego twarz. Po raz pierwszy dostrzegła w jego oczach niepewność. Nie miała wątpliwości, co do niego czuje i co mu powie. Chyba na tym właśnie polega miłość, pomyślała.

- Dobrze - odezwała się.

Zobaczyła w jego oczach błysk ulgi i poczuła, jak mocno ją do siebie przytula.

Schowwała twarz w jego ramionach.

- Kocham cię - powiedział. Miał wrażenie, że ktoś zdjął wielki kamień z jego piersi.

Przepełniało go ciepło i dziwne uczucie spełnienia.

Chwilę później chciała mu powiedzieć, że nie wyobrażała sobie, żeby jakikolwiek inny mężczyzna umiał tak szybko rozbierać kobietę. Ale była zbyt pijana szczęściem.

Gdy położył się obok niej, delikatnie musnęła palcami jego policzek. - Jesteś najpiękniejszym mężczyzną na świecie, Brent.

- A ty, żoneczko, nie wyglądasz, jakbyś nosiła w swym łonie dziecko.

Zachichotała. - Niedługo będę gruba.

Pieścił pacami jej piersi. - Czy to cię boli?

Potrząsnęła przecząco głową, nie przestając się w niego wpatrywać.

Patrzył na jej piękne ciało, na płaski brzuch i cudne loczki między udami. Wziął głęboki oddech i

położył dłoń na jej brzuchu. - Daj mi małą dziewczynkę, Byrony. Tak dobrą, słodką i wyrozumiałą, jak ty.

- Myślałam o małym chłopcu, szatanie, przez którego osiwiejesz.

W jego oczach pojawił się nieznany, czuły błysk.

- Wiesz co? - wyszeptała. - Zabiłabym dla ciebie smoka, Brent.

- Naprawdę? Łatwa obietnica, żoneczko. Nigdy nie widziałem smoka, a przynajmniej nie na zachód od Missisipi.

Roześmiała się i dała mu kuksańca w ramię. Pocałował ją namiętnie, a potem położył ją na plecach. Delikatnie rozchylił jej nogi i usiadł na piętach. - Nie - powiedział, gdy zeszywniała. - Chcę na ciebie patrzeć. Nie wstydź się. Jesteś przecież moja.

Zamknęła oczy i poczuła, jak ogarnia ją pożądanie, gdy ją całował i pieścił palcami. Tak dobrze zna moje ciało, myślała, gdy w nią wszedł. Jęczała cicho, głaszcząc go po plecach i pośladkach. Był ciepły i spocony. Pocałowała go, gdy krzyknął z rozkoszy.

Jesteśmy jak para dzieci, myślała Byrony, gdy później zeszli na dół, trzymając się za ręce i żartując.

- Boże - powiedział Brent, zatrzymując się w drzwiach jadalni. - Nie musieliście na nas czekać.

- Nie wiedzieliśmy, ile czasu wam to zajmie - odezwała się Laurel, przyglądając się im bacznie. -

W końcu Byrony miała tyle do zrobienia.

- Tak - odezwał się łagodnie Brent - to prawda. Byrony uśmiechnęła się do niego promiennie i poczuł się, jak lubieżny byczek. - Czy jesteś głodna, żoneczko?

Wykrzywiła usta. - Niesamowicie - odparła.

Choć była głodna, ledwie spróbowała kurczaka nadziewanego ostrygami. Syciła się Brentem, każdym jego gestem i słowem. Rozmawiał z Drew o przyszłości Wakehurst i tym razem Byrony nie mogła skupić się na tym, o czym mówił.

Brent spojrzał na jej talerz i uśmiechnął się. - Może pójdziecie z Laurel do salonu. Dołączymy do was za kilka minut.

- O co tu chodzi? - warknęła Laurel, gdy zostały same.

Byrony nie od razu odpowiedziała. Podeszła do otwartego okna i wdychała świeże wieczorne powietrze.

- Więc?

- Nie odchodzę od Brenta - powiedziała. - Musisz zapomnieć, co powiedziała ci niania Bath o moim pakowaniu.

Laurel potrząsnęła głową. - Boże, jesteś taka głupia! Uwodzi cię i już jesteś gotowa o wszystkim zapomnieć! O tak, dobrze znam to spojrzenie. Będziesz tego żałować, Byrony.

Być może Brent ją uwiódł, ale ona pragnęła go równie mocno. - On mnie kocha - rzuciła. - Od czasu gdy mnie przewrócił i rozsypał moją mękę - dodała z rozmarzonym wzrokiem.

- Czy zdajesz sobie sprawę, ile kobiet kochał w ciągu ostatnich dziesięciu lat? A może nawet piętnastu.

- Pewnie cały batalion. Ale już się ustatkował.

- Domyślam się, że chce tego dziecka?

- Oczywiście.

Na chwilę zapadło milczenie. Byrony odwróciła się tyłem do okna, a Laurel spacerowała po salonie, szeleszcząc jedwabną suknią.

- Czy nie rozumiesz, że on nie ma żadnego powodu, żeby cię kochać? Posłuchaj, Byrony, jesteś miłą dziewczyną. Nawet całkiem ładną.

- Dziękuję - powiedziała sucho Byrony.

- Ale weź pod uwagę wszystkie kobiety, które znał. Kobiety, które były naprawdę piękne i pewnie kochały go równie mocno co ty. Więc dlaczego miałby kochać ciebie? To nielogiczne. Musi mieć jakiś powód. Może chce twojego dziecka. Wszyscy mężczyźni chcą mieć syna. Chodzi o przedłużenie rodu i takie tam.

- Brent powiedział mi, że chce mieć dziewczynkę.

- Oszukuje ciebie albo siebie!

Laurel zamilkła na chwilę, nie znajdując więcej słów i argumentów. Nie bardzo wiedziała, w co wierzyć. Wiedziała jednak, że nie chce, żeby Brent wyjechał ze swoją żoną. Pewnie wtedy sprzedałby Wake-hurst i pozostawiłby ją z niczym poza osobistym urokiem. Jakies dwa tygodnie wcześniej pytała go, co ma zrobić, gdy on wyjedzie. Wyszczrzył zęby i powiedział, żeby ponownie wyszła za męża. „Wielu głupców połasi się na taki smaczny kąsek” - rzucił i miała ochotę go uderzyć. Zasługiwała na Wakehurst. Powinno należeć do niej. W końcu poświęciła temu starcowi tyle lat. Zrobiło jej się słabo i złapała się krzesła. Była taka młoda, gdy nakrył ją z Brentem. Ale już wtedy był zbyt stary, żeby jej wybaczyć i wiedzieć, jak to jest być młodym.

Otworzyła oczy, gdy usłyszała, że do salonu wchodzi Brent i Drew. Widziała, jak Brent patrzy w oczy Byrony i chciała krzyknąć. Drew przyglądał się obojgu z lekkim uśmiechem.

Drgnęła, gdy Drew się odezwał: - W przyszłym tygodniu jadę do Paryża.

- Och, nie! - zawołała Byrony. - Drew, miałam nadzieję, że pojedziesz z nami do San Francisco.

- Będę was odwiedzał, kochanie, obiecuję. Ale muszę jeszcze zrobić tyle rzeczy. Moje miejsce jest w Paryżu, przynajmniej na razie. Mam nadzieję, że będziecie mnie o wszystkim informować. Będę przysyłał prezenty swoim bratankom i bratanicom.

Brent patrzył na żonę z bezgranicznym uwielbieniem.

- Rozumiem - powiedziała Laurel. Odwróciła się i wyszła z salonu.

Przez chwilę Brent, Drew i Byrony rozmawiali niezobowiązująco, a potem Brent ziewnął przeciągle. - Ależ jestem zmęczony. Chodź, żono.

Byrony chciała się roześmiać i dać mu kuksańca. - Jesteś taki subtelny - szepnęła, gdy wchodzili do sypialni.

Wziął ją w ramiona i zaczął całować. - Jestem zmęczonym, napalonym byczkiem - powiedział między pocałunkami.

- To pewnie przez te ostrygi, które zjadłeś na kolację.

- Sądzę, że to przez gapienie się na twój biust, gdy jadłem ostrygi.

Zaczął delikatnie ugniatać jej piersi. Byrony przytuliła się do niego i odchyliła głowę. Dostrzegła w jego oczach błysk zadowolenia i powoli przesunęła dłoń w dół i zaczęła go pieścić. Gdy sapnęła głośno, uśmiechnęła się i powiedziała: - Teraz już wiesz, o czym myślałam podczas kolacji wśród tych wszystkich ostryg.

*

Przez kilka następnych dni Byrony była bardzo zadowolona. Lizzie znowu była jej pokojówką, ale tym razem już nie paplała trzy po trzy. Jest tak samo rozmarzona jak ja, pomyślała Byrony. Nastroju zadowolenia nie psuły nawet dawne i przyszłe problemy Wa-kehurst. Zaczęły się poranne nudności. Była wzruszona przejęciem, z jakim Brent patrzył na nią, gdy wybiegała cło łazienki. I

zadowolona. Kochał ją i dziecko, które w sobie nosił. Wyjeżdżał z Wake-hurst z samego rana i wracał późnym popołudniem. Gdy spytała, co robił, powiedział tylko, że stara się znaleźć niespodziankę, która dorównywałaby jej niespodziance. Nie chciał powiedzieć nic więcej.

Któregoś razu pojechała z Laurel powozem odwiedzić sąsiadów. Wydawało się jej, że Laurel jest cichsza niż zwykle, ale ani Laurel, ani żaden z sąsiadów nie był w stanie popsuć jej dobrego humoru.

Wyglądało na to, że Brent nie mógł się nią nasycić. - Twoja wytrzymałość mnie zadziwia, mężu - powiedziała mu któregoś popołudnia. Wchodził w nią głęboko i delikatnie, trzymając ją za biodra, aż poczuła, że stali się jednością. Czowała się tak bezpieczna i uwielbiana, że gdy któregoś popołudnia spotkała na przejażdżce Franka Paxtona, w pierwszej chwili nie rozpoznała go i nie zauważyła, że jest kompletnie pijany.

ROZDZIAŁ 32

- Czego pan chce? - spytała Byrony, zatrzymując konia.

Frank Paxton zdjął kapelusz i uklonił się jej przesadnie. - Można powiedzieć, droga pani Hammond, że jest między nami kilka niezłatwionych spraw. Czekam tu na panią od wielu dni.

- I wygląda na to, że od wielu dni pan pije! Nie ma pan tutaj żadnych złatwionych czy niezłatwionych spraw. Proszę odejść, panie Paxton...

Złapał jej klacz za uzdę i roześmiał się nieprzyjemnie. Jak bandyta w kiepskim melodramacie. Przypomniała sobie, że jej ojciec czasami śmiał się podobnie. Zanim stawał się agresywny. To było zbyt prawdziwe. Nagle jej umysł zaczął pracować na pełnych obrotach i spojrzała na niego. Kiedyś przynajmniej wyglądał jak dżentelmen, dobrze ubrany i ujmująco grzeczny. Ale teraz wyglądał, jakby nie spał i nie kąpał się od tygodni. Miał przekrwione oczy i niechlujny zarost na twarzy.

- Byrony. - Sycił się dźwiękiem jej imienia. -Dziwne imię, ale ujdzie. Za moment będziemy zbyt blisko, żeby mówić do siebie po nazwisku, kochanie. -Beknął głośno.

- Panie Paxton - powiedziała Byrony przytomnie - zachowuje się pan nieodpowiedzialnie. Sugeruję, żeby pan odjechał. Mój mąż nie będzie zadowolony, gdy tu pana spotka.

- Oczywiście masz rację - zgodził się z obleśnym uśmiechem i otarł dłonią usta. - Cieszę się, że twoje uczucia do mnie są tak silne, Byrony. Większość kobiet czuje podobnie. Chodź już.

Wpatrywała się w niego, cały czas słysząc obrzydliwe słowa. - Nigdzie z panem nie pójdę - powiedziała wolno i spokojnie. - Zamierzam jechać dalej, a potem wrócić do domu. Proszę mi oddać uzdę.

Wyciągnęła rękę, ale nawet nie drgnął. Uśmiechnął się tylko i po raz pierwszy poczuła strach. Przełknęła ślinę i pomyślała o swoim dziecku.

- Wolę białe kobiety - odezwał się - ale na tę małą dziwkę Lizzie miałem ochotę. Taka młoda, no i dziewica. Ale już nie jest dziewicą, prawda? Szybko wydaliście ją za tego prostaka Josha. - Zmrużył oczy i zaczął mówić bardziej jadowicie. - Chciałem przelecieć tę dziewczynę, o tak, Byrony, podobałoby się jej. Wziąłby ją biały mężczyzna, a nie jakiś prostak.

- Josh nie jest prostakiem. Kocha Lizzie. A pan jest pijany, panie Paxton.

- Nie tak bardzo, kochanie - powiedział i pochylił się ku niej. Ogarnęły ją mdłości, gdy poczuła na twarzy jego śmierdzący oddech.

Bez zastanowienia Byrony z całej siły zdzieliła go szpicrutą. Zawył z bólu i odskoczył. W tej sekundzie Byrony uderzyła obcasami w boki konia i sięgnęła po uzdę, którą Paxton wypuścił z rąk. Jednak nie dosięgła jej. Pochyliła się nad końskim karkiem, myśląc intensywnie i próbując schwycić uzdę. Wiedziała, że musi zawrócić konia w stronę domu.

Usłyszała za sobą Paxtona i nieznacznie odwróciła się w siodle. Zbliżał się do niej.

Nie powinnam galopować, pomyślała, mogę zrobić krzywdę dziecku. W tej sekundzie klacz potknęła się. Byrony złapała się lęku i poczuła się całkowicie bezradna. Paxton chwycił ją w pół i ściągnął z konia. W pierwszym momencie pomyślała, że uratował ją przed upadkiem, że uratował jej

dziecko.

Przełożył ją przez koński grzbiet. W nozdrza uderzył ją zapach konia, potu i brudnej skóry.

- Ty skończony głupcze! - wrzasnęła, usiłując się zsunąć. - Zabieraj łapy!

- Zamknij się, suko!

Zamilkła. Gdyby nie dziecko, walczyłaby jak oszalała. Leżała więc spokojnie, mając tylko nadzieję, że podczas galopu dziecku nic nie stanie się.

Nagle Paxton zatrzymał konia. Nie widziała, co robi, ale słyszała, jak jej klacz rży, a Paxton uderzają w zad.

- No - powiedział i zaskoczyło ją zadowolenie w jego głosie.

Byrony wydawało się, że jada już całą wieczność. W ustach miała pełno kurzu.

Gdy wreszcie się zatrzymali, zobaczyła, że są przed rozwalającą się chałupą, w której chyba nikt nie mieszkał od wielu lat. Nie walczyła z nim, gdy ściągnął ją z konia.

- Może nie przypomina to Wakehurst, ale ujdzie - powiedział Paxton, bardziej do siebie niż do niej. - Chodź, Byrony.

Przymknęła na moment oczy, czując ból w wykręconej do tyłu ręce.

Drzwi ledwie wisiały na zawiasach i Byrony zastanawiała się, dlaczego nie odpadły, gdy Paxton otworzył je kopniakiem.

Puścił ją. Przez chwilę stała w milczeniu, usiłując złapać oddech i pomyśleć. Chata składała się tylko z jednej izby. Przegniłe deski wystawały ze ścian i opadały na klepisko. W środku znajdowało się jedno łóżko, toporny drewniany stół i dwa krzesła. W jednym z dwóch okien nie było szyby.

Byrony wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić, i odwróciła się do Franka Paxtona.

- Dlaczego mnie tu przywiozłeś?

Nie zwracając uwagi na jej słowa, podszedł do stołu i podniósł do ust butelkę. Robiło się jej niedobrze, gdy widziała whisky kapiącą mu po brodzie.

Postawił butelkę na stole i odwrócił się do niej z szerokim uśmiechem.

- Przywiozłem cię tutaj, moja pańciu, żeby cię tak przelecieć, aż będziesz błagała, żebym przestał. Albo - dodał - żebym nie przestawał.

Przez chwilę nie rozumiała, co powiedział. Ale nie przestraszyła się, gdy jego słowa do niej dotarły. Była wściekła.

- Nie bądź głupcem! - wrzasnęła, kładąc ręce na biodrach. - Proszę posłuchać, panie Paxton, mój mąż będzie się o mnie martwić. Nie lubię pana, ale nie życzę panu śmierci. A mąż niewątpliwie pana zabije, jeśli spróbuje mnie pan tknąć. A teraz wychodzę.

- Nigdzie nie idziesz - powiedział spokojnie. Złapał ją za ramię i przyciągnął do siebie. - Kiedyś patrzyłem na ciebie i zastanawiałem się, co masz dla mnie pod tymi ślicznymi sukienkami. A teraz zamierzam to sprawdzić. O tak, teraz to sprawdzę.

Mówił bełkotliwie i, choć trzymał ją mocno, wiedziała, że jest bardzo pijany. Myśl, kretynko, myśl! Zaczął ją obmacywać, aż zadrżała z obrzydzenia.

- Już ci się podoba - powiedział, całując ją w policzek i gryząc w szyję. Nagle zaklął.

Puścił ją i pchnął na rozpadające się łóżko. - Potrzebuję trochę czasu - wymamrotał, przewracając ją na plecy. Byrony uniosła się, gotowa do walki, ale w tej samej sekundzie dostała pięścią w twarz i straciła przytomność.

*

Z trudem otworzyła oczy, słysząc w uszach dziwne dzwonienie. Chciała usiąść, ale nie mogła.

Uświadomiła sobie, że przywiązał jej ręce do zagłówka łóżka. Chciała z całych sił krzyknąć o pomoc. W tym momencie zdała sobie sprawę, że nadal jest ubrana. Nie zgwałcił jej.

Bardzo powoli odwróciła głowę, nie zważając na ból szczęki i zobaczyła Paxtona śpiącego z twarzą na stole. Głośno chrapał.

Położyła się i spróbowała szarpnąć sznurek. Zacisnął się mocniej, ale usłyszała trzeszczenie drewnianego zagłówka. Pojawił się cień nadziei.

Szarpnęła ponownie, wpatrując się w plecy Paxtona. Usłyszała, jak charczy i zamarła.

*

Drew biegł podjazdem i krzyczał do Brenta. - Poczekaj! Jej koń wrócił do stajni!

Brent szybko zsiadł z konia i odwrócił się do brata. Zacisnął zęby, oczyma wyobraźni widząc, jak Byrony upada i leży w kałuży krwi po stracie dziecka.

Jest blada i umiera. Tak jak wiele lat temu umarła Joyce Morgan, a on tylko bezradnie trzymał ją za rękę.

- Patrz, Brent!

- Co to jest, do cholery?

- List - powiedział Drew.

Brent złapał kawałek papieru. - Już ją miałem, Hammond - przeczytał. - Podobało się jej. Chce ze mną uciec.

Pod spodem był podpis „Paxton”. - Nie - zawył z wściekłością Brent.

- Co się dzieje? Co się stało Byrony?

Brent zignorował Laurel i zwrócił się do Drew. - Porwał ją ten drań, Paxton.

Usłyszał jakieś hałasy i odwrócił się. Na werandzie stała cała służba domowa.

Wszyscy mówili jednocześnie. Potrząsnął głową. Wrzasnął na Jemmy'ego, jednego z chłopców stajennych: - Natychmiast zawołaj do mnie Josha!

- Co zamierzasz zrobić, Brent? - spytała Laurel.

- Znajdę tego łajdaka i zabiję go. Bardzo powoli. Drew, chodź ze mną do gabinetu.

Bracia pochylili się nad mapą Wakehurst. - Założę się, że nie wyjechał poza Wakehurst - powiedział Brent. - Nie sądzę również, żeby sypiał pod drzewem. Wiem, że jest gdzieś tutaj, pewnie w jakiejś opuszczonej chacie. - I ma Byrony i robi jej krzywdę.

Drew, który zdawał sobie sprawę, jak rozległe jest Wakehurst, przymknął na chwilę oczy. Równie dobrze mogliby szukać igły w stogu siana.

Dziesięć minut później pojawił się Josh. - Co się stało? - spytał spokojnie, wpatrując się w twarz Brenta.

*

Frank Paxton miał wrażenie, że w jego głowie wirują oszalałe demony. Zerwał się na równe nogi, niemal przewracając stół, i wybiegł na zewnątrz, żeby zwymiotować.

Jęczał i klął, trzymając się za brzuch.

Byrony słyszała go i wiedziała, że ma niewiele czasu. Szarpnęła z całej siły i jeden ze szczebli zagłówka złamał się.

Frank Paxton wtoczył się do chaty, żałując, że spotkał tego handlarza, który sprzedał mu kiepską whisky. Była jak trucizna. Nie pamiętał o Byrony Hammond, dopóki nie stanął w drzwiach chaty.

Zamglonym wzrokiem spojrzął na łóżko. Jak ma ją zgwałcić, skoro marzy tylko o tym, by umrzeć? Nagle wyostrzył wzrok. Znikła.

Zaklął zaskoczony, a w następnej sekundzie poczuł uderzenie w głowę i padł na podłogę.

Byrony patrzyła na niego i usiłowała uspokoić oddech. Opuściła szczebel. Jak żałośnie wygląda, pomyślała. Położyła szczebel na stole i pochyliła się nad Paxtonem, próbując wyczuć tętno. Och nie, szepnęła do siebie. Drań jest w kiepskim stanie. Wyprostowała się. Co powinna zrobić? A jeśli ucieknie, a on umrze? *Chciał cię zgwałcić, idiotko!* Odsunęła od siebie tę myśl. W tej chwili nie był w stanie skrzywdzić nawet muchy. Z trudem udało się jej zaciągnąć go na łóżko. Odsunęła się, żeby pomyśleć. Musi sprowadzić Bren-ta. Ale Brent pewnie go zabije. To żalosna kreatura, ale nie chciała jego śmierci.

Miał na głowie guza wielkości jajka. - Głupiec -powiedziała głośno. - Nie miała wyboru. Musiała sprowadzić pomoc. Przykryła go kocem i wyszła z chaty.

Brent spojrzał na trzy grupy poszukiwawcze. Jest późno, pomyślał, i niedługo zrobi się ciemno. Przepelniała go wściekłość, ilekroć przypomniawszy sobie list Paxtona.

Nagle jeden z Murzynów krzyknął.

Brent odwrócił się i zobaczył pędzącą na koniu Byrony. Niemal zeskoczyła mu w ramiona, zanim zatrzymała konia. Złapał ją i mocno przytulił. - Nic mi nie jest - powtarzała w kółko.

Puścił ją i dopiero wtedy zobaczył, że ma włosy w nieładzie, a jej strój do konnej jazdy jest podarty i brudny. Serce zamarło mu w piersi.

- Byrony - odezwał się głucho.

- Nic mi nie jest, Brent - powiedziała, widząc panikę w jego oczach. - Naprawdę.

- Gdzie Paxton? - spytał Drew, podchodząc bliżej.

- Skąd wiecie o Paxtonie? - spytała z grymasem.

- Był na tyle miły, że przysłał mi list, przyczepiony do siodła twojej klaczy. Napisał, że cię zgwałcił.

- Biedny głupiec - odparła Byrony.

- Co?

Byrony nigdy nie słyszała takiej wściekłości w jednym słowie. - Nie dotknął mnie, Brent - powiedziała, przytulając się do niego.

- Jak ci się udało uciec?

Zabrał mnie do starej chaty, przywiązał do łóżka i zasnął, ponieważ był pijany. Wyrwałam szczebel i uwolniłam się, a jego zdzieliłam w głowę. Niedobrze z nim, Brent. Potrzebuje lekarza.

- To ścierwo potrzebuje raczej wizyty w piekle! Przepelniała go ślepa furia.

- Nie - powiedziała bardzo spokojnie. - Nie zabijaj go. Jest zbyt żalosny, żeby go zabić.

Brent spojrzał na zdecydowaną twarz żony. Bardzo powoli i bardzo cicho spytał: - Gdzie jest ta chata? Powiedziała mu.

- Idź do domu i odpocznij. Przyjdę do ciebie później.

Patrzyła bezradnie, jak Brent, Drew i Josh odjeżdżają. Każdy z nich miał strzelbę.

- Boże, jesteś jak kot.

Byrony odwróciła się do Laurel. - Wolałabyś, żeby mnie zgwałcił?

- Wyglądasz, jakby to zrobił - odparła Laurel.

- No cóż, nie zrobił tego, a kąpiel poprawi mój wygląd.

Dlaczego, u licha, martwi się o Franka Paxtona? Byrony zastanawiała się nad tym nieustannie, czekając na Brenta. Uświadomiła sobie wreszcie, że to nie o Paxtona się martwiła, lecz o Brenta. Nie chciała być odpowiedzialna za przemoc. Nie chciała, żeby Brent popełnił morderstwo. Ale sama

zabiłaby Paxtona, gdyby musiała.

- Byrony.

Odwróciła się i zobaczyła stojącego w drzwiach Brenta. Podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. - Tak się martwiłam - westchnęła, głaszcząc go po twarzy, ramionach i rękach.

- Czy naprawdę nic ci nie jest?

- Naprawdę - powiedziała, przytulając się mocniej do niego. Złapał ją za ramiona i odsunął od siebie.

- Nie zabiłem Paxtona - powiedział. Westchnęła z ulgą.

- Miałaś rację. Dawno nie widziałem, żeby ktoś wyglądał tak żałośnie. Drew i Josh zabrali go do Nat-chez do doktora Harrisona. Myślę, że przeżyje.

- Dobrze - odparła Byrony.

Zmarszczył oczy i spojrzał na nią. - Czy on cię... obmacywał?

- Tylko trochę, gdy wiozł mnie na koniu, ale to nie było nic strasznego. Najbardziej martwiłam się o dziecko.

- Ach, tak - odezwał się. Teraz, gdy przestał się martwić o żonę, był na nią zły. - Dziecko. Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego wybrałaś się na przejażdżkę i do tego sama?

- Nie galopowałam, to był tylko spacer. Paxton powiedział, że czekał na mnie od wielu dni. Myślę, że ogłupiała go whisky - dodała, potrząsając głową.

Puścił jej ramię i odszedł od niej. Zmęczenie zaczęło dawać o sobie znać. Po dniu pełnym napięcia czuł się jak starzec. A Byrony zachowywała się, jakby Frank Paxton był ofiarą! Odwrócił się do niej i powiedział lodowato: - Twoje współczucie dla tego typka wydaje mi się nie na miejscu.

Wpatrywała się w niego, zaskoczona.

- Czy nadal błagałabyś, żebym darował mu życie, gdyby cię zgwałcił? Jak myślisz, co by zrobił, gdyby nie był w sztok zalany? Czy możesz to sobie wyobrazić? Do cholery, kobieto, mogłaś stracić dziecko!

Słyszała, że drży mu głos, ale zrzuciła to na karb złości. - Dziecku nic nie jest - odparła.

- Na pewno nie dzięki tobie i głupiemu babskiemu uporowi!

Zmrużyła oczy. - Jak na człowieka, który nie chciał mieć dziecka, zachowujesz się bardzo zaborczo.

Ale nie chodziło o dziecko, a przynajmniej nie o dziecko myślał przede wszystkim. Znowu widział, jak leży przerażona i wykrwawia się na śmierć. - Boże - warknął - powinno się trzymać pod kluczem wszystkie kobiety, dopóki nie nabiorą trochę rozumu!

Otworzyła usta, ale machnął ręką. - Nie, już dosyć. Jestem śmiertelnie zmęczony i idę do łóżka.

- Zachowujesz się nierozsądnie - powiedziała do jego pleców.

Rozebrał się, rozrzucając ubrania po podłodze. Nie odzywając się do niej, zgasił lampę i położył się do łóżka.

Byrony stała przez dłuższą chwilę pośrodku pokoju. Znikło gdzieś nieopisane szczęście sprzed kilku dni. Jeśli mąż naprawdę ją kocha, myślała, to ma dziwny sposób okazywania tego. Westchnęła, zdjęła powoli suknię i położyła się, odsuwając się jak najdalej od Brenta.

Gdy przebudziła się o świcie, jej ciało było pobudzone pieszczotami męża. Jęknęła zachęcająco. A potem zeszywniała. Jak śmiał najpierw tak ją potraktować, a teraz chcieć się z nią kochać? Jakby nic się nie stało!

- Zostaw mnie w spokoju - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

Brent ocknął się i zeszywniał pod wpływem jej słów. - Byłem gotów wybaczyć ci głupotę - odezwał się.

- Moją głupotę!

- Po prostu leż spokojnie. Potraktuj swoje ciało jako zapłatę za życie tego łajdaka Paxtona.

- Ty draniu - sapnęła Byrony. Wskoczyła z łóżka, ściągając koc. Podeszła do drzwi sypialni, z wściekłości nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Otworzyła je i rzuciła przez ramię: - Chcesz kobiety, Brent? Idź za to zapłacić!

- Jęczałaś jak suka w rui, zanim się obudziłaś i postanowiłaś mnie ukarać.

Warknęła ze złością: - Jesteś nieznośny! - i trzasnęła drzwiami.

ROZDZIAŁ 33

- Kalifornia! - westchnęła Lizzie. W jej ciemnych oczach widać było podniecenie i rozmarzenie. - Niech panienka tylko pomyśli, moje dziecko nie będzie do nikogo należało.

- Tak, Lizzie - przytaknęła mechanicznie Byrony. - Nie jesteś w ciąży - dodała.

- Josh mówi, że pewnie jestem - odparła Lizzie z chichotem. - Mój Josh to wielki mężczyzna.

Większość z nich tak uważa, pomyślała Byrony. Do diabła z Brentem! Przez ostatnie dwa dni traktował ją z uprzejmą obojętnością. Był grzeczny, ale rozmawiał z nią tylko o nieistotnych sprawach. Nie miała pojęcia, co mu chodzi po głowie.

To Drew powiedział jej, że Paxton czuje się całkiem dobrze. Brent, słysząc to, tylko uniósł brew i wzruszył ramionami.

Do licha! Gdzie on się teraz podziewa? Chciała z nim porozmawiać, musi z nim porozmawiać. Ta niema wojna między nimi trwała już zbyt długo. Głupi, arogancki mężczyzna! Miała ochotę nim potrząsnąć, może nawet go kopnąć, żeby tylko zwrócić na siebie jego uwagę.

Skrzywiła się na moment, gdy Lizzie zapinała guziki jej sukni. A jeśli dzieje się coś złego, a on nie zamierza jej o tym powiedzieć? Czy nie wie, od czego ma się żonę? Zmarszczyła się jeszcze bardziej. Dobrze знаła jego zdanie na ten temat.

- Gotowe, panienko. Może panienka się położy - powiedziała Lizzie, ale Byrony marzyła tylko, żeby uciec z domu do ocienionego ogrodu. Druga kąpiel nie przyniosła wielkiej ulgi. Przez gabinet wyszła na werandę. Gęste dęby i wiązy wyglądały tak zachęcająco. Dziecko, pomyślała, dotykając swojego brzucha, czy jest ci równie gorąco jak mnie?

Szła przez ogród, zatrzymując się co jakiś czas, żeby odetchnąć zapachem kwiatów. Przystanąła i przyłożyła do nosa kwiat magnolii i w tym momencie dobiegł ją głos Laurel.

- ...Brent, minęło tak wiele czasu... to wcale nie znaczy...

Bezwiednie ruszyła w stronę, skąd dobiegał głos. Zobaczyła stojącego do niej tyłem Brenta. Miał na sobie skórzane spodnie, białą koszulę i czarne buty. Wydawało się jej, że dostrzegła twarz Laurel, zanim ta zarzuciła Brentowi ręce na szyję. Miała wrażenie, że Laurel coś do niego szepcze, ale nie była w stanie nic usłyszeć. Wtedy Brent, jej cholerny mąż, pochylił się i pocałował Laurel.

Stała jak posąg, nie zdając sobie sprawy, że wstrzymuje oddech. Poczuła, że przeszywa ją nieopisany ból i zamknęła oczy. - Do diabła z tobą, Brennie Hammond - wyszeptała. Już miała zawrócić, gdy zobaczyła, jak Laurel mocniej się do niego przytula.

Ogarnęła ją czysta furia. Nie będę uciekać jak głupia szczeniara!

- Zabieraj łapy od mojego męża!

Nic się nie wydarzyło. Uświadomiła sobie, że jedynie wyszeptała te słowa.

- Zabieraj łapy od mojego męża!

Jej wściekły wrzask zaskoczył Laurel i odsunęła się od Brenta. Spojrzała Byrony w oczy i zaraz spuściła wzrok, jednak Byrony zdążyła dostrzec w jej oczach błysk tryumfu.

- Trzymaj sięz daleka od mojego męża, Laurel. A co do ciebie, Brent... - Umilkła, gdy wolno

odwrócił się do niej.

Uśmiechnął się, co rozwścieczyło ją jeszcze bardziej. - Witam, Byrony - powiedział od niechcenia. - Chyba jest ci trochę gorąco. Może poprosisz nianię Bath, żeby zrobiła ci lemoniady.

Otworzyła usta, usiłując przypomnieć sobie jakieś obelgi. - Ty beznadziejny mężu! - krzyknęła w końcu.

Nie przestawał się uśmiechać i nadal sprawiał wrażenie niespecjalnie zainteresowanego jej osobą. - Wydaje mi się - rzucił - że mniej więcej na tym zakończyła się nasza ostatnia rozmowa. Chociaż nie, to chyba było „arogancki”. Dziwne, ale nie pamiętam. - Wzruszył ramionami. - Bez znaczenia - dodał.

- Gdybym miała lemoniadę, wylałabym ci ją na twarz! - Poczwała pod powiekami łzy i z wściekłością otarła oczy. - A co do ciebie, ty, ty... wymalowana pin-do...

Nie dokończyła. Brent wybuchnął śmiechem. - Wymalowana co? - wysapał. - Skąd wzięłaś to słowo? Czyżbyś czytała romansidła?

Laurel wydała z siebie zduszony chichot.

Powinnam po prostu odejść bez słowa i nie ośmieszać się, pomyślała Byrony, patrząc na niego. Nie, tak właśnie postąpiłaby moja matka. Podeszła do męża i uderzyła go z całej siły w twarz. Jego śmiech zamarł gwałtownie. Uniósł dłoń i potarł piekący policzek.

W końcu przestał się z niej śmiać. Wysunęła brodę, zmrużyła oczy i odwróciła się do Laurel. - Zastanawiam się - odezwała się głośno - jak będziesz wyglądać z kołtunem na głowie!

Rzuciła się na Laurel. - Nigdy więcej nie zbliżaj się do mojego męża! - Złapała Laurel za włosy, zanim ta zdążyła się cofnąć. Brent chwycił ją gwałtownie za rękę.

- Wystarczy, Byrony! Odciągnął ją i potrząsnął.

- Ty suko! - syknęła Laurel, ale cofnęła się, widząc wściekłość w oczach Byrony.

- Co tu się dzieje? - Nadbiegł Drew, patrząc ze zdziwieniem to na swojego brata, to na jego unieruchomioną żonę, to na Laurel.

- Ona usiłuje rozkazywać Brentowi - powiedziała Laurel. - Uderzyła go i próbowała zaatakować mnie. To zupełna wariatka.

Brent poczuł, że Byrony zatrzęsała się i złapał ją mocniej za ramię. Najpierw spojrział na Laurel, a potem powiedział do brata: - To tylko małe nieporozumienie. Kochanie, czy już czujesz się... spokojniejsza?

Byrony przytaknęła.

Puścił ją i za moment poczuł bolesnego kopniaka w goleń.

- Ty diablico! - rzucił i wyciągnął ręce w jej stronę. Byrony odskoczyła, ale zahaczyła nogą o marmurową ławkę i upadła.

Brent zaklął i podniósł ją z ziemi. - Ty wariatko - powiedział. - Czy próbujesz zrobić krzywdę sobie i dziecku?

Byrony wyprostowała się. - Nie - powiedziała wyraźnie - chciałam skrzywdzić ciebie.

- Udało ci się - odparł ponuro. - Jak myślisz, jak powinienem ci odpłacić?

- Naprawdę, Brent... - zaczął Drew.

Brent uśmiechnął się do żony. - To chyba nie jest taki zły pomysł. Chodź, żono.

- Brent, co zamierzasz zrobić?

- Pilnuj swoich spraw, braciszku - odparł Brent uprzejmym tonem. Złapał Byrony wpół i ciągnął ją za sobą przez ogród.

- Puść mnie - syknęła przez zaciśnięte zęby.

- To byłaby wielka nieostrożność z mojej strony - powiedział Brent. - Chyba powinienem być wdzięczny, że nie kopnęłaś mnie w krocze. To niewątpliwie powaliłoby mnie na kolana, jak pewnie pamiętasz.

- Zrobię to, jeśli mnie nie puścisz!

- To nie ma żadnego sensu - odparł. - Gdy cię trzymam, nie możesz mnie kopnąć. Ucisz się teraz i przestań się zapierać.

- Chcę z tobą porozmawiać, Brent!

- A ja, kochanie, chcę cię rozebrać do naga. Czy nadal będę beznadziejnym mężem, gdy będziesz jęczeć z rozkoszy?

Przymknęła oczy, uświadamiając sobie, że cała służba widziała, jak pan ciągnie panią po schodach. - Nienawidzę cię - wymamrotała. - Pożałujesz tego, Brent. Jeśli chcesz być sprośną świnią, to wracaj do swojej kochanej Laurel!

- Już wiele razy żałowałem w ciągu tych ostatnich miesięcy. A teraz jeszcze jestem sprośną świnią. Może zapomnisz o zazdrości i pomyślisz o tym, co będę ci robił?

Byrony udało się dźgnąć go łokciem pod żebra. W następnej chwili wepchnął ją do sypialni i zamknął drzwi. - Już - powiedział i podszedł do niej.

- Nie! - wrzasnęła i pobiegła w stronę balkonu. Nadal krzyczała i szamotała się z nim, choć miała na sobie już tylko białą bawełnianą halkę.

Brent, który przez cały czas milczał, odsunął się i w zamyśleniu potarł brodę. - Bardzo ładne - odezwał się w końcu. - Może przyjmiesz uwodzicielską pozę na łóżku. To może być całkiem interesujące, zważywszy twój obecny nastrój.

- Mam nadzieję, że zdechniesz - rzuciła mu w twarz.

- Nie zamierzam tylko patrzeć, Byrony - powiedział, rozbierając się.

- Jesteś mężczyzną i zawsze jesteś zainteresowany, bez względu na to, z jaką jesteś kobietą! Dla ciebie nie ma to żadnego znaczenia!

- Ależ ma. Chodź, weźmy się do roboty. Im szybciej będziesz jęczeć z rozkoszy, tym szybciej zapomnisz o swoich głupich... pretensjach.

- Głupich! Nakryłam cię z inną kobietą... z twoją macochą, do cholery!.. a ty masz czelność...

W następnej sekundzie leżała na plecach, z halką podciągniętą do pasa, a jej mąż leżał na niej.

Trzymał jej ręce nad głową. - Ostatnio byłem dosyć zajęty, kochanie - powiedział, pieszcząc jej szyję. - Mąż powinien dbać o to, by jego żona była rozmarzona i spokojna. Tyle obowiązków.

- Nienawidzę cię - powiedziała. - Nie waż się mnie zmuszać.

Usiadł na piętach i zerwał z niej halkę. - Śliczne - powiedział, patrząc przez moment na jej piersi. Odsunął podartą halkę i zaczął ją głaskać. - Nasze dziecko sprawia, że robisz się ślicznie zaokrąglona. Takie miękkie sutki, zoneczko. Wydaje mi się, że pociemniały. - Czuł, że drży, ale wiedział, że nie z pożądania.

- Nie, Brent.

- Nie co? Wiesz, Byrony, gdybyś tylko nauczyła się ufać swojemu mężowi, zaoszczędziłabyś wiele energii.

Spojrzała na niego. - Zaufać ci? Widziałam, co robiłeś. Ale ciebie to wcale nie obchodzi, prawda?

Na chwilę przestał ją pieścić i wydawało się jej, że widzi w jego oczach błysk gniewu, ale

niemal natychmiast pojawiła się w nich kpina.

Czuła, jak przesuwa palcami po jej *ciele*, aż ją odnalazł. Usiłowała się od niego odsunąć, ale roześmiał się tylko. - Mówiłaś coś o zmuszaniu, kochanie? Chyba nie przez upał jesteś taka rozpalona i wilgotna.

- To nic nie znaczy!

- Czyżby? - Uniósł brew z niedowierzaniem.

- Czy to samo robisz Laurel?

- Nie przez ostatnie dziesięć lat - odparł od niechcenia.

- Nie wierzę ci! Gdybym nie przyszła do ogrodu, pewnie byś...

Zamknął jej usta pocałunkiem.

Zdała sobie sprawę, że odpowiada na jego pocałunek. Nie, nie zrobię tego! Do diabła z nim!

Brent zobaczył w jej oczach zdecydowanie i westchnął. Nadal jednak ją pieścił. - Niech będzie po twojemu - powiedział i położył się między jej nogami. Wszedł w nią głęboko. Była tak ciepła i ciasna, że usilnie starał się nie stracić panowania nad sobą. To By-rony ochłodziła jego pożądanie. Leżała pod nim sztywna i nieprzystępna.

- Byrony - powiedział miękko - daj spokój. Odwróciła głowę, uniosła biodra, by poczuć go głębiej. Dobiegł ją jego głęboki jęk i poczuła, że jego ciało sztywnieje. Znikły gdzieś rodzące się w niej ciepłe uczucia i zacisnęła usta. Tak dziwnie było być oddzieloną od niego. Nienawidziła tego. Leżał na niej i ciężko dyszał.

- Jesteś zwierzakiem - powiedziała. - Nie wybaczę ci tego, Brent.

Uniósł głowę, żeby na nią spojrzeć. - A ty jesteś upartą wiedźmą, Byrony. Gdyby kobiety były tak proste i szczerze jak mężczyźni, to wiedziałbym jak cię traktować. Zdajesz sobie sprawę, że nie skrzywdziłaś nikogo poza sobą? Jesteś piekielnie uparta. Ciesz się rym. A teraz musisz mi wybaczyć, kochanie. Mam wiele roboty. Oczywiście było mi bardzo przyjemnie na chwilę się oderwać od obowiązków.

Zsunął się z niej i wstał. Zobaczyła jego wilgotny członek i zamknęła oczy.

- Przynajmniej - odezwała się głucho - przez jakiś czas nie będziesz mógł zaspokoić Laurel.

- Brak ci wiary we mnie - westchnął. - Wiele zależy od kobiety i jej umiejętności. Nie, chyba jednak o tym nie wiesz.

Byrony przekręciła się na brzuch.

Brent chciał jeszcze coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Najpierw musi porozmawiać z Laurel. Chciał wiedzieć, dlaczego go błagała, by ją pocałował, wiedząc, że Byrony na nich patrzy.

*

- Nie bądź niemądry, Brent. Nie widziałam twojej żonki. Jestem po prostu taka samotna i nadal coś do ciebie czuję.

- Nie ma powodów, żebyś czuła się samotna - odparł ironicznie. - Drew mówił mi, że uganiają się za tobą wszyscy mężczyźni w okolicy.

- To prawda - powiedziała szczerze, odsuwając się od niego. - Ale czekają, żeby zobaczyć, co zrobisz z Wakehurst.

- Którego z nich uszczęśliwisz?

- Jeśli wyjedziesz z Wakehurst, zostawiając mnie bez grosza, chyba Samuela Simpsona. - Skrzywiła się lekko. - Ma dwoje dzieci z pierwszego małżeństwa. Dwóch synów, ale młodszych niż ty, kiedy wychodziłam za twojego ojca - dodała, patrząc na niego z ukosa.

- I dzięki Bogu - powiedział Brent. - Nie zostawię cię bez grosza, Laurel. Zrób z Simpsonem co chcesz. A tak przy okazji, Laurel, wyjeżdżam z Wakehurst. Chyba nie miałaś co do tego wątpliwości. Twoje gierki - nie, nie zaprzeczaj - niczego nie zmieniają. Tak się składa, że bardzo kocham swoją żonę. Sądzę, że teraz jest na mnie wściekła jak osa, ale - wzruszył ramionami - życie z Byrony nigdy nie będzie nudne.

*

Drew malował właśnie azalie, co wymagało odpowiedniego dobrania kolorów i najłżejszego pociągnięcia pędzlem.

- Drew.

Bardzo ostrożnie odsunął się od płótna. - Przestraszyłaś mnie, Byrony - powiedział, uśmiechając się do niej.

- Jesteś już spakowany? - zapytała.

- Tak. - Przesunął palcami po włosach.

- Będę za tobą tęsknić.

- A ja za tobą. Może namówisz mojego brata na podróż do Paryża. Podobałoby ci się tam, Byrony.

Nie odpowiedziała. Drew obserwował spod zmarszczonych brwi, jak w milczeniu przechadza się po jego studiu.

- O co chodzi, Byrony? Chyba nie zadręczasz się tą głupią kłótnią w ogrodzie? Daję ci słowo, że Brent jest człowiekiem honoru.

Zatrzymała się i posłała mu pełne bólu spojrzenie. Odetchnęła głęboko, ale nie odezwała się. Drew będzie trzymał stronę Brenta. Jest mężczyzną, a mężczyźni zawsze trzymają się razem.

Weź się w garść, kretynko!

- Nic się nie stało, Drew. Po prostu chciałam z tobą porozmawiać. Twoje azalie są bardzo ładne.

- Dziękuję - odparł, przyglądając się jej uważnie. - Byrony, Laurel jest uroczą kobietą. Ale jest również intrygantką. Nie przejmuj się tym, co ona robi.

- Dlaczego miałabym się przejmować? - odparła lekko Byrony.

- Więc się nie przejmuj. Chyba czas na kolację. Byrony nie miała ochoty spotkać się z mężem.

I nie spotkała się. Brent nie pojawił się na kolacji.

- Bóg raczy wiedzieć, gdzie on jest - odezwała się uprzejmie Laurel, patrząc na Byrony. - Pewnie znalazł coś, albo kogoś, kto go zajął. Wiesz, jaki on jest, Byrony.

- Tak - odparła Byrony - wiem, jaki on jest.

- Zamknij się, Laurel - odezwał się Drew. - Byrony, czy mogłabyś podać mi kawałek tego pysznego ciasta?

*

O piątej rano Byrony wymknęła się z domu i szybko poszła do stajni. Cały czas oglądała się za siebie, aż w końcu skarciła się w myślach za podejrzliwość. Brent nie wrócił zeszłej nocy, a służba jeszcze spała. Nie musiała się czaić. Miała przy sobie jedną walizkę i sześćset pięćdziesiąt dolarów, które wzięła z kasy Brenta. Osiodłała klacz, spojrzała po raz ostatni na Wakehurst i odjechała. Powtarzała sobie, że nie ucieka. Dawała Bren-towi wybór. Teraz wszystko zależy od niego.

Czy będzie wściekły, że ukradła mu pieniądze? Niech będzie, pomyślała. Wzięła także jego złote spinki. Opisała wszystko w liście, który mu zostawiła. Tak, myślała, daję mu wybór. Przełknęła ślinę. Boże, musi podjąć właściwą decyzję.

Dwie godziny później statek parowy „Nowy Orlean” odbił od brzegów Natchez, wzbijając w powietrze kłęby pary. Byrony stała na pokładzie, zaciskając dłonie na poręczy. Uświadomiła sobie, że szuka go w tłumie na brzegu. Nagle wydawało się jej, że go zobaczyła i serce podskoczyło jej do gardła. Ale nie. Skupiła się na swoich planach. Nie mogła się doczekać, co zrobi i powie Brent. Pewnie wróci do San Francisco bez względu na to, co zamierza zrobić z nią. A wtedy odkryje, że ona prowadzi jego bar.

Może zmieni nazwę z „Dzikiem Gwiazdy” na... „Bar Byrony”. Może spłaci Maggie i nazwie go „Burdel Byrony”. Zachichotała, wyobrażając sobie, jak kręci kołem ruletki, serwuje whisky i dowcipkuje z mężczyznami. Moje dziecko, powiedziała w myślach, delikatnie dotykając brzucha, nie pozabawię cię tego, co ci się prawnie należy.

Natchez znikło za horyzontem, a ona nadal wymyślała coraz to nowe możliwości na przyszłość.

*

Brent zatrzymał konia przed Wakehurst. Był zmęczony, ale bardzo z siebie zadowolony. Wreszcie wszystko załatwił.

Czekało na niego istne piekło.

ROZDZIAŁ 34

Klacz, którą Byrony wynajęła ze stajni Luke'a Harmonda w San Diego, zarżała na dźwięk kobiecego krzyku.

- Byrony! Moja kochana dziewczynka, co za niespodzianka! Co ty tu robisz?

Byrony zeskoczyła z konia, przywiązała go do płotu i podbiegła do matki. Do oczu napłynęły jej łzy, gdy poczuła ogarniającą ją miłość. Przytuliła matkę do siebie i cały czas mówiła. Nagle Byrony uświadomiła sobie, jak krucha jest jej matka. Mój Boże, pomyślała, przestając ją ścisnąć, wyczuwała jej żebra.

- Mamo - odezwała się drżącym głosem i cofnęła się, by spojrzeć na ukochaną twarz. - Przyjechałam pobyc z tobą przez jakiś czas.

- Cieszę się - odparła Alice DeWitt, ocierając oczy brzegiem fartucha. - Chodź, porozmawiamy, gdy będę przygotowywać kolację. Och, Byrony, tak dobrze cię widzieć!

Byrony rozglądała się wokół, idąc z matką do domu. Obejście wyglądało o wiele lepiej niż kiedyś. Dom był wybielony i naprawiono poręcz werandy. Koło stajni krążyło co najmniej dwanaście kurczaków.

- Tak - cicho powiedziała Alice - wszystko wygląda trochę lepiej, prawda? Co miesiąc przychodzą pieniądze od twojego męż... od Iry Butlera.

- I twój mąż nie wydaje wszystkiego od razu - powiedziała Byrony, nie mogąc pohamować gniewu.

- Nie, nie wydaje. - Alice przytuliła córkę do siebie. - Gdzie jest pan Hammond?

- Nadal jest w Natchez, w Missisipi, pracuje na plantacji. Niedługo dojedzie do mnie do San Francisco - odparła niemal beztrąsko.

A jeśli nie, to wyślę po niego najętych zbirów!

- Chciałam go poznać. Jest dla ciebie dobry? Dobrze cię traktuje?

- Nie bije mnie, jeśli o to ci chodzi.

Alice westchnęła. - Twój ojciec przeżył wiele rozczarowań, Byrony, naprawdę nie powinnaś...

- Każdy przeżywa jakieś rozczarowania, mamó. Większość ludzi nie wyżywa się przez to na słabszych.

- Proszę, Byrony...

- Przepraszam, mamó. - Boże, czy matka do śmierci będzie bronić tego człowieka? Nagle spytała: - Gdzie jest Charlie?

- Chyba w Meksyku. Czasami pisze. Właściwie nie wiem, co tam robi.

Pewnie pisze, gdy potrzebuje pieniędzy, pomyślała Byrony, ale nie powiedziała tego głośno. - A twój mąż?

- Jest w mieście. Niedługo wróci.

Byrony uściśnęła spracowane dłonie matki. - Czy nie wystarcza ci pieniędzy, żeby zatrudnić kogoś do pomocy?

- Jeszcze nie - odparła pogodnie Alice. - Ale twój ojciec ma plany.

- Wiem - powiedziała Byrony. Nic się nie zmieniło. Matka nie pozwoli jej się do niczego dotknąć. Usiadła przy małym kuchennym stole i patrzyła, jak matka obiera ziemniaki.

- Jestem w ciąży - powiedziała.

Alice odwróciła się, a w jej zmęczonych oczach pojawił się błysk radości. Musiała być kiedyś bardzo piękna, pomyślała Byrony ze smutkiem. Czy życie bywa sprawiedliwe?

- To cudownie! Och, kochanie, zrobię ci herbaty! Kiedy? Dobrze się czujesz?

Byrony zaśmiała się. - Czuję się obrzydliwie dobrze. Miałam przez chwilę mdłości podczas burzy niedaleko Panamy, ale wtedy wszyscy pasażerowie wisieli za burtą. Dobrze się czuję, mamo. Mówiąc szczerze, podróż tutaj była okropnie nudna z wyjątkiem tej burzy. Dziecko urodzi się za jakieś pięć i pół miesiąca -dodała, odpowiadając na nieme pytanie matki.

- Będę babcią - powiedziała Alice radośnie. -Cudownie. Czy zostaniesz tutaj do porodu, Byrony?

Miała ochotę wrzasnąć, że nie zostanie w domu ojca dłużej, niż to będzie konieczne, ale radość matki zamknęła jej usta. Bardzo łagodnie powiedziała: -Przykro mi, ale muszę wrócić do San Francisco. Mam tam wspaniałego doktora, nazywa się Saint Morris. Przyrzekam, że będzie się mną dobrze zajmował.

Mam tam również wielu dobrych przyjaciół. Moja przyjaciółka Chauncey niedawno urodziła córeczkę i na pewno mi pomoże.

- A co z Irą? - rzuciła Alice.

- On i Irene dali mi spokój. Trzymają się ode mnie z daleka. W zasadzie - dodała po chwili - Ira zasługuje na współczucie. Znalazł się w strasznej sytuacji i chyba wydawało mu się, że robi to, co trzeba, żeby chronić siebie i przyrodnią siostrę. On ją naprawdę kocha.

- Jak mówiłam, nadal co miesiąc wysyła pieniądze.

- Powinien - odparła Byrony. - Taka była umowa.

- Więc wróciłaś.

Obie kobiety odwróciły się, słysząc pełen sarkazmu głos. Madison DeWitt stał w drzwiach kuchni z rękoma splecionymi na piersiach. Przytył, zauważyła Byrony, przyglądając się ojcu, i zdecydowanie przydałaby mu się kąpiel.

- Czyżby twój drogi mężulek cię wykopał? - spytał ojciec, rozzłoszczony niechęcią, malującą się na twarzy córki.

Byrony zobaczyła, jak matka unosi w proszącym geście dłoń i powiedziała chłodno: - O którego drogiego mężulka ci chodzi?

- Nie pyskuj, dziewczyno!

- Madison, proszę...

- Zamknij się, Alice! Co tu robisz, dziewczyno?

- Przyjechałam odwiedzić mamę.

- Dopóki jesteś w moim domu, wywłoko, będziesz się do mnie grzecznie odzywać.

- Ona jest w ciąży, Madison!

Byrony z trudem zniosła taksujące spojrzenie ojca.

- Czyje to dziecko?

- No cóż, nie jestem pewna - odparła od niechcienia Byrony. - Wokół dziwek zawsze kręci się mnóstwo mężczyzn. Chyba musimy poczekać i zobaczyć, do kogo dziecko będzie podobne.

Ojciec warknął i Byrony uśmiechnęła się. - Szkoda, że to nie dziecko Gabriela. Pewnie bardzo

byś chciał, żeby twój wnuk był Kalifornijczykiem. Może udałoby ci się wyciągnąć więcej pieniędzy od ojca Gabriela.

- Byrony! - pisnęła Alice DeWitt.

- Wybacz mi, mamó - odparła Byrony. - Nie ma powodów, żeby być niegrzeczną. Jeśli twój mąż będzie się przyzwoicie zachowywać, to ja będę grzeczna.

- Myślisz, że jesteś od nas lepsza, prawda.

- Na pewno nie od mamy.

- A gdzie jest twój mąż?

- Spotkam się z nim w San Francisco.

Madison zerknął na swoje dłonie, ale Byrony dostrzegła w jego oczach chciwość. Skrzywiła się, zanim ojciec zdążył się odezwać. Tak dobrze go znała.

- Czy ten człowiek będzie wysyłać pieniądze twoim rodzicom?

Byrony spojrzała mu prosto w oczy. - Gdybym miała pewność, że będą należeć do mamy, sama bym je wysyłała. Ale ty nie pokazałbyś jej z tego ani grosza, prawda?

- Jesteś niewdzięcznicą - powiedział Madison DeWitt jękliwie. - A ja tak się staram zapewnić twojej matce przyzwoite życie.

Ach, pomyślała, próbuje wziąć mnie na litość. Tak bardzo to do niego nie pasowało.

- Pomóc ci, mamó? - spytała Byrony, ignorując ojca.

- Tak, proszę - odparła Alice DeWitt, rzucając mężowi niespokojne spojrzenie.

- A co mam zrobić z twoim koniem? Nie mamy nikogo do pomocy.

- Zajmę się kłaczą. Nie chciałabym, żebyś się przemęczał, a zwłaszcza nie po całym dniu ciężkiej pracy. Mamó, wrócę za chwilę. Czy mogę wprowadzić ją do stajni?

Madison DeWitt wzruszył ramionami, odwrócił się i wyszedł.

Jak matka wytrzymuje z tym ohydny człowiekiem, zastanawiała się Byrony, zdejmując siodło z konia. Wyglądał gorzej niż rok temu. A matka wyglądała na bardzo zmęczoną. Na szczęście nie było Charliego. Usiłowała wzbudzić w sobie jakieś cieplejsze uczucia w stosunku do brata, ale nie była w stanie. Był nieodrodnym synem swojego ojca.

Dziecko poruszyło się nagle i Byrony gwałtownie złapała powietrze. Wyprostowała się z szerokim uśmiechem. Przez moment zastanawiała się, co powie Maggie, gdy dowie się, że Byrony będzie prowadzić bar Brenta. Nie Brenta, nasz. Całej trójki.

Poklepała kłacz po nozdrzach i powiedziała wesoło: - Proszę tędy, panowie! Ciężarna dama należy wam szklaneczkę whisky! A gdy już będziecie wystarczająco pijani albo splukani, ciężarna dama pokaże wam drogę do burdelu!

- Nadal się śmiała, wracając do domu.

*

Jednak nie śmiała się w nocy, leżąc samotnie w wąskim łóżku. Przebudziła się w środku nocy, oddychając ciężko i poczuła ogarniające ją podniecenie. -Do diabła z tobą, Brencie Hammond! - szepnęła. Tęskniła za nim. Zawsze był obecny w jej myślach. Pamiętała, jak na nią patrzył, jak ją pieścił i doprowadzał do rozkoszy. Co teraz myśli i robi? A może właśnie jedzie do San Francisco?

Niemal tydzień później pojechała do San Diego. Dowiedziała się, że w następny piątek odpływa statek do San Francisco i zarezerwowała bilet.

Gdy wróciła, ojca nie było w domu. Pewnie gdzieś pije i gra w karty z kumplami, pomyślała. Przytuliła do siebie matkę i wyszeptała: - Mam jakieś pieniądze. Czy twój mąż się dowie, jeśli ci je

dam?

- Tak - odparła Alice DeWitt. - Powiedziałabym mu.

Byrony cofnęła się i przyglądała się matce. - Dlaczego?

Głupie pytanie, zrozumiała chwilę później, słysząc całą litanię niepowodzeń ojca.

- Pojedź ze mną do San Francisco - powiedziała.

- Bardzo chciałabym cię odwiedzić, kochanie, ale...

- Wiem. Nie spodobałoby się to twojemu mężowi.

- On mnie potrzebuje, Byrony.

- A co z twoimi potrzebami?

Matka spojrzała na nią nieobecny wzrokiem i Byrony westchnęła. Nic nie mogła zrobić.

Kilka dni później Madison DeWitt nie pojawił się na kolacji. Byrony bardzo się cieszyła, ale Alice była zdenerwowana. Unosiła głowę i załamywała ręce, gdy tylko usłyszała jakiś odgłos.

Może się upił i spadł z konia, pomyślała Byrony. Usiłowała wzbudzić w sobie poczucie winy, ale nie udało się jej.

Faktycznie był pijany, ale nie martwy. Następnego ranka Byrony usłyszała jego wrzaski przed domem. Słyszała również cichy, proszący głos matki. Szybko zapięła suknię i zbiegła na dół. Na chwilę zamarła z przerażenia.

- Ty żalosna suko! - wrzeszczał Madison DeWitt na żonę.

- Przygotowałam ci śniadanie, Madison. Wejdz do środka, odpocznij trochę i zjedz coś. Od razu lepiej się poczujesz.

- Jak mogę się lepiej poczuć po tym twoim żalosnym żarciu? Do cholery, kobieto, przegrałem w karty wszystkie pieniądze!

Byrony na moment przymknęła oczy. Nie miał kaca, bo nadal był pijany.

- Proszę, Madison - wyszeptala jej matka - wejdz do domu i połóż się. - Byrony zobaczyła, jak uderzył matkę z całej siły w ramię. Matka zachwiała się i po jej policzkach popłynęły łzy.

- Położyć się? Może z tobą? Jezu, to wszystko wina tej dziwki. Gdyby jej tu nie było, tobyś mi nie pyskowała!

- Nie pyskuję, Madison, naprawdę. Proszę... Znowu ją uderzył, tym razem pięścią.

- Zostaw ją w spokoju, ty draniu!

Byrony za późno zdała sobie sprawę, że stoi przed nim, nie mając nic, żeby chronić siebie i dziecko. Odwróciła się na pięcie i pobiegła do domu.

- Właśnie, dziwko! - wrzasnął za nią. - Uciekaj! I tak cię złapię i dostaniesz za swoje!

Ale Byrony wróciła, zanim zdążył za nią popędzić. W dłoni trzymała szpicrutę.

- Odsuń się od niej - powiedziała śmiertelnie spokojnym głosem. - Zabiję cię, jeśli ją jeszcze raz tkniesz.

- Ty głupia dziwko - syknął i zmrużył oczy w pijanej furii. - Nic nie zrobisz. - Bardzo powoli uniósł rękę i uderzył matkę.

Zaślepią wściekłością Byrony podbiegła do niego z uniesioną szpicrutą.

- Dotknij mnie, dziewczyno, a sprawię, że urodzisz co najwyżej skrzep krwi!

Szpicruta spadła na jego szyję i tors.

- Ty śmieciu! - wrzasnęła na niego. Uderzyła ponownie, tym razem w brzuch. Z krzykiem upadł na plecy. Dostał szpicrutą po twarzy i na policzku pojawiła się krew. Wił się na ziemi, zawodząc i trzymając się za twarz.

- Byrony, proszę, nie rób mu krzywdy! Odwróciła się do matki. Trzymała się za ramię, po twarzy płynęły jej łzy, a mimo to chciała go chronić.

A ja chcę go zabić.

Nagle w jej głowie pojawiła się myśl, która ją otrzeźwiła. Jeśli uderzy go jeszcze raz, będzie równie zła jak on. Jeśli uderzy go jeszcze raz, matka ją znienawidzi i będzie ją zawsze obwiniać. To wszystko było zbyt smutne i bezsensowne. Odrzuciła szpicrutę.

- Mam nadzieję, że zdechniesz, ale ja cię nie zabiję - powiedziała.

- Stłukę cię na kwaśne jabłko, dziwko! - warknął Madison DeWitt i zaczął się podnosić.

Nagle rozległo się głośnie klaskanie. Byrony odwróciła się wolno i zobaczyła swojego męża. Przez chwilę nie mogła uwierzyć, że to on.

- Jestem z ciebie dumny, Byrony - odezwał się z uśmiechem. Odwrócił się do jej ojca, który stał z rozdziawionymi ustami. - Jeśli podniesiesz rękę na moją żonę albo jej matkę, zabiję cię z wielką przyjemnością.

- Kim, do diabła... Skąd się tu wziąłeś?

- Miałem zostawić żonę z kochającym tatusiem bez ochrony? Bez szans, staruszku. Chyba czas, żebyś wytrzeźwiał.

Brent złapał jej ojca za kołnierz koszuli i spodnie. Zawłókł go, klnąc niemiłosiernie i wrzucił do koryta z wodą.

- To twój mąż? - spytała Alice DeWitt.

- Tak - odpada Byrony z radością. - To mój mąż. - Roześmiała się.

Kobiety patrzyły, jak Brent zanurza pijanego Madisona w wodzie, a potem wyciąga go z koryta. - Nic mu nie będzie - zawołał Brent do Alice, wlokąc Madisona do stajni. - Musi się tylko dobrze wyspać.

- Przepraszam, Alice - powiedział Brent do matki Byrony chwilę później - ale on naprawdę musi trochę odpocząć.

- Pewnie tak - odparła Alice, zerkając z niepokojem w stronę stajni. - Czy napije się pan herbaty, panie Hammond?

- Jestem Brent. Tak, chętnie.

- Mamo - odezwała się Byrony - jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym porozmawiać z Bren-tem przez chwilę. - Nie odezwała się, dopóki matka nie weszła do domu. - Dziwię się, że nie pobiegła za tobą i nie pobiła cię za to, że skrzywdziłeś jej delikatnego męża.

- To jej życie, Byrony - powiedział i skrzywił się, wyczuwając złośliwość. - Zostaw to. Nic nie możesz zrobić.

- Co ty tu robisz?

Usłyszał w jej głosie niepewność i zapomniał, że był na nią zły. W zasadzie, gdy dotarł do Panamy, był z niej tak dumny, że nie mógł się doczekać, by ją zobaczyć. Niewątpliwie miał rację, mówiąc Laurel, że życie z Byrony nigdy nie będzie nudne. Uśmiechnął się do niej. - No cóż, pomyślałem, że ładnie z mojej strony byłoby towarzyszyć żonie z San Diego do San Francisco.

- Nie musisz mi towarzyszyć. - Uniosła brodę. -Dobrze wiesz, co zamierzałam zrobić, Brent. I jestem zdecydowana. W końcu bar należy również do mnie i do dziecka.

- Wiem, co zamierzałaś. No cóż, może ci na to pozwolę, kochanie. To znaczy pozwolę ci zrealizować swoje plany. Ja będę miał wystarczająco dużo zajęć.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Spojrzała na niego podejrziwie.

- Później, Byrony. Powiem ci później.
- Okropny człowiek!
- Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają, kochanie.

*

Trzy dni później wyjechali z San Diego. Byrony cały czas nucila pod nosem. Brent wykręcał się od odpowiedzi jak przysłowiowy piskorz. Ale to nie miało znaczenia. Może się nie odzywać. Może się z niej naigrywać i ją dręczyć. Ciągle nagabywała go, żeby jej wszystko wyjaśnił, a gdy ją zbywał, pochylała głowę, żeby nie widział jej figlarnego uśmiešku.

Pomachała matce z pokładu statku. Cofnęła się wystraszona, gdy obok matki stanął ojciec i pomachał do nich.

- Co on tu robi, do cholery? - zastanawiała się głośno.
- Sądzę, że Madison DeWitt jest szczęśliwym człowiekiem - odparł Brent.
- Co chcesz przez to powiedzieć? - Brent uśmiechnął się do niej i odpowiedziała mu szelmowskim uśmieżkiem. - Wiem. Powiesz mi później.
- Właśnie - odparł.

Kajuta była mała i ciasna. W środku znajdowało się jedno wąskie łóżko, malutka szafa i plecione krzesło.

- To najlepsze, co mogłem zdobyć dla naszej trójki - powiedział Brent, rzucając surdut na krzesło.

Byrony przyglądała się mężowi z pewnej odległości, krzyżując ręce na piersiach. - No i? - odezwała się.

- Czy nie powiesz mi, jaka jesteś szczęśliwa, że znowu z tobą jestem? Masz mnie tylko dla siebie.
- Zachowam dla siebie swoją radość - powiedziała, siłą powstrzymując uśmiech. Serce dudniło jej z podniecenia.

Brent rozpiął kamizelkę i koszulę. - Mam nadzieję, że nie jesteś głodna - powiedział, nie patrząc na nią.

- Dlaczego?
- Bo nie zamierzam wypuścić cię z łóżka przez dłuższy czas.
- Brent, jesteś niesamowity. Zachowujesz się, jak lubieżne prosię, które nie ma w głowie nic innego, tylko...

Nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa.

- Sądzę, że „lubieżność” to najlepsze słowo. A teraz cicho, kobieto - dodał, unosząc rękę. - Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć, gdy już skończymy się kochać, głuptasie.

Byrony nie zamierzała się sprzeczać. Przez chwilę udawała, że się opiera, gdy ją do siebie przyciągnął i zaczął całować. - Wiedz tylko - powiedział - że cię kocham i jeśli jeszcze raz mnie opuścisz...

- To co? - spytała, uśmiechając się do niego.
- Później - odparł, głaszcząc ją po szyi. - Powiem ci później.

*

- Jak ci się to udało? - spytała Byrony trzy godziny później, patrząc pożądliwie na tacę pełną jedzenia, którą przyniósł steward.

- Mój urok osobisty - odparł Brent. Położył tacę na łóżku między nimi. - Podczas gdy ty będziesz się posilać, powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

Byrony ugryzła pieczoną pierś kurczaka. - Chciałabym wiedzieć, czy jest sól do kurczaka.

Spojrzał na nią zaskoczony. - Więc - powiedział -gdy następnym razem będziesz krnąbrna, muszę tylko rzucić cię na plecy.

- Tak - odparła. - To chyba wystarczy. Proszę o sól.

- Cholera, Byrony, nie chcesz dowiedzieć się wszystkiego?

Wpatrywała się w tacę z jedzeniem. - Czy mogę dostać kawałek tego przepysznego chleba?

- Proszę - powiedział i podał jej chleb.

Kilka minut później Brent przerwał jej żywiołową opowieść o podróży do San Diego. - Czy już skończyłaś?

- Ależ tak. Kurczak był wspaniały, marchewki dobre i chrupiące, tak jak lubię i...

- Dosyć! - warknął.

Byrony zerknęła na niego spod rzęs, potem opadła na poduszkę i roześmiała się radośnie.

Brent postawił tacę na podłodze i wyciągnął się obok chichoczącej żony. - Czy wróciły ci siły, Brent?

- Nie jesteś damą - odparł.

- Nie cieszy cię to?

- Będę się cieszyć, jeśli pozwolisz mi pokazać ci, jaki jestem wielki.

Uśmiechnęła się do niego słodko. - Sprzedałeś Wakehurst, uwolniłeś wszystkich niewolników, każdemu z nich dałeś pieniądze i wielu przywiozłeś ze sobą do Kalifornii. Zamierzasz kupić ranczo na południe od San Francisco i zacząć budować własne miasto, pełne czarnych obywateli. Dałeś Laurel część pieniędzy ze sprzedaży i wysłałeś ją w drogę z dobrze wypchanymi kieszeniami. Domyślam się, że załatwiłeś pomoc dla mojej matki i zatrudniłeś człowieka, który będzie im dostarczał pieniądze. Czy coś jeszcze?

- Przespałem się z Laurel przez wzgląd na dawne czasy.

- Nieprawda. A Josh odpowiada za wszystkich byłych niewolników.

- Mogę wiedzieć, skąd to wszystko wiesz?

- Mówiłeś przez sen. A jeśli chodzi o pieniądze dla mojej matki, to sama na to wpadłam.

- Cholera - powiedział. Położył ręce na jej okrągłym brzuchu i zamyślił się. - Nikt wcześniej nie mówił mi, że gadam przez sen i to tak szczegółowo.

Byrony poczuła ogarniające ją pożądanie. - Nie gadałeś - powiedziała. - Ale jak skończę się z tobą kochać, głuptasie, opowiem ci o liście od pana Milso-ma, który znalazłam i beczelnie przeczytałam.

Jęknął. - Cała lista moich dobrych uczynków, żeby udowodnić ci, że wcale nie jestem takim złym facetem.

- Stwierdziłam, że nie jesteś złym facetem w momencie, kiedy pojawiłeś się w domu moich rodziców. Co więcej, choć przez ostatnie trzy dni trzymałeś język za zębami, i tak postanowiłam ci wybaczyć to, że zbłądziłeś. Stwierdziłam również, że po prostu nie możesz beze mnie żyć. A więc moim dobrym uczynkiem będzie bycie kochającą żoną i dopilnowanie, żebyś więcej nie zbłądził. Co o tym sądzisz, Brencie Hammond?

- Powtarzam - odparł wolno - nie jesteś damą.

- Udowodnij to - powiedziała, przyciągając go do siebie.